

# Księga Śmierci



*Antonim*

Czwarta część, w której pojawiają się  
Dante, Kacy i kilka innych za skakujących postaci,  
jest jeszcze bardziej szalona i krwista niż poprzednie.

ANONIM

**The Book of Death**  
(KSIĘGA ŚMIERCI)

Tłumaczyła z oryginału: **Dusia**

Nabu Press: **2011**

# Spis treści

- o Karta tytułowa
- o Drogi Czytelniku
- o Cykl:
- o PROLOG
- o JEDEN
- o DWA
- o TRZY
- o CZTERY
- o PIĘĆ
- o SZEŚĆ
- o SIEDEM
- o OSIEM
- o DZIEWIĘĆ
- o DZIESIĘĆ
- o JEDENAŚCIE
- o DWANAŚCIE
- o TRZYNAŚCIE
- o CZTERNAŚCIE
- o PIĘTNAŚCIE
- o SZESNAŚCIE
- o SIEDEMNAŚCIE
- o OSIEMNAŚCIE
- o DZIEWIĘTNAŚCIE
- o DWADZIEŚCIA
- o DWADZIEŚCIA JEDEN
- o DWADZIEŚCIA DWA
- o DWADZIEŚCIA TRZY
- o DWADZIEŚCIA CZTERY
- o DWADZIEŚCIA PIĘĆ
- o DWADZIEŚCIA SZEŚĆ
- o DWADZIEŚCIA SIEDEM
- o DWADZIEŚCIA OSIEM
- o DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ
- o TRZYDZIEŚCI
- o TRZYDZIEŚCI JEDEN

- TRZYDZIEŚCI DWA
- TRZYDZIEŚCI TRZY
- TRZYDZIEŚCI CZTERY
- TRZYDZIEŚCI PIĘĆ
- TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ
- TRZYDZIEŚCI SIEDEM
- TRZYDZIEŚCI OSIEM
- TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- CZTERDZIEŚCI
- CZTERDZIEŚCI JEDEN
- CZTERDZIEŚCI DWA
- CZTERDZIEŚCI TRZY
- CZTERDZIEŚCI CZTERY
- CZTERDZIEŚCI PIĘĆ
- CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ
- CZTERDZIEŚCI SIEDEM
- CZTERDZIEŚCI OSIEM
- CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ
- PIĘCDZIESIĄT
- PIĘCDZIESIĄT JEDEN
- PIĘCDZIESIĄT DWA
- PIĘCDZIESIĄT TRZY
- PIĘCDZIESIĄT CZTERY
- PIĘCDZIESIĄT PIĘĆ
- PIĘCDZIESIĄT SZEŚĆ
- PIĘCDZIESIĄT SIEDEM
- PIĘCDZIESIĄT OSIEM
- PIĘCDZIESIĄT DZIEWIĘĆ
- SZEŚCDZIESIĄT
- SZEŚCDZIESIĄT JEDEN
- SZEŚCDZIESIĄT DWA
- SZEŚCDZIESIĄT TRZY

Drogi Czytelniku, otworzyłeś Księgę Śmierci.  
Pozory mogą mylić. Czytaj uważnie.

Anonim

## **1 – Księga bez tytułu**

Okładka i stronice Księgi bez tytułu powstały z wykorzystaniem drewna z krzyża, na którym ukrzyżowano Chrystusa. Każdy wampir, który dotknie części owego krzyża, umiera. Ta księga jest istotnym narzędziem w walce z nieumartymi.

## **2 – Oko Księżyca**

Oko Księżyca to cenny niebieski kamień o niewyobrażalnej mocy. Osoba, która go posiada, staje się nieśmiertelna. Można go użyć do kontrolowania orbity Księżyca, zmiany pogody, leczenia ran i zamiany wampirów z powrotem w ludzi.

## **3 – Diabelski Cmentarz**

Diabelski Cmentarz to teren pustynny, na którym ludzie zawierają pakt z Diabłem. W Pustyni pogrzebano nieumarte ciała wielu, którzy zaprzędali swoje dusze w zamian za fortunę i sławę.

## **4 – Księga Śmierci**

**Nieoficjalne tłumaczenie: Dusia**

Księga Śmierci powstała, by zapisywać imiona umarłych. Egipski władca Ramzes Gajusz przeklął księgę, by móc zapisywać w niej imiona swoich wrogów. Wszyscy zmarli w dniach wyznaczonych w księdze.

# PROLOG

Nastolatka przebiegła przez ciemne, omszone ścieżki na tyłach Santa Mondega. Jej płuca pracowały jeszcze ciężiej niż wcześniej. Jej prześladowca nie zaprzestawał pościgu. Słyszała go za sobą, jego kroki tłumił śnieg pod stopami. Nie odważyła się spojrzeć za siebie od czasu, gdy po raz pierwszy wyłonił się z jej cienia. Wyraźnie widziała białka jego oczu, dobrze odznaczające się na tle szerokich czarnych plam z farby, które pokrywały większość jego twarzy. Cały ubrany na czarno, początkowo wyglądał w jej oczach na olbrzyma. Później zobaczyła jego zęby. Były to wielkie wampirze kły. Biegła, by żyć.

Krzyki o pomoc nie wchodziły w rachubę, ponieważ ilość wampirów na ulicach była większa niż ilość ludzi. W mieście działo się coś wielkiego, a krzyki o pomoc mogłyby ściągnąć więcej nieumarłych. Potrzebowała bezpiecznej kryjówki. Gdy wypadła z końca alejki i znalazła się na jednej z głównych ulic, zobaczyła miejsce, które mogłoby zapewnić jej schronienie.

Miejska Biblioteka w Santa Mondega.

Pobiegła przez ulicę i w górę schodów, ku wejściu. Drzwi były szeroko otwarte, zapraszając ją do środka. Nie traciła czasu i wpadła przez nie do bibliotecznego holu. W holu była marmurowa posadzka i wysoki sufit. Widok powinien być dla niej znajomy, ponieważ jej rodzice od miesięcy namawiali ją, by przychodziła tutaj uczyć się do egzaminów. Na wprost niej znajdowały się ogromne drewniane podwójne drzwi zabezpieczone dużą kłódką z brązu i łańcuchem. Miała tylko jedno wyjście. Pobiegła do schodów po lewej.

Gdy wspinała się na wyższe piętro, podeszwy jej trampek zostawiały na podłodze ślady śniegu. Jeśli wampir ją śledził, bez problemu ją wytropi. Wiedziała, że ukrywając się w bibliotece

ryzykowała wpadnięcie w kozi róg, ale nie mogła wiecznie uciekać. Jeśli był choć trochę podobny do wampirów ze Zmierzchu, powinien być w stanie rozmyć się w powietrzu, pokonać ogromny dystans i dopaść ją, kiedy sobie tego zażyczy. Może ten konkretny wampir upajał się paniką swojej ofiary, ekscytował paniką w jej urywanym oddechu.

Na szczycie wchodów zaryzykowała i spojrzała za siebie. Ani śladu jej prześladowcy. Może poddał się albo znalazł łatwiejszą ofiarę. Nawet jeśli, nie zamierzała ryzykować. Weszła w ogromną salę w książkami, mając nadzieję zgubić pościg w labiryncie regałów. Nikogo nie było przy stoliku recepcyjnym, nikt nie przeszukiwał sięgających sufitu półek. Dokładnie przed nią znajdowała się pusta przestrzeń ze stołami i krzesłami, ale tutaj też było pusto.

Szybko przeszła do sekcji Referencji i ukryła się za półką. Przejście było ciemne i chociaż pewnie nie zwiodłoby wampira, wydało jej się najlepszą opcją. Przynajmniej dopóki nie zobaczyła na jego drugim końcu czegoś, co zmroziło jej krew.

Na podłodze, w kałuży krwi, leżało ciało nastolatka. Jego głowa była rozgnieciona na krwawą miazgę. Bardziej martwiło ją jednak to, że pochylał się nad nim mężczyzna, mężczyzna o którym plotki słyszała. Od stóp do głowy spowity w długi czarny płaszcz z kapturem naciągniętym na głowę – Bourbon Kid. Gdy podniósł na nią wzrok, zauważyła, że jego ręce są całe we krwi chłopaka.

Zerknąwszy na sekundę na jego ręce, Caroline podniosła wzrok. Ich oczy się spotkały. Zamarła w miejscu, jej ciało i umysł zamknęły się na widok seryjnego zabójcy. Z przerażeniem patrzyła, jak podnosi się i sięga pod ciemny płaszcz. Zakrwawioną dłonią wyjął duży pistolet. Wycelował, mierząc w jej głowę. Czerwony laserowy wskaźnik w górnej części broni zalśnił jasno, kierując się między jej oczy. Zastanawiała się, czy właśnie bierze swój ostatni oddech, ale zanim nacisnął spust, Bourbon Kid wypowiedział dwa słowa głosem tak ponurym jak najgłębsze czeluście piekieł.

- Na ziemię.



Przez chwilę Caroline ani drgnęła. Później zrobiła, jak kazał, i padła na ziemię, chowając głowę między kolana w niebieskich dżinsach. Zatkała uszy rękami i zamknęła oczy.

**BANG!**

Dźwięk Wystrzału niemal ją ogłuszył, mimo że miała zasłonięte uszy. Gdy odbijał się echem po rozległej przestrzeni, powoli odstąpiła uszy. Za sobą usłyszała dźwięk białą padającego na podłogę. Pozostała w skulonej pozycji przez kilka sekund, po czym powoli otworzyła oczy i spojrzała na Bourbon Kida. Schował broń z powrotem pod ciemny płaszcz i ponownie spojrzał na przesiąknięte krwią ciało chłopaka na drewnianej podłodze.

Caroline powoli wstała. Na podłodze za nią, płasko na plecach, pozbawiony sporej części głowy, leżał wampir, który ścigał ją po ulicach. Z dziury w głowie buchał mu dym, a wyciekająca z niej krew tworzyła na podłodze niekończącą się kałużę. Odsunęła się od niej i odwróciła z powrotem do Bourbon Kida.

- Dzięki – mruknęła. – Od dawna mnie gonił. Nie wiem, kim jest.

Kid nie odpowiedział. Caroline zrobiła krok w jego stronę i odezwała się głośniejszym głosem:

- Wiesz, co tu się dzieje? – zapytała. – Wampiry dorwały tego chłopaka?

Wydawało się, że Kid zapomniał o jej obecności. Na dźwięk jej głosu spojrzał na nią.

- Ścigał cię Panda – powiedział.

- Co? Panda?

- Tak.

Nic nie powiedziała, niepewna, co miał na myśli. To nie miało sensu.

- Czarna farba na jego twarzy, wokół oczu, znaczy, że był członkiem wampirzego klanu Pandy. Przynajmniej dopóki nie odstrzeliłem jego zakichanego łba.

Caroline słyszała jego słowa, ale ciało chłopaka na podłodze rozpraszało ją.

- O Boże, to Josh. Chodzi do mojej szkoły. Pandy mu to zrobiły? – zapytała,

Kid pokręcił głową.

- Nie. To nie w stylu wampirów.

- Więc kto?

Kid zignorował ją i ponownie sięgnął pod płaszcz. Wyjął broń, z której zastrzelił wampira. Wyglądał jak ktoś, kto zamierza jej użyć. Odwrócił się w jej stronę, oczy patrzyły tak, jakby jej tam nie było. Odsunęła się, przyciskając plecy do półki z książkami i próbując jak najbardziej oddalić się od Kida. Poszedł na nią, jego płaszcz otarł się delikatnie o jego nogę. Na końcu przejściach zatrzymał się i spojrzał w obydwie strony, mierząc z pistoletu, gotów do akcji.

Caroline niepewnie zwróciła się do niego.

- Można bezpiecznie wyjść na zewnątrz?

- Dla mnie tak.

- Mogę iść z tobą? Boję się iść sama.

Spojrzał na nią.

- Tutaj będziesz bezpieczniejsza.

Caroline wskazała na martwego chłopaka na podłodze.

- A co z tym kimś, kto zabił Josha? – zapytała. – Co jeśli wciąż jest tu, w bibliotece?

Kid już szedł w stronę wyjścia, gdy odpowiedział.

- Ten kto go zabił, już odszedł.

- Wiesz, kim był? – zawołała za nim. – Zabijesz go?

- Jest na mojej liście.

# JEDEN

**W**nętrznosci zalane deszczówką, wymiocinami i krwią. W niepokojącym szmerze, który opanował miasto, to były ostatnie ślady masakry, która miała miejsce w Santa Mondedze w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Zniszczone przez błyskawice, grzmoty i zgony Halloween jeszcze nigdy nie było tak chaotyczne. A to coś znaczyło w Santa Mondedze.

Gdyby było to jakiegokolwiek inne miasto, na ulicach roiłoby się od policjantów i dziennikarzy szukających śladów i świadków. Ale gdyby jakiegokolwiek glina jeszcze żył, i tak nie pokazywałby się na ulicy, dopóki nie wstały dzień. W mieście zwykle było tłoczno od wampirów, większość policjantów również do nich należała. Ale tej nocy gliniarze i wampiry (a w szczególności wampirzy gliniarze) padli ofiarą masakry. Mieszkańcy Santa Mondega obudzą się w mieście bez jakiegokolwiek władzy porządkowej.

O czwartej nad ranem na opustoszałych ulicach pojawiły się dwie postacie. Młoda para raczej trzymała się w cieniu. Dziewczyna, troszkę po dwudziestce, nosiła dżinsy i szarą bluzę. W ciemnościach ślady krwi na jej przedzie wydawały się czarne. Krew była w większości jej władna, pochodząca z rany na szyi, którą skrzętnie ukryła pod długimi ciemnymi włosami. Jej towarzysz, mężczyzna w podobnym wieku, był przyczyną rany. Zmienił ją z istotę nocy, jaką sam był, tuż po północy.

Od tamtej pory przeszli miasto i od kilku minut czaili się w cieniach pod komisariatem policji, miejscem kilku nieprzyjemnych nocnych ekscesów, szukając w środku jakichkolwiek śladów życia.

Mężczyzna, Dante Vittori, wreszcie wyszedł z cienia i stanął w świetle latarni ulicznej. Światła ukazały wyraźne ślady krwi na jest jasnoniebieskiej koszuli policjanta, której nie schował za pasek

czarnych niebieskich spodni. Skinął na partnerkę, by do niego dołączyła. Komisariat wydawał się zupełnie opuszczony. Dante bez wahania poszedł w jego stronę, uzbrojony w świadomość, że cokolwiek czaiłoby się w okolicy, i tak nie odważyłoby się go zaatakować. Jego dziewczyna Kacy wysunęła się z cienia i podążyła za nim.

- Nie jestem pewna, czy o teraz najlepsze miejsce – powiedziała, gdy wchodził po schodach wiodących do podwójnych szklanych drzwi na przedzie budynku.

- Zaufaj mi – odpowiedział, otwierając pchnięciem prawe skrzydło.

- Jest tu coś, co ci się spodoba. – Rozejrzał się wokół drzwi, czy ktokolwiek był w pobliżu.

Kacy nie była przekonana.

- Jeśli nie jest to lekarstwo, które przywróci mnie do normalności, raczej mi się nie spodoba.

- Chodź. Nikogo nie ma – powiedział Dante, zachęcając ją machnięciem do przejścia przez drzwi, które trzymał dla niej otwarte.

Kacy weszła do środka i poczekała, by prowadził. Recepcję komisariatu opanował nieład. I niepokojąca cisza. Dante skierował się do windy na jej odległym końcu, mijając kilka biur bez pracowników. Krew pokrywała blaty, ściany i większość podłogi wokół kontuaru recepcyjnego. Pod ścianą po prawej leżało ciało policjanta. Brakowało mu górnej części głowy.

- Ciekawe, co się mu stało? – zapytała Kacy, mijając je szerokim łukiem.

- Załatwił go mnich Peto.

- Ten mnich, któremu przedtem odcięli głowę?

- Tak, Peto. Był dobry.

- Mam nadzieję, że gliny znajdą człowieka, który mu to zrobił.

- Założę się, że nawet głowy nie znajdą.

Kacy zmarszczyła brwi, patrząc na ciało na podłodze.

- Jakim cudem skończył w taki sposób?

- Kiedy Peto to załatwił, Bourbon Kid strzelił mu w tył głowy, żeby

na pewno się nie przebudził.

- Miło – powiedziała Kacy, ostatni raz rzucając okiem na ciało, po czym poszła za Dantem do windy. – Gdzie teraz jest Kida? Znajdziemy go? Pomoże nam?

Dante pokręcił głową.

- Nie. Mnich użył Oka Księżyca, by pomóc Kidowi odzyskać duszę czy coś takiego. Wtedy zupełnie mu odbiło, odwrócił się na pięcie i nas zostawił.

- Dupek.

- Tak. Ale nie powiedziałbym mu tego prosto w twarz.

Dante nacisnął przycisk na ścianie obok windy, by przywołać ją na ich piętro. Kiedy mechanizmy zaczęły zgrzytać, Kacy wyczuła w powietrzu dziwny zapach.

- Co tak capi? – zapytała.

- Gównno.

- Co?

- To smród gówna.

Winda pisnęła i drzwi się otworzyły, ukazując wewnątrz ze ścianami pokrytymi krwią i nieczystościami.

- O mój Boże – Kacy zakryła usta dłonią i cofnęła się, nie tylko z powodu zaskoczenia, ale też smrodu.

- Widzisz – Dante wskazał na kilka brązowych śladów. – Gównno. Kid strzelił gliniarzowi w dupę i wywalił z niego flaki. Teraz są wszędzie. Ohyda.

- Pójdziemy schodami? – zapytała Kacy.

Dante wszedł do windy i nacisnął przycisk po prawej stronie.

- Chodź – powiedział. – To tylko gównno. I krew. – Spojrzał na podłogę, której nie widziała Kacy, po czym dodał: - I jaja, jak sądzę. Mocno owłosione.

- Idę schodami – powiedziała Kacy. – Na które piętro jedziesz?

- Do podziemia.

- To do zobaczenia.

Drzwi windy zamknęły się i Kacy pospieszyła do drzwi po prawej,

za którymi znajdowała się klatka schodowa. Poszła schodami w dół i dotarła do piwnic kilka sekund przed windą.

W podziemiu znajdowała się nieużywana szatnia. Najlepsze dni miała już za sobą, wymagała poważnych modernizacji i wysprzątania. Przy ścianach stały długie drewniane ławki, nad którymi wisiały szare metalowe szafki. Podłoga pokryta była krwią (podobną do tej z recepcji piętro wyżej) i czarnymi śladami palenia. I podobnie jak winda, szatnia pachniała nieczystościami i śmiercią. Także ściany pokryte były wręcz niemożliwą ilością krwi. Suchej krwi, nie takiej która mogłaby zaspokoić żądzę, którą zaczynała odczuwać Kacy. Na jej widok zrobiła się niesamowicie głodna.

Winda ponownie pisnęła, drzwi otworzyły się i wyszedł z niej Dante. Rozejrzał się wokół.

- Co tu robimy? – zapytała Kacy.

- Tu jest coś, co może ci się spodobać. A przynajmniej coś, czego potrzebujesz.

- Co? Ochraniacz na jaja? – zapytała Kacy, ponownie rozglądając się po ponurej szatni.

Dante pocałował ją w policzek i minął ją, podchodząc do rzędu szafek na ścianie. Spojrzał na podłogę pod drewnianą ławką pod szafkami. Mniej więcej w dwóch trzecich długości ściany, około dwudziestu szafek dalej, schylił się i zaczął macać podłogę pod ławką. Wyciągnął stamtąd paczkę, która wcześniej była niewidoczna. Odwrócił się i uśmiechnął do Kacy. Dwa z jego górnych zębów powoli wydłużyły się w niewielkie kły.

- Co to? – zapytała Kacy, wskazując na pakunek w jego rękach.

- Łap.

Rzucił jej paczkę. Gdy leciała, Kacy zdała sobie sprawę, że to paczka płynu. Ciemnego płynu. Posłusznie złapała. Gdy miała ją w rękach, zdała sobie sprawę, że trzyma woreczek z krwią. Na sam widok puls jej przyspieszył. Czowała, że jej własne kły trochę się wydłużają. Opanowała ją potrzeba wypicia, niemal niekontrolowana potrzeba. Nie namyślając się długo, uniosła woreczek do ust i użyła ostrych

zębów, by ją otworzyć. Niecierpliwie zaczęła wlewać sobie krew do ust. Większość chybiła celu i pociekła jej po twarzy. Jednak każda porcja, która spływała w dół jej gardła, przynosiła uczucie, którego wcześniej nie знаła. Poczucie czystej adrenaliny płynącej w żyłach. Zatraciła się w jakiejś ukrytej części siebie. Zamknęła oczy, pozwalając poczuciu mocy i żądzy przepływać po całym ciele. Przez krótką chwilę czuła jedność z wszechświatem, będąc jednocześnie świadomą wszystkiego wokół siebie, aż poczuła, że Dante bierze ją za rękę.

- Hej, zostaw coś dla mnie – usłyszała jego głos.

Otworzyła oczy i wzięła głęboki wdech. Dante odebrał jej torebkę z krwią. Tak jak w jej przypadku, gdy dostał pakunek w swoje ręce, stracił nad sobą kontrolę. Wlał trochę do otwartych ust. Kacy zobaczyła, że on także odczuwa przyjemność, której ona sama przed momentem doświadczyła.

Opróżniwszy torebkę, Dante stanął bez ruchu, oddychając powoli i mrugając. Na twarzy malowała mu się czysta ekstaza, jakiej Kacy jeszcze nigdy nie widziała. Zdała sobie sprawę, że na jej własnej twarzy wykwitł szeroki uśmiech. Może bycie wampirem jednak nie było takie złe.

- Niesamowite, prawda? – zapytała.

- Niewiarygodne – powiedział Dante. – Znaczący, kiedy cię ugryzłem i zamieniłem w wampira, wypłem trochę twojej krwi, ale to nie mogło równać się z tym. Bez obrazy, skarbie.

- Spoko.

- Lepsze niż hera – stwierdził Dante.

- Kiedy próbowałaś heroiny?

- Nie próbowałem. Tak mi się powiedziało.

Kacy przeciągnęła palcem po policzku i zlizwała małą kroplę krwi.

- Skąd wzięła się ta krew? – zapytała. – Powinniśmy zdobyć więcej.

Dante wzruszył ramionami.

- Znaleźliśmy ją tu kiedyś. Miał ją w kieszeni jakiś wampir, którego zabił Bourbon Kid. Schowaliśmy ją pod szafki. Nie sądziłem, że kiedyś

to ja ją wypiję.

Kacy spojrzała na torebkę i zobaczyła białą naklejkę, która pozostała nienaruszona mimo rozszarpania torebki zębami.

- Co jest napisane na naklejce? – zapytała, wskazując.

Dante rozłożył torebkę i spojrzał na nalepkę. Znajdowały się na niej jakieś czarne litery.

- Że to krew jakiegoś Archibalda Somersa – powiedział Dante, wzruszając ramionami.

- Archibald Somers – powiedziała Kacy. – Znam to nazwisko. Kim on był?

- Nie wiem, ale mógłbym pić jego krew całymi dniami. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie czułem. A ty?

Kacy przytaknęła.

- Czuję się niesamowicie. Skąd możemy wziąć więcej?

Dante zamyślił się głęboko, co było do niego niepodobne. Głęboki namyśl i Dante to dwie rzeczy, które zazwyczaj nie idą ze sobą w parze. Wreszcie się odezwał.

- Chyba znam takie miejsce – powiedział.

- Poważnie? Gdzie?

- Klub nocny, Swamp. Prowadzi go Ważniak, lider klanu Cieni. Mógłby nam pomóc. Może będzie miał trochę krwi, którą będziemy mogli wypić.

- Można mu zaufać?

- Tak myślę. Wiesz, jestem członkiem jego klanu. Reszta Cieni nie żyje, więc pewnie ucieszy się na mój widok, zwłaszcza że mam ciebie. Pewnie będzie wdzięczny, że przyprowadziłem nowego rekruta.

- Ale czy będzie wiedział, że zeszłej nocy przyłączyłeś się do Bourbon Kida i mnicha?

- Przekonamy się tylko w jeden sposób. Chodźmy do niego.

Kacy spojrzała na zegarek.

- Jest już po czwartej – powiedziała. – Nie powinniśmy martwić się wstającym słońcem?

- Nie. Słońce zawsze wschodzi, prawda?



- Nie o to mi chodzi, idioto. Nie jest tak, że jeśli będziemy na zewnątrz i wstanie słońce, my się stopimy czy coś takiego?

- Nie mam pojęcia.

- To pospieszmy się!

Wyszli schodami do recepcji. Wciąż było tu nieprzyjemnie cicho, a na wewnątrz wciąż panował mrok. Gdy przechodzili przez krew i przedmioty rozrzucone na podłodze, w drzwiach wejściowych pojawiła się twarz. Była to przerażona twarz młodego chłopca, maksymalnie ośmioletniego. Z mocą uderzył w szklane drzwi i wydawało się, że krzyczy coś w stylu „Pomocy!”

Zanim Dante czy Kacy zdążyli zareagować, za chłopcem pojawiła się druga postać, wyłaniając się z cienia. Złapała go w pasie i odciągnęła od drzwi. Chwilę później chłopiec i jego dużo większy prześladowca zniknęli.

- A niech mnie – powiedział Dante. – To się naprawdę zdarzyło?

Kacy próbowała przetworzyć obraz w głowie. To wydarzyło się tak szybko.

- Widziałeś, kto złapał tego chłopca? – zapytała.

Dante przytaknął.

- Tak, niezły popieprzniec. Chyba nie tylko my włączymy się po nocy.

- Widziałeś go wcześniej?

- Tak, ale wtedy nie był wampirem.

# DWA

Beth przebudziła się z lekkiego snu. Jej łóżko było ciepłe i wygodne. Ciepłejsze niż zwykle, ponieważ dzieliła je z JD, odzyskanym po osiemnastu latach rozłąki. Nie pamiętała, kiedy ostatnio obudziła się tak szczęśliwa. Pozwoliła mu zasnąć przed sobą po prostu dlatego, że cieszył ją sam jego widok, świadomość że on naprawdę do niej wrócił. Przetarła oczy i odwróciła się, by ponownie na niego spojrzeć. Kołdra po drugiej stronie łóżka była odciągnięta.

JD zniknął.

Serce w niej zamarło. To był tylko sen? Czy naprawdę pojawił się na końcu pomostu, na którym czekała? Gdzie czekała w każde Halloween przez te wszystkie lata?

Myślała intensywnie. W głowie jej się kręciło, wciąż nie do końca się przebudziła po wczesnej pobudce. Zastony były odsłonięte, na zewnątrz wciąż było ciemno. Wyciągnęła rękę i pomacała łóżko w miejscu, z którego odsunięto kołdrę. Wciąż było ciepłe. Stwierdziła, że jej się to nie śniło. To nie było możliwe. To wszystko było zbyt rzeczywiste, aż do momentu, gdy zasnęła w jego ramionach.

Po drugiej stronie łóżka zobaczyła mały kawałek brązowej tkaniny. Wzięła do i przysunęła do twarzy, by lepiej się przyjrzeć. Na jego środku było naszyte ciemnoczerwone serce. W centrum serce znajdowały się niebieskie inicjały JD. Ulżyło jej, że nie zaczynała fiksować. To był dowód, którego potrzebowała, by upewnić się, że poprzednia noc nie była snem. Ale co miał oznaczać ten strzępek? Że odszedł? Była to jakaś wiadomość pożegnalna?

Jednym płynnym ruchem wyskoczyła z łóżka, owijając się w kołdrę. Sypialnia, jeszcze przed chwilą ciepła i pełna życia, nagle wydała się jej zimna i pusta. Okrążyła łóżko i otworzyła drzwi do łazienki. Omiotła wzrokiem ciasny salonik w swoim malutkim

mieszkanku, ale nie widziała nikogo. Gdy zaczynała panikować, cierpnąć na myśl o powrocie do samotności, drzwi do mieszkania się otworzyły. Do środka wszedł JD. Nosił te same džinsy, czarny podkoszulek i czarną skórzaną kurtkę, które miał na sobie w czasie wizyty na moło poprzedniej nocy. Zobaczył zmartwienie na jej twarzy i natychmiast uspokoił ją delikatnym uśmiechem.

- Przepraszam, obudziłem cię? – zapytał.

Beth odetchnęła z ulgą.

- Myślałam, że odszedłeś.

- Wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie mogłem spać.

Zdjął kurtkę i rzucił na oparcie zielonej dwuosobowej sofy i usiadł na jednym jej końcu, twarzą do telewizora. Wziął pilota i włączył urządzenie. Leciał akurat późnonocny film akcji.

Beth zbliżyła się do sofy, trzymając kołdrę blisko siebie, by się ogrzać. Usiadła obok niego i pocałowała w policzek.

- Przez okropną minutę myślałam, że ostatnia noc mi się przysniła.

- Może tak. Może wciąż śniesz.

- Więc mam nadzieję, że się nie obudzę. Nigdy.

Odwzajemnił pocałunek.

- To nie sen, przysięgam – powiedział. – Wróciłem. Na dobre.

- Nawet nie wiesz, jak dobrze mi to słyszeć. Miałam okropne wrażenie, że wróciłeś tylko na tę jedną noc. Jakbyś miał dziewczynę w każdym mieście.

- Mam dziewczynę w każdym mieście. Podróżuję w kółko w osiemnastoletnim cyklu. Ty jesteś moją dziewczyną w Santa Mondedze.

Beth uderzyła go zaczepnie.

- Marzy ci się!

- Obiecuję, jeśli gdzieś się wybiorę, pojedziesz ze mną.

- A może na razie wrócisz ze mną do łóżka? Jest mi tam zimno bez ciebie.

- Jasne. Chciałem tylko rzucić okiem na wiadomości. – Zmienił kanał na lokalną stację informacyjną. Reporter w studiu odczytywał

ostatnie wiadomości z grobową miną. Nawet jego głos brzmiał jak głos śmierci. Beth spojrzała na ekran telewizora i zmarszczyła brwi.

- Chwila moment – powiedziała. – O co chodzi?

Na dole ekranu przewijał się żółty pasek, na którym napisano...

SETKI NIE ŻYJĄ PO KOLEJNYM ATAKU BOURBON KIDA

- O mój Boże – sapnęła. – Mam nadzieję, że nie zginął nikt, kogo znałam.

Jakby na potwierdzenie jej najgorszych obaw, reporter oznajmił, że jedną z ofiar Bourbon Kida był dyrektor muzeum i jej szef, Bertram Cromwell.

Beth była przerażona. Cromwell był jednym z niewielu ludzi w mieście, których mogłaby nazwać przyjaciółmi. Zasłoniła usta dłonią.

- Nie wierzę – powiedziała – Cromwell był najmilszym człowiekiem w mieście. Tylko jemu zawdzięczam pracę. A teraz Bourbon Kid go zamordował. Jego żona będzie załamana. To okropne.

JD pogłaskał ją po plecach, próbując pocieszyć..

- Może to znak, że powinnaś rzucić muzeum – powiedział. – Może obydwójce wyjedziemy z tego pochrzanionego miasta?

Beth ledwie słyszała, co mówił. Jej myśli krążyły wokół Bertrama Cromwella i jego rodziny.

- Mam nadzieję, że złapią Kida i posadzą na elektrycznym krześle.

JD przytulił ją mocno.

- Myślę, że Kid zabijał tutejsze wampiry. Nie sądzę, żeby miał coś wspólnego z zabójstwem Cromwella.

- Wampiry? – powiedziała Beth, wyrwana z ponurych myśli. – Takie jak zaatakowały nas kiedyś na molo?

- Tak.

- Ale to naprawdę były wampiry? No wiesz, od tamtej pory nigdy nie natknęłam się na wampira. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy sobie ich nie wyobraziłam.

- Miasto było ich pełne. Założę się, że teraz nie żyją.

- Może, ale Bourbon Kid to wciąż problem. Jest gorszy niż wampiry, tak myślę.

Przesuwający się żółty pasek w programie informacyjnym sugerował coś innego.

## SZOKUJĄCE WIEŚCI – BOURBON KID SCHWYTANY I ZABITY PRZEZ SIŁY SPECJALNE

JD przyciągnął ją do siebie i ponownie pocałował, mocniej niż wcześniej.

- Widzisz, jesteś bezpieczna. Bourbon Kid nie żyje, odszedł na zawsze. Tak jak wampiry. Nie ma się czego bać.

Beth zmusiła się do uśmiechu. Jej myśli wróciły do kawałka materiału z naszytym sercem. Wciąż miała go w ręce.

- Zostawiłeś to na poduszce – powiedziała, unosząc go.

- To dla ciebie – odparł JD.

- Co to jest?

- A jak myślisz? – zapytał po chwili.

- Kawałek materiału z twoimi inicjałami.

- Więc znasz odpowiedź.

- To coś więcej – powiedziała, trącając go delikatnie. – To znak dla mnie, żebym wiedziała, że wrócisz, tak?

Uśmiechnął się.

- Tak. Zatrzymaj to. Zawsze do tego wrócę. A ty nie będziesz musiała czekać osiemnastu lat, obiecuję.

- Więc mogę to zatrzymać?

- Jest twoje.

Beth spojrzała na serce naszyte na materiał. Teraz miała coś, co należało do niego i miało pewne znaczenie. Samo trzymanie tego w ręce sprawiało, że czuła się bezpieczna. Dopóki będzie miała to przy sobie, serce JD należało do niej.

# TRZY

Należący do Ważniaka klub Swamp był bardziej widowiskowy, niż wskazywałaby na to nazwa. Kacy spodziewała się zapleśniałego baru w jakiejś mrocznej alei. W rzeczywistości był to pięciopiętrowy budynek w południowej części miasta, na rogu ulicy. Gdy podeszli do głównego wejścia, coś miękko wylądowało na ziemi przed nimi.

- To śnieg? – zapytała Kacy.

- Niemożliwe – odpowiedział Dante obcesowo. – W Santa Mondedze nigdy nie sypie.

- To co to jest, do diabła?

- Nie wiem, pospieszmy się i chodźmy do środka. – Pchnął drzwi na froncie budynku. Otworzyły się z łatwością. – Zwykle w tym miejscu jest pełno strasznych sukinsynów, więc nie oddalaj się ode mnie – dodał...

- Świetnie.

Poprowadził ją po kilku poziomach schodów. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Ani jednej podejrzonej osoby. Ani jednego fana Depeche Mode. Było równie pusto jak za ulicach.

- To opuszczone miejsce – szepnęła Kacy.

- Dziwne – powiedział Dante. – Kiedy byłem tu ostatnio, na schodach roiła się od wampirów robiących różne dziwne rzeczy. Ciekawe, gdzie oni są?

Ponad nimi rozległ się głos.

- Odeszli do Casa de Ville.

Obydwoje zatrzymali się i spojrzeli w górę. Z podestu kilka pięter wyżej patrzył na nich wampir z ciemnymi włosami do ramion, cały ubrany w szarości, ze schludnie przyciętą bródką. Dante natychmiast go rozpoznał.

- Hej, Ważniak, jak leci? – zagadnął, machając.

Kacy rozpoznała strój, który nosił Ważniak. Miał taką samą czarną kurtkę, jaką dostał Dante, gdy kilka dni temu przeniknął do wampirzego klanu Cieni. Pod spodem nosił sprany czarny podkoszulek, strój wykańczała para czarnych dżinsów i pasujących butów do kostek.

- Chodźcie tutaj! – zawołało nich Ważniak. – Dam wam jakieś czyste ubrania. A ty powiesz mi, co wyprawiałeś całą noc.

Kacy chwyciła Dantego za rękę i poszła z nim na podest, na którym był Ważniak. Zanim dotarli na miejsce, on przeszedł do ogromnego holu. Była to sala bilardowa z wieloma rozstawionymi stołami i długą ladą pod jedną ze ścian.

- Tutaj – powiedział. – Byłem już tutaj. Spotkałem się kiedyś z kilkoma błaznami.

- Czemu mnie to nie dziwi?

W sali bilardowej Ważniak stał przy jednym ze stołów na środku pomieszczenia. Na stół rzucił kilka czarnych skórzanych kurtek. Na plecach, złotymi literami, wyhaftowano na nich napis „Cienie”. Cholernie tandetne, pomyślała Kacy, ale z grzeczności zachowała tę opinię dla siebie.

Ważniak zdjął okulary przeciwsłoneczne. Takich oczu Kacy nigdy nie widziała. Były mieszaniną trzech różnych kolorów. Jak obracająca się kula dyskotekowa, mieniły się od złota do czerni, a później od srebra do czerni, po czym cykl się powtarzał. Obraz był hipnotyzujący. Patrzył na nią przez chwilę, po czym zwrócił się do Dantego.

- Kim jest ta dziewczyna? – zapytał.

- Laska, którą wyrwałem – odpowiedział Dante. Kacy puściła jego rękę i pozwoliła mu podejść do Ważniaka, z którym przybili „piątkę”.  
- Niezła. Polubisz ją.

Ważniak zacisnął usta i zmierzył Kacy od stóp do głowy.

- Jak się nazywasz, skarbie? – zapytał.

- Kacy.

- Kacy. Ładne imię – stwierdził, ponownie patrząc na nią. – I

zgrabna. Nada się na inicjacyjną orgię. Chłopaki oszaleją, że będą mogli ją przelecieć.

Kacy poczuła, że krew w jej żyłach robi się jeszcze zimniejsza niż w chwili, gdy została wampirem.

- Co? – wykrztusiła.

Ważniak uśmiechnął się.

- Żartuję.

Kacy odetchnęła w ulgę. Zobaczyła, że Dante ociera strugę potu z czoła. Najwyraźniej on też dał się nabrać na marny dowcip Ważniaka.

- Masz – powiedział Ważniak, rzucając jej skórzaną kurtkę. – Załóż. Musimy ruszyć dupy. Wszystkie wampiry zostały wezwane do Casa de Ville przez Ramzesa Gajusza.

- Po co? – zapytał Dante.

- Słyszałeś, co się tu działo zeszłej nocy, co? – zapytał Ważniak.

- Słyszałam, że Bourbon Kid zabił wielu ludzi – wtrąciła Kacy, ratując Dantego przed wyjawieniem, gdzie był, kiedy miała miejsce ta rozpierducha.

- Tak – przytaknął Ważniak. – I wychodzi na to, że to znowu Bourbon Kid. Wiedziałaś o tym, Dante?

Dante zakładał na siebie jedną ze skórzanych kurtek ze stołu. Przez chwilę udawał, że nie słyszał pytania Ważniaka, otrzepując kurtkę i obmyślając odpowiedź. W tej chwili ciężko było stwierdzić, czy Ważniak wiedział, że on to już wiedział i tylko go sprawdzał. Kacy znowu się wtrąciła, udzielając odpowiedzi za niego.

- Słyszeliśmy coś na ulicy – powiedziała. – Wszyscy o tym gadają.

- Nie dziwię się – powiedział Ważniak. – A słyszałeś, że go złapali?

Tym razem to Dante odpowiedział:

- Poważnie? Złapali Bourbon Kida?

- Tak. Jacyś wojskowi wynajęci przez Gajusza go dopadli i odcięli ten cholerny łeb.

- Kurwa – Dante nie potrafił ukryć, że wiadomość go zaskoczyła.

Kacy nie była ani w połowie tak przejęta jak Dante. Bardziej interesowało ją to, jak będzie wyglądała w nowej skórzanej kurtce.



Wsunęła ręce w rękawy i z zadowoleniem zauważyła, że pasuje idealnie. Ważniak rzucił jej jeszcze parę ciemnych szkieł.

- To że go złapali i zabili prawdopodobnie uratowało nam szyje – powiedział Ważniak. – Wątpię, żeby władze interesowały się nami przez jakiś czas.

- Może powinniśmy zostać tu jakiś czas? – zasugerowała Kacy, patrząc na okulary w dłoni i zastanawiając się, jak będzie się przez nie patrzeć.

- Już mamy dość dużo kłopotów – powiedział Ważniak. – A skoro Bourbon Kid zabił setki wampirów, Gajusz jest sporo w plecy, jeśli chodzi o ilość ludzi. Zbiera armię nieumarłych, żeby przejąć miasto. Brak doświadczonych wampirów powinien wystarczyć, żeby utrzymać nas na razie przy życiu.

- Bezpiecznie jest teraz wychodzić? – spytała Kacy. – Znaczy, czy słońce za chwilę nie wzejdzie?

Ważniak pokręcił głową.

- Gajusz twierdzi, że nie. Zna sposób, żeby utrzymać nad miastem ciemne chmury. Więc przez jakiś czas wszyscy możemy chodzić na dnia.

- Poważnie?

- Tak. Archie Somers bez powodzenia próbował na stałe ściemnić niebo. Gajusz zrobił to w kilka chwil.

Kacy pobudziła się.

- Kim był Archie Somers? – zapytała.

- Poprzedni szef. Szef krwiopijca, jeden z autentycznych chodzących za dnia.

Dante wypowiedział to, co chodziło po głowie Kacy.

- Przed momentem wypiliśmy trochę jego krwi.

- Co?

- Przeszukiwaliśmy komisariat policji i znaleźliśmy paczkę krwi podpisaną nazwiskiem Archiego Somersa.

- Archie Somers? Gdzie jest teraz?

- Wszystko wypiliśmy.

Ważniak spojrział na nich podejrzliwie.

- Kpicie sobie ze mnie?

- Nie – odparł Dante. – Była cholernie dobra.

Ważniak westchnął.

- Wiecie, na waszym miejscu nie rozpowiadałbym tego – powiedział. – Gajusz i Jessica nie mogą się dowiedzieć, że rozpowiadacie takie brednie. Gajusz strzelił w was jakimś pieprzonym ognistym laserem z palców. A Jessica, cóż, po prostu was rozerwie na strzępy!

- Kim jest Jessica? – ostrożnie zapytała Kacy.

- Zobaczysz, kiedy dotrzemy do Casa de Ville. Zanim ruszymy, musimy zrobić coś jeszcze. Sprawdzić, czy zostały jeszcze jakieś żywe klany. Wiecie, w ilości siła.

- Świetnie – powiedziała Kacy, nie mogąc ukryć braku entuzjazmu.

Ważniak nasunął okulary z powrotem i skinął w stronę wyjścia. Kacy zobaczyła, że Dante także nakłada swoje szkła. Poszła za ich przykładem i ze zdziwieniem zauważyła, że widzi w nich równie dobrze jak wcześniej, chociaż było ciemno.

Ważniak minął ją i przeskoczył przez barierkę u szczytu schodów. Zniknął im z oczu. Kacy szybko podeszła i zerknęła przez balustradę. Ważniak delikatnie opadał na poziom parteru. Spojrzała na Dantego.

- My tak potrafimy? – zapytała.

Dante skrzywił się.

- Tak sądzę. Mam iść pierwszy?

- Jak najbardziej!

Jeszcze zanim przechylił się ponad barierką, Kacy złapała go za ramię.

- Skarbie, dołączymy do armii wampirów? – zapytała.

- Tak myślę.

- Na pewno chcemy to zrobić?

- Cóż, teraz jesteśmy wampirami. Jak to mówią, pójdziemy za falą.

- Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby zabijać ludzi.

Dante przyciągnął ją do siebie i złożył pocałunek na jej długich

ciemnych włosach.

- Teraz jesteśmy wampirami, kotku – przypomniał jej. – Dopóki nie znajdziemy Oka Księżyca i nie zmienimy się z powrotem w ludzi, musimy iść za falą,

- Pewnie tak – stwierdziła Kacy. – Ale waśniak powiedział, że armia wampirów zajmie miasto. Naprawdę chcemy w tym uczestniczyć?

- Nie wiem, skarbie, ale skoro Bourbon Kid zniknął z horyzontu, nic nie powstrzyma nieumarłych od zajęcia miasta. Przynajmniej będziemy po zwycięskiej stronie.

- Tak, ale wciąż nie mogę pozbyć się sprzed oczu widoku tego chłopca odciganego od komisariatu.

- Dzięki, właśnie prawie udało mi się o tym zapomnieć.

- Ja nie potrafi. Strasznie mnie to męczy.

- Staraj się myśleć o czymś innym.

- Na przykład?

- O baseballu.

Kacy westchnęła.

- Nawet nie chodzi o samą scenę. Raczej o to, co oznacza.

- Hm?

Dante nie nadążał za jej tokiem myślenia, więc wypowiedziała wnioski na głos.

- Nigdy nie skrzywdziłabym dziecka. Co zrobimy, jeśli żądza krwi zmusi nas do zabijania dzieci?

- Nigdy nie skrzywdziłabyś dziecka, Kace, i ja też nie.

- Wiem, ale co jeśli to się zmieni? Nie chcę krzywdzić niczyich dzieci. Chyba chcę wrócić do bycia człowiekiem.

Dante ponownie pocałował ją w czoło.

- Dobrze, kochanie. Coś ci powiem. Następnym razem, kiedy zobaczymy wampira próbującego zabić dziecko, osobiście mu dokopię.

- A ja ci pomogę.

- Dobra, ale wiesz, że naszym głównym priorytetem musi być zdobycie Oka Księżyca.

- Masz plan?

- Nie. Czy ja kiedykolwiek mam plan? Plany są dla frajerów.

Właśnie w takich chwilach, gdy Dante gadał z pasją, ale bez sensu o czekających go niebezpieczeństwach, Kacy przypominała sobie, dlaczego się w nim zakochała. Może i był przygłupim draniem, ale odważniejszy od jakiegokolwiek mężczyzny, którego spotkała.

- Wiesz, że cię kocham – powiedziała.

Dante złapał ją za pupę i ścisnął mocno.

- Ja też cię kocham – powiedział. – Ta wampirza maskarada jest tylko chwilowa. Zaufaj mi.

# CZTERY

Sanchez nienawidził śniegu. Odkąd pierwszy raz zobaczył go w telewizji, z całego serca go znienawidził. A obudziwszy się pierwszego listopada, po okropnych wydarzeniach poprzedniego dnia, śnieg pokrywający ulice był ostatnią rzeczą, jaką chciał zobaczyć. Przez noc szybko spadł gęsty puch, pokrywając ulice dwucalową warstwą. Dzieci z okolicy były zadowolone i zajęte budowaniem bałwanów. A ktoś (Sanchez podejrzewał dostawcę gazet) rzucił w niego śnieżkę, gdy szedł do samochodu. Mały zasraniec. Jediną dobrą rzeczą w mroźnej pogodzie była możliwość założenia kurtki emitującej tą z *Top Gun*. Kupił ją przez Internet, ale w Santa Mondedze zawsze było zbyt ciepło, by ją nosić. Dotychczas nosił ją tylko w sypialni, udając przed lustrem Toma Cruise'a.

Jazda na śniadanie do Ole Au Lait zajęła mu trochę więcej czasu niż zwykle. Częściowo dlatego, że drogi stały się trochę mniej bezpieczne ze względu na śnieg, ale głównie dlatego, że Sanchez kilka razy zatrzymywał się, by rozwalić bałwany zbudowane przez dzieci na chodnikach.

Do kawiarni przyjechał tuż po dziewiątej. Doświadczenie nauczyło go, by pojawiać się tu wcześniej, zanim pokażą się tutejsi seniorzy. Wydawało się, że starszyczna nie ma nic innego do roboty, tylko siedzenie obok niego przy stoliku i puszczenie bąków, kiedy próbował coś zjeść.

Przeszedł przez drzwi z czarną torbą przewieszoną przez ramię. Jeśli miał zamiar zjeść śniadanie, wiedział, że będzie musiał spłacić dług zaciągnięty u właściciela Ole Au Lait, Ricka. Poprzedniego dnia Rick sprzedał mu kilka przydatnych informacji, a w zamian Sanchez zgodził się dać mu butelkę bimbru. Butelkę miał w torbie, ale w duszy liczył, że nie zastanie Ricka, któremu mógłby ją zostawić. W torbie

miał też skradzioną z biblioteki książkę, zatytułowaną „Księga śmierci”. Nie znalazł w niej żadnej z rzeczy, których chciał się dowiedzieć o Jessice albo „Księdze bez tytułu”. Prawdę mówiąc, jedyna notka o Jessice została tam zapisana przez Sancheza. Rick podał mu jej pełne imię, tak jak jej współpracownika, Ramzesa Gajusza. Sanchez zapisał ich imiona na czystej kartce i przekopał Internet, by więcej się o nich dowiedzieć. Nic nie znalazł.

Gdy podszedł do lady, wyczuł nieprzyjemny smród sików. Na stole przy oknie leżał rozplaszczony udawacz Świętego Mikołaja. Wydawał się na współ śpiący, ale mimo to mrucał coś, co według Sancheza przypominało „daj mi tą resztę”. Sanchez zignorował to i posłał wymuszony uśmiech Rickowi, który stał za ladą i liczył coś. Wyglądał jak dziwak. Nie miał na sobie typowego ubrania kucharza. Zamiast niego nosił dzinsy i, co irytujące, skórzaną kurtkę Top Gun, identyczną z tą Sancheza. Drań. Gdy Sanchez podszedł, podniósł wzrok i odwzajemnił sztuczny uśmiech.

- Dobry, Sanchez. Fajna kurtka – powiedział.

- Ta, wzajemnie – odpowiedział Sanchez, wzdychając w duchu.

Rick spojrział na torbę.

- Mam nadzieję, że masz dla mnie tą butelkę Jacka Daniel’sa – powiedział, zmieniając fałszywy uśmieszek w szeroki uśmiech.

- Oczywiście – odpowiedział Sanchez. – Jest tutaj.

- To daj.

Sanchez sięgnął do torby. Butelka Jacka Daniel’sa opadła na sam dół, pod „Księgę śmierci”. Wyjął ciężką, czarną księgę w grubej oprawie i położył na ladzie.

- Co to jest? – zapytał Rick.

- Książka, którą muszę oddać do biblioteki.

Rick odwrócił książkę, by spojrzeć na tytuł.

- Księga śmierci? O czym? – zapytał.

Sanchez wyjął Jacka Daniel’sa i położył na książce.

- Właściwie nie wiem – odpowiedział. – To lista imion, trochę w stylu pamiętnika.

- Och – Rick wydawał się zawiedziony. – Wybieram się dziś rano do biblioteki. Jeśli chcesz, mogę ją za ciebie oddać.

- Byłoby super – powiedział Sanchez. – Tylko nie oddawaj przez kontuar, po prostu połóż na półkę gdzieś w dziale Biografie.

Rick uniósł brew.

- Dlaczego? Nie wypożyczyłeś jej?

- Nie, ale zapisałem kilka nazwisk na jednej z czystych kartek.

- Dlaczego?

- Bo nie miałem nic innego pod ręką.

- Cóż, to nie jakieś wielkie przestępstwo – chłodno ocenił Rick.

- Owszem. Zniszczenie książki należącej do biblioteki publicznej jest uważane za poważną szkodę.

- Czyją?

- Widziałeś babkę z biblioteki?

Rick uśmiechnął się, gdy zrozumiał, do czego zmierzał Sanchez.

- Tak. Niezła z niej jędza, nie?

Sanchez nienawidził Ulriki Prince i w zupełności zgadzał się z oceną Ricka.

- To chyba najłagodniejsza ocena tej baby, jaką słyszałem – powiedział.

Rick chwycił butelkę Jacka Daniel's i odkręcił. Powąchał.

- Pachnie dobrze- skomentował.

- A czego oczekiwałeś?

- Myślałem, że to będzie twój domowy wyrób.

Sanchez postarał się, by wyglądać na urażonego.

- Nie wiem, co masz na myśli.

- Jasne – powiedział Rick. – Ten Mikołaj w kącie śmierdzi jak twój domowy bimber. – Miał rację.

- Nieważne – stwierdził Sanchez. – Mamy porę śniadaniową, a ja jestem głodny.

Rick zrozumiał i krzyknął na zaplecze:

- Ej. Flake, gość!

Pojawiła się główna kelnerka Ricka, Flake, wyposażona w notes i

długopis. Długie brązowe włosy schludnie związała w kucyka. I jak zwykle miała na sobie uniform, którego zażyczył sobie Rick. Sanchez popierał jego decyzję. W jego skład wchodziły krótka czarna sukienka i podkolanówki, które świetnie pasowały do drobnej postury Flake.

- Dzień dobry, Sanchez – powiedziała, posyłając mu lśniący uśmiech. – Śniadanie dwunastka i duża kawa?

- Tak, proszę, Flake.

Wskazała na stolik po przeciwnej stronie lokalu niż śmierdzący Mikołaj. Dobrze знаła Sancheza. Lubił jeść śniadanie tak daleko od innych klientów, jak to tylko możliwe, zwłaszcza tych śmierdzących.

- Przed chwilą wysprzątałam dla ciebie tamten stolik i zostawiłam świeżą gazetę – powiedziała, mrugając.

- Dzięki.

Rick podniósł „Księgę śmierci”, wetknął pod pachę i obszedł ladę.

- Dobra, Flake, wychodzę na miasto. Możesz iść, kiedy Sanchez skończy śniadanie.

- Zamykacie wcześniej? – zapytał Sanchez.

- Nawet byśmy nie otwierali, gdybym nie wiedział, że przyniesiesz mi dzisiaj mojego JD – powiedział Rick, odwracając tabliczkę na drzwiach na napis ZAMKNIĘTE. Pociągnięciem otworzył drzwi, a przechodząc na drugą stronę, mrugnął do Sancheza. – Nie pozwól Flake wyjść sobie na głowę. – Po czym zamknął drzwi i odszedł w śnieg.

- Za sekundę przyniosę kawę – powiedziała Flake. – Rozgość się.

Idąc do niezwykle czystego stolika w rogu przy oknie, Sanchez zmierzył Flake podejrzliwym spojrzeniem. Czyżby miała do niego jakąś sprawę? Pod świeżo nałożoną warstwą różu i wielkimi, wymalowanymi brązowymi oczami mogły czaić się jakieś mroczne sekrety. Albo nadzieja na wskazówkę.

- Czemu jesteś dziś taka radosna? – zapytał.

- Po prostu cieszę się, że cię widzę, Sanchez – odpowiedziała. – Po tej wczorajszej rzeźni miło wiedzieć, że nie byłeś jedną z ofiar.

- Cóż, spotkałem się z Bourbon Kidem i kilkoma wilkołakami.



- Tak, słyszałam. Przeżyłeś już jedną masakrę. Masz farta.

- Wcale nie. Znowu zabił mi wszystkich klientów. Ciec.

- Dlaczego że znowu dołałeś mu sików do drinka?

Sanchez usiadł i przejrzał pierwszą stronę gazety.

- Nie miałem wtedy okazji. Miałbym, ale wszystko wylałem wilkołakom.

Na pierwszej stronie, jak przypuszczał, królowała opowieść o ostatniej masakrze. Tym razem ilość zabitych przypuszczalnie można było liczyć w tysiącach. Sanchez zirytował się na myśl, ilu potencjalnych klientów stracił.

Gdy ponownie podniósł wzrok, zorientował się, że Flake wyglądała inaczej. Wciąż stała za ladą, w tym samym stroju, ale zdjęła biały fartuch z sukienki i rozpuściła włosy. Opadały teraz luźno wokół jej ramion. Miała piękne długie brązowe włosy pasujące do oczu. Sanchez nie mógł nie pomyśleć, że serwowanie posiłku z rozpuszczonymi włosami było poniekąd bardzo niehigieniczne. Mimo to wiedział, że przygotowowała dobre jedzenie, więc zachował te spostrzeżenia dla siebie.

Kontynuował lekturę gazety, raz na jakiś czas kręcąc głową, gdy natrafiał na szczegóły dotyczące jego potencjalnych klientów. Wreszcie Flake podeszła z kubkiem kawy. Gdy postawiła go na stole, znów się odezwała.

- Jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam, który ma odwagę serwować Bourbon Kidowi szklankę sików – powiedziała. Po tych słowach głęboko nabrała powietrza. Sanchez, który opuścił gazetę, by spojrzeć na kubek z kawą, miał doskonały podgląd na jej unoszącą się pierś. Nie umknęło jego uwadze, że miała wyjątkowo ładne cycki. Przez kilka sekund gapił się na nie, zanim uświadomił sobie, że ona czeka na jego odpowiedź.

- Odwagę? – powiedział głośno, nie kryjąc zdumienia po usłyszeniu takiego określenia. Chyba się czegoś naćpała.

Szybko otrząsnął się po niespodziewanym komplementcie i postanowił zachowywać się, jakby nie był on dla niego nowością.

- No cóż, niektórzy boją się Bourbon Kida – pokręcił głową – ale nie ja. Ja myślę, że on wie, że ze mną nie ma żartów. Nie okazuje strachu, kiedy on jest w pobliżu. A on to chyba szanuje.

- Łał. Powinieneś wstąpić do policji, Sanchez. Przydałbyś im się. Wzruszył ramionami.

- Miasto byłoby bezpieczniejsze. To na pewno.

- To dawaj! – Flake wydawała się mocno podekscytowana tym pomysłem.

- Spróbuję – powiedział Sanchez, udając, że zaczytuje się w gazecie, ale dyskretnie zerknął na dekolt Flake. – Wierz mi, jeśli będzie rekrutacja, zgłoszę się jako pierwszy. To miasto potrzebuje kogoś, kto posprząta ten burdel na ulicach.

- Cudownie! – Jej głos zrobił się wyższy o kilka oktaw. Z rozmachem położyłam białą karteczkę na stoliku obok jego kawy. – Patrz, możesz zapisać się już dzisiaj!

Sanchez przestał udawać, że czyta, i zerknął na ulotkę. Na jej środku, pogrubioną czcionką, napisano:

### DZIŚ NABORY DO POLICJI

- Dziś poproszę jajka zasmażane z jednej strony – powiedział, mając nadzieję na zmianę tematu.

- Och, jasne – mruknęła Flake. – Co sądzisz o ulotce?

- A kiełbaski mocno przypieczone, dobrze?

- Jasne, nie ma problemu. Ale co myślisz...

- I dodatkowy kawałek bekony.

- Dobra, coś jeszcze?

- Chyba tyle.

Flake była bardzo uparta, ku irytacji Sancheza.

- Patrz, teraz przyjmują właściwie każdego – powiedziała, wskazując na kartkę. – Tylko na jakiś czas, dopóki nie ściagną prawdziwych glin z miasta. To zapiszesz się?

- A wspominałem, że chcę tosta z białego chleba?

- Zawsze takiego masz.

- Upewniam się, czy nie zapomniałaś.

Flake zachichotała.

- Jesteś zabawny – stwierdziła, patrząc na niego dużymi, pełnymi nadziei brązowymi oczami. – To zapiszesz się czy nie?

Sanchez westchnął.

- Chciałbym – powiedział – ale jestem za niski. Nie spełniam norm wzrostu.

- Nie ma takich – oznajmiła Flake, z każdą sylabą coraz bardziej podekscytowana.

- To jestem za stary.

- Nie ma ograniczeń wiekowych. Super, nie?

- I mam kryminalną przeszłość.

- Nieważne! Przeczytaj całą ulotkę. Przyjmą każdego. To twoja życiowa szansa!

Co do tego nie było wątpliwości. Musiała się czegoś naćpać. Nikt normalny nie byłby tak uparty w taki poranek. Szczególnie w czasie podawania śniadania. Sanchez postanowił jednak na razie kontynuować grę. Zamierzał powiedzieć Flake wszystko, co będzie chciała usłyszeć, byle w spokoju zjeść śniadanie.

- To cudowna nowina, prawda? – powiedział blado. – Pójdę, jak tylko zjem śniadanie. I nie próbuj mnie zatrzymywać.

- Cudnie – powiedziała Flake, z radością zaciskając dłonie. – Możemy iść razem. Też się zapisuję. Cieszę się, że nie będę musiała iść sama. Będzie zabawniej, nie sądzisz?

- Co?

- Kiedy skończysz śniadanie, zawiozę nas samochodem.

- He?

- Tak się cieszę! Czytałam w horoskopie, że to mi się przytrafi!

- Czekaj, chwilę...

- Właściwie dzisiaj kupię ci śniadanie. – Z tymi słowami Flake zniknęła w kuchni, by przygotować jego śniadanie. Bez wątplenia była podekscytowana. Sanchez stwierdził, że pozwoli jej zapłacić za swoje śniadanie, skoro było to dla niej takie ważne. Ale później, gdy skończy je jeść, znajdzie sposób na wyjście z sytuacji i nie zapisanie

się do policji.

# PIEĆ

Dzień Dana Harkera już należał do piekielnych. We wczesnych godzinach porannych został wezwany do biura Burmistrza i mianowany na nowego kapitana Departamentu Policji w Santa Mondedze. Pierwszy dzień nie zapowiadał się na łagodne wprowadzenie. Większość miejskich gliniarzy została zamordowana poprzedniego dnia, więc nie mógł liczyć na pomoc przy wyjaśnianiu przestępstw. Burmistrz zrobił, co mógł, rozpuszczając po całym mieście reklamy zachęcające do wstąpienia w szeregi policji, ale to tylko znaczyło, że Harker będzie musiał spędzić pół dnia na rekrutacji.

Wyjaśnienie ostatniej masakry Bourbon Kida i podsumowanie liczby ofiar zapowiadało się na kolejne piekielne zadanie. Jediną dobrą wiadomością było to, że według wielu świadków Bourbon Kid został zestrzelony i pozbawiony głowy na hotelowym korytarzu kilka minut po północy, więc według wszelkich prawideł morderstwa powinny się już zakończyć.

Przed pójściem na komisariat w celu przedstawienia siebie jako nowego kapitana, Harker musiał wstąpić do tutejszego muzeum. Burmistrz poinformował go, że ochrona muzeum dysponowała nagraniem z morderstwa menedżera instytucji, profesora Bertrama Cromwella.

Kiedy Harker dotarł do muzeum, w recepcji powitał go Elijah Simmonds, pełniący obowiązki menedżera. Simmonds spotkał go dotychczas tylko raz. Było to na charytatywnej imprezie organizowanej przez Bertrama Cromwella ponad rok wcześniej. Simmonds wydał mu się wtedy trochę ciulowaty. Nosił tani, kiepsko dopasowany garnitur i okropnego kucyka, który naprawdę nie pasował do jego pociągłej twarzy.

Simmonds powitał do ciepłym uściskiem dłoni i szerokim uśmiechem, więc nie był zupełnie pozbawiony zalet. Niestety, wciąż miał kucyka i marny gust w sprawie garniturów. Jego twarz nie była tak pociągła jak wcześniej. Prawdę mówiąc, zaczynał hodować sobie drugi podbródek.

Gdy obydwaj szli wąskim korytarzem prowadzącym do biura ochrony, Simmonds zaskoczył nowego kapitana policji spostrzeżeniem, które jemu nigdy nie przyszłoby do głowy.

- Mamy ze sobą wiele wspólnego – powiedział.

- Na przykład?

- Cóż, obydwaj lubimy się dobrze ubierać – Simmonds uśmiechnął się i zawahał chwilę, czekając na jakieś potwierdzenie ze strony Harkera. Nie doczekał się. Czarny trzyczęściowy garnitur Harkera był nieskazitelny i idealnie dopasowany, w przeciwieństwie do marnie skrojonego szarego egzemplarza Simmondsa. – I jest jeszcze coś zupełnie oczywistego – kontynuował Simmonds.

- Co mianowicie?

Zatrzymali się przy drzwiach po lewej stronie korytarza i Simmonds nacisnął klamkę, po czym pchnięciem je otworzył. Dopiero wtedy kontynuował.

- Obydwaj awansowaliśmy dzięki wczorajszemu morderczemu szalowi Bourbon Kida.

Harker rzucił Simmondsowi potępiające spojrzenie. Ta uwaga była w kiepskim guście w obecnej sytuacji. Simmonds rozpoznał to spojrzenie.

- Jasne, nie tak wyobrażałem sobie zdobycie wymarzonej pracy. Wolałbym, żeby Bertram Cromwell wciąż żył, tak jak nie pan nie życzyłby sobie śmierci poprzedniego kapitana policji.

Simmonds wszedł do pomieszczenia ochrony i przetrzymał drzwi, wpuszczając Harkera.

- Poprzedni kapitan był pierwszorzędnym kretyńcem i cieszę się, że umarł – powiedział Harker, wchodząc do środka.

- Och.

- Może mi pan pokazać to nagranie? Zaraz muszę iść. Przede mną cholernie pracowity dzień.

- Oczywiście.

Wewnątrz pomieszczenia, na dość marnie wyglądającym niebieskim krześle, siedział ochroniarz w szarym mundurze. Patrzył na kilka ekranów telewizyjnych na ścianie przed sobą. Był dużym, potężnym w barach gościem z jasnymi pofalowanymi włosami i przenikliwymi niebieskimi oczami. Simmonds podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

- James, udało ci się skopiować nagranie morderstwa dla policji?

Ochroniarz wyprostował się.

- Oczywiście, proszę pana. – Podniósł plastikowe pudełko z płytą CD, które leżało na biurku przed nim. – Tu jest wszystko.

Simmonds zabrał płytę i podał ją Harkerowi.

- Dzięki – powiedział Harker, odbierając CD. Ponad ramieniem strażnika zerknął na monitory, które ten obserwował. Pokazywały obraz na żywo z całej okolicy muzeum.

- Ej, James – odezwał się Harker. – Mógłbyś teraz puścić mi nagranie z chwili morderstwa? Dobrze by było, gdybym mógł na nie szybko zerknąć przed wyjściem, na wypadek gdybym miał do was jakieś pytanie. Wolałbym uniknąć sytuacji, kiedy będę dwie mile stąd i będę marzył, żeby któryś z was był obok i powiedział mi, co oglądam.

- Oczywiście, proszę pana – odpowiedział James. Nacisnął kilka przycisków na klawiaturze na biurku i wskazał monitor po prawej. – Powinno się pokazać tutaj.

Harker pochylił się nad ramieniem Jamesa, by lepiej przyjrzeć się nagraniu na czarno- białym monitorze. Obraz nie był specjalnie wyraźny. Rozpoznał sylwetkę Bertrama Cromwella siedzącego na miękkim fotelu w pokoju personelu w muzeum. Profesor oglądał wiadomości w telewizji. Po około dziesięciu sekundach Harker zobaczył wchodzącą do pokoju wysoką zakapturzoną postać w szacie. Cromwell wstał z fotela, nastąpiła która wymiana zdań, której nie

było słycać z powodu niemożności nagrywania dźwięku przez kamery przemysłowe. Ciemna zakapturzona postać Bourbon Kida wyjęła maczetę spod szaty. Harker skrzywił się, patrząc, jak Kid tnie Cromwella na kawałki. Była to najbardziej brutalna śmierć, jaką oglądał nowy kapitan policji, a w życiu widział już dość sporo przemocy. Taka śmierć była strasznie niesprawiedliwa, biorąc pod uwagę prawość i sprawiedliwość ofiary. Zakończywszy siekanie, Kida spokojnie wyszedł z pomieszczenia. Ochroniarz James nacisnął klawisz klawiatury i obraz zatrzymał się, ukazując ciało Cromwella leżące na podłodze w kałuży jego własnej krwi.

- Ile razy to oglądam, tym gorsza się wydaje – powiedział Simmonds, wyraźnie poruszony.

- Tak, na pewno – odparł Harker. Coś u dołu ekranu przykuło jego uwagę. Przez chwilę wpatrywał się w to bacznie, wspominając wcześniejsze słowa Burmistrza. – Ten zegar chodzi dobrze? – zapytał, wskazując na czas wyświetlony w dolnym rogu ekranu.

Ochroniarz James skinął głową.

- Tak. Druga trzydzieści siedem. Myślę, że to możliwe. Widziałem profesora dwadzieścia minut wcześniej. Radziłem mu iść do domu, ale przykleił się do telewizora i cały czas oglądał wiadomości o morderstwach i tym podobnych.

- Ciekawe – powiedział Harker, pocierając podbródek. – Śmierć Bourbon Kida zarejestrowano niedługo po północy. Mamy wielu świadków, którzy to potwierdzają.

Simmonds wydawał się zaskoczony.

- Naprawdę?

- Tak. Został zastrzelony przez wojsko w mieszkaniu, a później pozbawiony głowy. Przypuszczałem, że Cromwell był jedną z jego ostatnich ofiar przed schwytaniem. To trochę komplikuje sytuację.

- Więc Bourbon Kid wciąż żyje?

Harker przytaknął.

- Na to wygląda. Zabieram płytkę i idę. Jeśli Bourbon Kid nadal szaleje, muszę uprzedzić media. Ludzie muszą wiedzieć, że ulice



wciąż nie są bezpieczne.

- Może pan powiedzieć wojskowym, że odcięli głowę złemu człowiekowi.

Harker uśmiechnął się.

- Mam nadzieję, że zobaczą to w telewizji, jeszcze zanim wyjadą z miasta. O ile już tego nie zrobili.

# SZEŚĆ

Śnieg padał nad Santa Mondegą po raz pierwszy, odkąd Dante sięgał pamięcią. Gapił się na niego, gdy Ważniak wiozł jego i Kacy do Casa de Ville.

- Niezłe autko, co, skarbie? – Dante usłyszał słowa Ważniaka skierowane do Kacy. – Ford Ranger. Nówka.

- Szkoda że niebieski – odpowiedziała Kacy znudzonym tonem, patrząc przez okno.

Siedzący z tyłu Dante uśmiechnął się. Kacy nie była typem dziewczyny, którą zaskoczyłoby jakiekolwiek niekradzione auto. On jednak był zadowolony, że znajdowali się w Rangerze. Ulice były bardziej niebezpieczne niż zwykle. Nad miastem zbierały się ciemne chmury. Duże chmury.

W oddali pojawiło się coś podobnego do ogromnego średniowiecznego zamku.

Co to jest, do diabła? – zapytała Kacy.

- Casa de Ville – odpowiedział Ważniak.

- Cholernie duży, nie? – stwierdził Dante.

- Tak trzeba – powiedział Ważniak. – Za kilka minut będzie tam cholernie duży wampirów.

Dante pokręcił głową. Widok coraz większego Casa de Ville odbierał mu mowę.

Ważniak zaparkował Rangera na dużym parkingu za głównym budynkiem. Dante i Kacy poszli za nim, okrążając budynek i kierując się do głównego wejścia, gdzie wampir z ciekawym ciemnym makijażem wpuścił ich i skierował do głównego holu.

Hol główny był ogromny. Sufit wisiał pięćdziesiąt metrów nad ziemią, w połowie wysokości ścian znajdowały się balkony. Na dalekim końcu pomieszczenia były ogromne, szerokie marmurowe

schody wiodące na podest i balkony. Naprawdę wyglądał jak zamek. Jediną różnicą, jaką dostrzegł Dante, były kamery przemysłowe rejestrujące każdy ich ruch. Te cholerstwa były wszędzie, gdziekolwiek spojrzeć. W holu huczało. Dosłownie setki wampirów stały w grupkach i rozmawiały.

- Łał, szykuje się coś wielkiego – powiedział Ważniak. – Trzymajmy się w cieniu. Wobec tego zamieszania z Bourbon Kidem myślę, że to najlepsze wyjście.

- Zgadza się – poparł go Dante.

Rzesza wampirów w holu przypominała publiczność na koncercie rockowym. Były tu różne dziwnie ubrane dziwaki z każdego wampirzego klanu miasta, wszystkie zebrane w jednym wielkim pomieszczeniu, gapiące się na marmurowe stopnie na końcu holu. Dante rozpoznał kilka klanów, na przykład Klany, których było całkiem sporo. Widział niezbyt dużo Brudnych Świń i Rastfarian z klanu Przerżenia; co oczywiste, nie było wielu Cieni. Poza Dantem, Kacy i Ważniakiem, ostatnią masakrę przeżyli Szpara i Łoś. W holu były też dwie kobiety z Cieni, ale one naiwnie przeszły na przód tłumu, chcąc mieć dobry widok na sytuację.

Większość publiki składała się, według informacji Ważniaka, z członków klanu Pandy, którego członkowie byli podobni do tego, który ich wpuścił. Wszyscy mieli twarze pomalowane czarną farbą na wysokości linii oczu, co upodabniało ich do ludzi- pand, krwiożerczych, uzbrojonych w ostre kły pand. Większość miał też klan Czarna Plaga, grupa rezydująca na przedmieściach. Wszyscy mieli czarne stroje w stylu ninja, które uzupełniały czarne maski odsłaniające tylko oczy i niewielką ilość ciemnej skóry wokół nich. Nie chciałbym takiego spotkać nocą, pomyślał Dante.

Po dwudziestu minutach czekania na szczycie schodów pojawiła się ogromna majestatyczna postać Ramzesa Gajusza. Gwar rozmów w holu poniżej ucichł. Dante natychmiast rozpoznał Gajusza. Zadrżał, wspominając jak Gajusz porwał jego i Kacy tydzień wcześniej. Wtedy podróżował pod pseudonimem Pan E i utrzymywał, że był członkiem

Secret Service. Zlecił Dantemu misję polegającą na przeniknięciu do klanu Cieni i poznaniu kryjówki mnicha Peto.

Dante spojrzął ponad okularami na Kacy. Odwzajemniła spojrzenie. Było oczywiste, że i ona poznała Gajusza jako Pana E.

Dante szturchnął Ważniaka w ramię.

- To naprawdę Ramzes Gajusz? – zapytał.

Ważniak przytaknął.

- Tak. Nie żartuj z nim. Rozerwie cię na pół.

Gajusz miał na sobie lśniący srebrny garnitur (jak wtedy, gdy Dante po raz pierwszy go zobaczył) i ciemne okulary przeciwsłoneczne. Był łysy, a jego oliwkowa skóra była lśniąca jak kula bilardowa. Dante i Kacy zniżyli głowy, mając nadzieję, że nie wypatrzy ich w tłumie.

- Hej – Ważniej odwzajemnił szturchnięcie. – Za nim jest jego córka, Jessica. Niezła laska. Królowa wampirów.

Dante podniósł wzrok i zobaczył, że za Gajuszem stoi nie kto inny, a Jessica Wampirza Królowa. Ta sama kobieta, w którą wystrzelał cały magazynek w Tapioce z czasie zaćmienia rok temu. Wtedy strzelał w nią też Bourbon Kid, więc Dante dołączył do niego i zostawili ją na śmierć. Lepiej, żeby także ona go nie zauważyła.

W górze Gajusz uniósł ramiona, by zwrócić uwagę zebranych.

- Dziękuję za przybycie – powiedział. – Mam dla was ważne wieści. Po wczorajszych wydarzeniach, kiedy to wielu naszych braci i sióstr poniosło śmierć z ręki tego śmiecia Bourbon Kida, teraz mamy powód do radości. I to niesamowitej.

Po holu przetoczyła się fala przyciszonych rozmów, po której Gajusz kontynuował.

- Zeszłej nocy tuż po północy schwytaliśmy i zabiliśmy Bourbon Kida. Już go nie ma!

Tłum zawiwatował, a Gajusz gestem nakazał im się uciszyć.

- Skoro nie musimy się nim przejmować, możemy ruszyć do akcji. Niebawem będziemy mogli ujawnić się przed światem. Rozpocząłem realizację plan, który umożliwi każdemu z was polowanie za dnia. Żadnego więcej skradania się w ciemnych alejkach i klubach w

środku nocy. Niebawem przejmie Santa Mondegę. Nadszedł nasz czas! – Tłum zawiwatował jeszcze żywiej niż wcześniej. Uciszywszy ich, Gajusz kontynuował. – Tutejsza policja została zdziesiątkowana, Kid zniknął z horyzontu, więc chcę, żebyście byli gotowi realizować moje polecenia, by przejąć miasto. Zapewne zauważyliście, że zaczęło sypać, a nad miastem zgromadziły się ciemne chmury. To, moi przyjaciele, niebawem zostanie na stałe.

Z tłumu poniżej odezwał się kobiecy głos.

- Jak to?

Gajusz zdjął okulary i tłum westchnął, włączając w to Dantego i Kacy. W prawym oczodole miał lśniący niebieski kamień: Oko Księżyca.

- Tak. To prawda – powiedział Gajusz. – Znów mam Oko Księżyca. Jest teraz bezpieczne w odpowiednim miejscu. – Delikatnie stuknął w oko i uśmiechnął się do obserwującej publiki. – To dzięki mocy Oka zebrałem tutaj chmury. Obecnie szacuję, że dziewięćdziesiąt procent światła słonecznego nad Santa Mondegą jest blokowane. Do końca dnia jutrzejszego powinno to być stu procent. I tak zostanie. Nie potrzebujemy zaćmienia, by zablokować słońce, przyjaciele. Mogę to robić używając mocy mojego Oka. Kiedy chmury na tyle zgęstnieją, by zupełnie zablokować słońce, wyjdziemy z cienia i przejmie miasto. Śnieg sparaliżuje naszych nieprzyjaciół i ponownie przejmie całkowitą kontrolę nad Santa Mondegą, będziemy mogli rozwijać nasze królestwo i zwiększać naszą liczebność. Ludzie będą rozmnażani i hodowani w celu spożycia. Wiem, że nie muszę wam przypominać, ale nie możecie żywić się dziećmi. Będziemy ich potrzebować w przyszłości. Będą żyć, by tworzyć więcej im podobnych, byśmy mogli przetrwać w przyszłości. – Kolejne pomruki na dole, w większości wyrażające poparcie. Gajusz uciszył ich i kontynuował. – Proszę was o jedno. Idźcie na ulice i wzgórze Santa Mondegi i zbierzcie wszystkich wampirzych braci i siostry. Poinformujcie jeszcze wilkołaki. Będą użytecznymi sojusznikami w pierwszych dniach naszego panowania. Rozpuśćcie wici szeroko.

Powiedzcie, żeby zebrali się tu jutro w nocy. To będzie decydująca noc w naszej wojnie z ludzkością. Jutrzejsza noc będzie początkiem nowej ery, kiedy to nieumarci będą rządzić światem!

Wyrzucił pięść w powietrze, kończąc mowę. Z oglądającego tłumu rozległ się głośny wrzask. Wampiry przybijały sobie piątki i poklepywały się po plecach. Wszędzie wokół szczyrzyły się ostre kły. Oprócz Dantego i Kacy.

Kacy szturchnęła Dantego w ramię, odciągając go od tłumu, poza zasięg słuchu.

- Ma w głowie Oko Księżyca – powiedziała, a jej głos w dużej mierze zaniknął w entuzjastycznych okrzykach wokół.

- Wiem – odparł Dante. – Myślałem, że przedtem było bardzo źle, ale rzeczywistość jest gorsza niż przewidywałem.

- Dużo gorsza?

- Okropnie dużo.

Kacy zmarszczyła brwi.

- Okropnie to więcej niż bardzo źle?

- Tak.

- Na pewno?

- Na pewno.

- To daj znać, kiedy będziesz okropnie pewny.

Dante spojrzał na nią ponad okularami i uniósł brwi.

- Powiem ci, czego jestem pewny. Jeśli spróbujemy zabrać Oko, zginiemy. Ale jeśli go nie zdobędziemy, cały świat ulegnie zagładzie.

Kacy rozejrzała się po wiwatującym tłumie wampirów wokół nich.

- Jest okropnie źle – mruknęła.

# SIEDEM

Przybywszy na komisariat jako nowy kapitan, Dan Harker był zaskoczony, widząc go w tak okropnym stanie. Skutki masakry z poprzedniej nocy wciąż były widoczne. Wokół nie leżały ciała, ale recepcja wciąż pokryta była krwią. Winda na tyłach umazana była krwią i fekaliami.

Ostrożnie obejrzał windę i wybrał schody, by dotrzeć do kryminalistyki na trzecim piętrze. Większość kryminalnych przeżyła masakrę poprzedniej nocy, a jeden z nich, William Clay, nawet stawiał się w pracy. Harker znalazł Claya przy pierwszym biurku w oficynie.

Clay był wysokim, społecznie podejrzanym typem naukowca z okrągłymi okularami i wygoloną głową wykazującą pierwsze ślady łysiny na czubku. Siedział za biurkiem w tym samym długim białym płaszczu, który nosił każdego dnia. Gdy Harker przeszedł przez drzwi, podniósł wzrok i natychmiast zamknął okienko na komputerze.

Harker powitał go oficjalnie.

- Witaj, Bill – powiedział. – Przychodzę nie w porę?

Clay uśmiechnął się.

- Nie, spoko. Zaskoczyłeś mnie. Co mogę dla ciebie zrobić, poruczniku Dan?

- Od dzisiaj kapitan Harker, jeśli można.

- Wiem, żartowałem. Swoją swoją, gratuluję. Zadowolony?

- Bardzo.

- Na pewno. Dużą podwyżkę dostałeś?

- Nie narzekam.

- Dobrze, bo wiesz, że dwóch ostatnich kapitanów zabił Bourbon Kid. Mam nadzieję, że nie będzie próbował jeszcze raz.

- Nie oglądałeś wiadomości? Bourbon Kid nie żyje.

Clay spojrzał na niego ponad okularami.

- Ale to nieprawda, co? Twoja mina wyraźnie to mówi.

Harker zamknął za sobą drzwi i podszedł do biurka Claya.

- Jakoś upozorował własną śmierć. Godzinę albo więcej po domniemanej śmierci, pokazał się w muzeum i zabił Bertrama Cromwella.

- Jak można upozorować odcięcie głowy?

- Wystarczy znaleźć kogoś podobnego do ciebie.

- Nie wiem, czy mam kumpla, który oddałby życie, żeby mnie uratować.

- Ja też nie. Ale Bourbon Kid miał. Nie wiem, kto to był. Pewnie inny Jan Kowalski do dodania do listy ofiar.

- Wśród których znajduje się większość naszych kolegów – westchnął Clay.

- Z których nie wszystkich mi szkoda.

- Bezczelne.

Harker potarł podbródek. Nie widział możliwości, jak podzielić się z Clayem kolejną wieścią bez wychodzenia na wariata, więc postanowił mówić prosto z mostu.

- Wiedziałeś, że poprzedni kapitan policji był wampirem?

- Co?

- Powiedziałem...

- Słyszałem, co powiedziałeś – Clay zmarszczył brwi. – Właśnie zasugerowałeś, że kapitan De La Cruz był wampirem.

- Nie zasugerowałem. Powiedziałem to prosto z mostu.

Clay wydawał się zaskoczony i niepewny, czy nie padł ofiarą żartu.

- Mówisz o takim wampirze, który ssie krew i zamienia się w nietoperza?

Harker rozejrzał się po pokoju i zobaczył stojące niedaleko plastikowe krzeselko. Wziął je i usiadł naprzeciw Claya.

- Nie sądzę, żeby ta kwestia z nietoperzami była prawdą, ale na pewno był krwiopijcą.

- Naprawdę myślisz, że pił ludzką krew?

- Wiem, że to robił.



- Cały czas słyszy się o wampirach w tym mieście, ale zakładałem, że to w najgorszym przypadku grupka ludzi pijących krew i udających, że są wampirami albo coś.

- Są prawdziwe.

Clay nie wydawał się przekonany.

- Więc mogłem zabić De La Cruza krzyżem albo czosnkiem? – zapytał z nutką sarkazmu.

- Chyba wolałby taką śmierć, niż taką jaką spotkała go ostatniej nocy.

- Tak, słyszałem. Strzał w dupę. Posrana śmierć.

- Tak, a jego obiad zawalił całą windę. Będę musiał ściągnąć jakiegoś frajera, żeby to posprzątał.

- Na mnie nie patrz.

- To mnie nie wkurzaj. Dobra, nie przyszedłem tu gadać o brudnych windach i dupach wampirów.

- Więc co mam dla ciebie zrobić?

- Dziś rano przez pół godziny przeglądałem na laptopie pliki De La Cruza. Pracował nad jedną szczególną sprawą. Nie wiem, jakim cudem nigdy nie dostała się do mediów. Według jego informacji, kilka razy o tym rozmawialiście. Chciałbym wiedzieć, co z tego masz.

Clay oparł się na krzesło.

- Chodzi o zabójstwa dzieciaków, tak?

- Tak. Skąd wiedziałeś?

- Bo wkurzałem się, że De La Cruz nic z tym nie zrobił. I tak jak ty zastanawiam się, jakim cudem nie dowiedziały się o tym media.

Harkerkowi spodobało się, że jego współpracownik miał podobne podejście do sprawy jak on.

- Mam pewną teorię. Myślę, że De La Cruz chronił zabójcę.

- W to mogę uwierzyć, ale dlaczego?

- Podejrzewam, że to też był wampir.

Clay zmarszczył brwi.

- To miałoby sens. Ślady by to potwierdzały.

- Dobra. Co masz? Jakieś DNA?

- Nie do końca – powiedział Clay, odwracając się do komputera. Zaczął stukać na klawiaturze i kontynuował. – Ale wiem o siedemnastu morderstwach.

- Chodzi o jakieś osiemdziesiąt sześć.

Clay uniósł brwi.

- Powiedziałem, że ja wiem o siedemnastu. Jeśli chodzi o zebrane DNA, nie mamy ani śliny, ani śladów krwi ani nic takiego. Jedyne, co łączy te siedemnaście morderstw t...

Harker mu przerwał:

- Zielony język i ślady ukąszenia na szyi?

- Skąd wiesz?

- Mówiłem, przeglądałem papiery De La Cruza. Ślady ukąszeń to ewidentny ślad wampira, ale nie rozumiem tego zielonego języka.

- To jakaś trucizna. Wszystkie dzieciaki były pod wpływem niezidentyfikowanej zielonej substancji. Wywołuje niemal natychmiastowy paraliż. – Przerwał i spojrzał ponad okularami, przerywając stukanie w klawiaturę. – Ale jest coś jeszcze. Coś co De La Cruz zbagatelizował, uznając za zbieg okoliczności, ale według mnie to poważny dowód w sprawie.

Harker wyprostował się na krześle.

- Co?

- Przy dwunastu z siedemnastu ofiar znaleźliśmy coś jeszcze. Szare włosy. Zazwyczaj jeden, czasem dwa albo trzy, sporadycznie ofiary miały szare włosy pod paznokciami.

- Jakby walczyły, zanim zaczął działać środek paraliżujący?

- Dokładnie.

- Nie możecie wyciągnąć DNA z włosów?

Clay uśmiechnął się.

- Dobrze pytanie. De La Cruz zabierał wszystkie włosy, żeby samodzielnie je analizować, ale nigdy nie oddał żadnej próbki. Zawsze twierdził, że mu ich nie dawałem albo jakieś inne wymówki. Ale, na szczęście dla siebie, zatrzymałem dla siebie jeden z ostatnich. Nie powiedziałem mu o tym. Wiedziałem, że pomógłby mu zniknąć,

gdyby dostał je w swoje łapy, więc schowałem je tutaj i przeanalizowałem.

- I?

- To nie są ludzkie włosy.

Harker uniósł brwi, podkreślając zdumienia.

- Co?

- To nie jest włos człowieka. To włos kozy.

- Kozy?

- Kozy.

- No i?

- No i nic. Kozi włos. To ty jesteś detektywem, nie ja.

- To niby jakieś trofeum? Wizytówka, która pomoże zidentyfikować zabójcę?

Clay wzruszył ramionami.

- Mówiłem, to ty jesteś tu detektywem. Ja powiedziałbym, że zielona trucizna i ślady ugryzień to wystarczająca wizytówka. Nie ma potrzeby zostawiania jeszcze włosa kozy.

- Racja. – Harker potarł podbródek. – Dlaczego włos kozy? Myślę, że powinniśmy szukać właściciela kóz. To może być przydatna wskazówka.

Clay uśmiechnął się.

- Tak, wystarczy znaleźć wampira, który w wolnym czasie hoduje kozy.

- Masz jakieś lepsze pomysły?

- Jezu, Harker, aleś ty tępy.

- Co masz na myśli?

- To nie właściciela kóz ani pasterza masz szukać.

Clay odwrócił monitor, by Harker mógł go widzieć. Przez kilka sekund patrzył na ekran, zdumiony widokiem osoby, którą znał. Prawda nagle do niego dotarła. Pokręcił głową.

- Oczywiście – powiedział. – Włosy kozy. Sukinsyn.

# OSIEM

Ulrika Price mierzyła się z niezliczonymi problemami, pracując na stanowisku głównej bibliotekarki w Bibliotece w Santa Moniega, ale teraz przechodziła chyba najpoważniejszy kryzys w karierze. Straciła Księgę Śmierci. Jej mistrz, Ramzes Gajusz, powierzył ją jej z dwoma prostymi poleceniami: zapisywania osób, które jej rozkaże, i nigdy, przenigdy nie gubienia jej. Poprzedniego dnia zapisała trzy osoby, zgodnie z poleceniem, ale później nierozważnie zostawiła książkę bez opieki i zniknęła.

Całą noc nie spała, wierząc się i próbując przypomnieć wydarzenia poprzedniego wieczoru. Zniszczyła sobie mózg, próbując rozgryźć, co się stało. Wreszcie, wczesnie rano, doszła do wniosku, że jej nastoletni asystent Josh, ofiara najwyższej próby, musiał przypadkowo odłożyć ją na złą półkę.

Na szczęście kolejnego ranka w bibliotece było cicho, co dało jej czas, by poszukać książki. Przez dwie godziny szperała na próżno. Nigdzie jej nie było. Po raz ostatni przejrzała okolice biurka i postanowiła zadzwonić do Josha, mając zamiar pociągnąć go za język. Sytuacja była naprawdę kryzysowa. Naiwnie wierzyła, że Josh będzie pamiętał coś z poprzedniego dnia. Zazwyczaj nie pamiętał, co działo się pięć minut wcześniej.

Usiadła przy biurku i wykręciła jego domowy numer telefonu, niecierpliwie stukając długim kościstym palcem w biurko. Po około ośmiu sygnałach odebrała matka Josha.

- Proszę – powiedział.
- Mówi Ulrika Price z biblioteki.
- O kurde. Moment. Pójdę po niego.

Matka Josha lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że pogaduszki z Ulriką nie miały sensu. Kiedyś wymieniły się wieloma ostrymi słowami, po tym jak w jednej z relacji z jego pracy Ulrika opisała Josha jako

bezmózgiego prymitywa. Przez telefon Ulrika słyszała krzyki, przekleństwa i odgłos upadającej słuchawki.

Wreszcie głośno i wyraźnie rozległ się głos Josha.

- Halo, pani Price.

- Cześć, Josh, jeleniu. Muszę wiedzieć, co wczoraj zrobiłeś z Księgą Śmierci.

- Czym?

- Na moim biurku była wczoraj książka pod tytułem Księga Śmierci, a teraz zniknęła. Musiałeś ją gdzieś przełożyć, albo komuś wypożyczyć.

- Och.

Wydawał się równie nierozgarnięty jak zwykle, co wkurzyło Ulrikę.

- No – warknęła. – Co z nią zrobiłeś?

- Nie pamiętam.

- Proszę, spróbuj sobie przypomnieć.

Zanim odpowiedział, zapadła chwilowa cisza.

- To ten rocznik Ulicy Sezamkowej?

- Nie. Myślisz, że rocznik Ulicy Sezamkowej miałby tytuł Księga Śmierci?

- Właśnie nad tym się zastanawiałem, kiedy odkładałem ją na półkę.

Ulrika wyprostowała się.

- Czyli widziałeś ją?

- Tak.

- Jak wyglądała?

- Duża czarna książka, z napisem Księga Śmierci na okładce. To pani powiedziała, że to rocznik Ulicy Sezamkowej.

- Niby dlaczego miałabym tak powiedzieć?

- Nie wiem, ale kazała mi pani odłożyć ją na półkę, zanim pójde do domu. Pamiętam, bo to była ostatnia rzecz, jaką robiłem.

Ulrika odetchnęła z ulgą.

- Dobra, myślałeś, że to rocznik Ulicy Sezamkowej. Mogę więc

założyć, że odłożyłeś ją na półkę w dziale z literaturą dziecięcą?

- Nie. Chyba włożyłem ją do Biografii.
- Dlaczego?
- Bo wszystkie książki tam odkładam.
- Głupek.
- Ale odłożyłem pod literę A, jak Anonim.

Ulrika przewróciła oczami. Rozmowa z Joshem była nieprzewidywalna.

- To już coś. Dziękuję. Swoją drogą, Josh, nie kłopotz się z przychodzeniem tutaj. Nie będziesz tu mile widziany.

- Pasuje. To wszystko?
- Tak. Do widzenia, dziękuję za niekompetentną pracę.
- Och, pani Price, jeszcze coś.
- Co takiego?
- Cuchniesz.

Josh rozłączył się. Ulrika rzuciła słuchawką z frustracją. Mimo bezczelności Josha i jego ogólnego odlewnictwa, wiedziała, gdzie znajdzie zaginioną książkę. Pospieszyła do działu biografii i zaczęła przeglądać książki pod A jak Anonim.

Było tu kilka starych książek napisanych przez anonimowych autorów, ale Ulrikę interesowała tylko Księga Śmierci. Niestety po dziesięciominutowych poszukiwaniach wciąż miała puste ręce. Albo Josh podał jej niepoprawne informacje, albo ktoś pożyczył książkę po tym, jak ją tam odłożył.

Jedyną osobą, która poprzedniego dnia wchodziła do biblioteki po wyjściu Josha był Sanchez Garcia, barman z Tapioki. Ulrika wróciła pamięcią do jego wizyty. Przyłapała go na węszeniu w dziale Biografii, po czym wypożyczył książkę zatytułowaną Gejowski przewodnik po seksie analnym, co uznała za dziwny wybór. Owszem, nie wydawał się typem lowelasa, ale nie wyglądał też na homoseksualistę. Z drugiej strony nieraz widziała, jak gapił się w damskie dekolty, a jego odzieżowy gust wołał o pomstę do nieba.

Wróciła do biurka, by sprawdzić w komputerze, czy jeszcze ktoś

był w bibliotece w tym czasie. Jeśli nie, to Sanchez stawał się głównym podejrzanym w sprawie zniknięcia ważnej książki.

Usiadła przy biurku, gdy zadzwonił telefon. Odpowiedziała z niespotykaną uprzejmością, biorąc pod uwagę, jak zirytowana była.

- Miejska biblioteka.

- Ulrika?

Rozpoznała głos. Ramzes Gajusz. Jej kręgosłup przeszyły dreszcze.

- Witam, Ramzesie – powiedziała, głos zdradzał jej niepewność.

- Napisałaś wczoraj w Księdze Śmierci nazwiska, o które prosiłem?

- Oczywiście.

- Przeczytaj mi je, proszę. Muszę się upewnić, które zapisałaś.

- Um, och – Ulrika próbowała przypomnieć sobie imiona, które zapisała poprzedniego dnia w książce.

- No dawaj – warknął Gajusz. – Nie widziałaś wiadomości? Mówią, że Bourbon Kid dalej żyje. To ważne. Jakie imiona zapisałaś?

Ulrika skrzywiła się. Nie pamiętała imion, a na pewno nie przypomni ich sobie pod takim napięciem.

- Jedno z nich brzmiało John Doe – powiedziała.

- Racja.

- Nie pamiętam dwóch pozostałych – dodała.

- To sprawdź, na miłość boską!

Ulrika przełknęła ślinę.

- Nie mogę jej znaleźć – powiedziała miękko.

- Co?

- Ktoś ją chyba wypożyczył.

- Ktoś pożyczył? Od kiedy pozwalasz ludziom wypożyczać Księgę Śmierci?

- Nie ja. Mój asystent zawałił. Ale myślę, że wiem, kto to był. Zaraz go wyśledzę. Za godzinę będę ją miała z powrotem.

Po samym oddechu poznawała, że Ramzes Gajusz był wściekły.

- Jeśli nie zdobędziesz Księgi do lunchu, przyślę do ciebie moją córkę Jessicę, która pomoże ci jej szukać. A musisz wiedzieć, że Jessica naprawdę cię nie lubi.

- Tak, proszę pana.

Gajusz się rozłączył. Ulrika siedziała bez ruchu przez chwilę, oddychając głęboko, by się uspokoić. Książka zniknęła i miała mniej niż dwie godziny, by ją odnaleźć.

- Dzień dobry, Ulriko – usłyszała męski głos.

Podniosła wzrok i zobaczyła przechodzącego obok jej biurka i wychodzącego z biblioteki Ricka z Ole Au Lait. Nie pamiętała, kiedy wchodził, ponieważ była zajęta rozmową z Ramzesem Gajuszem. Nie lubiła Ricka ani trochę bardziej niż kogokolwiek z miasta, więc olała go, dopóki nie zszedł do połowy schodów, po czym głośno szepnęła w odpowiedzi „Odwal się”.

Jej priorytetem było pilne odzyskanie Księgi Śmierci. A jej głównym podejrzanym był Sanchez Garcia.



# DZIEWIĘĆ

**W**czesnie rano Beth odebrała telefon od nowego menedżera muzeum, Elijaha Simmondsa. Pełnił tę funkcję tymczasowo, ale jednak mógł ją zwolnić. Nalegał, by przyszła do muzeum, chociaż Bertram Cromwell dał jej dzień wolny. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że wzywał ją po to, by zwolnić z posady sprzątaczkę.

Kiedy razem z JD przyjechała do muzeum, trafili na sanitariuszy wsuwających nosze do karetki. Twarz osoby na noszach przykryta była zielonym kocem. Beth była pewna, że to Bertram Cromwell. Nie musiała widzieć więcej detali. Sam widok koca nałożonego na twarz trupa wystarczył, by przed oczami stanęło jej mnóstwo nieprzyjemnych obrazów.

JD otoczył ją ramieniem i przytulił mocno, gdy wchodzili po stopniach do głównego wejścia muzeum. Tym samym chronił ją od widoku ciała. Jego ręka wokół jej ramion nie tylko dawała jej poczucie bezpieczeństwa, ale też ciepła. Na białym podkoszulku miała niebieski sweterek, ale w związku z nagłym opadem śniegu w Santa Mondedze, ten zestaw nie dawał dość dużo ciepła. W nogi też było jej zimno, ponieważ w czarnych dżinsach miała kilka przetarć, niekoniecznie ze względu na modę. Były po prostu bardzo stare i sfatygowane, a nie mogła zainwestować w nową parę. Miała rozpuszczone włosy, a wiejący z każdej strony wiatr nadawał jej dość demoniczny wygląd. Była z tego dość zadowolona, ponieważ taki image chyba podobał się JD. On wciąż miał na sobie niebieskie dżinsy, czarny podkoszulek i czarną skórzaną kurtkę z zeszłego wieczoru. Beth miała nadzieję, że wyglądali na dobraną parę. A w głębi duszy zastanawiała się, jak na ich widok zareagują jej koleżanki z pracy.

Tuż za progiem muzeum zatrzymał ich ochroniarz. Beth wiedziała tylko, że miał na imię James. Był szeroki w barach i, jak na każdym innym ochroniarzu, także na nim mundur wydawał się o rozmiar za mały. Może w jego przypadku było to celowe, ponieważ chciał pochwalić się potężnymi muskułami. Był potężnym dwudziestokilkulatkiem z falowanymi blond włosami i głupio szerokimi ramionami. Z paska przy boku zwisała mu pałka, ale on nie wyglądał na typa, który by jej potrzebował. Miał na tyle wielkie łapska, że ze wszystkim by sobie poradził.

- Beth, słyszałaś wiadomości? – zapytał ze zmartwieniem na twarzy.

- O Cromwellu? Tak. Okropne, co?

- Tak. Mnie zatkało ze zdziwienia. – James chyba nagle zauważył, że nie byli sami. Przez sekundę popatrzył na JD, później z powrotem na nią, na jego twarzy pojawił się wyraz niezrozumienia. – Co ty tu dzisiaj robisz tak właściwie? Nie miałaś dziś wolnego?

- Simmonds do mnie zadzwonił, żebym przyszła i o czym z nim pomówiła.

James się skrzywił.

- Och. Jest w swoim gabinecie. Możesz iść prosto, siedzi sam.

- Gdzie jest jego gabinet? – zapytała Beth. Nie przypominała sobie, żeby Simmonds kiedykolwiek miał własne biuro.

- Stary gabinet Cromwella. W dół korytarza – James wskazał korytarz, który Beth doskonale знаła. Jej myśli powróciły do Cromwella, jednego z najmilszych ludzi, jakich spotkała w tym mieście pełnym zakał. Tylko dzięki niemu dobrze czuła się w muzeum. Myśl że został brutalnie zaszlachtowany przez psychopatę z maczetą była zbyt straszna, by się z nią pogodzić. Bardziej niż kiedykolwiek cieszyła się, że JD wrócił.

- Biedny Bertram – pociągnęła nosem, czując nadchodzące łzy. – Był naprawdę dobrym człowiekiem.

- Tak. Ale Simmonds będzie dobrym następcą. Już ma wobec tego miejsca wielkie plany. Wstrząśnie muzeum w posadach.

Serce Beth zamarło. Jej czas w muzeum definitywnie dobiegł końca. Simmonds, wyniosły, kucykowaty, liżący tyłki pomiatacz jej nie lubił. Cromwell był jej jedynym sojusznikiem w muzeum.

JD przesunął ręką po jej boku.

- Hej, nie martw się. Pójdę z tobą – zaoferował.

- Nie możesz – wtrącił James. – Wstęp tylko dla personelu. Musisz zostać tutaj.

JD pocałował ją w czoło.

- Poradzisz sobie sama, jeśli poczekam tutaj z tym gościem?

- Tak. – Beth spojrzała na niego, nie mogąc ukryć zmartwienia. Zaraz miała spotkać się z Simmondsem i będzie musiała zrobić to sama. – Pewnie mnie wyleje – szepnęła.

- Będzie dobrze – odpowiedział JD. – Bądź pewna siebie. – Poglądził jej włosy i pocałował w usta, natychmiast na powrót wywołując delikatny uśmiech. Wciąż wiedział, jak prostymi gestami poprawić jej dzień. Wzięła głęboki oddech i uściśniła jego dłoń, po czym Betk skierowała się w stronę starego gabinetu Cromwella, by spotkać się z nowym szefem, Elijahem Simmondsem.

JD stał w holu z ochroniarzem Jamesem i patrzył, jak odchodziła. Jej mowa ciała niemal krzyczała. Marsz do gabinetu nowego szefa napełniał ją przerażeniem.

Gdy zniknęła im z oczu, James podszedł do niego i delikatnie uderzył w ramię.

- Nie zejdzie jej długo, koleś. Simmonds bardzo szybko przechodzi do sedna.

- Wyleci?

- Raczej.

- Dlaczego? Co ten Simmonds do niej ma?

James zaśmiał się krótko, jakby do siebie.

- Nie znasz jej tak dobrze, co? – stwierdził. – Mogę stwierdzić, że dopiero się poznaliście.

- W pewnym sensie tak. A co? O co ci chodzi?

James poklepał go po ramieniu.

- Bez obrazy, ale i tak niedługo byś się dowiedział, więc mogę ja ci powiedzieć. W mieście jest znana jako Psychiczna Beth. Na trochę nie po kolei.

- Co?

- Poważnie. Spytaj, czy możesz poznać jej przyjaciół.

- Po co? Co z nimi nie tak?

- Nic. Po prostu ich nie ma! Nikt tutaj jej nie lubi. Coś ci poradzę. Wynoś się stąd czym prędzej. Puść ją bokiem. To marna partia. – Zniżył głos, po czym dodał. – Zabiła własną matkę.

JD skinął.

- Wiem, do czego zmierzasz.

- No, możesz trafić dużo lepiej – powiedział James, jeszcze raz klepiąc go po ramieniu. – Dobra, muszę pilnować też innych miejsc. Do późniejsza.

Gdy James odchodził, JD ruszył za nim.

- Chwila – powiedział, doganiając go.

- Co jest? – zapytał James.

JD wskazał na pierś Jamesa.

- Masz coś na koszuli.

# DZIESIĘĆ

Sanchez nie wiedział, jak do tego doszło, ale jakoś znalazł się z Flake w Volkswagencie Beetle. I jechał do komisariat policji, by zgłosić się na członka departamentu bezpieczeństwa. Pod żadnym pozorem się nie nadawał, ale jeśli szybko nie znajdzie jakiejś wymówki, skończy jako bezużyteczny gliniarz na pół etatu, pozbawiony jakiegokolwiek autorytetu.

Flake nawijała z prędkością światła o tym, jak się cieszy, że wstępuje do policji. Mówiła tak diabelnie szybko, że Sanchez nie rozumiał ani słowa. Musiał zaakceptować propozycję jazdy z nią po tym, jak - ku jego niezadowoleniu - odkrył, że dzieciaki z okolicy zniszczyły mu auto przed Ole Au Lait. Ktoś przeciął wszystkie cztery opony. „Na pewno nie e przypadkiem” pomyślał.

Flake obiecała, że podrzuci go do punktu wymiany opon. Wydawało się jednak, że zamierzała to zrobić dopiero po wizycie na komisariacie policji. Sanchez był gotowy nadal powtarzać wymówkę o „bólących plecach”, byle uniknąć wstępowania do policji.

Flake jeździła tak, jak gadała. Nie zatrzymywała się. Czerwone światła, znaku stopu, piesi, bałwany - mijała je, okrążała albo przejeżdżała po nich. Jej nieustanna paplanina w normalnych warunkach przyprawiłaby go o szaleństwo. W tym momencie nie mógł skupić się na niczym innym, tylko na zaciskaniu pośladków i dociskaniu obydwu dłoni do deski rozdzielczej. Jakby w celu udramatycznienia jazdy, po stronie pasażera w starym białym Beetle’u Flake nie było pasów. Sanchez poczuł więc pewną ulgę, gdy dojechali na komisariat. Flake przez jakieś sto jardów jechała pod prąd, po czym zupełnie niepotrzebnie zaciągnęła ręczny, który obrócił samochód i zatrzymał go dokładnie na miejscu parkinowym przed komisariatem.

W czasie tego manewru Sanchez tak mocno trzymał się deski rozdzielczej, że palce mu zbielewały. Zamarł z szeroko otworzonymi oczami. Żeby pozbyć się tej miny, potrzebowałby kilku sekund głębokich oddechów.

Flake wyłączyła silnik.

- Chodź, Sanchez – powiedziała. Delikatnie uderzyła go w ramię, jakby myślała, że tylko udaje przerażenie.

- Mam wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie – mruknął Sanchez.

- Jesteś zabawny – powiedziała Flake, jeszcze raz uderzając go w ramię. – Chodź. Przestań żartować i idziemy, bo będzie za późno.

Sanchez zdecydowania chciał wyjść z samochodu. Tyle wiedział. Ale nie do końca chciał iść na komisariat. Gdy krew zaczęła ponownie krążyć mu w palcach, oderwał dłonie od deski i sięgnął do klamki. Zanim zdążył podnieść tyłek z miejsca, Flake już wysiadła. Zamykając za sobą drzwi, odetchnął głęboko i lewą ręką sięgnął w kierunku pleców. Zaczął powoli je masować, krzywiąc się z udawanym bólem.

Flake wydawała się mocno zaniepokojona.

- W porządku? – zapytała.

- Stara kontuzja z wolny – powiedział Sanchez z grymasem. – Nie wiem, czy dam radę wyjść po schodach.

Flake posmutniała.

- Och.

Zanim zdążyła coś dodać, z komisariatu wyszedł policjant. Był to czterdziestokilkulatek z głową całą pokrytą schludnie zaczesanymi włosami. Ubiór też nadawał mu wygląd porządnego gliny. Miał parę czarnych spodni i białą koszulę, na którą założył czarną kamizelkę. Sanchez był zaskoczony widokiem policjanta w tak dobrym stanie, biorąc pod uwagę wymaganą dietę pączkową, której wszystkie miejsce smerfy dość rygorystycznie przestrzegają.

Podchodząc do Flake, policjant krzyknął:

- Ma pani prawo jazdy?

Sanchez rozpoznał policjanta. To był Dan Harker, dość przyzwoity,

ciężko pracujący detektyw, który nigdy nie dochrapał się należnie wysokiego stanowiska. Jeśli pamięć go nie myliła, był jednym z mniej przekupnym gliniarzy, nie tak łasym na „upominki” jak inni. Często wpadał do Tapioki, by podpytać Sancheza o różne nierozwiązane sprawy.

Na dźwięk jego głosu Flake się odwróciła.

- Dzień dobry, panie Harker – powiedziała. Ona również go знаła. Ole Au Lait również nie było zupełnie wolne od przestępców.

- Flake, jeździsz jak jakaś lunaticzka. Mógłbym cię zamknąć na niebezpieczną jazdę i parkowanie w niedozwolonym miejscu! – powiedział Harker, kręcąc głową.

Sanchez skinieniem zgodził się z Harkerem, ale natychmiast przestał, sądząc, że Flake kątem oka to zauważyła.

- Przepraszam, Dan – powiedziała Flake z uśmiechem. – Przyjechaliśmy zapisać się do policji i chciałam zademonstrować ci moje umiejętności, wiesz? Dobrze radzę sobie w szybkich pościgach.

Potępięcza mina Harkera zniknęła.

- Och – bąknął. – Dobrze. Nawet doskonale. Jesteście pierwszą dwójką chętną. Wejdźcie. Dam wam papiery do wypełnienia.

- Mam obolałe plecy – powiedział Sanchez, ponownie masując się po krzyżach i krzywiąc.

Harker zignorował go i odezwał do Flake:

- Dla pierwszych dwóch kandydatów mamy tysiąc dolarów na zachętę.

Sanchez ożywił się i rozejrzał wokół siebie. Ulicą przechodziło jeszcze kilka osób. Nie widział, by ktokolwiek biegł po schodach, byle przed nim dotrzeć na komisariat. Wyprostował się, przeszedł z oblodzonej ulicy na pokryty śniegiem chodnik, po czym pokonał schody i przeszedł przez szklane drzwi komisariatu.

- Boże, jaki napaleniak – skomentował Harker.

Flake poszła za Sanchezem.

- Obydwoje nie możemy się doczekać – powiedziała.

Sanchez zatoczył się w tył, widząc stan recepcji. Panował tu

krwawy bałagan. Dosłownie. Było to jedno wielkie miejsce zbrodni. Ściany i podłoga pokryte były krwią. I śmierdziało jak w Tapioco po nocy curry. Harker wszedł za nimi.

- Panuje tu ogromny bałagan – powiedział, przechodząc z wawo obok Sancheza i Flake. – Jednym z waszych pierwszych zadań będzie wysprzątanie tego miejsca. Technicy zebrali już wszystkie dowody, ale teraz ktoś musi zetrzeć krew ze ścian.

- Sanchez będzie w tym dobry – powiedziała Flake.

- Racja – zgodził się Sanchez. Setki razy ścierał krew i siki ze ścian Tapioki. A za tysiąc dolarów mógłby wysprzątać właściwie wszystko.

Harker uśmiechnął się i sięgnął do szuflady głównego kontaru. Wyjął grubą niebieską książkę w twardej oprawie i rzucił ją na blat.

- Musicie wypełnić te rubryki – powiedział, otwierając książkę. – Podpisujecie się w niej codziennie i macie prawo do aresztowania, obezwładniania i pacyfikowania cywilów w czasie wolnym. Z góry dostajecie tysiąc dolarów za to, że jesteście pierwszymi dwoma rekrutami. Później będzie tylko pięćset dolców za dzień.

Sanchez wziął z biurka długopis i chwycił książkę, zanim zdążyła to zrobić Flake. Wpisał kilka szczegółów oraz swoje imię, po czym spojrzał na Harkera.

- Płacicie gotówką? – zapytał.

- Za pierwszy dzień tak. Później przelewem.

- Może być.

Flake zaczęła wypełniać rubryki w rejestrze. Harker cofnął się o kilka kroków i spojrzał na nowych rekrutów, mierząc ich od stóp do głów.

- Dobra – powiedział ze zmarszczonymi brwiami. – Idę na górę i przyniosę wam mundury. Dla Flake nie powinno być problemu, masz dość powszechny wymiary. Ale znalezienie spodni dla ciebie, Sanchez, może zająć chwilę.

- Noszę emkę – powiedział Sanchez defensywnie.

- A ja jestem kosmonautą – odparował Harker. – Znajdę ci jakieś gacie, spokojnie. Dobra, jak będę na górze, możecie zacząć. Flake,



przejmujesz recepcję. Zajmij się telefonami i wszystkimi, którzy przyjdą z ulicy, żeby zgłosić jakieś przestępstwo. Jeśli nie będziesz wiedziała, co robić, spław ich.

Flake wydawała się niesamowicie entuzjastyczna.

- Dam radę – powiedziała z uśmiechem.

Harker odwrócił się do Sancheza.

- Ty możesz zacząć od wysprzątania windy. W kącie są mop i wiadro. Jest tam już woda z płynem. Musisz tylko...

- Wiem, co się robi mopem, dzięki – powiedział Sanchez.

- Dobra. Oczekuję, że zanim wrócę, winda będzie lśnić.

Harker odwrócił się na pięcie i skierował się do drzwi prowadzących na schody. Sanchez zrobił krzywą minę do jego pleców i wymamrotał pod nosem kilka wyzwisk.

- Ale emocje, nie? – zagadnęła Flake.

- Niesamowite – sarkastycznie powiedział Sanchez. Podszedł do wiadra z mopem i ujął rączkę. Pociągnął je w kierunku windy i nacisnął szary przycisk przywołujący windę. Drzwi natychmiast się otworzyły, a Sancheza przygniótł smród nieczystości. Winda pokryta była krwią, mózgiem i gównem od podłogi po sam sufit. Wyglądała gorzej niż kible w Tapiocie po sobotniej nocy. Z zażenowaniem kręcąc głową, wyjął mopa z wiadra i przyłożył końcówkę do podłogi. To nie będzie pięciominutowa robota. Żeby pozbyć się smrodu potrzeba tygodni.

Po dwóch minutach mycia Sanchez usłyszał, że ktoś podchodzi do recepcji za nim. Usłyszał kobiecy głos. Kojarzył ten głos.

- Chciałabym zgłosić kradzież książki z biblioteki – powiedziała.

Ulrika Price. Dziwka.

Sanchez stanął w umytej już części windy i odwrócił się. Jej wzrok natychmiast napotkał spojrzenie Ulriki. Bibliotekarka musiała przyjść prosto z pracy, ponieważ na kwiecistej sukience miała brązowy wełniany sweterek, typowy element ubioru wkurzających bibliotekarzy. Opierała się ciężko na kontuarze recepcyjnym, a przed nim, plecami do Sancheza, siedziała Flake. Przeszywające zielone

oczy Ulriki otworzyły się szeroko, gdy go zobaczyła.

- To on! – syknęła. – On ją ukradł!

Sanchez pokręcił głową.

- Nie. Nie ja – mruknął.

Ulrika okrążyła ladę. Flake wstała.

- Nie można tu wchodzić – powiedział.

Nie odrywając wzroku od Sancheza, Ulrika uderzyła Flake w twarz, posyłając z powrotem na krzesło. Następnie, ku śmiertelnemu przerażeniu Sancheza, otworzyła usta i odsłoniła komplet szybko wysuwających się wampirzych kłów.

Tak jak kiedyś przypuszczał, ta złośliwa dziwka była wampirem. A teraz patrzyła na Sancheza jak na swój pierwszy posiłek.

Było tylko jedno wyjście. Nacisnąć guzik w windzie i spieprzać stąd jak najdalej. Sanchez spojrział na klawiaturę. Wszystkie przyciski za wyjątkiem jednego pokryte były syfem. Guzik do podziemi. W mniej niż sekundę nacisnął go sześć razy. Przez zamykające się drzwi widział, że Ulrika odrywa się od ziemi i leci w jego stronę z odsłoniętymi kłami.

# JEDENAŚCIE

Beth doszła do biura Cromwella i ze smutkiem zauważyła, że plakietka na drzwiach już została zmieniona. Na czarnej plakietce, srebrnymi literami, zamiast CROMWELL widniało SIMMODSA.

Dwa razy zapukała w drzwi i niebawem usłyszała głos Simmondsa z drugiej strony.

- Proszę.

Sięgnęła do ogromnej gałki i przekręciła ją w jedną stronę, a potem drugą. Drzwi nie otworzyły się, więc spróbowała je pociągnąć, kręcąc gałką tam i z powrotem. Nigdy nie mogła zapamiętać, czy te drzwi otwierały się do wewnątrz czy na zewnątrz. Z ulgą przekonała się, że otworzyły się, gdy je pchnęła i jednocześnie przekręciła gałkę w prawo. Z ulgą wypuszczając powietrze, weszła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi.

Simmonds siedział na ogromnym czarnym skórzanym fotelu za lśniącym dębowym biurkiem. Wyglądał jak lalusz. Nawet według swoich lalusiowatych kryteriów, ponieważ uważany był za Króla Lalusiowego Królestwa. Blond włosy zaczesał do tyłu i związał w tradycyjnego przylizanego kucyka w stylu Stevena Seagal'a.

- Witaj, Elijah – powiedziała Beth, uśmiechając się niepewnie.

- Dla ciebie pan Simmonds, Lansbury – odpowiedział chłodno.

Podeszła do jednego z dwóch krzeseł po drugiej stronie biurka, naprzeciw Simmondsa.

- Nie musisz siadać – powiedział, zakazując jej tego gestem. – Nie zejdzie nam długo.

- Umm, dobrze.

- Śmierć Bertrama to straszna rzecz, ale życie będzie dalej. Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt załamana.

- Żartujesz? Pan Cromwell był cudownym człowiekiem.

- Tak, z naciskiem na był. Niestety umarł, ale muzeum nie. A ja, jako nowy menedżer, mam zamiar wprowadzić wszystkie zmiany, do których brakowało Cromwellowi siły.

Beth skinęła, wiedząc, co się stanie.

- Dobrze.

- Musimy ciąć koszty i obawiam się, że to znaczy, że kilku członków zespołu straci pracę.

- O jeju, ilu?

Simmonds się skrzywił.

- Miałem nadzieję, że nie zapytasz. Właściwie musimy pozbyć się tylko jednej osoby i, cóż, będziesz to ty. Pensję naliczymy ci do końca tygodnia, ale wolałbym, żebyś odeszła już dzisiaj.

Serce Beth zamarło. W chwili, gdy usłyszała o śmierci Cromwella, wiedziała, że to się stanie.

- Wydaje mi się, że w kontrakcie mam zapisane, że będę pobierać pensję do końca miesiąca, jeśli stracę pracę.

Simmonds pokręcił głową.

- Masz tupet, co? – powiedział z wyrazem odrazy na twarzy. – Bertram Cromwell nie żyje, zamordowany z ręki Bourbon Kida, z zimną krwią, za pomocą maczety, a ty myślisz tylko o sobie i o tym, jak wykorzystać swój kontrakt.

Beth poczuła się urażona.

- Nie, wcale nie.

- Ale tak to wygląda, Lansbury. Boże, czasami mnie odrażasz. Nie dość że zabiłaś macochę, teraz chcesz podeptać pamięć o wspaniałym człowieku, jakim był Bertram Cromwell, po tym wszystkim co dla ciebie zrobił.

- To nie w porządku.

- Potraktuj to jak część umowy.

- Nie wiedziałam, że mamy jakąś umowę.

- Nie mamy. Wynoś się. Nie mogę na ciebie patrzeć. Naprawdę, nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby przychodząc do pracy jakoś zasłonić tą bliznę na twarzy? Nikt tutaj nie mógł na nią patrzeć.

Beth czuła łzy napływające jej do oczu. Jej blizna była głęboka z wielu powodów. Próbowła to zbagatelizować, nie chcąc dać Simmondsowi satysfakcji z wiedzy, że ją uraził.

- To tylko blizna – powiedziała.

- Tak, ale ta blizna reprezentuje wysiłki twojej macochy, która próbowała się bronić, kiedy zadźwigałaś ją na śmierć, co? Ohyda, po prostu ohyda. Nie wiem, skąd w tobie tyle tupetu, żeby chodzić po okolicy i tak ją pokazywać.

Na to Beth nie miała odpowiedzi. Po jej prawym policzku pocięła łza, wpadając na bliznę i spływając wzdłuż niej do kącika ust. Simmonds machnął ręką w stronę drzwi i spojrzał na papiery leżące na biurku, by zaznaczyć, że ich spotkanie dobiegło końca.

- No, idź – powiedział. – Już skończyliśmy.

Beth czuła drżenie dolnej wargi. Wyrzucenie z pracy zawsze jest traumatycznym przeżyciem, ale takie jednoczesne ośmieszenie to już za dużo.

- A co z moim uniformem i narzędziami. Co z nimi...

Simmonds podniósł wzrok.

- Wciąż tu jesteś? – prychnął.

- Tak, tylko...

- Boże, chcesz mi tu robić sceny? Słuchaj, nie znoszę tylko jednego, a są to ludzie przyłazący do mojego biura i robiący sceny. Jeśli chcesz coś grać, zapisz się do kółka teatralnego albo czegoś, nie ćwicz w moim gabinecie.

Beth odwróciła się. Więcej nie była w stanie wytrzymać. Złapała gałkę. Jakies trzy albo cztery sekundy szamotała się, przekręcając ją w różne strony i pchając drzwi, zanim udało jej się je otworzyć. Na szczęście udało się, zanim zaczęła głośno łkać. Takie przykrości ze strony wredoty pokroju Simmondsa naprawdę ją dotknęły. Docinki nie robią się mniej bolesne z wiekiem. Jej jedyną pociechą był fakt, że teraz przynajmniej miała JD, który oferował jej wsparcie albo miłe, pocieszające słowo. Wróciła po schodach do recepcji, wycierając po drodze łzy i mając nadzieję, że nie będzie wyglądała zbyt żałośnie,

gdy do niego wróci.

Kiedy wróciła do recepcji, dość szybko zapomniała o łzach. JD wciąż tam był, uśmiechał do niej, gdy szła. Ale na podłodze u jego stóp leżał nieprzytomny ochroniarz James.

Natychmiast zapomniała o łzach, przyspieszyła i spojrzała z góry na Jamesa. Leżał bez ruchu na podłodze. Podniosła wzrok na JD.

- Co się stało? – zapytała, w głosie brzmiało jej zmartwienie o stan ochroniarza.

- Chyba zemdłał – odpowiedział JD ze wzruszeniem ramion. – Jak spotkanie?

- Ma krew na twarzy – zauważyła Beth, patrząc na okropny stan twarzy Jamesa. Pochyliła się, by dokładniej przyjrzeć się leżącemu ochroniarzowi. – Jak to się stało?

- Miał krwotok z nosa. Chyba zemdłał na widok własnej krwi, Beth zmarszczyła brwi.

- Ale jego nos wydaje się złamany, a oczy opuchnięte.

- Tak. Dziwne. To co powiedział ci szef?

- Wylał mnie.

JD wyciągnął rękę i odsunął włosy z jej twarzy. Widział, że płakała.

- To tylko praca. Nie warto za nią płakać. Szukaj jasnych stron, teraz nie mamy żadnych powodów, żeby zostać w tym zakichanym mieście.

- Nie chodzi nawet o to, że mnie wyrzucił, ale o to, jak to zrobił.

- Dlaczego? Co zrobił?

Beth pociągnęła nosem. Łzy wracały.

- Powiedział, że moja blizna wszystkim przeszkadza, powinnam być bardziej domyślna i ją jakoś zakryć.

- Pieprzony cieć.

JD minął ją i pomknął w kierunku biura Simmondsa.

Simmonds z radością zobaczył plecy Beth Lansbury. Teraz to on panował w muzeum i nie musiał zatrudniać kobiet z deformacjami twarzy. Drżał na samą myśl, że Cromwell był na tyle głupi, by ją w ogóle zatrudnić, zwłaszcza że była podejrzana o morderstwo. Nie

najlepsza reklama dla muzeum. Bliznowata morderczynie pracująca w muzeum. Bez komentarza. Wyrzucenie jej było zabawne. Wciąż gratulował sobie tego, że doprowadził ją do płaczu, gdy drzwi do jego gabinetu się otworzyły i do środka wparował rozsztoszczony facet.

- Kim jesteś? – zapytał Simmonds.

- Ty jesteś Simmonds?

- Tak. Pytam ponownie, kim jesteś?

- Jestem JD, przyszedłem pomóc ci pocałować się w dupę.

Simmonds westchnął i przewrócił oczami.

- Przyszedłeś robić sceny? – powiedział nonszalancko. – Jeśli tak, wezwę ochronę, która cię wyprowadzi.

JD podszedł do biurka Simmondsa i nachylił się, naruszając jego osobistą przestrzeń.

- Ochrona leży na parterze ze złamanym nosem.

- Czyli przyszedłeś robić sceny? Powinieneś wiedzieć, że znam karate – spokojnie powiedział Simmonds. Dłoni zademonstrował kilka ciosów karate. – Te dłonie są śmiertelną bronią.

JD wyciągnął ręce nad biurkiem i chwycił go za gardło, podnosząc z siedzenia, przez co stali teraz oko w oko.

- Spróbuj ich użyć teraz – warknął.

Simmonds głośno przełknął ślinę i odpowiedział tak odważnym tonem, na jaki mógł się zdobyć.

- Wynoś się z biura, zanim wezwę policję.

- Myślisz, że tak fajnie żartować sobie z kogoś z blizną na twarzy? Może potnę ci mordę i wtedy się pośmiejemy?

Simmonds uśmiechnął się krzywo i wskazał na drzwi za JD.

- Nie każ mi cię zawstydząć na oczach dziewczyny.

JD spojrzał nad ramieniem. Beth stała w progu. Simmonds widział, że płakała. Była tak wyzuta z pewności siebie jak zwykle. Ta dziewczyna naprawdę była żalosną imitacją człowieka. Simmonds nie potrafił rozgryźć, jakim cudem ona kogoś zamordowała. Wyglądała zbyt bezradnie.

- JD, zostaw go – poprosiła. – To nieważne. On nie jest wart

zachodu.

JD spojrzął z powrotem na Simmondsa. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale jednak powoli i z ociąganiem zwolnił uścisk na gardle menedżera. Simmonds oparł plecy na skórzanym fotelu z zadowolonym uśmiechem na twarzy.

- Mam sporo kontaktów w tym mieście, wiesz – zagroził.

- Mam to w du...

Beth doskoczyła, żeby mu przerwać.

- JD, proszę, odpuść. Nie chcę mieć problemów z policją.

- Widzisz – powiedział Simmonds. – Z taką kryminalną przeszłością nie ma szans, ty z resztą też. Słuchaj Tony'ego Montany. Wie, o czym ona mówi.

JD zmarszczył brwi.

- Jak ją nazwałś?

- Tony Montana. Wszyscy tutaj tak na nią mówią. Wiesz, Człowiek z blizną[1].

Zanim JD zdążył rzucić się przez biurko na Simmondsa, Beth złapała go za ramię.

- Chodźmy, proszę – powiedziała. – Cieszę się, że już tu nie pracuję. Nie chciałbyś chyba, żebym pracowała dla kogoś takiego?

- Nie, ale czułbym się lepiej, gdybym go skopał.

- Ale tego nie zrobisz. Nie chcę cię znowu stracić dlatego, że sprąłeś jakiegoś frajera i cię zamknęli. No, chodźmy.

JD mierzył Elijaha Simmondsa wzrokiem jeszcze kilka sekund, zanim Beth go odciągnęła. Zdążył powiedzieć tylko jedną rzecz. Był to szept, ale na tyle głośny, żeby Simmonds go dosłyszał.

- To jeszcze nie koniec.

Na twarzy Simmondsa pojawił się ogromny uśmiech.

- Ta, uśmieiałem się – krzyknął, gdy wyszli z gabinetu, nie zamykając za sobą drzwi. – Do zobaczenia, JD. Swoją drogą, od czego to skrót? Jebany Debil?

JD nie odpowiedział. Simmonds wstał i zamknął za nimi drzwi, po czym usiadł za biurkiem i pogratulował sobie umiejętności



wykorzystywania nowo nabytej władzy. Odwrócił się do komputera, sprawdzając w wiadomościach, czy pojawiły się jakieś informacje o nim jako nowym menedżerze muzeum. Aktualności wspominały o Bertrandzie Cromwellu, ale nie wspominały, jakby Simmonds go zastępował. Gdy przeglądał artykuł, natrafił na gorącą wiadomość. Głosiła:

Znaleziono nagranie z kamery przedstawiające Bourbon Kida. Kliknij i sprawdź, jak wygląda.

Simmonds kliknął w link, spodziewając się materiału dostarczonego przez siebie kapitanowi Danowi Harkerowi. Zobaczył jednak inne ujęcie przedstawiające Bourbon Kida wchodzącego do komisariatu policji z dwoma gośćmi w strojach gliniarzy. Jednym z policjantów był Dante Vittori, były pracownik muzeum. Ale nie to zwróciło jego uwagę. Rozpoznał także twarz Bourbon Kida. To był JS, który przed momentem wyszedł z jego biura z Beth Lansbury.

# DWANAŚCIE

Mimo że drzwi windy zamknęły się zanim Ulrika Price zdołała się do niego zbliżyć, Sanchez wiedział, że to tylko kwestia czasu. Nacisnął przycisk kierujący windę do podziemia i miał dwa wyjścia. Mógł albo wysiąść i zwiewać, albo zostać w windzie i nacisnąć jeden z pokrytych gównem przycisków, żeby pojechać na któreś z wyższych pięter. Problem w tym, że jeśli Ulrika przywołała windę z powrotem na parter, drzwi otworzą się, kiedy tam dojedzie, a ona go dopadnie. Do obrony miał tylko brudnego mopa. Czas nie grał na jego korzyść, więc gdy drzwi windy się otworzyły, postanowił wyjść. Przywitał go widok nieużywanej szatni. To pomieszczenie (podobnie jak winda) pokryte było krwią, zwłaszcza na podłodze, ale rozbryzgi były też na ścianach i drzwiczkach szafek.

Gdy winda się za nim zamknęła, zaczął przemieszczać się wzdłuż rzędu szafek, patrząc, czy winda rusza z powrotem. Zapędzał się w róg z wilgotnym od krwi, szczyń i wody z mydlinami mopem w roli obrony.

Po kilku sekundach usłyszał trzaski zębatek i winda ruszyła w górę. Nadal się od niej odsuwał, jednym okiem obserwując też drzwi na ścianie przy windzie, na wypadek, gdyby przez nie wpadła Ulrika. Nie widział ani jednej kryjówki. Jego możliwości ograniczały się do szafek albo stojących przed nimi ławek. Rozmiarowo Sanchez nie pasował do żadnej z szafek, pod ławki również się nie nadawał.

Zerkając za siebie, zobaczył, że kierował się w stronę pryszniców. To już coś. Może jeśli włączy wszystkie natryski, stworzy na tyle gęstą parę, żeby się w niej ukryć? Gdyby Ulrika się pojawiła i zaczęła go gonić, mógłby rzucić w nią mopem i spróbować ucieczki. Źałosne. Nawet Sanchez nie był dumny z takiego planu, ale co innego mu pozostawało? I dlaczego Ulrika tak zwlekała ze zjazdem do podziemi?

Może zabijała Flake?

Kurde, w ogólnym zamieszaniu i ucieczce przed Ulriką, Sanchez zupełnie zapomniał o Flake. Jeśli Flake zginęła z rąk Ulriki, będzie musiał znaleźć sobie inny środek transportu, o ile uda mu się wyjść z komisariatu. Flake przygotowywała mu całkiem dobre śniadania. Sanchezowi nie podobała się myśl, że poranne posiłki będzie musiał jadać w innym miejscu niż Ole Au Lait.

Rozważając każdą trywialną kwestię, jaka przyszła mu do głowy, dotarł do jednego z kurków od prysznicza. Zaraz potem z tyłu usłyszał łoskot. Odwrócił się i zobaczył, że ściana za nim odsuwała się na bok. Otworło się przed nim tajne wejście. Uśmiech losu! Oczywisty znak, że nieregularne wizyty Sancheza w kościele jednak się opłaciły.

Pokój za drzwiami był całkiem wygodnego rozmiaru. Znajdował się w nim długo drewniany stół. Ale żadnych krzeseł. Sanchez już zamierzał pogratulować sobie odnalezienia sekretnego pomieszczenia, ale zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widział przełącznika zamykającego ścianę. Nie ma pożytku z sekretnego pokoju, jeśli wszyscy go widzą. W panice rozejrzał się, szukając jakiegoś przełącznika w pokoju. Nic nawet mniej więcej go nie przypominało. Może przesunięcie stolika uruchomi mechanizm?

Zapał się plecami o stół, sprawdzając, czy da radę go przemieścić. Przesunął się z łatwością. W tym momencie winda po drugiej stronie szatni pisnęła i drzwi powoli się rozsunęły. Wypadła przez nie Ulrika. Natychmiast namierzyła Sancheza.

- Gdzie moja książka, złodziejski draniu? – krzyknęła.

Sanchez mocno naparł na stół i udało mu się dojechać nim do ściany. Ale to nic nie dało. Tajemne drzwi zostały otwarte. Z przerażeniem patrzył, jak Ulrika zbliża się o niego z ogromną prędkością. Jej stopy nie dotykały podłogi, leciała do niego w powietrzu, wyciągając ręce. Sanchez swego czasu widział wiele nieprzyjemnych rzeczy, ale widok tej szalonej bibliotekarskiej dziwki lecącej do niego był chyba najgorszy ze wszystkiego. Mocno złapał mopa i podniósł tyłek na tyle, by usiąść na stole. Później podniósł się

na nogi, stanął pewnie na stole i uniósł mopa, mierząc w nadlatującego wampira.

Ulrika wylądowała na nogach w przejściu do ukrytego pomieszczenia i warknęła na niego.

- Ten mop cię nie uratuje! – warknęła.

- Ale na końcu ma gówno! – ostrzegł Sanchez. – Rozmażę ci je na gębie! Ostrzegam. Nie zbliżaj się!

To nie zniechęciło Ulriki, która ponownie oderwała się od podłogi i poleciała w stronę głowy Sancheza. Chcąc się obronić przed impetem jej ataku, ze swojej pozycji na stole machnął w jej stronę mopem. Miał doświadczenie z mopami, więc udało mu się trafić ją w twarz najbardziej brudną częścią czarownicy. To wytrąciło ją z równowagi i zmusiło do cofnięcia. Wylądowała na nogach a Sanchez przyciągnął mopa do siebie, gotowy do kolejnego ataku w razie potrzeby.

Twarz Ulriki pokryta była krwią, gównem, mydlinami i, co dziwne, małym ziarenkiem kukurydzy. Jednym pociągnięciem długiej kościstej ręki pozbyła się większości.

Sanchez ostrzegł ją ponownie:

- Ten mop ma nieograniczone zapasy syfu. Jeszcze krok, a znowu się o tym przekonasz, suko.

Ulrika pochyliła głowę i zgięła kolana, stając się mniejszym celem, by łatwiej unikać ciosów mopem i jednocześnie szukać najlepszego sposobu do ataku. Niebawem znalazła takowy. Zanurkowała pod stół i złapała jedną z jego nóg. Pociągnęła mocno. Wtedy Sanchez ponownie machnął w nią końcówką mopa, trafiając w bok głowy. Ale Ulrika była silna. Siła pociągnięcia była na tyle duża, że stół przesunął się płynnie i ostro w jej stronę, a Sanchez stracił równowagę. Spadł ze stołu. Żeby nie roztrzaskać sobie twarzy na podłodze, musiał tak manewrować mopem, by wylądować na nim jak na poduszce. Usłyszał ohydny mlask, gdy resztki z mopa pokryły jego twarz. Ale nie miał czasu, żeby się tym martwić. Mocno trzymając kij, podniósł się na nogi i po prawej zobaczył Ulrikę zataczającą się w jego stronę. Rzucił jej mopa pod nogi. Jeśli miał odejść, zabierze ze sobą buty tej

dziwki. Mop połączył się z jej wygodnymi czerwonymi lesbijskimi butami i dał mu czas, by odwrócić się i uciec. Wiedział, że Ulrika najpewniej dogoni go jeszcze przed windą, ale musiał spróbować.

Biegł wzdłuż rzędu szafek tak szybko, jak mógł. Niestety, nie było to szczególnie szybko, a mop okazał się łatwy do pokonania. Minał ledwie trzy z trzydziestu szafek, po czym znów musiał zmierzyć się z Ulriką. Przeleciała mu nad głową i wylądowała przed nim, blokując jedyną drogę ucieczki z szatni. Jej twarz wyglądała morderczo i trochę brudno. Włosy miała rozwiane, a oczy rozbiegane. Oto wkurzona dziwka. Sanchez nie miał wyjścia, musiał jeszcze raz pomachać mopem. Tym razem Ulrika była za szybka. Złapała kij mopa i wyrwała mu go z rąk. Następnie rzuciła go na podłogę i ponownie pokazała wampirze kły. Syknęła, po czym zaatakowała go. Sanchez skulił się i uniośł rękę, by jej uniknąć, ale to było niepotrzebne. Ulrika skoczyła na niego i zwała na podłogę, kolanem przyciskając mu plecy. Pozbawiła go tym tchu i sił na dalszą walkę.

Czuł jej oddech obok swojej twarzy, gdy nachyliła się do niego ucha.

- Nigdy cię nie lubiłam, Sanchez. Teraz gadaj, co zrobiłeś z moją Księżką Śmierci!

- Nie wiem, o czym mówisz – zaprotestował.

- Nie będziesz kłamał, jak zacznę cię rozrywać na kawałki – syknęła.

- Ma ją Rick z Ole Au Lait.

- Pieprzysz.

- Serio.

Ulrika złapała go za włosy i uniosła głowę z podłogi, prawie łamiąc mu szyję.

- Nie wierzę ci – powiedziała, wachając jego szyję, jakby szukała dobrego miejsca na wgrzyzenie się. – Wyczuwam kłamstwo.

- Na pewno to nie jest gówno z mopa?

- Wydaje ci się, że jesteś śmieszny, co? – syknęła. – Może zobaczymy, jak śmiesznie smakujesz, co>

Sanchez zamknął oczy i skrzywił się, gotowy na ból, który miał nadejść. Ulrika jeszcze raz zwierzęco syknęła tuż przy jego uchu.

Usłyszał delikatnie stuknięcie.

A potem dłuższy syk. Naprawdę głośny syk. Sanchez nagle poczuł, jakby znów znalazł się w ogniu. Gorąco trwało trochę ponad dwie czy trzy sekundy, gdy tchórzliwy barman leżał na podłodze z zamkniętymi oczami, czekając na chwilę prawdy.

Kolejny delikatny łomot i coś spadło mu na plecy. Usłyszał za sobą głos Flake.

- W porządku, skarbie?

- He?

Sanchez otworzył oczy i spojrzał w tył. Stała nad nim Flake. Uniosła z jego pleców grubą brązową książkę w twardej oprawie i przetarła ją z kurzu.

- Co do diabła? – głośno zapytał Sanchez, zaskoczony brakiem śladu bytności Ulriki Price. – Gdzie polazł ten psychiczny mol książkowy?

Flake włożyła brązową książkę pod lewą pachę, a prawą rękę wyciągnęła do niego, pomagając podnieść się z podłogi. Sanchez złapał jej dłoń i wstał. Flake uśmiechała się, wyraźnie z czegoś zadowolona.

- Co się stało? – ponownie zapytał Sanchez.

- Walnęłam tą sukę książką w głowę – powiedziała Flake, wyciągając brązowy tom w twardej oprawie.

- I gdzie się podziała.

- Zaczęła się palić i zamieniła w proch. Patrz. – Wskazała na ścieżkę grubego czarnego pyłu, którego większość znajdowała się na podłodze, a reszta bez wątpienia na plecach Sancheza.

- Co do cholery? – Sanchez wciąż nie rozumiał.

- Ta książka chyba zabija wampiry – powiedziała Flake ze wzruszeniem ramion.

- Ale skąd wiedziałaś?

- Nie wiedziałam. Ale mój horoskop przepowiadał, żebym dzisiaj użyła książki do czegoś innego niż czytanie.

- Zawsze robisz to, co radzą ci horoskopy?
- O tak, żyję zgodnie z horoskopem Wielkiej Wróżki Sally.
- Bóg niech ma ją w opiece. Poradziła ci też, żebyś pojechała do szatni?

Flake zaśmiała się.

- Nie, po prostu śledziłam Ulrikę, żeby spróbować ci pomóc. Kiedy tu przyszłam, ona była na tobie. Potem zobaczyłam książkę wystającą z jednej z szafek i pomyślałam o horoskopie. Więc walnęłam ją w głowę. Ledwie ją dotknęłam, a ona buchnęła ogniem.

Sanchez otrzepał się.

- Łał. Wszystko z powodu horoskopu? – zapytał, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia w głosie.

- No częściowo – powiedziała Flake – ale jesteśmy drużyną. Musimy się nawzajem wspierać. Przyprowadziłeś ją tutaj, żebyśmy zapędzili ją w kozi róg, co?

Sanchez chrząknął.

- No tak. Oczywiście. Musiałem ją od ciebie odciągnąć, żebyś była bezpieczna. Wiedziałem, że za mną pojedzie.

- Bystry jesteś, Sanchez. Pocałowałabym cię, ale wydaje mi się, że masz kupę na twarzy.

- Nie przejmuj się – powiedział, ocierając twarz. – Ale następnym razem nie zwlekaj tak bardzo ze schodzeniem na dół.

- Przepraszam – powiedziała Flake. – Drżę na myśl, co by się stało, gdybym nie znalazła tej książki. Oboje moglibyśmy już nie żyć.

Miała rację. Znalezienie książki było prawdziwym uśmiechem losu.

- Ale o co chodzi z tą książką? – głośno zapytał Sanchez.

- Może wampiry mają alergię na książki? – zasugerowała Flake.

- Była bibliotekarką.

- Och.

- No. Ta baba położyła swoje brudne łapska na każdej książce w tym mieście. Obstawiam, że ta książka to coś wyjątkowego. Książka zabijająca wampiry, co? Mogłaby być warta fortunę. Możemy ją sprzedać na Ebayu!

Flake miała inne zdanie. Sama mina to mówiła.

- Jeśli to naprawdę śmiertelna broń na wampiry, lepiej nikomu o tym nie mówić. Ulrika szukała jakiejś książki i chciała z jej powodu cię zabić. Pozwól mi poszukać w Internecie, może znajdę coś o tej książce. Nie potrzebujemy tu więcej bibliotekarzy!

Miała rację.

- Mamy problem – powiedział Sanchez. - Na zewnątrz jest ciemno. W całym mieście może roić się od wampirów. Może szykuje się coś większego?

Flake się skrzywiła.

- Jeśli tak, to ta książka będzie najważniejszą rzeczą na świecie. Na razie zatrzymajmy ją dla siebie.



# TRZYNAŚCIE

**W**brew temu, co mógłby sugerować wygląd, Silvinho był wielkim miłośnikiem kultury i sztuki. Potężny mężczyzna ubrany w wojskowy strój i noszący sześciocalowego różowego irokeza nie wyglądał na typowego estety. Ale po niedawno zakończonej misji Kompanii Cienia, tej dotyczącej zestrzelenia i odcięcia głowy Bourbon Kida, chciał przed wyjazdem wstąpić do Muzeum Sztuki i Historii w Santa Mondega. Życie komandosa bardzo mu odpowiadało. Spędził wiele lat na wojnach, zabijając wrogów i często miesiącami nie oglądając dzieł sztuki. Na szczęście nowa rola komandosa jeżdżącego po świecie z Kompanią Cieni dała mu możliwość podziwiania najpiękniejszych dzieł sztuki na świecie. W międzyczasie zabijali jakiegoś dziwaka.

Był w jednym z wielu korytarzy muzeum, podziwiając cudowny barwny obraz Eugene Delacroix, przedstawiający młodą damę, kiedy zadzwonił mu telefon. Ekran oznajmiał, że dzwoni jego szef. Tyran, więc bez wahania odebrał.

- Co jest, szefie?

- Widziałeś wiadomości?

- Nie.

- Okazuje się, że ostatniej nocy nie zabiliśmy Bourbon Kida. Dorwaliśmy złego gościa.

- Kogo zabiliśmy?

- Jakiegoś dziwaka, który trochę go przypominał.

Silvinho skrzywił się.

- O rety. Szkoda że nie zauważyliśmy, zanim go zestrzeliliśmy i odcięliśmy mu głowę.

- No tak, ale nie roztrząsajmy tego. Gdzie jesteś? Musisz wracać do Casa de Ville.

Silvinho rozejrzał się po obrazach, przypominając sobie, w jak pięknym miejscu się znajdował.

- Jestem w muzeum. Mają tu kilka cudownych obrazów.

- Muzeum Sztuki i Historii?

- Tak. A jest tu jakieś inne?

- Nie. Ale według wiadomości Bourbon Kid pojawił się tam po drugiej nad ranem i zabił menedżera muzeum.

- Och. Mam rozpytać ludzi? Sprawdzić, czy ktoś coś wie?

- Tak. Spytaj, czy mają jakieś nagrania z kamer ochrony. I sprawdź, czy miał motyw, by zabijać menedżera. To mogłaby być wskazówka, która nas do niego doprowadzi, albo do jego kolejnej ofiary.

- Jasne, szefie. Coś jeszcze?

- Po prostu zadzwoń, jeśli czegoś się dowiesz. Jeśli nie, wracaj prosto do bazy.

- Jasne. Do późniejsza.

Silvinho rozłączył się i ostatni raz spojrzął na obraz Delacroix, po czym z wahaniem skierował się z powrotem do recepcji.

W holu zobaczył ochroniarza z brzydko opuchniętym nosem i ciemnymi oczami. Wyglądał, jakby miał dość paskudny dzień i tylko czekał, żeby pójść do domu. Idealny do wypytywania.

- Przepraszam – zagadnął Silvinho, podchodząc. Zerknął na identyfikator ochroniarza. „James” przeczytał. – Nazywam się Silvinho. Jestem z Sił Specjalnych UDA. Słyszałem, jakoby Bourbon Kid pojawił się tutaj ostatniej nocy. Czy to prawda?

Odpowiedź ochroniarza nie była entuzjastyczna.

- Jakiś dowód tożsamości? – zapytał.

- Jasne. – Silvinho sięgnął pod kurtkę i wyjął portfel. Otworzył go i wyjął plastikową odznakę. Podał go Jamesowi, który zabrał go i podejrzliwie obejrzał.

- Skąd mam wiedzieć, że jest prawdziwy? – zapytał.

- Mógłbym pozbawić cię przytomności w jakieś trzy sekundy, jeśli chcesz. To wystarczy?

James wyglądał jak ktoś, kto zamierzał zaryzykować sprawdzenie

tej groźby, ale delikatnie pomasował swój złamany nos i oddał odznakę Silvinho.

- Zaprowadzę cię do biura Elijaha Simmondsa. Odpowie na wszystkie pytania. Ale już wszystko powiedział policji, dał im też nagranie z kamer.

- Macie nagranie?

- Tak. Jeśli szef się zgodzi, przygotuję kopię.

Silvinho uśmiechnął się i położył prawą dłoń na ramieniu Jamesa, ściskając mocno.

- Coś ci powiem – rzekł. – Może zaprowadzisz mnie do biura szefa, a kiedy ja tam będę, ty pójdziesz skopiować dla mnie nagranie, wiesz, dla zaoszczędzenia czasu.

Ścisnął ramię Jamesa jeszcze troszkę mocniej, co wystarczyło, by ochroniarz zgodził się na tę propozycję.

- Idź w dół korytarza – powiedział James, wskazując drogę. – Na końcu zobaczysz gabinet Simmondsa. Nie można nie trafić. Na drzwiach wisi jego nazwisko.

- Dzięki. Niedługo się tu spotkamy.

Silvinho zwolnił uścisk na ramieniu drugiego mężczyzny i skierował się do biura Elijaha Simmondsa. Zaiste było ono tam, gdzie opisał James. Dwa razy zapukał w drzwi i przekręcił gałkę, nie czekając na odpowiedź Simmondsa. Drzwi otworzyły się do środka i powitał go widok Elijaha Simmondsa siedzącego za biurkiem z laptopem przed sobą. Wydawał się zaskoczony widokiem ogromnego żołnierza z różowym irokezem wchodzącego do środka.

- Mogę pomóc? – zapytał.

- Pan Simmonds?

- Tak.

- Jestem Silvinho. Pracuję w Siłach Specjalnych. Chodzi o Bourbon Kida. Mogę zadać kilka pytań?

Simmonds obrócił laptopa.

- Bourbon Kida – powiedział, wskazując na twarz na ekranie komputera. – Chodzi o tego gościa?

Silvinho patrzył na ekran.

- To on? – zapytał.

- Tak – odpowiedział Simmonds.

- Zdjęcie nie jest zbyt wyraźne.

- Nie. Ale jest na tyle dobre, żebym rozpoznał w nim faceta, który kilka minut temu był w mnie w gabinecie.

- Co?

- Wyrzuciłem jego dziewczynę i przyszedł tutaj, żeby mnie za to wyzywać. Próbował robić jakieś sceny, ale ostatecznie tylko się ośmieszył.

- Bourbon Kid ma dziewczynę?

- Tak. A w zamian za nagrodę oferowaną w telewizja za informacje pomagające go zapuszkować, z chęcią podam jej adres domowy.

Silvinho wyjął z kurtki nóż z rękojeścią z kości. Ostrze było długie prawie na stopę i miało lśniące krawędzie. Przejechał palcem wskazującym po ostrej gładkiej części i spojrzał na Simmondsa.

Menedżer muzeum wydawał się mocno zmartwiony.

- Nie trzeba odwoływać się do przemocy – powiedział nerwowo. – Chcę tylko obiecanej nagrody.

- Zapomnij o nagrodzie – warknął Silvinho. – Dawaj adres, albo odetnę ci jaja.

# CZTERNAŚCIE

Beth patrzyła przed samochodowe okno na chmury i deszcz opadający z nieba. Nocna śnieżycą już się skończyła, ale opady nie ustawały i utworzyły już dwucalową warstwę na ziemi. Chmury powyżej były najciemniejszymi, jakie kiedykolwiek widziała, i wydawały się zasłaniać całe niebo. Raz na jakiś czas spomiędzy chmur wyglądał nieproszony promień słońca, ale ogólnie mówiąc Santa Mondegga w ciągu nocy stała się miastem skąpanym w ciemności.

Jadąc powoli po oblodzonych ulicach w niesamowitym czarnym V8 Interceptorze należącym do JD, znów czuła się jak nastolatka. To robiliby w czasie liceum. Jeździliby jego samochodem, chodzili na spacerki na molo i w ogóle spędzali ze sobą czas i bawili.

Ale nic w jej życiu nie było takie, jak planowała. Teraz nie miała pracy i obawiała się, że nie będzie jej stać na opłaty za mieszkanie. Przeżyje kilka tygodni, ale co potem? Poprosi JD o pomoc z czynszem? Czy poprosi go o przeprowadzenie do niej? Czy wprowadzi się do niego? Gdzie on właściwie mieszkał? Nie sprecyzował, gdzie był ani co robił przez ostatnie osiemnaście lat. Stwierdził, że głównie podróżował, i na tym zostało.

Całą drogę w radiu leciały bożonarodzeniowe piosenki, przerywane najnowszymi doniesieniami, jednym z których była wieść, że Bourbon Kid wciąż żył. Wydawało się, że by jakoś złagodzić złe nowiny, lokalna stacja postanowiła wcześniej zacząć świętowanie, być może zachęcona padającym śniegiem. Był dopiero dzień po Halloween!

JD nie odezwał się, odkąd zaczęła się piosenka Judy Garland Have Yourself a Merry Little Christmas. Gdy utwór się kończył, zagłuszył go męski głos. Beth rozpoznała Szalonego Harry'ego Huntera,

gwiazdę stacji z irytującą skłonnością do przeciągania każdego słowa. Zakłócił zakończenie, informując, że policja zbiera nowych rekrutów i płaci im codziennie niezłe pieniądze, dopóki z miasta nie przyjadą wyszkoleni policjanci.

Beth rozważała możliwość zostania policjantką..

- Może powinnam spróbować wstąpić do policji? – zasugerowała, mając nadzieję usłyszeć opinię JD przed ostatecznym podjęciem decyzji.

- Pieprzyć policje. To banda skorumpowanych sukinsynów – mruknął, nie odrywając wzroku od oblodzonej drogi.

Nierówna droga była pokryta lodowymi kałużami i usiana dziurami, z których większość ukryta była łatami ze śniegu i lodu, przez co jezdnia była jeszcze bardziej niebezpieczna niż zwykle. Zaparkowane po obydwu stronach samochody nie pomagały, ponieważ znacząco ograniczały pole manewru. Jedynym dobrym punktem był właściwie zupełny bezruch.

- Wydaje mi się, że są naprawdę zdesperowani – kontynuowała Beth. – A ja jestem bez pracy. Może warto byłoby zatrudnić się, chociaż na kilka dni.

- Tak.

Wydawał się niezainteresowany, ale ona i tak ciągnęła:

- Ostatniej nocy Bourbon Kid zabił wielu policjantów. Ulice są niebezpieczne, kiedy nie ma na nich żadnych stróżów prawa.

- Gliniarze dostali, na co zasłużyli.

W tonie jego wypowiedzi było coś, co pokazywało zupełny brak współczucia dla zmarłych funkcjonariuszy i ich rodzin. Umykał mu chyba fakt, że niektórzy może faktycznie byli złymi ludźmi, ale mogli mieć małe dzieci albo współmałżonków, którzy teraz cierpią. Jej myśli natychmiast wrócili do Bertrama Cromwella.

- A Cromwell? On też na to zasłużył? – zapytała.

- Kto wie?

- Odpowiedź brzmi „nie” – warknęła. JD nagle wydał jej się bardzo odległy, jakby naprawdę nie słuchał. – Mam nadzieję, że szybko

złapią Bourbon Kida i posadzą go na elektrycznym krześle!

- Zamknij się na chwilę – powiedział JD, kręcąc pokrętkiem przy radiu, by zwiększyć głośność.

Beth dosłyszała końcówkę komunikatu Harry'ego Huntera dotyczącą nowych ustaleń w sprawie Bourbon Kida.

- Lokalna stacja telewizyjna otrzymała nagranie z poprzedniej nocy, na którym widać Bourbon Kida wchodzącego do komisariatu policji. Zachęcamy wszystkich do obejrzenia nagrania w telewizji lub na stronie internetowej naszego radia. Każdy, kto posiada informacje dotyczące jego pobytu, proszony jest o kontakt gorącą Bourbon- linią. Numer telefonu...

JD wyłączył radia, zanim Harry Hunter zdążył odczytać numer.

- Łał - powiedziała Beth. – Muszę to sprawdzić, kiedy wrócę do domu. Ciekawa jestem, jak wygląda.

- Pewnie jak każdy w tym mieście – odpowiedział JD. – Czarnobiałe nagranie to strata czasu.

- Być może. Ale i tak chcę zobaczyć twarz człowieka, który zamordował Cromwella.

JD wydawał się rozdarty. Potarł szczękę i odpowiedział dopiero po chwili.

- Wiesz co – powiedział. – Skoro straciłaś pracę, może wyniesiemy się z tego miejsca? Wyjedźmy dzisiaj. Teraz.

Beth zaskoczyła gwałtowność tej propozycji.

- Co? Mamy razem wyjechać z Santa Mondegi?

- Tak. Wróciłem tu tylko dla ciebie. Teraz nie masz tu żadnych zobowiązań, więc nic nie zabrania nam wyprowadzenia się stąd, zaczęcia nowego życia w zupełnie innym miejscu. Na przykład gdzieś, gdzie nie ma żadnych pieprzonych wampirów.

- Poważnie?

- Tak. Chyba że masz dobry powód, żeby zostać?

Beth podobał się ten pomysł. Opuszczenie Santa Mondegi oraz podróże po świecie i zwiedzanie wielu miejsc z JD było jej odległym marzeniem niecałe dwadzieścia cztery godziny temu, a teraz sen

mógł się zisnąć.

- A kiedy chciałbyś wyjechać? – zapytała.

- Najlepiej od razu.

- Byłoby cudownie, ale właściciele mieszkania, które wynajmuję, muszą być uprzedzeni cztery tygodnie przed wyprowadzką.

- Pieprzyć właścicieli. Nie zapłacisz im, jeśli będziesz w Nowym Meksyku.

- Jedziemy do Nowego Meksyku?

- Możemy. Możemy jechać gdziekolwiek zechcesz, skarbie. Wszędzie będzie lepiej niż tutaj.

- Racja.

JD zjechał na pobocze. Dojechali do bloku, w którym mieszkała Beth. JD zatrzymał samochód tuż przy wejściu i wyłączył silnik. Spojrzał na nią, na jego twarzy malowała się śmiertelna powaga.

- Tak. pakuj ubrania i niezbędne rzeczy, podjadę po ciebie za godzinę.

- Co będziesz robił?

- Dokończę kilka spraw i wrócę.

Nachylił się i złożył na jej ustach powolny, namiętny pocałunek, który podjął decyzję za nią.

- No, zanim się rozmyślę – powiedział.

- Jesteś pewny? Serio?

- Tak.

- Potrzebuję ponad godziny, żeby się spakować.

JD westchnął.

- Co takiego tam masz, czego będziesz potrzebowała w drodze? Większość rzeczy możesz zostawić. Zabierz tylko podstawowe rzeczy i to, bez czego nie możesz żyć.

Beth uśmiechnęła się i odwzajemniła pocałunek.

- Wydaje mi się, że większość mebli i tak należy do właścicieli albo jest niewiele warta.

- Świetnie – powiedział JD. – To jesteśmy umówieni. Zaraz zacznij się pakować. Nie ma czasu na kawę ani telewizję, jasne? Spakuj się, a



za godzinę znikamy.

- Dobrze. Godzina.

- Jeśli nie będziesz gotowa na czas, jadę bez ciebie.

Beth sięgnęła do kieszeni džinsów i wyjęła małą tkaninę, którą dał jej rano.

- Wciąż to mam, pamiętasz? – powiedziała z uśmiechem.

JD skupił wzrok na tkaninie. Jego twarz posmutniała. Ten wyraz twarzy szybko zniknął, zastąpiony przez uśmiech, ale Beth widziała go i wyczuła, że coś było nie tak.

- O co chodzi? – zapytała.

- Nic.

- Powinnam coś wiedzieć w związku z tym skrawkiem? Przez chwilę wydawałeś się jakiś smutny.

Uśmiechnął się.

- W porządku. To naprawdę głupstwo. Zrobił to dla mnie mój brat, Casper. Marnie radził sobie z czymkolwiek, więc był niesamowicie zadowolony, kiedy to zrobił.

Beth rozłożyła materiał i spojrzała na wyszyte inicjały JD. Lekka amatorszczyzna, ale świadomość, że miał wartość sentymentalną, dodawała mu uroku.

- Co u niego? – zapytała. – Nigdy go nie poznałam, prawda?

- Został zamordowany.

- O Boże! Przykro mi. Co się stało?

- Wolałbym nie mówić. Co do tego materiały, to jedyna rzecz, jaka udowadnia, że w ogóle istniał. Wszystko inne zniknęło. Nie mam żadnych zdjęć, nic.

Beth poczuła gułę w gardle, przytłoczona poczuciem winy, że w ogóle poruszyła temat.

- Bardzo mi przykro – powiedziała, niepewnie patrząc na tkaninę w rękach.

- W porządku – odparł JD. Pochylił się i pogładził ją po policzku. – Teraz wiesz, dlaczego zawsze do ciebie wrócę, jeśli będziesz miała tę szmatkę. Pamiętaj, żeby dobrze o nią dbać.

- Oczywiście.

- Dobrze. – Na chwilę zerknął w lusterko wsteczne, jakby dostrzegł coś za nimi. – A teraz idź. Pamiętaj, masz godzinę.

Beth otworzyła drzwi, żeby wyjść z samochodu.

- Będę gotowa – powiedziała, wsuwając materiał w powrotem do kieszeni.

Wyszła na śnieg i lód i zatrzasnęła za sobą drzwi. Wbiegła po stopniach prowadzących do bloku. W ciemniejszym powietrzu dłuższą chwilę patrzyła na budynek, w którym żyła ostatnie osiem miesięcy. Była to podniszczona, demotywuująca, sześciopiętrowa szara budowla. Gdy na jej twarz i ręce zaczął padać śnieg z gradem, zaczęła szperać w kieszeniach, szukając kluczy. Wyjęła je i uniosła, machając w kierunku samochodu JD, by pokazać, że znalazła i wchodzi do środka. Musiał to dostrzec, bo uruchomił silnik. Sekundę później patrzyła, jak jego V8 Interceptor wyjeżdża z osiedla i mknie drogą. Wsunęła klucz do zamka głównych drzwi i otworzyła je. W hałasie gradowych kulek uderzających o szyby ledwie usłyszała kliknięcie otwieranego zamka. Pchnęła drzwi i weszła do zimnego przedsionka.

Nie był to najbardziej przytulny ganeczek w okolicy. Podłoga była z twardego drewna, po prawej znajdowały się starodawne schody pokryte brudnym żółtym dywanem. Stopnie były strome, więc korzystała z nich niechętnie, zwłaszcza że mieszkała na czwartym piętrze. Więc mimo że niegodna zaufania stara winda na końcu korytarza była potencjalną śmiertelną pułapką, skierowała się w jej stronę i nacisnęła przycisk.

Po trzydziestu sekundach czekania, które nadgryzły pierwszą minutę jej godzinnego pakowania, winda podjechała i drzwi się rozsunęły. W środku znajdował się jeden z jej sąsiadów, starszy czarnoskóry mężczyzna Jerry Rockwell. Był starym śmierzącym zapitym emerytowanym gliniarzem w wieku siedemdziesięciu kilku lat, któremu codziennie udawało się wypić butelkę whisky i nigdy nie czuć się gorzej. Po prostu zawsze wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć. Miał niezdrową cerę, pasującą do szarych spodni i swetra w kolorze

mchu, które nosił. Beth lubiła pana Rockwella mimo jego wad, ponieważ zawsze był uprzejmy i pomocny, a jeśli do tego pił, zawsze miał dobry nastrój.

- Dzień dobry, panie Rockwell. Co u pana? – zapytała, przeczesując ręką włosy, by pozbyć się śniegu. Jego niechlujny wygląd uświadomił jej własny.

- W porządku, dziękuję, Brendo. Na zewnątrz wciąż pada?

- Mam na imię Beth.

- Nieważne. Wciąż pada?

- Obawiam się, że gorzej. Teraz sypie śniegiem i gradem.

Rockwell wyszedł z windy i minął Beth, idąc w górę korytarz. Miał trochę zachwianą równowagę. Patrzyła, jak stabilizuje się, przyciskając rękę do ściany i kierując się do głównych drzwi.

- Niech pan idzie ostrożnie, panie Rockwell – zawołała za nim. – Na dworze jest bardzo ślisko. Może lepiej byłoby, żeby został pan w domu.

- Muszę iść po whisky – odkrzyknął. – Cały rano czekałem, aż przestanie lać. Nie mogę dłużej czekać.

- Ale teraz nie pada, tylko sypie.

- Nieważne.

Beth zauważyła, że drzwi windy się zamykają i szybko wsunęła rękę w szczelinę, by się nie domknęły. Drzwi otworzyły się i weszła do środka. Nacisnęła przycisk na czwarte piętro i odwróciła się, patrząc na Rockwella zmierzającego powoli do drzwi. Gdy do nich dotarł, wyglądał, jakby miał się przewrócić, ale jakoś udało mu się chwycić klamki i powstrzymać upadek. Przekreślił klamkę i otworzył drzwi. Otworzyły się z zaskakującym impetem. Ktoś musiał mocno je pchnąć od zewnątrz. Drzwi uderzyły pana Rockwella mocno w twarz, posyłając go na ziemię. Beth już miała podbiec, by mu pomóc, gdy zobaczyła stojącego w progu mężczyznę, który pchnął drzwi..

Był istnym olbrzymem, przemokniętym z powodu pogody. Najbardziej charakterystyczną cechą był wysoki różowy irokez na środku wygolonej głowy. Przeszedłszy przez drzwi, spojrzął z góry na

leżącego na podłodze Jerry'ego Rockwella.

- W porządku, staruszkę? – zapytała ogromna postać.

Beth usłyszała odpowiedź Rockwella, która brzmiała jakoś jak „Walnąłem się w jaja.” Mężczyzna z różowymi włosami pochylił się, by pomóc Rockwellowi, ale nagle wyprostował się i złapał za nos.

- Jezu, cuchniesz – powiedział, odsuwając się od starca na podłodze.

Gdy drzwi windy zaczęły się zamykać, mężczyzna spojrzał na Beth. Ich oczy na sekundę się spotkały. Zdała sobie sprawę, że rozpoznaje w nim jednego z czterech wojskowych, których widziała w Tapiocie poprzedniej nocy. Sekundę później także w jego oczach pojawił się błysk rozpoznania. Ruszyła w kierunku windy. Zanim do niej dotarł, drzwi zamknęły się i winda ruszyła w górę.

Beth nie miała pojęcia, dlaczego ten człowiek był w jej bloku, ale nie lubiła go i ucieszyła się, że nie zdążył do windy, by jechać razem z nią.

# PIĘTNAŚCIE

**W**ażniak odłączył się od Dantego i Kacy niedługo po porannym spotkaniu w Casa de Ville. Mieli inne sprawy związane z przeprowadzką do Swampa. Powiedzieli mu, że ich ubrania wciąż były w hotelu, więc Ważniak zostawił ich i poszedł ze Szparą i Łosiem, by poszukać nowych członków dla swojego klanu. Niestety, ledwie zaczął, odebrał telefon wzywający go do biura wielkiego Ramzesa Gajusza. Powiedziano mu, że było to pilne i nie było czasu na przebieranie w garnitur ani nic ładnego, by zrobić na szefie dobre wrażenie. Wskoczył w dżinsy i czarną skórzaną kurtkę Cieni. Raczej nie zrobi tym wrażenia.

Przybył do biura Gajusza, wiedząc, że jego dni mogą już być policzone. Był głową klanu, do którego przeniknął Bourbon Kid. To na pewno nie zapewni mu przychylności wampirzego monarchy. Gajusz potrafił się wkurzyć, a Ważniak mógł na własnej skórze odczuć jego gniew. Miał nadzieję, że dostanie szansę wytłumaczenia się, zanim Gajusz wymierzy mu karę. Historia pokazywała, że były władca Egiptu był bezlitosnym zabójcą, który zazwyczaj nie dawał swoim ofiarom możliwości wymyślania wymówek przed śmiercią. Chodziły plotki, że potrafił pochłaniać i kontrolować źródła energii, dzięki którym mógł na przykład miotać prądem z dłoni. Ważniak miał nadzieję, że nie doświadczy pokazu tych zdolności na własnej skórze.

Przed gabinetem Gajusza stał wampir z klanu Pandy, dość przyzwoicie wyglądająca kobieta o atletycznej budowie ciała. Ważniak podszedł do niej i próbował wyglądać pewnie.

- Cześć. Zostałem przysłany do Ramzesa Gajusza – powiedział.

Mina dziewczyny z klanu Pandy nic nie zdradzała.

- Czeka na ciebie. Wejdz,

- Dzięki. – Wziął głęboki wdech. Zastanawiał się, czy wyglądał na

zdenerwowanego. Zanim dotknął klamki, wsunął dłoń do kieszeni kurtki i wyjął małe lusterko. Udawał, że sprawdza w nim swoje odbicie.

Dziewczyna Panda pokręciła głową.

- Dziwny jesteś – powiedziała, uśmiechając się zaczepnie.

Ważniak zignorował ją i wciąż patrzył w lusterko, pocierając bródkę i odgarniając ciemne falowane włosy za uszy. Wampiry nie odbijały się w lustrze, ale żart z lusterkiem zawsze działał na kobiety.

- Może zjemy kiedyś razem obiad? – zaproponował, mrugając do dziewczyny Pandy.

Pokręciła głową.

- Nie mogłabym chodzić z facetem, który nosi ze sobą lusterko. Jesteś strasznym gogusiem.

- Olej lusterko – powiedział Ważniak, próbując ukryć urazę. – To antyk, ręczna robota egipskiej wiedźmy- lekarki. Nie do zniszczenia. Nawet twoje ohydne odbicie go nie rozwali.

Dziewczyna westchnęła.

- Jeśli odetną ci tam głowę, poproszę o nie jako o pamiątkę. Włóż, dziwaku.

Wsunął lusterko z powrotem do kieszeni i sięgnął do klamki, dodając jeszcze coś, zanim ją przekręcił.

- Rozumiem, czemu masz czarne oczy.

W gabinecie Gajusz siedział za biurkiem w tym samym srebrnym garniturze, który miał na sobie w czasie porywającej mowy rano. I wciąż miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Jego oliwkowa skóra nie zdradzała, jakoby był jednym z nieumarłych. Żadna nocna istota nie miałaby tak zdrowo wyglądającej opalenizny. Może z wyjątkiem Ważniaka, który nigdy nie przejmował się nakładaniem cienkiej warstwy sztucznej opalenizny.

- Dzień dobry, panie Gajuszu – powiedział szarmancko, wchodząc do środka. Dziewczyna Panda pociągnęła za nim drzwi, zamykając je. Podskoczył z zaskoczenia.

- Usiądź, proszę – odparł Gajusz, wskazując na krzesło po drugiej

stronie biurka. Ważniak usiadł i zdjął okulary.

Gajusz oparł się na skórzanym krześle.

- Spieprzyłeś – powiedział.

- Wiem – Ważniak uniósł ręce w obronnym geście. – Ale jeśli...

- Normalnie już byś nie żył. Wiesz o tym, prawda?

- Spodziewałem się, że obudzę się z głową konia na poduszce.

- A nie łosia, dla odmiany?

- Hej, to tylko plotka!

Gajusz zdjął okulary i rzucił je na biurko. Ważniak próbował nie zostać przytąpanym na gapieniu się na jasnoniebieskie oko, które wyglądało dość dziwnie. Miał nadzieję, że Gajusz z powrotem założy okulary.

- Żyjesz, bo jakoś cię lubię. Tylko ty w tym mieście masz dziwniejsze oczy ode mnie – kontynuował Gajusz. – I o ile wiem, całkiem dobrze walczysz.

- Dziękuję.

- Ale Bourbon Kid ukrył się w twoim klanie.

Ważniak przytaknął.

- Tak, proszę pana. Mogę tylko przeprosić. Dobrze się wtopił. Właściwie był wampirem, a ponieważ nie wiedzieliśmy, jak wyglądał Kid, nie wiedzieliśmy, że to on.

Gajusz sięgnął pod biurko i podniósł coś z podłogi. Położył to na biurku przed Ważniakiem. Była to odcięta głowa. Ważniak ją rozpoznał.

- Czyja to głowa? – zapytał Gajusz.

Ważniak skrzywił się na widok odciętej głowy.

- Posłuszeństwa.

- Posłuszeństwa? – Gajusz nie wydawał się przekonany.

- Tak. Jest trochę poczochny, ale tatuaż CUNT na czole to oczywisty ślad. Niewielu ludzi takie ma.

Gajusz zmarszczył brwi.

- Więc czemu był przebrany za Bourbon Kida?

Ważniak wzruszył ramionami.

- Wiem wiedziałem, że był.

- Słyszałem, że Bourbon Kid był w twoim klanie używając imienia Déjr Vu.

- Tak gadają ludzie, ale ja nie widziałem go od wczorajszej rozróby. Myślałem, że to jego załatwiliście.

- Wszyscy myśleliśmy. Ale potwierdziłeś, że załatwiliśmy niewłaściwego gościa. Wiesz, gdzie mogę znaleźć Déjr Vu?

Ważniak pokręcił głową.

- Powiedziałbym, że odszedł. Sukinsyn wybił mi resztę klanu. Oprócz Szpaty, Łosia i dwóch nowych rekrutów, Dantego i Kacy.

- Co?

- Zostało mi tylko kilku członków klanu Cieni, a dwójka to nowicjusze.

- Powiedziałeś Dante i Kacy?

Ważniak wyczuł irytację w głosie Gajusza.

- Tak. Znasz ich?

- Te dwa matole powinny nie żyć. Jego imię miało być w Księdze Śmierci!

- Nie łapię. O czym ty mówisz?

- Dante Vittowi został przeze mnie wynajęty, żeby odnalazł mnicha, który krył się w jednym z klanów. Nawet nie jest wampirem. Wstrzyknąłem mu serum, żeby wmieszał się w klany. Jezu, Ważniak, w twoim klanie wszyscy się ukrywają. Naprawdę nie widzisz udawaczy? Jego dziewczyna nawet nie dostała serum, nie widziałeś, że nie jest wampirem?

Ważniak zmierzwił swoją bródkę.

- Dziwne – powiedział. – Na pewno są wampirami. Powiedzieli mi, że wczoraj w nocy pili krew Archiego Somersa.

Teraz to Gajusz wydawał się zaskoczony.

- Co?

- Też pomyślałem, że to dziwne. Powiedzieli, że znaleźli torebkę z nazwiskiem Archiego Somersa. Na komisariacie. Nie mam pojęcia,



skąd się tam wzięła.

Gajusz wstał od biurka. Miał morderczy wyraz twarzy.

- Wiesz, co zrobił mi Archie Somers, prawda? – warknął.

- Ee, poślubił twoją córkę wbrew twojej woli? – zasugerował Ważniak tak delikatnie, jak to tylko możliwe, wiedząc, że była to częściowo prawda.

- Archie Somers, wtedy jeszcze znany jako Armand Xavier, mnie zdradził. Odpowiada za moje zatrucie i mumifikację na setki lat w tym przeklętym grobowcu w muzeum.

- Och. Czyli nie dasz mu prezentu na Boże Narodzenie?

- Jasne że nie! Kiedy go zabito, ciężąca na mnie klątwa została złamana i wtedy mogłem uwolnić się z grobu w muzeum.

- Dobrze, że historia ma szczęśliwe zakończenie.

Gajusz zignorował ten komentarz i przez chwilę rozglądał się po pokoju, głęboko zamyślony.

- To ciekawe – powiedział wreszcie. – Przynajmniej nie wypili jego krwi ze Świętego Graala. Mam go w swoim gabinecie trofeów.

- Święty Graal? Poważnie?

- Tak, ale to nie twoja sprawa. Ważniejsze jest to, że nie sądziłem, że będę miał okazję zemścić się na Armandzie Xavierze. Ale ty twierdzisz, że jego krew krąży w żyłach Dantego Vittori i jego kurewskiej dziewczyny. Mam szansę na jakiś odwet. Zemstę za Xavierze, ale też na tych wkurzających dzieciakach. Gdzie teraz są?

- Powiedziałem, że powinni wprowadzić się ze mną do Swampa. Właśnie pojechali do hotelu, w którym mieszkali. Dziewczyna chciała zabrać czyste ubrania. Jak tylko się spakują, pojedą do Swampa. Mam ich tutaj wysłać?

Gajusz machnął zakazująco ręką.

- To nie będzie konieczne – powiedział. – Mam dla nich ciekawsze zadanie. Zdobądź ich zaufanie. Masz szansę na odkupienie swoich win, panie Ważniak. Może nawet zasłużysz na więcej niż tylko powrót na poprzednie stanowisko. Jeśli mi pomożesz, możesz znacząco awansować w wampirze hierarchii.

Ważniak od dawna nie miał okazji wspięcia się do szczytów kariery w organizacji Gajusza. Szansa na uzyskanie większej mocy i związanych z tym zysków była niesamowicie kusząca.

- Dobrze – powiedział, starając się powstrzymać szeroki uśmiech. – Co planujesz?

- Na razie się z nimi zabawię. Użyję twojego legendarnego uroku. Zrób, co tylko chcesz, ale spróbuj zwabić ich do Muzeum Sztuki i Historii w Santa Mondega. Przygotuję dla nich swój stary grób. Wtedy Armand Xavier i ta dwójka idiotów, w których żyje jego krew, posmakują, jak to jest tkwić w zamknięciu przez setki lat.

- Zmumifikujesz ich?

- Ciekawe, nie sądzisz?

Ważniak wreszcie pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

- Podoba mi się – powiedział. – Bardzo nikczemne.

- Dokładnie – powiedział Gajusz bardzo poważnym tonem. – Ale wiedz, że jeśli spieprzysz, jeśli mnie zawiedziesz, albo nawet jeśli uznam, że nie jesteś wart zachodu, rozerwę cię na strzępy i rozwieszę na ścianach tego twojego zawszonego klubu. To twoja ostatnia szansa, brodaty frajerze, a Diabeł już na ciebie czeka. Jasne?

- Kryształowo jasne, proszę pana. Nie zawiodę cię. Już się nie mogę doczekać.

- Dobrze. A teraz wypieprzaj z mojego gabinetu.

# SZESNAŚCIE

Beth wyszła z windy na czwartym piętrze bloku. Jej jednoosobowe mieszkanie znajdowało się na końcu korytarza. Skierowała się w jego stronę cichszym krokiem niż zwykle, serce biło jej z ekscytacji. Nowe życie z JD poza Santa Mondegą było od niej odległe o niecałą godzinę. W głowie kłębiły jej się myśli, co powinna spakować a co może zostawić. Rozpoczęcie życia z JD w odległym miejscu było snem, który – jak sądziła – nigdy się nie spełni. Wciąż pamiętała, jak cudownie się czuła osiemnaście lat wcześniej, kiedy pierwszy raz się pocałowali. Potem nastąpiło osiemnaście lat piekła, z których dziesięć spędziła w więzieniu za zabójstwo macochy. Sądy nie wzięły pod uwagę, że była to samoobrona. Macocha zaatakował ją nożem, fundując jej okropną bliznę jako wieczne memorandum, ale w ogólnym zamieszaniu uparła na nóż i sama podcięła sobie gardło.

Widok wojskowego z różowym irokezem wchodzącego do budynku zapalił jej w głowie czerwony alarm. Nie miała powodów, by podejrzewać, że przyszedł po nią, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że nie wiedziała, ilu wrogów narobił sobie JD przez osiemnaście lat rozłąki. Przez te kilka godzin, które razem spędzili, była tak szczęśliwa z jego powrotu, że nie śmiała zapytać, dlaczego zniknął na tak długo. Ani co robił. Do tego dochodziła niemal stuprocentowa pewność, że miał coś wspólnego z utratą przytomności ochroniarza Jamesa. Chyba popadała w paranoję.

Dotarła do pokoju i wsunęła klucz do zamka, chcąc jak najszybciej zniknąć z korytarza. Po kilku boleśnie długich sekundach udało jej się przekręcić klucz i drzwi się otworzyły. Wchodząc do pokoju, usłyszała głos z końca korytarza.

- Przepraszam panią. Szukam kogoś. Może mi pani pomóc?

To był ten potężny gość z różowym irokezem. Szedł żwawo w jej

kierunku z delikatnym uśmiechem na twarzy.

- Umm, oczywiście. Kogo pan szuka? – zapytała.

Mężczyzna nie odpowiedział natychmiast, tylko wciąż szedł do niej. Wreszcie, będąc kilka kroków od niej, odpowiedział:

- Beth Lansbury. To pani, mam rację?

Beth chciała wpaść do pokoju i zatrzaskać za sobą drzwi, ale była rozdarta psychicznie. Właściwie nie miała powodu, by bać się tego mężczyzny. Zachowywał się przyjacielsko, byli w powszechnie dostępnym korytarzu. Jeśli próbowałby zrobić coś dziwnego, zawsze mogła krzyknąć o pomoc.

- Um, tak. Jestem Beth Lansbury.

Mężczyzna zatrzymał się przed nią.

- Zwana też Psychiczną Beth? – zapytał z uśmiechem.

- Hm?

- Tak nazwał cię ten gruby barman z Tapioki.

- Och.

- Twierdził, że kogoś zabiłaś. To prawda?

- Umm, kim pan jest?

To przesłuchanie ją stresowało. Kim był ten facet? Czego od niej chciał? Był szantażystą? Czy po prostu kimś, kto słyszał na jej temat różne plotki?

- Boże, przepraszam. Nazywam się Silvinho – powiedział, wyciągając dłoń. – Nie chciałem niepokoić. Nie najlepiej zacząłem naszą znajomość, co?

Beth instynktownie wsunęła rękę w jego dłoń i pozwoliła mu potrząsnąć nią.

- Co mogę dla pana zrobić? – zapytała.

- Szukam JD. Jest tutaj?

Jeszcze nie puścił jej dłoni. Ale przestał nią potrząsać.

- JD? – zapytała w sposób, który, jak liczyła, nie zdradzał, czy go znała czy nie.

- Tak. Słyszałem, że go znasz. Jesteśmy starymi znajomymi. Jest tutaj?

- On tutaj nie mieszka.
- A wiesz, gdzie mogę go znaleźć?

Beth nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czy JD miał jakieś problemy z tym gościem? Czy głupio zrobi, jeśli przyzna się, że ma po nią podjechać na godzinę? Minęło kilka niepewnych sekund, zanim wymyśliła odpowiedź. A jeszcze nim skończyła mrużyć na początku jej udzielania, głos z głębi korytarza odpowiedział za nią.

- Tutaj jestem. – To był JD. Tak jak Silvinho wszedł po schodach i teraz szedł w ich stronę korytarzem.

Silvinho puścił rękę Beth i odwrócił się do niego twarzą.

- Ty jesteś JD? – zapytał.
- Tak. A ty kim jesteś? I co ty masz na łbie?

Silvinho wyprostował ramiona, gdy JD podchodził. Zniknęła otaczająca go sympatyczna aura. Przybrał agresywną pozycję.

- Skąd JD? – zapytał.

- Nie twój interes.

- Twoja dziewczyna wie, że twoją gębę pokazują teraz we wszystkich wiadomościach?

JD podszedł do Silvinho i zatrzymał się dwa jardy od niego. Odezwał się tak grobowym tonem, jakiego Beth jeszcze nie słyszała:

- Kto cię przysłał? – warknął.
- Bull.
- Pieprzysz.
- Nie, Bull Thompson.

Na dźwięk tego nazwiska obydwaj mężczyźni się poruszyli. Silvinho zrobił krok w przód i zamachnął się na twarz JD. Beth ze zdziwieniem patrzyła, jak JD robi unik i odpowiada mocnym ciosem prosto w mostek Silvinho. Potężny mężczyzna natychmiast kontrował ciosem, który trafił w czubek głowy JD. Uderzenie wytrąciło JD z równowagi i zatoczył się, niemal spadając z nóg.

Beth krzyknęła.

- PRZESTAŃCIE!

Wydawało się, że jej nie słyszeli. Skoczyli na siebie. Silvinho był

wyższy i bardziej muskularny. Miał ogromne bicepsy. Gdy JD wymierzył mu kolejny cios w żebra, ogromny facet złapał go za głowę i okręcił w powietrzu. Cisnął JD o ścianę. JD użył ściany jak trampoliny i rzucił się z powrotem na Silvinho, miotając nim o przeciwległą ścianę. Silvinho owinał potężne prawe ramię wokół szyi JD. zakręcił nim w koło i wydawało się, że z łatwością zmiażdży mu tchawicę. Beth myślała, co może zrobić. Pod łóżkiem w pokoju miała kij bejsbolowy, na wypadek włamania. Nie miała zamiaru go używać, ale może jeśli by go wzięła i odpowiednio pogroziła, Silvinho by odszedł.

Wpadła do mieszkania i przebiegła przez salon, w kierunku sypialni. Drzwi były zamknięte, ale szybko je otworzyła i zanurkowała na podłogę pod łóżkiem. Macała pod nim, dopóki nie natrafiła na drewniany kij. Chwyciła go za węższy koniec i wyciągnęła, natychmiast podrywając się z podłogi. Z powrotem przemknęła przez salon, nie do końca wiedząc, co powinna zrobić z kijem, kiedy już dobiegnie na korytarz. Dotarwszy na miejsce, zatrzymała się gwałtownie. Walka właściwie już się skończyła.

Silvinho wiedział na podłodze z plecami opartymi o ścianę naprzeciwko niej. Zamiast twarzy miał krwawą miazgę. Nad nim stał JD, w ręce trzymał długi nóż z kościaną rękojeścią i ostrym ostrzem wymierzonym w jego twarz.

- Kto cię nasłał, do cholery? – warknął do powalonego przeciwnika. Beth czuła, że na dźwięk tego głosu jeżą jej się włosy na karku. Ociekał grozą.

- Nic ci nie powiem – wykrztusił Silvinho. Krew ciekła mu z ust.

Scena przypominała Beth chwilę, gdy leżała na podłodze, a nad nią stała jej macocha z nożem, gotowa by zabić. Przeszły ją ciarki. Później JD zrobił coś, czego nigdy nie zapomniała. Pochylił się i wbił nóż prosto w gardło Silvinho. Dokładnie przez jabłko Adama.

Beth natychmiast zwymiotowała. Żołądek uniósł jej się do płuc, a wymiociny wyływały jej z ust. Opadła na kolana i obżygała całą podłogę wokół siebie. Przed oczami wciąż widziała moment, gdy

ostrze wchodziło w gardło Silvinho. Jak JD mógł zrobić coś takiego? Czy to naprawdę ten sam człowiek, za którym tęskniła osiemnaście lat? Ten zimnokrwisty zabójca?

Podnosząc się, spojrzała na niego. Wciąż gapił się na martwe ciało mężczyzny, którego właśnie zabił. Ostrze trzymał w ręce, obydwie dłonie miał zakrwawione.

- Coś ty zrobił? – wydyszała, czując w ustach smak wymiocin. – Zabiłeś go!

JD odwrócił się powoli. Na jego twarzy również była krew. Oddychał głęboko, klatka piersiowa wyraźnie się ruszała. Spojrzał na nią.

- Musimy natychmiast się stąd wynosić – powiedział tym swoim grobowym głosem. – Wytłumaczę ci w drodze.

Beth pokręciła głową z niedowierzaniem i z otwartymi ustami patrzyła na trupa na korytarzu.

- Zadźgałeś go – mruknęła. – Dźgnąłeś go w gardło. – Podniosła głos. – Dlaczego? Nie mógł się bronić.

- Ty też dźgnęłaś macochę, prawda?

Beth przełknęła ślinę, ponownie czując smak wymiocin.

- Co?

- Dźgnęłaś, prawda?

- W samoobronie! – Była zła na JD. To nie był człowiek, którego myślała, że znała. Jak mógł zrobić to, co właśnie zrobił? I zupełnie się tym nie przejmować?

- Zrobiłem to dla ciebie – powiedział.

- Nie prosiłam o to.

- Zabiłby nas oboje.

- Tego nie wiesz.

- Nie miałbym szansy się dowiedzieć. Musiał umrzeć.

Beth ponownie spojrzała na ciało Silvinho.

- Zrobiłeś to bez mrugnięcia okiem – powiedziała.

JD przytaknął.

- Tak. Kiedyś mogłbym zabić go jednym ciosem. Tym zarabiałem

krocie. Ale już nie jestem zabójcą. To była samoobrona.

- Już nie? Zabijałeś wcześniej?

- Tak. To długa historia.

- Kogo wcześniej zabiłeś?

JD pochylił się i wytarł krew z ostrza o koszulkę Silvinho.

- Głównie wampiry – odpowiedział. – I kilka wilkołaków. Kilka zombie. I kilku wkurzających mnie ludzi. Ale to już przeszłość. Już nie zabijam.

Beth zaskoczyło jego bezstresowe podejście do zabijania. Jego przyznanie się do zabójstw pozbawione było skruchy.

- Dlaczego zabijałeś? Byłeś płatnym mordercą czy co?

- Nie, nic z tych rzeczy.

Beth wskazał na Silvinho.

- Więc dlaczego on mówił, że twoja twarz jest w wiadomościach? – Ledwie zadała to pytanie, odpowiedź stała się jasna. – O mój Boże, ty jesteś...

- Już nie.

- Jesteś... - nie mogła zmusić się, by powiedzieć to głośno.

JD wzruszył ramionami.

- Nie przesadzaj – powiedział. – Ale tak, byłem...

Beth pokręciła głową.

- Nie.

- Tak.

- Nie. Nie możesz.

- To nic takiego. Już taki nie jestem.

- Jesteś Bourbon Kidem. Zabiłeś Bertrama Cromwella!

- Nie - JD podszedł do niej, wciąż trzymając oczyszczony nóż.

Beth uniosła kij bejsbolowy z geście samoobrony.

- Gdzie byłeś dziś rano? Kiedy się obudziłam, a Ciebie nie było? Powiedziałeś, że poszedłeś się przewietrzyć. Gdzie poszedłeś?

- Na spacer.

- Boże, poszedłeś zabić Cromwella, prawda? Dlatego chcesz wyjechać z miasta, prawda? Twoja twarz jest w wiadomościach.



Chciałaś, żebym z tobą wyjechała, zanim dowiem się, kim naprawdę jesteś.

Jego głos nagle wrócił do normalnego, spokojniejszego tonu.

- Beth, odłóż kij. Chodź, musimy iść. Jeśli ten gość cię śledził, zaraz przyjdą kolejni. Znajdą cię i zabiją.

Cofnęła się, unosząc kij, by utrzymać go na dystans.

- Nie jesteś człowiekiem, za którego cię miałam. – Jeszcze raz spojrzała na martwego Silvinho. – Nie sądzę, żebym chciała mieć z tobą do czynienia. Co się stanie, jeśli się pokłócimy? Mi też poderżniesz gardło?

- Proszę, nie gądz głupia. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Skończyłem z zabijaniem. Ten gość był tylko wyjątkiem.

Wzięła głęboki wdech.

- Ale to ty go zaatakowałaś. On nic mi nie robił. Po prostu pytał mnie, gdzie jesteś.

JD tracił cierpliwość.

- Proszę się – prychnął. – Nie bądź naiwna. Spójrz na niego. Kiedy tylko się go widzi, wiadomo, że nadchodzą kłopoty.

Beth pokręciła głową.

- Spójrz na siebie – powiedziała. Jego twarz pokryta była rozbryzgami krwi, podobnie jak dłonie i koszulka. Do tego trzymał nóż. W każdym calu wyglądał jak seryjny zabójca, o którym słyszała w wiadomościach.

Na zewnątrz dudnienie gradu i śniegu zostało zagłuszone przez przenikliwe wycie policyjnej syreny.

JD wyciągnął rękę do Beth.

- Chodź. Musimy uciekać. Zaraz będą tu gliny.

Cofnęła się z przerażeniem.

- Nie ucieknę znowu z miejsca zbrodni. A na pewno nie z tobą. Jak mogłeś to zrobić?

Zrobił krok w jej stronę, wciąż z wyciągniętą ręką. Cofnęła się za drzwi mieszkania.

- Nie zbliżaj się do mnie. Nigdzie z tobą nie jadę.

- Zaraz będą tu pieprzeni gliniarze. Musimy iść! Chodź!

Beth jeszcze raz pokręciła głową.

- Wszystko zniszczyłeś. – Sięgnęła do kieszeni dzinsów i wyjęła kawałek materiału, który dał jej wcześniej. Rzuciła go na podłogę u jego stóp. – Możesz sobie to wziąć – powiedziała. – Nie chcę, żebyś myślał, że musisz do mnie wrócić. Żegnaj, Jack.

Gdy spojrział na materiał u stóp, weszła do mieszkania i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Sekundę później zapukał w drzwi i krzyknął:

- Beth, przemyśl to! Połowa glin z tego miasta to wampiry, a reszta to frajerzy. Wiesz o tym. I znasz mnie.

- Wcale nie!

Słyszała, że wzdycha z frustracją, po czym odezwał się znowu, spokojniejszym głosem.

- Słuchaj, spakuję się i wrócę za godzinę. Tak jak planowaliśmy. Masz godzinę do namysłu. Moja twarz jest w wiadomościach. Muszę wyjechać z miasta, z tobą albo bez.

Beth czuła łyzy ciekące jej po policzkach. Czekwała na niego tyle lat, na próżno. Straciła osiemnaście lat, wierząc, że chłopak poznany na halloweenowym balu był jej pokrewną duszą. Była zauroczona kimś, o kim nic nie wiedziała. Ten ktoś okazał się Bourbon Kidem, seryjnym mordercą i bezwzględnym zabójcą niewinnych ludzi.

- Odejdź, Jack – powiedziała, łkając. – I nie wracaj za godzinę. Nie zmienię zdania. Nie chcę cię więcej widzieć.

# SIEDEMNAŚCIE

Minęła godzina, odkąd Flake i Sanchez usmażyli Ulrikę Price w szatni pod komisariatem. Flake zabrała Księgę bez tytułu z powrotem do recepcji i ukryła ją w szufladzie biurka. Zgodzili się, że nie powinni mówić Danowi Harkerowi ani nikomu innemu o tym, co się wydarzyło. W końcu, praktycznie rzecz biorąc, właśnie zamordowali Ulrikę Price. Nie było świadków i na szczęście nie było też ciała. Mimo wszystko ani Sanchez ani Flake nie chcieli być znani w mieście jako ci, którzy zabili wampira, do tego prawdopodobnie wysoko postawionego w hierarchii nieumarłych.

Sanchez został na dole w szatni i dołożył starań, by zetrzeć wszystkie ślady. Jeśli jego zdolności sprzątacza były tak dobre, jak uważał, żaden policjant nigdy nie dowie się, co się stało. Zdawał sobie sprawę, że wampiry przeniknęły do policji, więc zachowanie dyskrecji w sprawie Ulriki były bardzo istotne. Chociaż niewielu policjantów jeszcze żyło, o ile było mu wiadomo. Ci którzy nie byli na ulicach, zajmując się demonstrowaniem, że policja wciąż działała w mieście, siedzieli na wyższych piętrach zajęci pracą papierkową. Prawdę mówiąc, Sanchez podejrzewał, że gdzieś na górze znajdują się darmowe pączki i reszta policyjnych sił radośnie się nimi opycha.

Gdy tylko skończył zmywać krew i gówno z windy, pojawił się kapitan Harker. Zszedł do szatni schodami i rzucił do Sancheza czarną folię z ubraniami. Uderzyła go w pierś i wylądowała na podłodze przed windą.

- Twój mundur, Sanchez – powiedział Harker. – Masz dość nietypowe wymiary, więc dopóki nie ściągniemy czegoś szytego na miarę, musisz radzić sobie z tym.

- Dzięki – powiedział Sanchez, zastanawiając się, co znajdzie w torbie.

Harker wszedł do windy.

- Dobrze sobie poradziłeś – powiedział, szukając na ścianach śladów krwawej jatki z poprzedniej nocy. Usatysfakcjonowany, że wszystko było wyczyszczone, wepchnął Sancheza do szatni. – Wkładaj mundur, za chwilę spotkamy się w recepcji – powiedział, naciskając przycisk na klawiaturze. Drzwi zamknęły się za nim i Sanchez został w szatni tylko z czarną folią z nowym strojem stróża prawa.

Otworzył opakowanie, spodziewając się czegoś zupełnie innego od tego, co nosili pozostali funkcjonariusze. Miał rację. Dla większości ludzi byłoby to inne, ale nie dla Sancheza. Nie mógł się doczekać, żeby sprawdzić, jak wyglądał.

Był to beżowy wtrój oficera drogówki z autostrady, do tego pasująca czapka i latarka. Spodnie były trochę za ciasne i groziły pęknięciem na tyłku, jeśli zbyt szybko się schyli, ale i tak wyglądały świetnie. Koszula również była przyciasna i trochę za bardzo, jak na jego gust, widać było przez nie sutki, ale w połączeniu z odznaką Autostradowej Policji na prawej piersi wyglądała super. Czapka ściśle przylegała do jego głowy, co go ucieszyło, ale najlepszą częścią munduru były bezapelacyjnie ciemne lustrzanki. Mimo że był w budynku, a na zewnątrz było pochmurno i śnieżnie, Sanchez zamierzał mieć je na nosie cały czas.

Po kilku minutach przechadzania się po szatni i cytowania kwestii z Brudnego Harry'ego, przywołał windę i wszedł do środka. Gdy winda jechała na parter, sprawdził swoje odbicie w lustrze na tylnej ścianie. Wyglądał jak przykładowy glina.

Gdy drzwi się rozsunęły, zobaczył, że nie tylko on ma nowy strój. Flake stała do niego tyłem i nachylała się nad kontuarem, sięgając po coś. Miała na sobie typowy niebieski mundur policyjny. Na nią również był obcisły, ale w pozytywnym aspekcie. Pasował lepiej niż ten Sancheza. Szczerze mówiąc, jej uniesiony tyłek podkreślał, że była w całkiem dobrej kondycji. Świetne nogi, świetny tyłek. Ogólnie, super sztuka.

Wytoczył się z windy, a idąc w jej stronę, stukał latarką w nogę. To uprzedziło Flake o jego obecności. Odwróciła się, zasuważąc dolną szufladę biurka kopnięciem prawej stopy w czarnych butach na obcasach.

- Popatrz na siebie! – powiedziała z uśmiechem. – Wyglądasz jak Poncharello z telewizji. Jak to się nazywa?

- CHiPs!

- No właśnie. Erik Estrada się do niebie nie umywa!

Sanchez wzruszył ramionami.

- Wiem. A ty wyglądasz jak Heather Locklear z T.J. Hookera.

Twarz Flake się rozpromieniła.

- Tak sądzisz?

- Tak. Twój zwykły strój kelnerki cię ogranicza. Wyglądasz seksownie!

Komplement trafił na podatny grunt, ponieważ twarz Flake ponownie pojaśniała.

- Wiesz – powiedziała sucho – jakbyś zdjął okulary, wiedziałabym, czy sobie żartujesz czy nie.

- Dlatego ich nie zdejmuję.

Nagle dotarło do niego, że flirtują. Jak to się stało? Flake była całkiem zgrabna (zwłaszcza w tym mundurze), więc dlaczego flirtowała z nim? Zgrabne kobiety nigdy tego nie robiły, chyba że chciały dostać darmowego drinka w Tapiocce. Dziwne. Stwierdził, że musi zwrócić na nią baczniejszą uwagę. Zwłaszcza na jej tyłek.

Jakby podejrzewając, że zastanawia się nad położeniem Księgi bez tytułu, Flake kopnęła dolną szufladę biurka.

- Książka jest tutaj – powiedziała. – Później rozpytam, czy w wampirzych legendach mówi się o jakiejś magicznej księdze albo czymś takim. W Internecie poszperam, może znajdę autora.

- Powodzenia – powiedział Sanchez. – Chyba prędzej dowiedziałabyś się, kto napisał Biblię.

- Ale warto spróbować – powiedziała Flake.

Sanchez ledwie ją słyszał. Coś innego zwróciło jego uwagę. Coś

dużo ważniejszego. Przez szklane drzwi na komisariat ktoś wszedł. Była to znana mu dama. Kobieta jego snów.

Jessica.

Miała na sobie czarny strój kocicy i wyglądała tak seksownie jak zwykle. Jej ciemne włosy lśniły zdrowo, a mlecznobiała skóra wyglądała na miękką jak jedwab. Sanchez bał się, że więcej jej nie zobaczy po tym, jak zniknęła z wolnego pokoju nad Tapioką. Chciał bezpiecznie zatrzymać ją tam na całe miesiące, podczas których będzie się nią opiekował. A potem nagle zniknęła, gdy był na zakupach. Poczuł ulgę, widząc ją ponownie w całości. Cieszył się tym bardziej, że miał na sobie świetny mundur autostradowego policjanta. Gdyby jeszcze miał pod ręką motocykl, żadna kobieta by mu się nie oparła.

- Jessica – powiedział nonszalancko. – Gdzie byłaś? Martwiłem się. Myślałem, że Bourbon Kid znowu cię dorwał.

Nie rozpoznała go od razu, ale wyczuł, że skojarzyła jego głos. I uśmiechnęła się. Dobry znak. Podeszła do niego z typowym seksownym kołysaniem.

- Witam, Pączk- a- rello – powiedziała, poklepując go po brzuchu. – Jak leci?

- Świetnie – odpowiedział Sanchez. – A jak twoja pamięć? Znowu masz amnezję? Może pamiętasz, dość się do siebie zbliżyliśmy.

Uśmiechnęła się.

- Z moją pamięcią w porządku. Jak mogłabym cię zapomnieć, Sanchez? Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłeś?

Dobry znak. Istniała szansa, że znowu była sama. Jej poprzedni ukochany Jefe został zabity wtedy, gdy pierwszy raz się spotkali, więc może wreszcie nadchodziła dla Sancheza szansa na romans.

- Przyszłaś się ze mną zobaczyć? – zapytał.

- Właściwie przyszłam zgłosić kradzież.

Zza Sancheza odezwała się Flake:

- Mogę pomóc. Proszę usiąść.

Jessica minęła Sancheza i usiadła naprzeciw Flake przy kontuarze

recepcji.

- Kim jesteś, buziaczku? – zapytała.

- Oficer Munroe – odpowiedziała Flake oficjalnym tonem. – A pani?

Sanchez odpowiedział za Jessicę.

- Jessica Xavier – rzekł.

Jessica odwróciła głowę i spojrzała na niego podejrzliwie.

- Skąd znasz moje nazwisko? – zapytała.

Dobre pytanie. Sanchez wynajął Ricka z Ole Au Lait, by wypytał znajomych w mediach. Lepiej jednak się do tego nie przyznawać.

- Mówisz we śnie – odpowiedział, czując ulgę, że ma na nosie okulary, dzięki czemu nie widziała jego zdradliwych oczu.

Flake wpisywała jej dane do komputera. Usłyszawszy, że Jessica mówi przez sen, podniosła oczy.

- Spaliście razem? – zapytała.

Jessica uśmiechnęła się do Flake.

- O tak, dużo razy. Sanchez to prawdziwe zwierzę w łóżko. Nie wiedziałaś?

- Nie.

Sanchez zmarszczył brwi. Nigdy nie spał z Jessicą. Może ona myślała, że to zrobili? Wyraźnie chciała zdeklasować go w oczach Flake. Może to znaczyło, że się nim interesowała? Może jeśli myślała, że już ze sobą spali, miał u niej szansę.

- Wróćmy do tematu – powiedział pojednawczo.

- Dobra – mruknęła Flake, ale nie wydawała się przekonana. – Więc pani Xavier, kradzież czego chciała pani zgłosić?

- Książki.

Sancheza coś tknęło, gdy usłyszał, że skradziono kolejną książkę. Szybko się wtrącił.

- Jaki tytuł? – zapytał.

Jessica skupiła wzrok na Flake, która wciąż stukała w klawiaturę.

- Księga śmierci – odpowiedziała.

To zaskoczyło Sancheza. Jessica szukała tej samej książki co Ulrika

Prince. Tej samej którą Sanchez własnoręcznie ukradł, a później dał Rickowi, by oddał do biblioteki. Dlaczego Jessica zgłaszała jej kradzież?

Flake zachowała spokój i nie zdradzała, jakoby wiedziała o tym, że Ulrika już zgłaszała zaginięcie książki. I że zmienili Ulrikę w proch i pył, których resztki leżały teraz w koszu.

- Wie pani, skąd została skradziona? – zapytała Flake.

- Z tutejszej biblioteki.

Flake postukała w klawiaturę, po czym zapytała.

- Pracujesz tam?

- Nie;

- Była to twoja książka?

- Tak.

- Więc czemu była w bibliotece?

- Ponieważ lubiłam ją tam trzymać.

Flake wydawała się zaskoczona.

- Pytałaś o to bibliotekarkę? – zapytała.

- Główna bibliotekarka to dziwka.

Sanchez przytaknął.

- Racja. Słusznie ją określiłaś.

Jessica obróciła się na krześle.

- Co masz na myśli? Widziałeś ją?

- Umm, cóż, wiesz...

Flake wciąła się, ratując go.

- Chodzi mu o to, że spotykali się kiedyś.

Jessica zwróciła się do Flake. Sanchez zmarszczył brwi. O czym gadała Flake? Jessica też nie wydawała się przekonana.

- Co takego? – zapytała, patrząc na Flake.

Flake wzruszyła ramionami.

- No, znasz Sancheza. Prawdziwy kobieciarz. Poznał Ulrikę i po prostu go wciągnęło. Ale później zaczęła szaleć, więc ją rzucił. Czyż nie, Sanchez?

Sanchez przytaknął.



- Jak mówiłem, była dziwką. Dobrze ją podsumowałeś.

Jessica spojrzała na nich podejrzliwie.

- Dobra – powiedziała. – Ale jeśli ją zobaczycie, chciałabym o tym wiedzieć. Może mieć książkę, której szukam.

- Oczywiście – odparła Flake. – Powiesz, jak wygląda ta książka?

- Duża, czarna, w grubej oprawie.

- Tyle? Po prostu czarna?

- O ile wiem. Nigdy jej nie widziałam.

Flake nic nie rozumiała.

- Jak to nigdy jej nie widziałas? Myślałam, że to twoja książka. Chyba wiesz, jak wygląda twoja książka?

- To właściwie książka mojego ojca. Rodzinne dziedzictwo, które kiedyś będzie moje.

Flake przestała stukać w klawiaturę i zacisnęła usta, pomyślała chwilę i odpowiedziała:

- Cóż, panno Xavier, nie chcę być nieuprzejma, ale skoro to tylko książka z czarną okładką, której nigdy nie widziałas, nie byłoby łatwiej pójść do sklepu i zamówić nowy egzemplarz?

- To wykluczone. Wydano tylko jedną kopię.

- Na pewno?

- Jestem pewna – w głosie Jessiki pobrzmięła poważna irytacja.

Sanchez próbował ułagodzić sytuację.

- Może jest dostępna w wersji Kindle? – zasugerował.

- NIE MA JEJ W PIEPRZONEJ WERSJI KINDLE! – warknęła Jessica.

- Ale chyba nie zaszkodzi spróbować? – zaproponował Sanchez.

Jessica wzięła głęboki wdech.

- To ręcznie pisana książka. Ma całe wieki. I jest warta mnóstwo pieniędzy. Przynajmniej dla mnie. To tak dla waszej informacji, ponieważ oferuję pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody za jej zwrot.

Oczy Sanchez zalsniły.

- Pięćdziesiąt tysięcy?

- Tak. Pięćdziesiąt tysięcy.

- Skąd weźmiesz tyle pieniędzy?

- Mój ojciec jest bogatym człowiekiem – odpowiedziała Jessica, a w jej głosie słychać było irytację wywołaną tyloma pytaniami. – Jeśli zdobędziecie książkę, przynieście ją do mnie. Będę w nowym domu ojca, na obrzeżach miasta.

Flake ponownie uderzyła w klawiaturę.

- Możesz podać adres? – zapytała.

- Jasne. Casa De Ville.

Sanchez się cofnął. W Casa De Ville mieszkał El Santino, niedawno zmarły król zbrodni z Santa Mondegi. Było to nieprzyjemne miejsce. Z zewnątrz wyglądało strasznie. Był to właściwie zamek. Ktokolwiek mógł pozwolić sobie na mieszkanie tam, musiał mieć mnóstwo kasy. Naprawdę mnóstwo.

Zanim zdążył to powiedzieć, usłyszał otwieranie drzwi za sobą. Kapitan Harker wszedł przez drzwi na tyłach recepcji. W prawej ręce trzymał mały skrawek papieru. Podeszedł prosto do Sancheza.

- Sanchez, mam dla ciebie robotę.

- Co?

- Na ulicy pięćdziesiątej czwartej było morderstwo. Karetka już tam jest. Mieszkańcy twierdzą, że narzeczony kobiety z mieszkania 406 poderzał jakiemś gościowi gardło. Musisz przepytac kobietę z czterysta szóstki. Dowiedz się, kim jest jej chłopak, dlaczego zabił tamtego i spróbuj wy badać, gdzie poszedł. Kobieta nazywa się Beth Lansbury. Dasz radę? Przynieść mi coś użytecznego?

Sanchez wzruszył ramionami.

- Tak, myślę że tak. Psychiczna Beth, tak? Kto by przypuszczał, że ma chłopaka?

- Nie ja – odparł Harker, dając Sanchezowi mały skrawek papieru i pęk kluczy z kieszeni. – To kluczyki do służbowego wozu, numer siedem. Stoi za budynkiem. A adres masz na kartce. Jeśli w okolicy będą kręcić się jacyś dzielnicowi, podeślę ich tam i przejmą sprawę od ciebie.

Sanchez wziął kartkę i spojrzał na szczegóły.

- Wiemy, kim była ofiara? – zapytał.

Harker pokręcił głową.

- Nikt stąd. Jakiś facet z różowym irokezem. Pewnie jakiś narkoman.

Zza Harkera wyłoniła się Jessica.

- Powiedział pan, że miał różowego irokeza? – zapytała.

- Tak. Dziwne, co?

- Jak się nazywał? – zapytała Jessica.

Harker zmarszczył brwi, próbując sobie przypomnieć.

- Lekarz mówili, że nazywał się Silver czy jakoś tak.

- Silvinho?

- Tak, dokładnie. Znasz go?

- Znałam. – Jessica wstała z krzesła. – Niełatwy przeciwnik.

Niewielu ludzi byłoby w stanie podejść na tyle blisko, żeby podciąć mu gardło.

- Ale ktoś to zrobił- powiedział Harker.

Jessica minęła go i wzięła kartkę z ręki Sancheza.

- Dobra – powiedziała. – Jadę z tobą, Sanchez. Chciałabym osobiście poznać Beth Lansbury.

Sanchez nie mógł uwierzyć we własne szczęście. To był oczywisty znak, że Jessica chciała się z nim spotykać. To musiało mieć coś wspólnego z mundurem. Za mundurem panny sznurem, pomyślał. Jeden dzień był policjantem, a już zabierał Jessicę na przejażdżkę. Zapowiadała się grubsza sprawa.

# OSIEMNAŚCIE

**S**anchez nigdy wcześniej nie prowadził policyjnego wozu. Kilka razy jechał z tyłu, ale zajmowanie się syrenami i błyskającymi niebieskimi światłami było cudowne. Siedząca z nim Jessica tylko polepszała sytuację.

- Hej, Jessica, patrz – powiedział, zwalniając niemal do zera na szczególnie oblodzonej ulicy. Pokierował w stronę chodnika, na którym starsza kobieta z laską z trudem utrzymywała się na nogach, próbując przedrzeć przez śnieg. Gdy samochód był ledwie parę jardów od niej, Sanchez przesunął włącznik na pulpicie i włączył syrenę. Ryknęła ogłuszająco, a staruszka podskoczyła ze zdziwienia. Poślizgnęła się na lodzie i upadła w tył, lądując na plecach i krzycząc z bólu. Sanchez wyłączył syrenę i ponownie przyspieszył. Zerknął na Jessicę, która na fotelu pasażera kręciła potępieńczo głową.

- Zabawne, nie? – zapytał.

- Prześmieszne. Możemy już jechać na miejsce zbrodni?

- Tak, dobry pomysł. Krzyknij, jeśli wypatrzysz jeszcze jakiś staruszków. Albo małe dzieci. Albo chociaż koty.

Jessica westchnęła głęboko.

- Wiesz co, Sanchez, w takich chwilach jak ta zastanawiam się, jakim cudem wciąż jesteś singlem. Powinieneś mieć branie.

- No cóż – powiedział, prostując okulary przeciwsłoneczne. – Opiekowałem się tobą przez kilka miesięcy i nie miałem czasu dla nikogo innego.

- To niedobrze.

- Powiem ci, co jest jeszcze gorsze. Wiedziałaś, że trój stary chłopak Jefe został zastrzelony w czasie zaćmienia w zeszłym roku?

- Och, poważnie?

- Tak, pewnie jest rozczarowany twoją niewiedzą.

- Nie może być, skoro nie żyje.

- Ja bym był.

- Nieważne.

Jessica nie wydawała się przejęta śmiercią Jefego. Do tego prowadzi leżenie w ciężkiej chorobie przez kilka miesięcy, pomyślał Sanchez. Miał okazję, by poruszyć swoją kwestię.

- A skoro Jefe nie żyje, czy to znaczy, że też jesteś singielką? Może umówimy się na randkę?

Jessica spojrzała przez okno po stronie pasażera.

- Możemy pomówić o czymś innym? – zapytała.

- Jeśli chcesz.

Sanchez docisnął hamulce, gdy dojechali na czerwone światło. Samochód ślizgnął kilka razy, zanim wreszcie zatrzymał się przed światłami. Spojrzał na Jessicę. Wciąż patrzyła na śnieg za oknem.

- Jestem ciekawy, jak będzie wyglądało miejsce zbrodni – zagaił.

- Pewnie krwisto – odpowiedziała Jessica. – Jeśli to faktycznie Silvinho, którego znam, będzie niezły burdel. Nie jest głupi. Niewielu ludzi w tym mieście byłoby w stanie go zabić.

Światło zmieniło się na zielone i Sanchez ruszył, tym razem jadąc trochę ostrożniej.

- Skąd znasz tego Silvinho? – zapytał. – I kto chciałby go zabić?

- Bourbon Kid.

- Tak myślisz?

- Tak - Jessica wskazała na drogę przed nimi. – Już prawie jesteśmy. Widzę karetkę przed budynkiem. To musi być tu.

Sanchez spojrzał w miejsce wskazywane przez Jessicę. Faktycznie, jakieś sto jardów przed nimi stał ambulans z niebieskimi kogutami. Na ulicy przed budynkiem zebrał się tłum ludzi, mimo że sypało.

- Gdzie mam zaparkować, do diabła? – głośno mruknął Sanchez, szukając miejsca.

- Tam – odpowiedziała Jessica, wskazując na miejsce po drugiej stronie ulicy niż karetka.

- Dobre miejsce – powiedział Sanchez. – Tuż przed Brudnym

Pączkiem.

Zjechał na pobocze i mimo że trochę wyjechał przednim kołem na chodnik, idealnie zmieścił się w wolne miejsce.

Jessica szybko otworzył drzwi po stronie pasażera.

- Może kupisz nam pączki? – zaproponowała, wychodząc. – Ja idę do mieszkania Beth Lansbury, upewnię się, że jest bezpiecznie. Może zobaczysz uciekającego zabójcę, kiedy będziesz kupował pączki.

- Świetny pomysł – powiedział Sanchez, zadowolony, że to od niej wyszła ta propozycja. – Chcesz jakiegoś konkretnego pączka?

- Zaskocz mnie.

Sanchez wyszedł z auta, wdzięczny czapce, która chroniła go przed śniegiem, którzy przynajmniej zaczynał ustawać. Zanim wszedł na chodnik, Jessica zniknęła. Najwyraźniej nie lubiła przebywać na zewnątrz przy zimnej pogodzie.

Wokół ambulansu przez Wieżę Remingtona zebrał się spory tłum, ale nigdzie nie było widać medyków. Przy ulicy zaparkował jeszcze jeden radiowóz, co Sanchez przyjął z ulgą. To znaczyło, że nie był pierwszym funkcjonariuszem na miejscu zbrodni i nie będzie miał okazji spieprzenia sprawy. Ale, co ważniejsze, musiał sprawdzić, na ile pączków może sobie pozwolić.

Gość w sklepie wyglądał na takiego, który nie odmówi pączka czy dwóch. Ani piwa i pizzy. Był to niski, okrągły typ z kręconymi brązowymi włosami. Jego poplamiona biała koszulka z napisem BRUDNY PĄCZEK była tak obcisła, że wydawała się wytatuowana. Gość wyraźnie przejadał swoje zyski.

- Macie jakąś ofertę specjalną? – zapytał Sanchez, podchodząc do lady.

- Polecam Wybór i Mieszankę Tłuszczka – zaproponował mężczyzna.

- A co to?

- Pudełko z dziesięcioma wybranymi pączkami. Tylko pięć baksów.

- Prawdziwe pączkowe niebo. Poproszę jedno.

Sanchez spędził około pięciu minut na wybieraniu pączków.

Wybór był zaskakujący. Tak duży, że kupił dwa pudełka – jedno do zabrania na miejsce zbrodni, a drugie do wetknięcia pod siedzenie w radiowozie, na później.

Zanim schował zapasowe pudełko pod fotel i przeszedł przez ulicę, zmierzając do tłumu gapiów stojących przed Wieżą Remingtona, przestało sypać. Jessica nie wróciła na dół, medycy też nie znieśli żadnego ciała.

- Proszę się odsunąć. Policjant chce przejść – powiedział, wyciągając wolną ręką latarkę i rozsuwając nią ludzi, by dojść przed budynek. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. By nie zniszczyć żadnego pączka, wszedł w nie tyłem i otworzył, uderzając pośladkami.

Będąc w środku, kopniakiem zamknął drzwi, żeby nikt inny nie wszedł. Korytarz był niewiele cieplejszy niż wiatr na zewnątrz. Zawszony blok! pomyślał. Wsunął latarkę za pasek i otworzył pudełko pączków. Wyjął pierścień z różową polewą i wziął spory kęs. Był równie pyszny, na jaki wyglądał. Kolejny wybór: schody czy winda? Przypomniawszy sobie smród windy na komisariacie i stwierdził, że schody będą lepsze. No i schody zajmą mu więcej czasu, więc zanim dojdzie na czwarte piętro, zdąży zjeść jeszcze ze dwa pączki. Może nawet trzy.

Kiedy wreszcie dotarł na czwarte piętro, natrafił na niezręczną ciszę. Jeśli to tutaj doszło do morderstwa, dlaczego było tak cicho? Powinno być tu pełno gapiów, sanitariuszy i policjantów. Zszedł ze stopni i wszedł w korytarz. Na końcu korytarza ujrzał miejsce zbrodni. Ciało martwego gościa było oparte o ścianę. Nawet z tej odległości Sanchez widział, że facet był mocno pokiereszowany. Na podłodze i ścianie wokół niego było mnóstwo krwi Sanchez wcisnął resztę trzeciego pączka do ust, wyjął latarkę z pochwy, gotów do akcji.

Powoli szedł do końca korytarza. Jego ściany przypominały mu ściany Tapioki po typowej wizycie Bourbon Kida. Były pokryte krwią i cuchnęły śmiercią. Pomijając jego kroki, panowała tu niepokojąca cisza. Gdzie do diabła była Jessica? I Psychiczna Beth? Widział, że drzwi do mieszkania Beth były uchylone, ale nie dochodził zza nich

żaden dźwięk. Podchodził coraz bliżej, zastanawiając się, co zastanie w środku.

Przyciskając plecy do ściany, podszedł do drzwi i spojrzął przez lukę. Nie widział nic interesującego, ale wolałby mieć ze sobą pistolet, a nie latarkę. Wysunął nogę i kopnął drzwi. Skrzypnęły, lekko się otwierając. Nic się nie stało, więc kopnął je ponownie, tym razem trochę mocniej, wciąż na wszelki wypadek trzymając się na dystans. Tym razem otworzyły się na oścież. Odliczył do trzech, po czym spojrzął w głąb mieszkania, wyciągając przed siebie latarkę, gotowy do akcji.

Jego oczy przebiegły po mieszanin. Nic się nie poruszało, więc obniżył latarkę i wszedł do środka. Opadła mu szczeka, gdy zobaczył scenę przed sobą.

To była rzeźnia.



# DZIEWIĘTNAŚCIE

Międzynarodowy Hotel w Santa Mondega wyglądał równie widowiskowo jak zwykle, co było niemałym osiągnięciem biorąc pod uwagę, że mnich Peto został pozbawiony głowy w tutejszym holu. I oczywiście Dante strzelił Robertowi Swannowi w głowę u stóp schodów wychodzących na zewnątrz. Dodajmy do tego niewielki eksces, czyli strzelenie Kacy do agentki Roxanne Valdez na jednym z korytarzy na piętrze. Nie można zaprzeczyć, że miejsce było niesamowite. Każdy nowy przyjezdny nie dowiedziałby się niczego i tym, co tu zaszło w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Lobby było trochę cichsze niż zwykle, tak jak większość miejsc w Santa Mondedze, głównie dlatego że w ciągu nocy populacja znacznie się zmniejszyła.

Dante podszedł do recepcji, za nim pospieszyła Kacy. Rozpoznał recepcjonistę Benito. Miał na sobie tandetny różowy strój portiera, który musiał nosić również Dante, kiedy jeszcze tutaj pracował.

- Dobry, Benny – powiedział promiennie Dante. – Zgubiłem klucz do pokoju, możesz dać mi zapasowy?

Bonito wyglądał na wyjątkowo zadowolonego, że widzi ich dwoje. Kiedyś się kumplowali.

- Dwadzieścia dolarów za zapasowy – powiedział przepaszająco.

- Spoko. Dolicz do rachunku za pokój.

- Jasne.

Benito nacisnął kilka klawiszy na klawiaturze na biurku i wyjął kartę- klucz z szuflady przy prawej nodze. Przesunął ją po blacie do Dantego.

- Spróbuj tego nie zgubić – powiedział. – Następnym razem będziesz musiał zapłacić trzydzieści dolców.

- Dzięki.

Kiedy Dante się odwrócił, Kacy już zmierzała w stronę schodów.

- Nie chcesz jechać windą? – krzyknął za nią.

- Nie. A ty?

Przez chwilę rozważał tę możliwość. Windy nie cieszyły się dobrą sławą w Santa Mondedze.

- Nie – odpowiedział. – Będę tuż za tobą.

Idąc za nią schodami, przez większość czasu podziwiając jej tyłek, Dante zastanawiał się, co zastaną w pokoju hotelowym. Czy wszystko będzie na miejscu? Czy gliniarze będą próbować rozwiązać sprawę śmierci Roberta Swanna i Roxanne Valdez? Czy w ogóle żyli jacyś policjanci, którzy mogliby się tym zająć? Jego imię było na wszystkich rachunkach, w mieszkaniu powinni mieszkać tylko oni Kacy, więc nie było powodu, by ktokolwiek szukał w ich mieszkaniu śladów. Kiedy dotarli do lokalu, z zadowoleniem stwierdził, że nie zmieniło się nic oprócz łóżek, które zaścieliły pokojówki.

- Spakuj tylko potrzebne rzeczy – powiedział do Kacy, czując, że nie będzie chciała rozstać się z wieloma ubraniami z szafy.

Naturalnie zignorowała do i zaczęła upychać w wielkiej walizie ubrania. Na łóżku miała ich okazały stos, a teraz opróżniała komodę. Wydawało się, że chce spakować to wszystko. Dante z kolei z radością włożył do mniejszej walizki dwie pary bokserów, dwie pary dżinsów i kilka podkoszulków.

- Pamiętaj, że nie potrzebujesz wełnianych – wytknął, gdy Kacy wyjęła z szuflady brązowy blezer. – Teraz nie będziemy odczuwać zimna.

Kacy zawahała się na chwilę, ale jednak złożyła blezer i włożyła go do walizy.

- Jeśli znowu staniemy się ludźmi, będziemy potrzebowali tylu ciepłych ubrań, ile znajdziemy – powiedziała. – Wiesz, wokół mamy śnieg.

Kurde! Miała rację. Dante odwrócił się z powrotem do komody z cieplejszymi ubraniami i zaczął je przeglądać.

- Wiesz co, Kace – powiedział. – Czasami mam wrażenie, że jesteś

ode mnie mądrzejsza.

- Czasami?

- Tak. A to jedna z takich chwil.

- Żartujesz? Beze mnie nie zawiązałybyś sobie nawet kichanych sznurówek.

- Nie mam sznurówek.

- I wiem dlaczego.

- Świetnie. Skoro jesteś taka mądra, dlaczego to ja musiałem wymyślić plan zdobycia Oka Księżyca z głowy tego gościa?

- Bo ty nas w to wpakowałeś!

- No i?

Kacy głośno wypuściła powietrze.

- Może Ważniak będzie miał jakiś pomysł?

- Nie możemy go pytać.

- Ty nie, ale ja owszem.

- Jak?

- Mogę spróbować go oczarować.

- Oczarować? Niby jak? – zapytał Dante, a w jego głosie pojawiła się więcej niż nutka podejrzliwości.

- Nie tak. Chodzi mi o to, że na pewno wie dużo o Gajuszu. Może jeśli będę przy nim trochę bardziej otwarta, to go zaskoczy? Mogłabym dowiedzieć się czegoś przydatnego.

- Przydatnego? Na przykład?

- Może Gajusz ma psa, z którym chodzi samotnie na spacer.

- Psa?

- Ej, to tylko przykład. Jeśli mamy mieć szansę za zdobycie Oka, Gajusz musi być sam, albo jeszcze lepiej, musi spać.

Dante prychnął.

- Żałosne.

- Odwal się – powiedziała Kacy, zaczepnie rzucając w niego parą zwiniętych skarpetek. – Próbuję wymyślić kilka możliwych scenariuszy.

- Wiem, kochanie. Żartuję tylko.

Zasunął walizkę, pewny że spakował wystarczająco. Kątem oka zobaczył coś w jeden z otwartych szuflad, zawierającej ubrania już zmarłego Roberta Swanna. Była to butelka przezroczystego płynu i strzykawka. Natychmiast je rozpoznał. Była to butelka z serum, które obniżało temperaturę ciała na tyle, by wśród wampirów wydawać się jednym z nich. Strzykawka była używana, by podawać porcje serum.

- Lepiej to spakuję – powiedział, pokazując ciecz i strzykawkę Kacy.

- Po co?

- Bo to dość rzadkie rzeczy. A kto wie, kiedy będziemy ich znowu potrzebować?

Kacy zrobiła minę.

- Nie wiem, dlaczego mielibyśmy ich potrzebować.

- Ja na razie też nie, ale przezorny zawsze ubezpieczony, wiesz.

- Zawsze? – zapytała sarkastycznie.

- Tak.

- Więc powiedz mi, czego ubezpieczeniem będzie takie serum. Proszę, jeden dobry przykład.

Dante potarł szczękę i zamyślił się głęboko, co rzadko mu się zdarzało. Wreszcie się odezwał, ale z lekkim wahaniem.

- A jeśli zdobędziemy Oko i się wyleczymy? Jeśli znowu będziemy ludźmi i będziemy musieli uciec od wampirów z miasta?

Kacy zaparło dech.

- O Boże. Powiedziałeś coś mądrego.

Zmarszczył brwi.

- No nie?

- Tak. To będziesz nasz klucz do ucieczki stąd. Kto wie, jakie inne cuda się zdarzą!

Dante wsunął strzykawkę do kieszeni kurtki, a małą butelkę wsunął do dzinsów.

- Chodź, idziemy. Masz wszystko? – zapytał, zasuważąc walizkę.

Kacy ostatni raz rozejrzała się po sypialni, po czym zasunęła walizkę. Panował porządek, nie widać było żadnych śladów jakiś machlojek. Jedynym problemem były ubrania Roberta Swanna, ale

nie zamierzali się nimi przejmować..

Wrócili schodami do recepcji. Jeszcze zanim dotarli na dół, Kacy zaczęła narzekać na wagę swojej walizy.

- Możesz ją ponieść? – jęknęła, gdy weszli do recepcji.

- Żartujesz? Do Swampa mamy jakieś dwie mile marszu.

- O Boże, tyle nie ujdę.

- Okej, to może weźmiemy auto z parkingu? Zaoszczędzimy czas i energię.

- Zgadzam się absolutnie – przytaknęła Kacy. – Nie wiem jak ty, ale ja czuję się słabo. Miałabym ochotę na drinka, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Dante wiedział. Pragnienie ludzkiej krwi również jemu zaczynało dokuczać. Czy to tak jest być wampirem? Wciąż chcieć pić krew?

- Jestem piekielnie spragniony – powiedział, prowadząc do parkingu na tyłach.

Kiedy wyszli na parking, Dante przejrzał dostępne samochody. Parking był pełny aut. Zaparkowano je w dwudziestu rzędach po około dziesięć pojazdów w jednym.

- Masz coś na oku? – zapytał.

- Żartujesz? Wszystkie są pod śniegiem. Wyglądają tak samo.

- Racja. To ja wybiorę.

Szybko wybrał samochód.

- Poczekaj tutaj i patrz, czy nie ma glin – powiedział do Kacy. – Za sekundę wracam z autem. – Rzucił własną walizkę pod jej nogi i zniknął między rzędami samochodów.

Kacy wiedziała, że Dante był dobry we włamywaniu się do aut. Może był przygłupi i brakowało mu podstawowych umiejętności typu dyskrecji, ale potrafił włamać się i uruchomić auto w mniej niż trzydzieści sekund. Jej wiara w jego umiejętności nie była płonna, ponieważ po niecałej minucie usłyszała dźwięk uruchamianego silnika. Chwilę później zobaczyła pojazd jadący wzdłuż rzędów, w jej stronę. Z frustracji uderzyła się w czoło, widząc uśmiechniętą twarz Dantego siedzącego za kierownicą.

Wybrał policyjny radiowóz.

Samochód przedarł się przez śnieg i zatrzymał przy niej. Dante spuścił szybę po stronie kierowcy.

- Wrzucić bagaże do tyłu i wskakuj – powiedziała, przypadkiem uruchamiając syrenę przy zasuwaniu szyby.

Wiedząc, że nie było czasu na kłótnie i udowadnianie głupoty kradzieży policyjnego wozy, Kacy wskoczyła i niebawem wyjechali z hotelowego parkingu. Wypadli na oblodzone ulice miasta.

- Nie mogłeś znaleźć czegoś bardziej dyskretnego? – zapytała.

- Zawsze chciałem pojeździć suką.

Policyjne radio zatrzeszczało, gdy jechali główną ulicą w stronę Swampa. Dźwięk był głośny i wyraźny.

- Tu detektyw Sanchez Garcia. Wzywam wsparcie. Jestem na czwartym piętrze Wieży Remingtona na Pięćdziesiątej czwartej ulicy. Mam tutaj kilka niezidentyfikowanych trupów. Wszędzie jest krew. Chyba właśnie doszło do morderstwa, a zabójca wciąż jest w okolicy. Jestem sam. Proszę, przyślijcie posiłki, bo zaraz się stąd wyniosę. – Po chwili dodał: - Mam pączki.

Dante i Kacy wymienili szybkie spojrzenia.

Kacy powiedziała to, o czym obydwójce pomyśleli.

- Powiedział, że wszędzie jest krew. Świeża krew. Myślisz o tym co ja?

Dante przytaknął.

- Tak. Świeża krew bez zabijania nikogo.

- Wieża Remingtona jest niedaleko stąd – powiedziała Kacy.

Dante docisnął stopę do pedału gazu.

- Będziemy za dwie minuty – zapewnił.

## DWADZIEŚCIA

Kałuża krwi na drewnianej podłodze powoli płynęła w kierunku stóp Sancheza. Spojrzał w tył, na martwego gościa z różowymi włosami na korytarzu. W jego rozciętego gardła wciąż ciekła krew na przód koszuli. Ale wydawało się to niczym w porównaniu do martwej kobiety na podłodze w mieszkaniu numer czterysta sześć. Sanchez zakładał, że miała około trzydziestu lat, ale twarz miała tak zmasakrowaną, że nie miał pewności. Miała wydłubane oczy i twarz umazaną krwią. Miała też dość szeroką szczękę, pomyślał niekonsekwentnie. Spływała po niej krew, głównie dlatego, że jej język został wydarty. Krótkie oględziny po pokoju ukazały, że nie była jedyną ofiarą. W pomieszczenie znajdowały się kolejne dwa ciała, w podobnym stanie. Ale żadnego śladu zabójcy. Ani Jessici.

Zakrwawiona bluzka martwej kobiety była rozdarta i odsłaniała głębokie zadrapania przecinające jej pierś. Sanchez był niemal pewny, że jeden z jej sutków leży gdzieś na podłodze u jego stóp. Bliższe oględziny bluzki pokazały, że znajdowało się na niej logo szpitala, a na prawej kieszeni wyszyto zielonymi nićmi słowo „MEDYK”. Używając swoich zdolności detektywistycznych, Sanchez wywnioskował, że martwi byli członkami załogi ambulansu.

Dwa pozostałe ciała w mieszkaniu były w złym stanie. Jedno z nich, w typowym białym lekarskim kitlu, tkwiło na czterech kończynach z głową wbitą w ekran telewizora. Kolejne, murzyn z karetki, leżał na plecach rozkrzyżowany, gapiąc się na sufit. No, gapiłby się, gdyby miał oczy. Ktoś je wydłubał, zostały tylko puste dziury. Jego biały strój był równie mocno zakrwawiony jak kobiety, nad którą przechodził Sanchez.

Nie zdziwiło go, że to miejsce cuchnęło. Przynajmniej jedna ofiara posrała się w gacie przed śmiercią, jak ocenił Sanchez. Miał ochotę

spryskać pokój aerozolem Leśna Świeżość. W mieszkaniu było równie zimno jak na zewnątrz.

Źródło chłodu stało się oczywiste, gdy mocny podmuch wiatru rozsunał zasłony.

- Jaki kretyń zostawia okna otwarte na taką pogodę? – mruknął, mocno chwytając swoją latarkę.

Za sofą zobaczył dwa kolejne ciała. Mężczyźni w klasycznych niebieskich policyjnych mundurach.

Co do diabła?

Nikt nie miał rany postrzałowej. Morderstwa przypominały mu cięcia na jego bracie Thomasie i jego żonie Audrey. Rok wcześniej znalazł ich w podobnym stanie. Dwaj gliniarze pokryci byli krwią, brakowało im oczu, ich języków też nie było widać. Co tu zaszło, do diabła? Pochylił się nad najbliższych policjantem, by lepiej się przyjrzeć. Był to ponad czterdziestoletni siwowłosy gruby miłośnik pączków. W kaburze kamizelki miał mały pistolet. Sanchez wyjął latarkę i sięgnął po broń. Owinął palce wokół rączki, nie chcąc ubrudzić sobie dłoni krwią, wysunął pistolet z kabury i przyjrzał się mu. Był mało zakrwawiony, a przynajmniej rękojeść, więc zacisnął mocno prawą rękę. Jeśli w okolicy był zabójca, musiał być gotowy, by w niego wymierzyć i strzelić. Miał niewielkie doświadczenie w używaniu broni, ale lepiej było mieć jakiś jako straszaka i go nie użyć, niż w ogóle nie mieć,

Szukając innych potencjalnie przydatnych przedmiotów, zauważył przy pasku gliniarza CB radio. Sanchez od dziecka marzył o czymś takim. Nie dostał swojego na komisariacie. Uznając, że zmarły policjant nie będzie go potrzebował, wydało mu się logiczne, że może sobie je przywłaszczyć. Podniósł je i przypiął do paska obok latarki. Wróciło jego zainteresowanie miejscem zbrodni.

- Jessica? – krzyknął dość cicho. – Jessica? Jesteś tu? Halo? Jest tu kto?

Nie otrzymał odpowiedzi, jedynie kolejny podmuch śmietankowych zasłon. Po jego prawej znajdował się aneks



kuchenny, a w rogu były drzwi prowadzące do wąskiego korytarza. Na jego końcu były zamknięte drzwi. Z bronią w ręku Sanchez postanowił to zbadać. Za drzwiami mogły znajdować się kolejne ciała, albo gorzej, mógł być za nimi zabójca. Ale istniała też szansa, że znajdzie za nimi Jessicę, więc warto było sprawdzić. A gdzie była Beth Lansbury? Może to ona wszystkich zabiła? W końcu była psychiczna. A to było jej mieszkanie.

Gdy wszedł w korytarz, zobaczył kolejne drzwi na ścianie po lewej. Może łazienka? Sięgnął do gałki i przekręcił ją powoli wolną ręką, na wszelki wypadek trzymając pistolet w pogotowiu. Drzwi skrzypnęły i otworzyły się do środka. Dokładnie przed sobą zobaczył białą toaletę. Dzięki nowym zdolnościom detektywistycznym rozgryzł, że zaiste była to łazienka. W środku nie znalazł żadnych śladów przemocy, nawet najmniejszej plamki na muszli. Rozglądając się wokół, z zadowoleniem zauważył, że nikt się tutaj nie ukrywał.

Cofnął się z łazienki i poszedł w stronę drzwi na końcu korytarza. Czuł serce mocno łomoczące mu w piersi. Jego oddech też był głośniejszy, niż by sobie życzył. Drżąc na myśl, co może zobaczyć, wziął głęboki wdech i przekręcił gałkę. Otworzył drzwi i odskoczył w tył, na wszelki wypadek mierząc z pistoletu do środka. Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk. Widział tylko niebieską ścianę naprzeciw siebie oraz końcówkę łóżka po lewej. Podeszedł w przód i rozejrzał się wokół. W środku nie znalazł niczego interesującego, jedynie perfekcyjnie załane łóżko, komodę i szafę. Pokój wydawał się nietknięty masakrą, która miała miejsce w salonie. Z ulgą wypuścił powietrze, zatknął pistolet za pasek i wyszedł, zamykając za sobą drzwi sypialni.

Wyglądało na to, że zabójca uciekł, pewnie na widok wchodzącego na miejsce zbrodni Sancheza, więc cały lokal miał dla siebie. Stwierdził, że dobrze byłoby wezwać wsparcie. Odpiął CB radio od paska i nastawił na policyjną częstotliwość.

- Tu detektyw Sanchez Garcia. Wzywam wsparcie. Jestem na czwartym piętrze Wieży Remingtona na Pięćdziesiątej czwartej ulicy.

Mam tutaj kilka niezidentyfikowanych trupów. Wszędzie jest krew. Chyba właśnie doszło do morderstwa, a zabójca wciąż jest w okolicy. Jestem sam. Proszę, przyślijcie posiłki, bo zaraz się stąd wyniosę. – Uznając, że nikt się nie zjawi bez odpowiedniej zachęty, dorzucił: – Mam pączki.

No ale są rzeczy ważne i ważniejsze. Gdy opadła adrenalina wywołana szukaniem w mieszkaniu śladów Bourbon Kida, poczuł pilną potrzebę wysikania się.

Poszedł z powrotem do łazienki i uniósł klapę toalety. Wsunął pistolet z tyłu spodni i rozpiął rozporek. Nic tak nie pomagało w stresującej sytuacji jak wydalanie specjalnej mieszanki. Słuchając dźwięku sików uderzających o wodę w muszli, zastanawiał się, co stało się z Jessicą. Może uciekła przez okno w salonie? Istniała taka możliwość. Była zaradną młodą kobietą. A może wisiała za oknem, czekając, aż przyjdzie jej z pomocą? Warto było sprawdzić.

Skończył sikać i zasunął zamek. Gdy sięgał do spłuczki, pistolet zatknięty z tyłu za spodnie gładko się wysunął. Nie, został wyciągnięty.

O- oo.

Usłyszał głośnie kliknięcie. Ktoś odbezpieczył broń.

Kurde.

Gdy z muszli dobiegały bulgoty, Sanchez powoli się odwrócił. Za nim, mierząc w niego z pistoletu, stał mężczyzna, które znał. Miał na sobie ubrania codzienne, parę dżinsów i biały podkoszulek pod czarną skórzaną kurtką. Może nie była to jego typowa odzież, ale Sanchez i tak zaraz go rozpoznał. To był Bourbon Kid.

Uniósł dłonie, poddając się. Kid zawsze wyglądał na żadnego krwi, więc Sanchez ufał swojej szczęśliwej gwiazdzie, dzięki której zawsze uchodził z życiem, gdy się spotykali. Twarz Kida wyrażała nieprzebraną złość. Może tu mieszkał? Jeśli tak, Sanchez miał nadzieję, że nie zauważy na podłodze obok muszli małej strużki sików, która chybiła celu. Wystarczyło nacisnąć spust broni (dość niewygodnie wymierzonej w jego twarz) i czas Sancheza dobiegłby

końca.

Kid odezwał się pierwszy.

- Gdzie jest Beth? Co tu się stało, do cholery? – Zmierzył Sancheza wzrokiem od stóp do głowy i dodał: - I z jakiej okazji masz na sobie ten gejowski strój gliniarza?

Sancheza przerosły te pytania. Kid na pewno wiedział o tym mieszkaniu więcej, niż on. Przecież to on odpowiadał za tą masakrę, prawda?

- Czemu mnie pytasz? – zapytał. – No, chyba to ty ich pozabijałeś, co? Jessicę też? Co z nią zrobiłeś?

Kid wydawał się zaskoczony.

- Co?

- Jessica. Gdzie ona jest? Weszła tu przede mną, ale kiedy przyszedłem, jej nie było, a ci wszyscy ludzie leżeli martwi na podłodze. Co z nią zrobiłeś? Czemu wciąż próbujesz ją zabić?

Kid obniżył broń.

- Jessica tu była? – zapytał.

- No tak. Nie widziałeś jej?

- Zabiłem ją w czasie zaćmienia rok temu. Ona nie żyje.

- Nie – zaprotestował Sanchez. – Zaopiekowałem się nią i przywróciłem do zdrowia. Już jest w porządku. A przynajmniej była. Ale teraz nie mogę jej znaleźć. Musi tu gdzieś być.

Kid ponownie uniósł broń, celując w czubek nosa Sancheza.

- Gdzie do diabła jest Beth?

- Psychiczna Beth?

- Co?

- Beth Lansbury.

- Tak. Beth Lansbury. Gdzie ona jest?

Sanchez wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie było jej, kiedy przyszedłem.

Kid ponownie opuścił pistolet i wyszedł z łazienki. Skierował się do sypialni na końcu korytarza.

- Nic tam nie ma – krzyknął Sanchez. – Sprawdzalem.

Usłyszał, że Kid otwiera drzwi i sam sprawdza. Sanchez opuściła ramiona i podszedł do drzwi. Rozejrzał się, patrząc, co robi Kid. Sekundę później Kid wyszedł z sypialni i przebiegł korytarzem w jego kierunku. Sanchez schował się z powrotem do łazienki. Kid minął drzwi i wpadł do salonu. Na szczęście nie wydawało się, jakoby zabicie Sancheza było jego priorytetem. I wydawało się, że Kid nie miał pojęcia, co stało się z Jessicą. Sanchez mógł jedynie zakładać, że zobaczyła Kida i uciekła przez otwarte okno.

Patrząc pod nogi zakradł się do salonu, dbając o to, by nie wykonywać gwałtownych ruchów. Bourbon Kid stał przy oknie, patrząc na pokryte śniegiem ulice poniżej. Odwrócił się i spojrzał na Sancheza.

- Ty otworzyłeś to okno? – zapytał.

- Nie – odpowiedział Sanchez, unosząc ręce. – Kiedy przyszedłem, już było otwarte. Masz tam coś?

- Jakieś ślady na śniegu.

- Chyba Jessica znowu ci uciekła.

Kid pokręcił głową.

- Wzięła ze sobą Beth.

- Uciekły obydwie, co?

Kid wskazał na ciała na podłodze.

- Jak myślisz, kto ich pozabijał? – zapytał.

Sanchez zastanawiał się, czy w tym pytaniu tkwił jakiś haczyk.

- Zakładam, że ty – zaryzykował.

- Zdurniałeś do reszty? Jessica ich wszystkich załatwiła.

- To śmieszne.

- Wcale nie.

- Dobra.

Kid ponownie wyjrzał przez okno na ulice i sięgnął do kieszeni dzinsów. Wyjął komórkę i wybrał numer. Na tą okazję Sanchez czekał. Na podłodze leżał jeszcze jeden gliniarz, który powinien mieć gdzieś przy sobie broń. Kid był zajęty i gapił się przez okno, więc Sanchez podszedł ostrożnie do ciała i schylił się, sprawdzając, czy uda

mu się wyjąć pistolet z kabury bez zwracania na siebie uwagi. Potężny grzmot na zewnątrz do zaskoczył. Zaraz potem błysnęło i rozległo się uderzenie gradu o metalowe schody za oknem. Kid trwał nieporuszony, gapiąc się przez okno z telefonem przyciśniętym do ucha.

Sanchez sięgnął do pistoletu w kaburze policjanta. Wyszedł gładko. Miał szansę. Czuł, że serce bije mu szaleńczo, a ręce drżą. Czy naprawdę chciał to zrobić? Strzelić Bourbon Kidowi w plecy? I raz na zawsze ocalić przez nim Jessicę? Wziął głęboki wdech i uniósł broń, celując w kark Kida. Zanim miał okazję nacisnąć spust, usłyszał za sobą piszczenie. Dzwoniła czyjaś komórka.

Kid odwrócił się, patrząc, skąd dochodził dźwięk. Zignorował Sancheza i szybko przeszedł obok niego. Na podłodze obok sofy leżała komórka. Kid podniósł ją. Wciąż zdawał się nie zauważać, że Sanchez miał broń. Grubiutki barmano- gliniarz ponownie wymierzył mu w kark i przygotował się do strzału. Kid czytał wiadomość na telefonie. Cokolwiek tam znalazł, rozzłościło go. Rzucił telefon przez pokój i roztrzaskał o ścianę. Odezwał się, nie patrząc na Sancheza.

- Odłóż pistolet, gruby matole.

Sanchez opuścił broń, ale nie rzucił go.

- Czyj to telefon? – zapytał Kida.

- Beth. Odeszła. Do cholery, odeszła. – Odwrócił się do Sancheza, na jego twarzy malowała się desperacja. – Następnym razem, zanim zechcesz kogoś leczyć, upewnij się, czy nie jest wampirem, tępaku.

- Co?

- Daj mi broń.

Sanchez wyciągnął pistolet, Kid odebrał go od niego i sprawdził, czy był naładowany. Sanchez tego nie zrobił. Sprawdziwszy magazynek i upewniwszy się, że faktycznie są w nim naboje, ponownie spojrzął na Sancheza.

- Gdzie mieszka Jessica? – zapytał.

Sanchez wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

Kid wymierzył pistolet w jego głowę.

- Na Ulicy Cynamonowej.

- Ostatnia szansa.

- Casa de Ville. Mówiła, że mieszka w Casa de Ville.

Kid opuścił broń i mocno uderzył Sancheza w pierś, posyłając go na ścianę. Skierował się w stronę okna i zaczął się na nie wspinać.

- Gdzie idziesz? – krzyknął za nim Sanchez.

- A jak myślisz?

Sanchez zniknął za oknem, wychodząc na ośnieżone ulice. Sanchez odetchnął z ulgą i rozejrzał się po trupach w mieszkaniu. Niemożliwe, by Jessica zabiła tych ludzi. Ani żeby była wampirzycą, jak utrzymywał Kid. Zarejestrowano, że to mężczyzna zabił Silvinho, więc logicznym wyjaśnieniem było, że to on zabił pozostałych. A teraz zamierzał zabić Jessicę.

Sanchez musiał ją ostrzec. I oddać jej Księżę śmierci.

# DWADZIEŚCIA JEDEN

Gdy przed nimi pojawiły się błyskające niebieskie światła karetki prze Wieżę Remingtona, Sante zjechał z głównej ulicy w boczną przecznicę. Zaparkował przy okrągłych bekach ogromnych rozmiarów i wyłączył silnik.

- Dlaczego tu stajemy? – zapytała Kacy.

- Dyskrecja.

Kacy głośno nabrała powietrza i wzięła go za rękę.

- O Boże. Jesteś jak Skynet[3]!

- Co?

- Zacząłeś sam myśleć.

- A o czym ty mówisz?

- Nauczyłeś się, że warto być dyskretnym. Nawet nie wiesz, jaka jestem z ciebie dumna.

- Podlizujesz się, co?

- Może trochę.

Wyjął dłoń z jej uścisku i wyszedł z auta. Zanim Kacy wyskoczyła z samochodu, on był już na końcu uliczki i wyglądał zza rogu. Kacy dogoniła go i zerknęła ponad jego ramieniem.

Wokół karetki pod Wieżę Remingtona zebrał się spory tłum ludzi, chociaż nigdzie nie było widać lekarzy.

- Jak sądzisz? – zapytała Kacy. – Warto iść?

Dante nie odpowiedział. Patrzył na coś po drugiej stronie ulicy. Kacy spojrzała, na co patrzył, ale nie dostrzegła nic nadzwyczajnego.

- O co chodzi? – zapytała.

Dante wyszedł z cieni uliczki i wskazał na samochód po drugiej stronie ulicy.

- To auto Borbon Kida – powiedział. – Jest gdzieś tutaj.

- To by wyjaśniało karetkę – odparła Kacy. – Pewnie kogoś zabił.

- Mam nadzieję. Jeśli wrócił do swojego starego „ja” i znowu zabija niewinnych ludzi, może być przydatnym sojusznikiem. Sprawdźmy samochód. Może uda mi się do niego włamać.

Kacy nie wiedziała, jaki zysk przyniesie włamanie do tego pojazdu, ale wiedziała, że Dante uwielbiał to robić. Skierował się do czarnego samochodu i chwycił klamkę po stronie kierowcy. Kacy poszła za nim, patrząc, czy ktoś ich zauważył, doskonale wiedząc, że Dante otworzy drzwi w kilka sekund. Tak zrobił. Wszedł do środka i sięgnął do drzwi pasażera, odblokowując je. Kacy otworzyła je i weszła. Zobaczyła, że już odpalał samochód.

- Po co ruszasz?- zapytała.

- Jeśli gdzieś schowamy wóz, nie będzie mógł wskoczyć i nam zwiać.

- A zrobiliby tak?

- Powiedzmy, że siedzenie mu na ogonie nie jest najfajniejsze.

- A jeśli przyjdzie i cię nakryje?

- Nie będzie miał nic przeciwko. Tak myślę.

Kacy zamknęła drzwi. Śnieg sypał mocno. Gdyby nie była wampirem, stwierdziła, iż byłoby jej zimno.

- Pospiesz się, co? – ponagliła. – Nie chcę, żeby mnie przyłapał.

Sekundę później silnik ożył.

- Posłuchaj – powiedział Dante. – Cudna fura.

Za oknem Dantego pojawiła się postać. Drzwi po jego stronie otworzyły się.

Kacy krzyknęła:

- UWAŻAJ!

Dante odwrócił się, by sprawdzić, kto otworzył drzwi. Zanim zdążył się odezwać, wielka łapa złapała go za włosy i wyciągnęła z samochodu. Kacy ponownie otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z powrotem na ulicę. Przebiegła wokół samochodu i znalazła Dantego leżącego na plecach na chodniku, u stóp faceta, który wyciągnął go z auta.

Dante spojrzał na nią z dołu.



- Kace, to jest Bourbon Kid.

Kid zignorował Kacy i chwycił rękę Dantego.

- Próbowałeś zwinąć mi furę, popieprzeńcu? – zapytał, podciągając go na nogi.

- Szukaliśmy cię, koleś – odpowiedział Dante, otrzepując się.

- Po co? Czego chcecie? – Kid odsunął się o krok i zmierzył twardym spojrzeniem Dantego i Kacy. – Od kiedy w ogóle jesteście wampirami? – zapytał.

- Od ostatniej nocy – odparł Dante. – Po tym, jak mnie podrzuciłeś i odjechałeś.

- Co się stało?

- Ugryzł mnie jakiś sukin- wampir. Miałeś jechać ze mną, żeby wyciągnąć Kacy z łapsk Sercet Service, pamiętasz?

Kid wzruszył ramionami.

- Sorki, chłopie. Musiałem być gdzieś indziej.

- No tak, a teraz obydwójce jesteście pieprzonymi wampirami. Dopóki nie wyciągniemy Oka Księżyca od Ramzesa Gajusza.

- Ramzesa Gajusza?

- Tak, to ktoś w stylu mumii. On kręci tu cały interesem. Chce przejąć to miasto, a potem cały świat. Zbiera ogromną armię nieumarłych.

- Skąd wiesz?

- Rano zostaliśmy wezwani do Casa de Ville. Stamtąd wszystkim steruje.

- Casa de Ville?

- Tak.

- Kurde. Tam jest całą armia wampirów?

- Tak. Chcą w to wciągnąć jeszcze wilkołaki.

Kid wydawał się zszokowany.

- Nie zabiłem wczoraj wszystkich wampirów?

- Najwyraźniej nie. Dorwałeś większość Cieni, Świń i Przerżenia, ale zostało jeszcze cholernie dużo Pand i Czarnej Plagi.

- Nienawidzę Pand.

Kacy wcięła się, mając nadzieję uzyskać odpowiedź na wcześniejsze pytanie Dantego.

- Pomożesz nam zdobyć Oko Księżyca od Gajusza?

Kid zmarszczył brwi.

- Jakim cudem Mumia dorwała Oko w swoje łapska?

- Od Peto – odpowiedział Dante.

- Tego mnicha?

- Tak.

- A gdzie on teraz jest?

- Odcięli mu głowę.

- Dobrze – powiedział Kid. – I tak mi przeszkadzał.

Kacy ponowiła pytanie:

- Pomożesz nam czy nie?

- Mam własne problemy. Moja dziewczyna nie żyje albo niedługo umrze. Jeśli wciąż żyje, jest w Casa de Ville. – Ruszył w stronę auta i dopowiedział: - A z tego co powiedzieliście, stwierdzam, że to jakaś pieprzona forteca.

Dante odsunął się, by Kid mógł przejść do pojazdu.

- Do dupy, jak ktoś trzyma twoją dziewczynę jako zakładnika, co? – wytknął.

- No raczej. – Kid usiadł po stronie kierowcy i pociągnął drzwiczki, by je zamknąć. Dante powstrzymał go.

- Poczekaj – powiedział. – Chcesz pomocy w odbiciu dziewczyny?

- Nie.

Kacy podeszła i nachyliła się do samochodu.

- Jeśli ci pomożemy, pomożesz nam odebrać mumii Oko Księżyca?

Kid zmierzył ich spojrzeniem i najwyraźniej rozważał tę propozycję. Po kilku sekundach się odezwał:

- Nie odzyskacie Oka. Nie ma opcji, żeby Gajusz dopuścił was chociaż w jego pobliże.

- Czyli musimy go zabić, tak? – powiedział Dante.

- Powodzenia – odparł Kid, szarpiąc drzwiczki, by je zamknąć. Dante jednak trzymał mocno, co go mocno wkurzało. – Puść te

pieprzone drzwi!

- Spróbuj sam zamknąć – wyzwał go Dante.

Kid pociągnął mocno. Ani drgnęły. Dante był od niego silniejszy i wciąż z łatwością trzymał je otworem.

- Widzisz – powiedział Dante. – Potrzebujesz nas tak samo, jak my potrzebujemy ciebie. Nie jesteś takim kozakiem, jakim byłeś kiedyś. Pamiętasz, że ostatniej nocy użyłeś Oka Księżyca, żeby zmienić się w normalnego człowieka?

- Puść drzwi.

- Teraz jestem od ciebie silniejszy. Kacy pewnie też. Jeśli chcesz odzyskać dziewczynę, będziesz potrzebował naszej pomocy. A żeby zabić Gajusza, my będziemy potrzebowali twojej.

Kid wydawał się zirytowany stwierdzeniem, jakoby nie był takim kozakiem, jak kiedyś. Kiedy pogodził się z tym, że Dante nie zamierzał puścić drzwi, przestał je ciągnąć.

- Wskakujcie – powiedział.

Kacy nie potrzebowała drugiego zaproszenia. Pobiegła na miejsce pasażera.

- Najlepsi siedzą z przodu – krzyknęła.

Kid skinął na Dantego.

- Cwana laska, co?

Kacy stała cierpliwie przy drzwiach pasażera i trzymała drzwi, dopóki Dante nie wszedł na tylne siedzenie. Śnieg opadał jej na włosy. Dante zajął miejsce, ona wślizgnęła się na przednie miejsce i zamknęła drzwi.

Kid odjechał od chodnika i pomknął oblodzoną uliczką, a potem główną. Ciężki grad i śnieg uderzały o przednią szybę, mocno utrudniając widoczność drogi. Kacy podjęła rozsądną decyzję, by zapiąć pasy.

Po kilku minutach jazdy poczyniła bystrą obserwację.

- Czy Casa de Ville nie jest z drugiej strony miasta?

- Tak. Najpierw musimy wpaść do bary.

- Po co?

- Muszę się napić.

# DWADZIEŚCIA DWA

Praca policjanta okazała się dość męcząca. Sanchez spędził kolejną godzinę w mieszkaniu Beth Lansbury, wyjaśniając kolejnemu funkcjonariuszowi, co dokładnie – według niego – się stało. Ekipa lokalnych wiadomości również chciała nakręcić materiał o morderstwach. Udzielił im szybkiego wywiadu, wyjaśniając, że Bourbon Kid wymordował wszystkich i uciekł, gdy on wpadł i go wystraszył. Na wszystkich zrobił wrażenie, Sanchez już nie mógł się doczekać, kiedy zostanie nazwany bohaterem. Najwyższa pora, by ktoś docenił jego publiczną działalność.

Był już wczesny wieczór, gdy wrócił na komisariat i zobaczył samotną Flake w recepcji. Siedziała za kontuarem i czytała książkę. Nie zauważyła, że przyszedł. Podniosła wzrok dopiero, gdy był ledwie kilka jardów od biurka.

- Cześć Sanchez, jak poszło? – zapytała.

Zdjął czapkę i wytarł pot z czoła. Na komisariacie nie było jakoś specjalnie jasno, ale nie zdjął okularów przeciwsłonecznych, ponieważ, cóż, wyglądał w nich fajnie. Powachlował się czapką i oblizał wargi, by zbudować napięcie, zanim zacznie opowiadać Flake bajki o swoich wyczynach. Wreszcie, gdy upewnił się, że ona już desperacko chce usłyszeć relację, zaczął opowiadać jej o pełnym wrażeniu popołudniu.

- Cóż, zgubiłem Jessicę, wpadłem na Bourbon Kida i widziałem mnóstwo trupów. Wiesz, typowe.

Flake była pod wrażeniem.

- Poważnie? Kto nie żyje? A co się stało z Bourbon Kidem?

Sanchez oparł pulchne pośladki na krawędzi biurka.

- Ekipa z karetki i dwóch gliniarzy, no i ten gość z różowymi włosami.

- O Boże. Serio?

- Tak. Musiałem dzwonić po kolejną karetkę. Później musiałem udzielić wywiadu, wiesz, teraz myślą, że jestem jakimś bohaterem czy coś.

- Łał. Będziesz w dzisiejszych wiadomościach?

Sanchez wzruszył ramionami.

- Może.

- Super. Mam nadzieję, że pamiętasz wszystkie szczegóły. Nie zapomnij napisać raportu dla Kapitana.

- Muszę?

- To obowiązek, nie?

- Cóż, w końcu pojawił się jakiś kryminalny i zostawiłem go, żeby posprzątał. On pewnie złoży raport. Ja złożę swój, jeśli kapitan Harker mi każe, ale to nie do końca moja sprawa. Bourbon Kid pozabijał wszystkich i spieprzył przez okno, kiedy przyszedłem. Myślę, że go wystraszyłem.

- Łał – sapnęła Flake. – Ale miałeś dzień!

- Dzień jak co dzień – odpowiedział nonszalancko.

Flake wsunęła cienką czarną skórzaną zakładkę na stronę, którą czytała i zamknęła książkę, by skupić na nim całą swoją uwagę.

- A co z Jessicą? Jak ją zgubiłeś?

- Poszła przede mną. Pewnie zobaczyła Kida i uciekła, żeby nie próbował jej znowu zabić.

- Myślisz, że nic jej nie jest?

- Pewnie pojechała z powrotem do Casa de Ville.

- Chyba nie chcesz tam jechać jeszcze dzisiaj? Skoro Bourbon Kid dalej szaleje. No i wampiry...!

Sanchez pokręcił głową.

- Nie, nie dziś. Najpierw znajdę dla niej Księżę śmierci. Jeśli pojedzie do niej jutro z książką, której szukała, na pewno się rozchmurzy.

Flake wydawała się nieprzekonana.

- Myślisz, że uda ci się ją znaleźć?

- Miałem ją dzisiaj rano.

Flake roześmiała się.

- Zabawny jesteś.

- Nie, poważnie. Wypożyczyłem ją z biblioteki - urwał i rozejrzał się, czy ktoś był w okolicy, po czym dokończył – ale nie odbiłem tego na karcie.

Flake nabrała powietrza.

- O Boże. To ty ją ukradłeś!

- Ciii – powiedział Sanchez, ponownie się rozglądając. – Dziś rano, zanim podałaś mi śniadanie, dałem ją Rickowi, żeby oddał do biblioteki.

- Czemu Rickowi?

- Żeby nie musiał patrzeć na tą ohydną bibliotekarską dziwkę Ulrikę. A co myślałaś?

- Och, jasne.

Flake głośno nabrała powietrza przez zaciśnięte zęby, zupełnie jak mechanik, który ma zamiar wygłosić swoją opinię o nowych hamulcach.

- Na twoim miejscu uważałabym, żeby nikt mnie nie widział z tą Księgą śmierci – ostrzegła.

- Co masz na myśli?

Wskazała na grubą książkę w twardej oprawie, której lekturą była zajęta, gdy przyszedł.

- Czytałam tą książkę – powiedziała. – Jest w niej dość sporo o tej Księdze śmierci.

- Poważnie? Co?

Otworzyła książkę i zaczęła przeglądać strony.

- Piszą, że to staroegipska księga, w której zapisywano imiona umarłych – powiedziała, próbując znaleźć odpowiednią stronę. – Jest też, że żył jakiś władca starożytnego Egiptu, który bawił się czarną magią. Znalazł sposób, by zapisywać w niej imiona zmarłych jeszcze przed ich śmiercią.

Sanchez ześlizgnął się z biurka i stanął obok Flake, ponad jej ramieniem patrząc na książkę.

- Jakim cudem? – zapytał.

Flake wciąż kartkowała strony, aż wreszcie znalazła poszukiwany fragment.

- Popatrz tutaj- powiedziała, wskazując na krótki akapit na początku jednego z rozdziałów. – Tu jest napisane, że Księgi śmierci używał do wypisywania imion swoich wrogów. Według tego, padali oni ofiarą klątwy, przez którą mieli umrzeć w dniu określonym na danej stronie książki.

Sanchez potarł podbródek i pomyślał o tym, co powiedziała Flake.

- Księga śmierci, którą dałem Rickowi, była pełna imion, a na górze każdej strony była data, ale chyba w całości zapisana cyframi rzymskimi. Nie rozszyfrowałem tego.

Flake pokręciła głową.

- Nie sądzisz, że taka książka powinna zostać zniszczona?

- Nie wiem – odpowiedział Sanchez. Skinął na książkę na biurku. –

A co właściwie czytasz?

- Tą książkę, którą zabiłam bibliotekarkę.

- Jaki ona ma tytuł?

- Nie ma tytułu.

Sanchez odsunął się od biurka.

- O Boże! Czytasz Księgę bez tytułu?

- Tak.

- Kurde! Nie mówiłaś mi, że to Księga bez tytułu.

- Dlaczego? Co to za różnica?

- O tej książce niedawno mówili w wiadomościach. Wszyscy, którzy ją czytali, umarli. Policja nigdy nie ustaliła przyczyny. Szukałem jej wczoraj w bibliotece, ale zamiast niej w końcu wzięłem Księgę śmierci.

- Przeczytałam już jakieś sto stron – powiedziała Flake. – To znaczy, że umrę?

- Może. Nie wiem.

- Dziwne, nie?

- Co?



- Dwie książki powodują, że ludzie umierają.

Sanchez pomyślał o tym przez kilka sekund.

- Też tak sędzę – zgodził się.

- Jak myślisz, która jest gorsza? – zapytała Flake.

- Myślę, że obydwie są bardzo złe.

Flake skrzywiła się. Wydawała się mocno przejęta swoim losem.

- Ja chyba wolałabym przeczytać kilkaset stron Księgi bez tytułu, a potem zostać wpisana do Księgi śmierci – stwierdziła wreszcie.

Sanchez zdjął okulary i wsunął je do kieszeni na piersi, by lepiej przyjrzeć się Księdze bez tytułu.

- Mówiłaś o tym kapitanowi Harkerowi? – zapytał.

- Nie. Jest bardzo zajęty jakąś sprawą z dzieckiem. Cały dzień wypowiadał się dla telewizji na ten temat.

- Dziecięcy zabójca, co?

- Tak, ktoś truje dzieci i spuszcza z nich całą krew.

- Krwiożerczy wampir, jak sędzę.

Flake przytaknęła.

- Tak. Herker ocenia, że mogły być setki ofiar, głównie sierot.

- Czyli mamy szczęście, że jesteśmy dorośli – stwierdził Sanchez, znajdując jakiś pozytywny aspekt wśród wielu stresujących nowin.

- Ale to okropne, nie?

- Oczywiście. Co się stanie, jeśli braknie mu dzieci? Może przerzucić się na dorosłych. A wtedy będziemy mieć kłopoty.

Flake zmarszczyła brwi.

- Mam nadzieję, że spróbuje szczęścia na nas. Pamiętaj, że my mamy książkę zabijającą wampiry.

- O tak, masz głowę – powiedział Sanchez. Flake czasami była naprawdę mądra jak na kelnerkę. Zerknął na zegarek. – Biblioteka będzie już zamknięta. Pójdę jutro rano i oddam inną książkę, którą pożyczyłem wczoraj. A przy okazji poszukam Księgi śmierci.

- Pójdę z tobą – zaoferowała Flake.

- W porządku. Nie ma potrzeby.

- Mógłbyś najpierw wpaść do Ole Au Lait, zjedlibyśmy razem

śniadanie – zaproponowała.

Sanchez nasunął czapkę z powrotem, rozważając jej ofertę. Pewnie planowała swój udział w nagrodzie, którą Jessica oferowała za zwrot Księgi śmierci. Nałożył okulary, by ukryć oczy.

- Tak, dobra. Do zobaczenie około dziewiątej rano.

- Super! – rozpromieniła się. Gadała o czymś, a Sanchez skierował się ku wyjściu z komisariatu. Nie miał zamiaru wpadać do Ole Au Lait na śniadanie. Jego priorytetem było jak najwcześniejsze stawienie się w bibliotece.

## DWADZIEŚCIA TRZY

**K**acy od dawna nie postawiła nogi w Tapiocce. Miejsce niewiele się zmieniło. Wciąż było totalną dziurą. Ściany miały odrażający żółty kolor, cuchnęło dymem papierosowym, a chociaż było niewielu gości, wszyscy zebrani wyglądali na kryminalistów. Jediną różnicą był brak grubasa za barem.

Poszła za Dantem i Bourbon Kidem to lady. Zanim usiedli, Kid przywołał barmankę.

- Dla mnie bourbona. Pełną szklankę.

Kacy przysunęła krzesło i usiadła przy barze. Barmanka postawiła na blacie szklankę do whisky i zaczynała napełniać ją po sam brzeg bourbonem z brudnej brązowej szklanki Jim Beama.

Dante trącił Kacy.

- Patrz, co będzie, jak wypije. Tych czterech gości w rogu prawie na pewno przepadnie.

Kacy zerknęła na wspomniany stolik i zobaczyła czterech osobników o szemranym wyglądzie pociągających z butelek piwa. Nawiązała kontakt wzrokowy z jednym z nich i natychmiast odwróciła się z powrotem do baru. Kid rzucił pięciodolarówkę barmance.

- Reszta dla siebie – mruknął.

Barmanka zaczęła wybijać paragon na kasie, a on wziął szklankę bourbona i intensywnie się w nią wpatrzył, przyglądając się zawartości. Szklanka nie była specjalnie czysta, a Bourbon nie wydawał się najlepszej jakości, ale na pewno miał zamiar go wypić. Przyłożył szklankę do ust i wlał sobie całą zawartość do gardła. Później głośno odstawił ją na blat.

Opierając się na zebranych na jego temat informacjach, Kacy spodziewała się, że zmieni się w wariata albo wyjmie z kieszeni cały

arsenał broni. Ale sromotnie się zawiodła. Po prostu patrzył na pustą szklankę, mocno zamyślony.

Wreszcie spojrzął na nich.

- Nic nie czuję – powiedział. – Coś odeszło. Teraz powinienem patrzeć na tych czterech gości w rogu i zastanawiać się, jak ich zabić.

- Co masz na myśli? – zapytał Dante.

- Nie mogę wymyślić powodu, żeby ich zabić.

- A on kiedy potrzebujesz powodu?

- Od teraz.

Kacy wskazała na stolik przy wejściu.

- Może tam usiadziemy i to obgadamy – zasugerowała.

We trójkę podeszli do stolika i każdy usiadł na jednym ze skrzypiących krzesel wokół.

- Co się zmieniło? – zapytała współczująco Kacy.

- Czuję się inaczej – odpowiedział Kid z wyrazem zdumienia na twarzy. – Kiedyś po wypiciu bourbona czułem ogromny zastrzyk adrenaliny. Wiesz, jak to jest, chcieć zabić każdego, kogo widzisz?

- Nie za bardzo – odparła Kacy.

- Cóż, jak się napiłem, coś się działo. Przypominała mi się wtedy chwila, kiedy zabiłem matkę.

- Zabiłeś swoją mamę? – Kacy nie potrafiła ukryć zaskoczenia w głosie.

- Zmieniła się w wampira. Błagała, żebym ją zabił. Najpierw musiałem się napić. Wypiłem bourbona, a potem wystrzeliłem jakieś sześć naboju w serce. Później czułem się naprawdę żywy, gdy piłem bourbona i zabijałem cieci. Zwłaszcza wampiry.

- I już nie czujesz tego?

- Nie. Nie odkąd... - urwał.

Dante zakończył za niego zdanie:

- Odkąd użył Oka Księżyca, by odzyskać duszę zeszłej nocy. Teraz jest normalnym człowiekiem. Ma sumienie, jak wszyscy inni.

Kid sięgnął pod kurtkę i wyjął paczkę papierosów. Zębami wyciągnął jednego z pudełka i mocno zassał. Końcówka załśniła

lekką. Włożył paczkę do kieszeni.

- Wciąż coś tam potrafię – powiedział. – Nie myślcie, że zupełnie się wypaliłem. Wciąż wiem to co wcześniej, po prostu straciłem trochę wewnętrznego powera.

Dante spojrział na niego. Wyglądał jak normalny gość. Czegoś brakowało, i nie chodziło tylko o płaszcz z ciemnym kapturem. Brakowało czegoś w jego oczach. Kiedyś wyrażały one pogardę dla wszystkiego i wszystkich, ale teraz wydawały się zwyczajne.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Dante pokręcił pogardliwie głową nad człowiekiem przed sobą.

- To jak chcesz nam pomóc zabić Ramzesa Gajusza i odzyskać Oko Księżyca? – zapytał.

- Nie możecie zabić Gajusza.

- Dlaczego?

- Powiedziałeś, że ma w głowie Oko Księżyca. To jego część, jak tętno albo żywa istota, która daje mu siłę, więc jest nieśmiertelny. I jest mumią. A te popieprzenie nie umierają. Jest tylko jeden sposób, żeby się z nim uporać.

- Jaki? – zapytała Kacy.

- Odesłać go tam, skąd przyszedł.

Kacy spojrziała na Dantego. Wydawało się, że on też nie ma pojęcia, o czym mówił Kid.

- A skąd przyszedł? – zapytała.

Kid zaciągnął się papierosem i wypuścił dym przez nos.

- Z grobu. Musicie owinać go bandażami i pochować żywcem w grobie.

- Żartujesz, prawda? – powiedziała Kacy.

- Nie. Dlatego potrzebujecie mojej pomocy.

- Co niby zrobisz? – zapytał Dante, zanim Kacy zyskała okazję.

- Muszę na chwilę wyjechać z miasta. Możecie jechać do Casa de Ville i spotkać się tam ze mną jutro?

- Tak – odpowiedział Dante. – Byliśmy tam dziś rano. Duża miejscówka. Cholernie dużo wampirów. I piekielnie dobra ochrona.

Nie wiem, jak chcesz tam wejść. Bez obrazu, ale jeśli nie wrócisz do swojego starego złego „ja”, nie przejdiesz nawet przez główną bramę. Aktualnie panuje tam zasada „tylko dla nieumarłych”.

- Chwila! – wtrąciła Kacy. – Wejdzie, jeśli będzie wampirem.

Dante uniósł brwi.

- Chcesz go przemienić?

- Nie ma potrzeby – odpowiedziała.

- Co?

Poklepała Dantego po nodze.

- Daj mu serum, które zabrałeś z hotelu.

Oczy Dantego załśniły, gdy dotarło do niego, do czego zmierzała.

- Dobry pomysł.

- Jakie serum? – zapytał Kid.

Dante wyjął strzykawkę i małą butelkę z kieszeni i przesunął je po stole w kierunku Kida.

Kid spojrział na nie i zmarszczył brwi.

- Co to jest, do cholery?

- Przeprowadzi cię przez główną bramę.

- A coś więcej? Nie chcę czytać ci w myślach.

- To jest serum, którego używałem do obniżenia temperatury krwi, kiedy infiltrowałem wampiry. Dzięki temu mogłem chodzić między nimi niezauważenie. Wstrzyknij to sobie, zanim pojedziesz do Casa de Ville, a pomyślą, że jesteś jednym z nich.

Kid podniósł butelkę i przyjrzał się jej z bliska.

- Nie podziałało na ciebie tak dobrze. Ja zaraz się wypatrzyłem.

- Być może – powiedział Dante. – Ale reszta klanu się nabrała.

Warto spróbować.

- Dobra – odparł Kid. – Masz komórkę?

- Ja mam – odezwała się Kacy.

Kid wsunął strzykawkę i butelkę do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął telefon. Podał go Kacy.

- Napisz swój numer, żebym mógł zadzwonić w razie potrzeby.

Kacy zabrała telefon i zaczęła wklepywać numer.

Dante szturchnął Kida w ramię.

- Co mamy zrobić, kiedy będziemy na ciebie czekać?

- Spróbujcie dowiedzieć się, co z moją dziewczyną. Jeśli żyje, chcę o tym wiedzieć. Jeśli umarła, też chcę wiedzieć. Wyślijcie mi wiadomość, dobra?

- Jasne – odpowiedziała Kacy.

- A co z Gajuszem? – zapytał Dante. – Zbiera cholernie dużą armię w Casa de Ville. Jak sobie z tym poradzimy? Zanim dojedziesz, mogą być ich miliony.

- To moje zmartwienie.

- Niby tak. Ale teraz nie wykazujesz żadnych skłonności do dziesiątkowania armii, jeśli nie obrazi cię moja szczerość.

- Skoro pytasz, to obraża mnie.

- Sorki, ale mówię, co widzę.

- Jutro zmienisz zdanie. – Kid wstał od stołu. – Teraz mam sumienie. Kiedy się go pozbędę, będę starym sobą. Do zobaczenia później.

Gdy szedł do drzwi, Kacy zawołała za nim:

- Gdzie właściwie jedziesz? – zapytała.

Przystanął w drzwiach i odwrócił się. Wyjął spod kurtki ciemne okulary i założył je. Później udzielił dwusłownej odpowiedzi, która nic jej nie wyjaśniła.

- Diabelski Cmentarz.

# DWADZIEŚCIA CZTERY

Gajusz wpadł do biura i zobaczył Jessicę siedzącą na jego czarnym skórzanym fotelu za biurkiem, z nogami na blacie. Jej czarne sięgające kolan buty spoczywały na jego ulubionym notatniku. Jak zwykle miała na sobie czarny strój z koszulką z głębokim dekoltem, ukazującym dość sporo klatki piersiowej, ku niezadowoleniu ojca.

- Obyś miała Księżę śmierci! – warknął.

- Nie mam – nonszalancko odpowiedziała Jessica. – Mam coś lepszego.

- Poważnie w to wątpię.

Wskazała na kremową sofę pod ścianą za nim. Spojrzał na nią i zobaczył przerzuconą na niej kobietę. Leżała twarzą do dołu, miała na sobie parę przetartych czarnych dżinsów i niebieski sweterek. Nie była to osobistość, której Gajusz spodziewałby się w swoim gabinecie.

- Jakie licha leży na mojej sofie? – zapytał.

- To Beth Lansbury.

- A kto to Beth Lansbury?

- Ona.

- Bardzo zabawne. Poważnie, kim jest Beth Lansbury, dlaczego jest w moim gabinecie i ucina sobie drzemkę na mojej sofie?

Jessica zdjęła nogi z biurka i wstała. Wskazała na Beth i uśmiechnęła się.

- Ta mała dama jest dziewczyną Bourbon Kida.

Gajusz uniósł brwi z lekkim uśmiechem.

- Doprawdy?

- Tak.

- Zabiłaś ją?

- Nie. Nie widziałam potrzeby. Widziałeś, co stało się z tymi trzema durnymi gliniarzami, którzy zabili mu brata.



- Dobra. Więc po co ona tu jest?

- Jako zakładnik. Jeśli jest dla niego tak ważna, jak mi się wydaje, to spróbuje ją uratować. Kiedy się pokaże, damy mu wybór: życie jego albo jej.

Na Gajuszu nie zrobiło to wrażenie.

- Jakoś nie sędzę, żeby było to lepsze niż Księga śmierci.

- Dziwaczejesz.

- Wcale nie.

- Owszem. I znowu popadasz w paranoję. Zbyt długo masz w głowie to Oko. Masz przez nie paranoję, tak jak ostatnio.

Gajusz spojrzał na nią podejrzliwie.

- Kto twierdzi, że mam paranoję? – sapnął.

- Ja.

- Na pewno?

Jessica westchnęła.

- Widzisz, to oznaka paranoi. Oko ma na ciebie zły wpływ. Musisz je wyjmować na godzinę czy dwie, albo zrobisz się zgorzkniały i zaczniesz podejmować złe decyzje oparte na własnych żałosnych urojeniach. Pamiętaj, że to było źródłem twoich kłopotów wiele lat temu i skończyło się tym, że na wieku stałeś się mumią. Wyjmij je i pomyśl o sobie, do diabła!

- Myślę o sobie, do diabła, bardzo dziękuję. Zabijemy tą dziewczynę z sofy czy nie?

Jessica przeszła przez pokój do sofy i uderzyła Beth w plecy. Nie zareagowała. Jessica odwróciła się do Gajusza i uśmiechnęła.

- Uspokój się ojczy i posłuchaj mnie. Zanim ją uśpiłam, wyciągnęłam od niej trochę informacji. Nie wiedziała, że jej chłopak jest Bourbon Kidem, do dzisiaj, kiedy zabił Silvinho. Znała go pod innym imieniem. Jego prawdziwym imieniem.

- Jakim?

- Jak Daniels. Fajne, nie?

Gajusz przytaknął.

- Bardzo. Wreszcie znamy jego imię, ale nie mamy tej pieprzonej

księgi. Czy cokolwiek tutaj idzie zgodnie z planem?

- Nie, ale dlatego zawsze warto mieć plan awaryjny. – Jessica nachyliła się i poczochnęła włosy Beth. – Za bardzo wierzysz w tę księgę, ojczy. Mamy ją za przynętę, więc możemy go zabić nie martwiąc się, czy jego imię jest wpisane w twojej cennej książce, czy nie.

Gajusz podszedł do biurka i westchnął głośno, siadając na czarnym skórzanym fotelu.

- Moja droga Jessico, Księga śmierci jest mi potrzebna nie tylko po to, żeby zabić Bourbon Kida. On jest tylko drobną irytującą muchą. Zabiłbym go gołymi rękami. Potrzebuję tej księgi z o wiele ważniejszych powodów.

- Czyli?

- Ubezpieczenie. Kiedy powstanie moja nieumarta armia i plan podbicia reszty świata ruszy, przywódcy wolnego świata będą próbowali pozbyć się nas za pomocą broni nuklearnej i innych pierdów. Ale gdy pokażę im, że wystarczy mi wpisanie ich imion do księgi, by ich zabić, szybko nawrócą się na mój sposób myślenia. Będę miał ich wszystkich w garści. Bez przeszkód będziemy mogli wchodzić do jakiegokolwiek kraju. Nasza armia nie będzie już musiała walczyć, po prostu będziemy wędrować po świecie i podbijać.

Jessica wydawała się zaskoczona.

- Łał, nie wiedziałam, że masz tak okazałe plany. Jestem nawet pod wrażeniem.

- I powinnaś. Ale na razie nie ma ani księgi, ani Ulriki Price. Swoją drogą, będę musiał w końcu wstąpić do biblioteki i ją zabić.

Jessica pokręciła głową.

- Widzisz, znowu zaczynasz skupiać się na sobie i swojej obsesji.

- Och, zamknij się już. I tak nie lubisz Ulriki Price. Myślałem, że ucieszysz się z jej śmierci.

- O ile wiemy, ta dziwka mogłaby sobie coś pomyśleć i wpisać nasze imiona do księgi. Dziwię się, że przy swojej paranoi jej zaufałeś. A może ją sprzedała i uciekła z miasta.

Gajusz czuł, że z frustracji zaciska zęby.

- Jak mówiłem, odzyskanie Księgi śmierci jest wartością nadrzędną. Nadchodzi czas próby. Wobec ostatnich morderstw to tylko kwestia czasu, kiedy świat odkryje, że w Santa Mondedze roi się od nieumarłych. A gdy tylko się to rozniesie, władze różnych krajów zaczną zsyłać tu armie. Rozbiją nas, zanim w ogóle zaczniemy działać. Więc tak, świetnie że porwałaś tą dziewczynę, ale to nic w porównaniu do znalezienia Księgi śmierci. Musimy to zrobić, zanim rozniesie się, co tu robimy.

- O rety – Jessica zrobiła zatroskaną minę. – W takim razie to ci się nie spodoba.

- Co konkretnie?

- Już jest o nas głośno we wszystkich wiadomościach.

Gajusz wyczuł, że zaczyna drzeć z wściekłości. Przesunął prawą ręką w przód i tył po gładkiej łysej głowie. Gdyby miał jakieś włosy, pewnie zacząłby je teraz wrywać.

- Co masz na myśli? – warknął.

- Od godziny w lokalnych wiadomościach leci reportaż. Nabiera rozgłosu i wzbudza poruszenie opinii publicznej.

Gajusz nabrał powietrza ustami i powoli wypuścił je nosem.

- Co takiego? Gadaj!

- Na wolności jest jakiś dzieciobójca.

- A co mnie to obchodzi?

- W reportażu mówi się, że wszystkie ofiary otruto i miały ugryzienia na szyjach. Krążą plotki, że to robota wampirów. Ostatnio nie byliśmy jakoś wyjątkowo dyskretni, ale skoro ktoś zabija dzieci, sprawa robi się dużo poważniejsza.

Gajusz uderzył pięścią w blat.

- Do jasnej cholery! – krzyknął. – To wszystko spieprzy. Jeśli ta historia zdobędzie międzynarodowy rozgłos, będziemy tu mieć armie ze wszystkich krajów tego pieprzonego świata! Kto za to odpowiada?

- Cóż, to już inna sprawa. W wiadomościach mówili, że niektóre dzieci miały pod paznokciami włosie kozy.

- Kozy?

- Tak.

Gajusz westchnął.

- Powinienem się domyślić.

Jessica sięgnęła za dekolt i wyjęła ukrytą komórkę. Nacisnęła kilka przycisków, później podeszła do biurka i podała ojcu telefon.

- Naciśnij „Połącz” – powiedziała.

Gajusz wyrwał jej telefon z ręki i nacisnął guzik. Dwukrotnie rozległ się sygnał wywoławczy, zanim ktoś odebrał.

- Halo – odezwał się głos po drugiej stronie.

- E, cóż halo. Tu Ramzes Gajusz. Chcesz mi coś powiedzieć?

Po drugiej stronie na kilka sekund zapanowała niepewna cisza. Wreszcie rozmówca udzielił odpowiedzi.

- Nie. Nie sądzę.

Gajusz nie mógł dłużej powstrzymać wściekłości.

- MÓWIĄ O TOBIE W WIADOMOŚCIACH, TY PIEPRZONY KRETYNIE!

- Och.

- Tak, och. Obiecałeś, że żadnych więcej dzieci. Przynajmniej dopóki planuję zawładnąć światem. Ostatni raz mnie nie posłuchałeś!

- Przepraszam. Myślałem, że jestem dyskretny.

- Jesteś tak dyskretny jak bąk w bibliotece.

- Co?

- Do cholery – powiedział Gajusz z wyraźną frustracją. – Już mam popieprzony dzień. Księga śmierci zniknęła, Bourbon Kid gdzieś szaleje, a do tego gadają o tobie w wiadomościach, bo zabijasz dzieci!

- Księga śmierci zniknęła?

- Tak. Ale to nie twój psi interes.

Głos po drugiej stronie stał się mniej przeprasający.

- Wiem, kto ma Księgę śmierci – rzekł. – Mogę ją dla ciebie zdobyć.

- Doprawdy?

- Tak. Ale jeśli ci ją dam, będę mógł dalej zabijać dzieci?

- Jasne. Kto ma księgę?

- Tutejszy kretyń. W tej chwili jest ode mnie o rzut kamieniem.  
Odzyskanie jej to będzie łatwizna.

# DWADZIEŚCIA PIĘĆ

**R**ick miał męczący dzień. Flake zapisała się do policji, więc musiał zamykać Ole Au Lait na prawie cały dzień, a szukając dla niej następczyni, ledwie znajdował czas dla siebie. Co gorsza, według głupich tutejszych zwyczajów nie mógł jej nic zrobić za to, że rzuciła go na rzecz policji w chwili zagrożenia.

Kiedy skończył swoje nadprogramowe obowiązki, zamknął za sobą główne drzwi do Ole Au Lait i ponownie wyszedł na ośnieżone ulice.

Ciemne chmury przesuwają się nad miastem przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny i nie wydawało się, by miały się przerzedzić. Nie przeszkadzały mu ciężki deszcz ani grzmoty z poprzedniej nocy. Ale nieustanne opady śniegu były niemałym utrudnieniem. W mieście działo się coś dziwnego. Mnóstwo dzieciaków skarżyło się na jakiegoś wariata drogowego, który niszczył bałwany, które budowały przy ulicach. Do szpitala trafiło wielu starszych ludzi, którzy poślizgnęli się na oblodzonych chodnikach i upadli.

Gdy zapadła noc, ulice były puste, ale nie zaskoczyło go to. Było późno, ciemno, a przede wszystkim cholernie niebezpiecznie. Mimo plotek, że cholernie dużo wampirów zostało zaszlachtowanych w Halloween, Rick martwił się, że w okolicy wciąż jakieś grasuje. Na samą myśl o tym postawił kołnierz płaszcza, zakrywając szyję.

Jego mieszkanie od Ole Au Lait dzielił tylko jeden budynek i normalnie nie obawiałby się ataku wampirów. Gdyby któryś z jego klientów wyszedł późno, niemal na pewno stałby się pożywką dla nieśmiertelnych, ale jako właściciel kawiarni Rick był raczej zostawiany w spokoju. Jeśli jakiś wampir by go zabił, zamknięto by jego lokal. A ponieważ nieumarli nigdy nie tykali Sancheza, Rick wiedział, że był bezpieczny, ponieważ wampiry potrzebowały krwi

jego klientów. Nie ma Ole Au Lait, nie ma amatorów późnej kawki. Nie ma Tapioki, nie ma tak wielu pijanych dupków.

Gdy skręciła za róg budynku, niemal poślizgnął się na studziencie kanalizacyjnej ukrytej pod warstwą ciemnego lodu. Na szczęście w okolicy nie było nikogo, kto by widział, jak się zatacza, poza zalanym menelem przebranym za Świętego Mikołaja, leżącym przy wejściu do sklepu po drugiej stronie ulicy. Wydawało się, że menel spał. Jego biała broda nabrała okropnego szarego odcienia, a przód czerwonego stroju był ubrudzony deszczówką, gradem, płatkami śniegu i bez wątpienia sikaczem, który mógł wylać z butelki spoczywającej w papierowej torbie na jego kolanach.

- Biedny staruszek – mruknął do siebie Rick. Dla tego pijaka musiał nadchodzić czas kryzysu. Był dopiero listopad, więc gość musiał poczekać jeszcze jakiś miesiąc, zanim ludzie zaczną się nad nim litować i rzucać mu drobne, by wesprzeć go na Święta.

Zanim Rick dotarł do domu, był przemoknięty od nieustannie sypiącego śniegu i przemarznięty od lodowatego wiatru. Szybko zszedł po pięciu betonowych stopniach prowadzących do jego drzwi położonych poniżej poziomu ulicy i wyjął z kieszeni komplet kluczy. Szukał odpowiedniego, jego zmarznięte palce z trudem zacisnęły się na tym potrzebnym. Kiedy wreszcie chwycił właściwy, wsunął go do zamka i przekręcił. Drzwi kliknęły. Pchnął je. Przedpokój wydawał się ciepły. Wszedł do środka na brązową matę przy progu. W domu było dużo cieplej niż na zewnątrz. Przyłożył dłoń do grzejnika na ścianie. Był dość ciepły, ale na pewno będzie musiał go podkręcić, zanim zapadnie noc. Jego buty były przemoczone, a na podszwach zebrało się mnóstwo błota. Otrzeptał je na wycieracze i zamknął drzwi za sobą. Wtedy Rick zdał sobie sprawę, że miał gościa. Niezbyt przyjemnego. Powitał go widok ogromnego faceta w czerwieni wpychającego się przez drzwi. Miał szeroko otwarte usta, odsłaniając przerośnięte wampirze kły.

- Kuuuuuurwa!

Potężna, ciemna i brudna ręką przesłoniła usta Ricka, uciszając jego

krzyki o pomoc. Rick patrzył prosto w szalone czarne oczy wampira przebranego za Świętego Mikołaja. To co przed chwilą wydawało się zupełnie bezradnym zalanym menelem, teraz było pełnoprawnym, pijącym krew szaleńcem. A sukinsyn wydawał się spragniony. Mikołaj był silny i pchnął Ricka w głąb korytarza, cały czas przyciskając mu dłoń do ust. Rick otworzył oczy szeroko, gdy dokładnie przyjrzał się kilku cienkim strużkom czerwieni na poplątanej szarej brodzie intruza.

Mikołaj przyciągnął go do siebie i założył nogę za kolana Ricka, po czym pchnął go. Upadł na plecy na drewnianą podłogę. Rick usłyszał, że drzwi zamykają się, kopnięte ciężkim czarnym butem Mikołaja.

- Jestem właścicielem Ole Au Lait – wydyszał Rick, mając nadzieję, że zasłuży na łagodniejsze traktowanie.

- Wiem – warknął Mikołaj. – Ale to cię nie uratuje.

Rick spojrzął na oprawcę, wreszcie przyglądając mu się dokładnie. Mikołaj był naprawdę przerażającym gościem. Za brudną szarą brodą miał buraczkowo czerwoną i fioletową twarz. I o ile nie miał sztucznego brzucha, miał znaczną nadwagę. Miał potężna ramiona i głowę wielkości dyni. Jego mikołajowa czapka musiała być wyjątkowo duża, jej górna część zwisała obok jego twarzy.

- Proszę – powiedział Rick najbardziej błagalnym i zdesperowanym głosem. – Jestem dobrym człowiekiem, przysięgam.

Mikołaj nachylił się.

- Spotkałem już wiele dzieci, które były grzeczne cały rok – powiedział. – To ich nie uratowało i nie uratuje ciebie.

Rick chwycił Mikołaja za brodę. Nie był to jednak sposób, by go zranić. Gdy pociągnął, oderwała się od twarzy napastnika. Broda była fałszywa, zrobiona ze zwierzęcego włosa i utrzymywana przy twarzy dzięki gumkom założonym za uszy. I nieprzyjemnie śmierdziała kożą.

- Proszę – desperacko błagał Rick. – Dam wszystko. Tylko mnie puść.

- Najpierw powiedz mi, gdzie jest Księga śmierci.

- Księga śmierci?



- Tak. Miałeś ją rano. Widziałem cię z nią w Ole Au Lait. Gdzie jest teraz?

Rick przełknął ślinę.

- Zaniósłem z powrotem do biblioteki – zadrżał, gdy szara broda otarła się o jego twarz.

Mikołaj jeszcze bardziej się nachylił, przybliżając twarz, by ocenić prawdopodobność Ricka. Smród taniego alkoholu była przytłaczająca, gdy potwór wypuścił powietrze i powiedział:

- Już byłem w bibliotece. Powiedzieli, że książka zniknęła.

- Nie oddawałem jej przez bibliotekarkę. Po prostu położyłem na półkę w dziale Biografii.

- Dlaczego? Czemu nie dałeś jej bibliotekarce?

- Zwracałem ją za mojego kumpla, Sancheza. Powiedział, że wyniósł ją bez pozwolenia, więc sam musiałem odłożyć ją na półkę.

Mikołaj spoliczkował Ricka.

- Nie wierzę ci! – warknął.

- Mogę iść tam rano z tobą, pokażę ci, gdzie ją odłożyłem.

Mikołaj usiadł na piersi Ricka, przygniatając do podłogi.

- Powiedziałeś, że jest w dziale z biografiami. Znajdę sam.

- Dobra, fajnie. To co, zgoda? Zostawisz mnie w spokoju? – powiedział Rick, mając nadzieję, że sytuacja się rozwiązała.

Mikołaj sięgnął pod czerwoną kurtkę i wyjął brązową papierową torbę. Ze środka wyciągnął małą srebrną flaszkę. Wolną ręką sięgnął w dół i chwycił Ricka za nos, zatykając nozdrza i odchylając głowę do tyłu. Przyłożył mu butelkę do ust.

- Otwórz – powiedział. – Posmakuje ci!

Rick czuł, że jego płuca domagają się tlenu. Zatkany nos przyniósł poczucie bezsilności i paniki. Mógł jedynie otworzyć usta i liczyć, że uda mu się nabrać trochę powietrza. Ale gdy otworzył buzię, z przerażeniem zobaczył, jak ciężki wampir w stroju Mikołaja przykładając mu to warg butelkę i wlewa niewielką ilość zielonego płynu. Ciecz miała cytrynowy posmak, niezupełnie nieprzyjemny. Na pewno lepszy niż siki, które dostawał Rick w knajpie Sancheza.

Mikołaj wreszcie przestał wlewać mu zielony napój do gardła i poluzował chwyt na jego nosie, dając możliwość nabrania powietrza. Zakaszłał i czknął lekko. W gardle i nosie czuł smak i zapach cieczy.

Ku jego zaskoczeniu Mikołaj wstał. Na chwilę zmniejszył nacisk na pierś Ricka. Wziął głęboki wdech, ale zaraz ponownie poczuł ucisk w klatce piersiowej. Ogarnęło go ciepło. Było to nawet przyjemne po zimnie na dworze i niemiłym incydencie sprzed kilku sekund. Ale to ciepło trwało tylko chwilę. Po nim nastąpiło odrętwienie, które przemknęło od ramion do stóp w kilka sekund. Próbował się odezwać, ale jego usta i język nie poruszyły się, by wypowiedzieć: „Co się dzieje?”

Mikołaj zdjął czerwoną czapkę, odsłaniając głowę cienkich ciemnych, brudnych i przetłuszczonych włosów. Później posłał unieruchomionemu kawiarczowi szeroki, wampirzy uśmiech.

- Doświadczasz właśnie pewnego rodzaju paraliżu wywołanego tym, co właśnie wypiliśmy – powiedział. – Chciałbym, żebyś sobie tu poleżał, a ja się tobą zajmę. Zazwyczaj takie atrakcję zachowuję dla dzieci, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Będziesz czuł ten ból, kiedy będę wysysał ci krew z żył. Nie będziesz mógł w żaden sposób zareagować. To powinno potrwać tylko kilka godzin. – Uśmiechnął się złowieszczo i dopowiedział: – Wesółych Świąt.

## DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Kacy przebudziła się z bardzo głębokiego snu. Leżała nago pod kołdrą w pokoju, którego nie знаła. Czowała, że miała kaca. Gdy przypomniała sobie poprzednią noc, zrozumiała dlaczego. Po wyjściu z Tapioki i rozstaniu z Bourbon Kidem, poszła z Dantem poszukać świeżej krwi. Poszukiwania były trudniejsze, niż którekolwiek mogło przypuszczać. Żadne nie chciało zamordować niewinnego człowieka i wypić jego krwi, więc po kilku mało przekonujących próbach zaatakowania nieznanym, wrócili do Swampa z pustymi rękami. Okazało się, że niepotrzebnie się martwili, ponieważ Ważniak miał butelki świeżej krwi za barem przy basenie.

Kiedy weszli do pomieszczenia z basenem, w najlepsze trwało jakieś after party. Ważniak zaprosił wszystkich członków klanu Cieni, którzy przeżyli, i jeszcze kilka mało pijących wampirów. Był hojnym gospodarzem, więc całą noc dostępne były darmowe drinki o nazwie „Bloodweiser”. Był to oparty na krwi drink stylizowany na piwo Budweiser. Nie był ani w połowie tak dobry jak krew Archiego Somersa, ale zaspokoili pragnienie Dantego i Kacy.

Kacy odkryła, że Ważniak był całkiem rozsądnym i uroczym facetem. Wiedział, jak prowadzić przyjęcia i sprawić, by goście czuli się dobrze. Nie był przerażający w sensie, jakiego się spodziewała po wampirze. Ale przecież ona też była teraz wampirem i nie uważała siebie za oszalałego na punkcie krwi lunatyka.

Obok niej na łóżku wciąż spał Dante. Wstała i wzięła prysznic w przyległej do pokoju łazience, nie budząc go. Zawsze wstawał późno, zwłaszcza po całej nocy picia, więc mogła zachowywać się dowolnie głośno i nie obawiać, że go obudzi.

Sypialnia którą przydzielił im Ważniak, znajdowała się na górnym piętrze Swampa. Nie miała okien, przypuszczalnie dlatego, by

budzący się rano wampir nie dostał na śniadanie nieoczekiwanych promieni słonecznych.

Wysuszyła włosy i ubrała się w wygodne niebieski dżinsy i czerwoną bluzę. Stwierdził, że sprawdzi, czy opady śniegu na zewnątrz się nie pogorszyły.

Otworzyła drzwi do salonu i rozejrzała się, czy Ważniak był w pobliżu. Siedział na kanapie plecami do niej i oglądał coś na dużym ekranie telewizora pod ścianą. Na szczęście nie był to pornol, a jego spodnie nie zwisały gdzieś w okolicach kostek. Miał na sobie bordowy szlafrok i parę pasujących papci, czego zupełnie nie spodziewałaby się po przerażającym wampirze. Na telewizorze leciało amatorskie wideo z wesela. Kacy uwielbiała takie nagrania, więc weszła do salonu i delikatnie zamknęła za sobą drzwi. Ważniak usłyszał ją, ponieważ szybko odwrócił głowę w jej stronę.

- O cześć – powiedział, wyraźnie zaskoczony jej widokiem. – Dobrze spałaś?

- Tak, świetnie, dzięki.

- A Dante?

- Ciagle śpi. Zejdzie mu pewnie jeszcze godzinę albo dwie.

- Nie dziwię się. Wczoraj w nocy chyba dobrze się bawiliście.

- Tak, było super. Gdzie wszyscy poszli?

Ważniak uśmiechnął się.

- No, przez chwilę jeszcze was słuchaliśmy, ale potem reszta poszła na noc do domów.

Kacy czuła, że się rumieni. Pożądanie pobudzone wypitą poprzedniej nocy krwią wprawiło ją i Dantego w poniekąd napalony stan. Pozbyli się wszelkich zahamowań i głośno, energicznie kochali się w zapasowej sypialni Ważniaka. Przypominając sobie niektóre rzeczy, które wykrzykiwała w rozkoszy, stwierdziła, że dobrze byłoby zmienić temat.

Na telewizorze na ścianie zobaczyła znajomą twarz.

- To ty? – zapytała.

- Tak – Ważniak sięgnął po pilota, żeby wyłączyć telewizor.

- To twoje wesele?

- Mhm.

- Łał! Mogę chwilę z tobą pooglądać?

Ważniak zdziwił się i odłożył pilota z powrotem na stolik.

- Jasne, jeśli chcesz. Ale to nic nadzwyczajnego.

Kaxy przyjrzała się pannie młodej. Była to piękna mniej więcej dwudziestopięcioletnia brunetka. Pan młody, Ważniak, wyglądał podobnie jak teraz, ale był ubrany w elegancki czarny garnitur z białą koszulą i czarnym krawatem.

- Miałeś bardzo ładną żonę – powiedziała Kacy, przysiadając na końcu sofy.

- Owszem.

- Wciąż jesteście razem?

Pokręcił głową.

- Nie. Nie chciała zostać wampirem. – W jego głosie pojawił się smutek.

- Dlaczego? Co się stało?

Ważniak zatrzymał wideo w chwili, gdy całował żonę przed kamerą.

- Wtedy nie byłem wampirem – powiedział. – Jakieś sukinsyn ugryzł mnie w nasz miesiąc miodowy. Emma, moja żona, nie chciała się przemienić, więc musiałem się wynosić, inaczej bym ją ugryzł. Obiecałem jej, że pewnego dnia znajdę lekarstwo i znowu będę człowiekiem, a wtedy do niej wrócę.

- Kiedy to było

- Cztery lata temu.

Kaxy próbowała sobie wyobrazić, jak przeżyłaby cztery lata bez Dantego. Stwierdziła, że nie byłoby to przyjemne. Przez kilka sekund patrzyła intensywnie na szczęśliwą parę na ekranie, po czym zadała Ważniakowi kolejne osobiste pytanie:

- A co z Emmą? Co teraz robi?

Ważniak patrzył na ekran, odpowiadając.

- Nie wyszła ponownie za mąż, ale teraz ma dwadzieścia dziewięć

lat, tak jak je. Za kilka miesięcy dojdzie do trzydziestki. A ja zawsze będę wyglądał na dwadzieścia dziewięć. Nasze marzenie, by wspólnie się zestarzeć, odeszło, gdy zostałem ugryziony.

- Przykro mi.

- Mi też. Dante ma szczęście, że ma ciebie, ale bardzo się poświęciłaś, zostając jedną z nas.

- Wiem. To była trudna decyzja. Ale nie potrafię żyć bez Dantego. Od zawsze byliśmy razem.

- Widzę – powiedział Ważniak z uśmiechem. – Kiedy powiedział, że dopiero co cię poznał, wiedziałem, że kłamał. Jesteście przy sobie zupełnie naturalni.

Kacy zrozumiała, że trochę za bardzo otworzyła się przed Ważniakiem. Nie mogła nic na to poradzić. Czuła z nim więź. Był jedynym wampirzym przyjacielem, jakiego na razie zdobyła. Rozumiał, przez co przechodzili ona i Dante. Mimo że na pewno zabił wiele osób by przeżyć, Ważniak wydawał się odczuwać żal. Może nie z powodu odebranych żywotów, ale z powodu braku możliwości powrotu do swojego poprzedniego życia.

Kacy naciskała dalej.

- A gdybyś mógł znowu być człowiekiem, chciałbyś? Wróciłbyś do żony? – zapytała wścibsko.

- W mgnieniu oka. Nienawidzę być wampirem, dałbym wszystko, żeby znowu być człowiekiem.

Kacy wzięła głęboki wdech i powiedziała to, co leżało jej na sercu:

- Wiedziałeś, że Oko Księżyca może zmienić cię z powrotem?

Ważniak uśmiechnął się.

- Tak, ale Ramzes Gajusz nigdy nie zgodzi się, żeby ktokolwiek to zrobił. Wierz mi, gdybym wiedział, jak wyjąć mu Oko Księżyca z głowy, zrobiłbym to. Ale on by mnie zabił, zanim bym się dostatecznie zbliżył.

- Ale fajnie by było, gdybyśmy zdobyli Oko, prawda?

- Tak, ale naprawdę powinnaś o tym zapomnieć.

- Czemu?

- To samobójstwo.

- Ale gdyby nam się udało, mógłbyś znów być człowiekiem i wrócić do żony.

Ważniak zmarszczył brwi i ponownie spojrzął na telewizor. Przez sekundę patrzył na zatrzymany wizerunek siebie i żony. Później wziął pilota i wyłączył urządzenie.

- Czyżbyście chcieli z Dantem zaryzykować? – zapytał.

Kacy wzruszyła ramionami.

- Gdyby to było możliwe, spróbowałabym. A ty nie?

Ważniak siedział chwilę, patrząc na czarny ekran, mocno zamyślony. Wreszcie wziął wdech i odwrócił się do Kacy.

- Wiesz co? – powiedział. – Chyba wiem, jak możemy dostać Oko. Ale to niebezpieczne.

Kacy nadstawiła uszu.

- Poważnie? Jak?

- Słyszałem, że Gajusz idzie dziś w nocy do muzeum. Chce wyczyścić tam oko na maszynie do polerowania diamentów, którą tam mają. Jeśli będziemy tam, kiedy wyjmie Oko z głowy, będziemy mogli je zwinąć. Nasza trójka, ty, ja i Dante, powinniśmy dać radę. To będzie nasza jedyna szansa, bo bardzo rzadko wyjmuje Oko.

Kacy czuła podniecenie.

- O Boże. Naprawdę myślisz, że damy radę?

Ważniak przytaknął powoli, prawie jakby sam siebie przekonywał.

- Właściwie wiesz co? Naprawdę myślę, że damy. Bez Oka jest nikim. Nie stanowi dla nas żadnego zagrożenia. Nasza trójka spokojnie na niego wystarczy.

Kacy podskoczyła z sofy.

- O Boże – pisnęła. – Obudzę Dantego i mu to powiem.

- Super.

Pobiegła do sypialni, podzielić się z Dantem nowiną. Gdy zniknęła mu z oczu, Ważniak wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni. Wybił numer Ramzesa Gajusza. Gajusz odebrał po jednym sygnale. Miał równie zirytowany głos co zawsze.

- Czego chcesz? – warknął.

- Zrobione – powiedział Ważniak. – Obydwoje będą w nocy w muzeum. Nie uwierzysz, jak łatwo poszło.



# DWADZIEŚCIA SIEDEM

Sanchez przyszedł do biblioteki tuż po dziewiątej i wybiegł po schodach z przodu budynku. Dotarł do ogromnych drewnianych podwójnych drzwi w chwili, gdy się otwierały. Josh, młody chłopak pracujący jako pomocnik zmarłej już Ulriki Price, pchnął prawe skrzydło i odblokowywał drugie, gdy dopadł go Sanchez. Josh skrzywił się, gdy zimne powietrze wpadło przez otwarte drzwi. Jego bibliotekarski strój składał się z czarnych spodni i cienkiej białej koszuli, więc rześkie powietrze musiało przeniknąć go do szpiku kości. Wydawał się mocno zaskoczony wizytą kogoś o tak wczesnej porze, zwłaszcza że Sanchez nie należał do moli książkowych.

- Dzień dobry, Sanchez – powiedział. Wiatr odrzucił mu z oczu brązowe kosmyki włosów.

- Dzień dobry, młody człowieku – odpowiedział Sanchez z nutą oficjalności w głosie. – Dla ciebie jestem detektywem Garcia. Przychodzę w sprawach służbowych.

Josh wydawał się zaskoczony, zmierzył Sancheza wzrokiem od stóp do głowy, na pewno podziwiając jego mundur. Wzruszył ramionami.

- Oczywiście, detektywie. Chodzi o Ulrikę Price?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Zniknęła. Nie powinno mnie tu być, po mnie wczoraj zwolniła.

- Dziwka jedna.

- No. A kilka minut później zniknęła z powierzchni ziemi. I myślałem, że jeśli ktoś zgłosił jej zaginięcie, ja pewnie byłbym jednym z przesłuchiwanym.

Sanchez przemyślał przez chwilę jego słowa i odpowiedział:

- W porządku. Nie po to tu jestem. Ale jeśli została zamordowana, byłbyś głównym podejrzanym, więc proszę cię, żebyś w najbliższym

czasie nie opuszczał miasta.

- Dobrze, proszę pana. Więc w czym mogę pomóc?

Sanchez skierował się do prowadzącej na piętro klatki schodowej na lewej ścianie, a następnie do działu z biografiami.

- Poradzę sobie. Nie powinienem potrzebować pomocy – odpowiedział. – Muszę znaleźć książkę, które może przydać się w śledztwie.

- Co to za książka?

- Nie twój interes.

Wszedł żwawo po schodach i zostawił Josha, który wykladał właśnie znak OTWARTE na frontowym oknie przy drzwiach wejściowych.

Piętro biblioteki wyglądało równie przerażająco jak zwykle. Były tu nieskończone rzędy regałów z książkami oraz dużo stolików i krzeseł, na których chętni mogli posiedzieć i za darmo poczytać książki. Będąc tu ostatnio, Sanchez włożył Księgę śmierci do kieszeni, żeby Ulrika Price tego nie zobaczyła. Teraz nie musiał tego robić. Był stróżem prawa, a Ulrika Price nie było na posterunku.

Dział Biografii był pełen sięgających do sufitu półek, pełnych książek w grubych oprawach, traktujących o nudnych rzeczach. Na szczęście książki były ułożone alfabetycznie według autora, no, przynajmniej mniej więcej. Skierował się do pierwszego rzędu półek i zaczął przeglądać grzbiety książek autorów, których nazwiska zaczynały się na A. Wydawało się, że w dział Biografii był pewnego rodzaju śmietnikiem, do którego Josh wrzucał wszystkie książki, których właściwego położenia nie znał. Po pierwsze, nie były do końca alfabetycznie ułożone, a do tego widział też książki nie-biograficzne. Sanchez przeglądał tytuły, aż natrafił na Anonima. Książka nosiła tytuł „Podstawowe kolory”. Spoglądając w prawo, wzdłuż półki, zobaczył jeszcze kilka książek, niektóre z nazwiskiem Anonim na grzbiecie, a inne zupełnie bez nazwiska. Rozbawiło go, jak ktokolwiek mógł być na tyle głupi, żeby napisać książkę, a potem zapomnieć się pod nią podpisać.

Tytuły były różne, niektóre kontynuowały serię Gejowski przewodnik po... Będąc ostatnio w bibliotece, Sanchez przypadkowo zabrał „Gejowski przewodnik po seksie analnym” i go wypożyczył, by Ultika Price nie zauważyła, że w tym samym czasie wynosił Księgę śmierci. Termin oddania poradnika mijał w przyszłym tygodniu, więc zostawił go w Tapioce. Co prawda nie wiedział, jak miałby oddać taką książkę, głównie z powodu tego, co pomyśleliby ludzie, widząc go z taką pozycją.

Przejrzawszy ponad sto książek, wreszcie odnalazł znajomy grzbiet Księgi śmierci. Tytuł zapisano białą czcionką, która dość mocno się rozmyła. Czuł, że serce przyspiesza mu w piersi. Oto on, klucz do pięćdziesięciu tysięcy dolarów nagrody i miejsca w sercu Jessiki. Jeśli to nie zrobi na niej wrażenia, nie tego nie uczyni.

Wyjął książkę z miejsca, w które wetknął ją Rick poprzedniego dnia. Opierając ją na krawędzi jednej z półek, otworzył mniej więcej w połowie. To na pewno ta książka. Była pełna nazwisk, tak jak pamiętał. Przejrzał strony, dochodząc wreszcie do miejsca, gdzie zapisał imię Jessiki i jeszcze dwa inne. Zerkając w obydwie strony przejścia i sprawdzając, czy nikt nie patrzył, mocno chwycił tę stronę i wyrwał najciszej, jak się dało. Zwinął kartkę i wetknął do jednej z kieszeni spodni. Wszystko szło jak po maśle. Odetchnął z ulgą i wetknął książkę pod pachę. Pewnym krokiem wyszedł z przejścia na otwartą przestrzeń w pobliżu kontuaru. Siedział za nim Josh. Skinął na Sancheza, kiedy go zobaczył.

- Znalazł pan to, czego pan szukał, detektywie? – zapytał.
- Owszem, dziękuję.
- Mogę zapytać, co to?

Sanchez przemyślał pytanie. Tym razem nie miał nic do ukrycia. Chciał, żeby świat dowiedział się, że to on znalazł książkę. Gdyby ktoś chciał przywłaszczyć sobie ten zaszczyt, miałby Josha na świadka. Właściwie, jak stwierdził, warto wypożyczyć tę książkę na własne nazwisko, żeby wszystko było oficjalnie.

- To Księga śmierci autorstwa anonimowego autora – powiedział. –

Proszę, zapisz na moje konto.

- Oczywiście – Josh sięgnął do klawiatury przed monitorem na biurku. Sanchez stał przy blacie, by upewnić się, że zrobił to porządnie.

Po kilku sekundach pisania Josh podniósł wzrok.

- Mam tu napisane, że wypożyczył pan jedną książkę – powiedział, marszcząc brwi. – Gejowski przewodnik po seksie analnym?

- Sprawy policji – odparował Sanchez.

Josh uniósł brwi.

- Badacie sprawę gwałticiela z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego?

- Skończyliśmy? – zapytał Sanchez surowo.

- Jasne. Kiedy mogę spodziewać się zwrotu książek?

- Kiedy zakończę badania. Miłego dnia.

Mocno trzymając Księgę śmierci pod pachą, Sanchez wyszedł przez drzwi i zszedł po schodach. Całą akcja okazała się łatwiejsza, niż się spodziewał (pomijając nieszczęsne wspomnienie książki o zbrodniach). Idąc po stopniach, wyobrażał sobie, co powie Jessica, kiedy przyjedzie do Casa de Ville z Księgą śmierci. Tak mocno się zamyślił, że prawie nie zauważył potężnego jegomościa w stroju Świętego Mikołaja, który wchodził po schodniach. Wpadli na siebie. Na skutek zderzenia Sanchez upuścił Księgę śmierci. Odbiła się od stopnia za Mikołajem i spadła po schodach na sam dół. Sanchez spojrzał na Mikołaja, który patrzył na niego z góry ze zdziwieniem na jasnoczerwonej twarzy. Obydwaj mężczyźni odezwali się z tym samym momencie i tymi samymi słowami:

- Patrz, jak łazisz, grubasie!

Mikołaj wyglądał groźnie, a Sanchez dostrzegł krople krwi na jego brudnej szarej brodzie. Cuchnął do tego starym alkoholem, który Sanchez znał aż za dobrze. Tak śmierdziała większość klientów Tapioki, kiedy przychodzili na cały dzień. Biorąc pod uwagę ilość alkoholu, Sanchez czuł się zaskoczony, że Mikołaj zwłókł się tak wcześnie rano. Jakikolwiek był tego powód, gość nie był serdecznym

typem i wyglądał, jakby chciał oderwać Sanchezowi głowę. Jego twarz płonęła wściekłością na grubego faceta- stróża prawa. Trzeba było jakoś przeprosić.

- E, przepraszam – powiedział Sanchez. – Nie zauważyłem, że jesteś gościem od Boga i tak dalej. – Sięgnął do kieszeni i wyjął srebrną flaszeczkę. Podał ją wściekłemu Mikołajowi. – Masz, miej dla mnie trochę bożonarodzeniowej litości – powiedział z fałszywym uśmiechem.

Mikołaj spojrział na butelkę i zmierzył Sancheza podejrzliwym spojrzeniem.

- Co jest w środku? – warknął.

- Coś podobnego do ajerkoniaku, więc powinno ci posmakować. Możesz zachować butelkę. Wesółych Świąt.

Mikołaj zabrał flaszeczkę. Jego twarz zmiękła.

- I wzajemnie, funkcjonariuszu – powiedział. Ruszył w swoją drogę, w górę schodów.

Sanchez z ulgą wypuścił powietrze i pospieszył w dół. Księga śmierci wylądowała centralnie w stercie brudu i śniegu przed głównymi drzwiami. Brud zapewne pochodził z butów rozwścieczonego Mikołaja (który będzie jeszcze bardziej zły, kiedy skosztuje eliksiru z butelki). Wziął książkę, otrzepał okładkę ze śniegu i brudu, po czym ruszył ulicą.

W bibliotece Josh próbował rozgryźć, czy Sanchez naprawdę był policjantem czy tylko gejem lubiącym przebierać się za członków grupy Village People[4], gdy nagle stanął przed nim rozwścieczony Święty Mikołaj.

- Mogę panu w czymś pomóc? – zapytał.

Mikołaj pochylił się nad biurkiem. Miał nieprzyjemny oddech.

- Szukam działu z biografiami. Gdzie jest? – zapytał.

- Tam – odpowiedział Josh, wskazując ponad ramieniem Mikołaja.

- Ma pan u nas konto?

- Nie.

- W takim razie, kiedy wybierze pan książkę, będzie pan musiał

wypełnić formularz dla nowych członków.

Mikołaj podwinął górną wargę, odsłaniając ostre zęby. Odkręcił srebrną piersiówkę, którą trzymał, i zmierzył Josha spojrzeniem.

- Szukam Księgi śmierci – powiedział groźnym głosem, zupełnie nie pasującym do człowieka kochanego przez wszystkie dzieci świata.

- Wiem, że znajduje się w dziale Biografii. Widziałeś ją?

Josh doskonale wiedział, gdzie jest. Sanchez właśnie zabrał ją do policyjnych celów. Więc czemu ten gość ją chciał? Był przestępcą? A właściwie o co chodziło z tą Księgą śmierci? Gdy Josh rozważał odpowiedź, Mikołaj pociągnął łyk z piersiówki. Sekundę później otworzył szeroko oczy i wypluł zawartość ust na twarz i koszulę Josha.

Josh odskoczył w tył i otarł plwociny z twarzy.

- Co do cholery? – warknął, wachając ciec na rękach. Pachniała jak siki. W normalnej sytuacji zareagowałby dużo gwałtowniej, ale patrząc na rozmiary Mikołaja, stwierdził, że powinien się trochę powstrzymać i po prostu odpowiedzieć na wcześniejsze pytanie. – Książkę, której pan szuka, ma Sanchez Garcia. Właśnie wyszedł. Pewnie minął go pan na schodach. Niski gruby facet w stroju gliniarza.

Mikołaj wciąż zbierał się po napoju, który przed chwilą wypluł.

- Co? – sapnął.

- Sanchez. On ma książkę.

Mikołaj rzucił piersiówkę do Josha. Uderzyła go mocno w czoło, wylało się na niego jeszcze trochę zawartości. Smród sików wypełnił powietrze. Oto legendarny najlepszy trunek Sancheza.

- Zatłukę sukinsyna! – warknął Mikołaj.

Zanim Josh skończył wycierać siki z oczu, Mikołaj był już w połowie schodów, goniąc Sancheza.

# DWADZIEŚCIA OSIEM

**J**D stracił rachubę, jak długo jechał. W głowie miał mnóstwo różnych scenariuszy, jak zakończy się ta podróż. I co stało się z Beth. Nie miał pojęcia, czy żyła czy nie. Wiedział tylko, że on – JD – nie był w stanie przeprowadzić jakiegokolwiek misji ratowniczej, ani w razie potrzeby pomścić jej. To była robota dla Bourbon Kida, którym kiedyś był. Inni mogli na niego patrzeć i widzieć seryjnego zabójcę, ale w głębi duszy wiedział, że on taki nie był. Teraz był człowiekiem z sumieniem i, co ważniejsze, z duszą. Właśnie z duszą będzie musiał się uporać na Diabelskim Cmentarzu.

Droga mijąca, krajobraz się zmieniał, aż wreszcie znalazł się na znajomej drodze. Był już na tej autostradzie, prawie dekadę temu. Szosa wyglądała tak samo, a jej otoczenie wciąż było puste i wyludnione. Niebo było jasnoniebieskie, mocno kontrastując z ciemnymi chmurami nad Santa Mondegą. Gdy mknął środkiem autostrady, słyszał tylko ryk silnika swojego pokrytego kurzem czarnego V8 Interceptora.

Gdy minął spalony policyjny radiowóz stojący na poboczu, wiedział, że był blisko. Przypomnił mu się pościg, w który wplątał się w czasie ostatniej wizyty na Diabelskim Cmentarzu. Strącił kilka radiowozów z asfaltu i wystrzelił w nie kilka magazynów, zwykle trafiając do celu, czy była to twarz policjanta czy opona.

Kilka mil dalej minął zaniedbaną i opuszczoną stację paliw ze słabo widocznym szyldem Paliwo i Obiady Joe. Gdy zniknęła z odbicia w jego lusterku wstecznym, zwolnił. Przed nim było skrzyżowanie.

Diabelskie Skrzyżowanie.

Zdjął nogę z gazu i zjechał na pobocze tuż przed rozjazdem. Wyłączył silnik. Nie widział nikogo w pobliżu. Ani żywego ducha. Ale na pewno był w dobrym miejscu. Musiał zawrzeć tutaj pewną

umowę. Taką jak zawarł Robert Johnson w 1931 roku z Diabłem.

Otworzył drzwi samochodu i wyszedł na zakurzoną autostradę. Cisza na Diabelskim Cmentarzu była nieprzyjemna. Nie taka jak zwykle. Powiewał cichy wiaterek, czuł go na twarzy. Ale tylko on wydawał jakieś dźwięki. Jego kroki szmerzące na żwirze pod czarnymi oficerkami były jedynym dowodem, że nie śnił.

Skrzyżowanie wydawało mu się znajome. Zniknął znak, który miał objaśniać wszystkie kierunki, jak przez te wszystkie lata.

Gdzie do cholery był ktoś, kto by mu pomógł?

Stanął na środku skrzyżowania i rozejrzał się. Jeśli dobrze pamiętał, nieistniejący już Hotel Pasadena znajdował się kilka mil dalej przy prawej odnodze. A gdzie prowadziła druga droga? Spojrzał w lewo. Widział tylko opuszczoną pustkę, a w oddali pomarańczowe góry. Tak samo było z każdej strony. Gapiąc się w tą przestrzeń, usłyszał głos, na który czekał.

- Zastanawiałem się, kiedy wrócisz – powiedział.

To był Jacko. Bluesman.

Stary znajomy szedł w jego stronę środkiem drogi, ze wschodu, niosąc czarny pokrowiec na gitarę.

Młody czarny piosenkarz wciąż miał na sobie czarny garnitur, Fedorę i lotnicze okulary, które Bourbon Kid dał mu przed występem w roli Blues Brothera w konkursie Powrót z martwych wiele lat temu. Nie postarzał się nawet o dzień, odkąd ostatni raz się widzieli, wciąż wydawał się świeżutkim młodym muzykiem czekającym na swoją wielką szansę.

- Wisisz mi szkła – przypomniał mu JD.

- Też się cieszę, że cię widzę.

- Wiesz, dlaczego tu jestem?

- Jasne.

Poczuł ulgę, że nie będzie musiał tłumaczyć się przed Jacko (który, jak pamiętał, potrafił być nudnym i samolubnym indywidualistą). To że Jacko wiedział o powodach jego wizyty na Diabelskim Cmentarzu, nie zdziwiło go. Zawsze przypuszczał, że ich drogi zejdą się ponownie.



Okoliczności ich ostatniego spotkania wydawały się drobiazgiem.

- Co się teraz stanie? – zapytał JD.
- Mogę zaaranżować spotkanie.
- Zrób to.

Jacko pokręcił głową powoli i uśmiechnął się.

- Naprawdę chcesz skończyć jak ja? – zapytał. – Chcesz wędrować po Cmentarzu przez resztę wieczności?

JD wzruszył ramionami.

- Jedyną wadą, jaką widzę, będzie twoja obecność.
- Nie zmieniasz się, co?
- Właśnie że tak. Gdybym się nie zmienił, nie byłoby mnie tu.
- Zawsze zamierzałeś wrócić, tylko nie wiedziałeś kiedy.
- Zaczynaj już.

Jacko odłożył pokrowiec na asfalt.

- Kogo chcesz zobaczyć?
- A jak myślisz?
- Nie moja sprawa.
- Chyba szukam faceta w czerwieni.

Za nim odezwał się głos:

- Tu jestem. Wystarczyło, żebyś powiedział moje imię.

JD sięgnął pod kurtkę i wyjął pistolet. Odwrócił się i wymierzył w kierunku, z którego dochodził głos. Oparty o jego czarnego V8 Interceptorą stał potężny czarny mężczyzna w czerwonym garniturze z czerwonym kapeluszem i szerokim uśmiechem na twarzy. Jego zęby zaśniły oślepiająco, gdy odbiło się w nich słońce. Jego oczy były żółte jak piaski pustyni.

- Jak to działa? – zapytał JD, trzymając broń wymierzoną w faceta.

Mężczyzna w czerwieni wyciągnął rękę i czekał, aż JD ujmie ją i potrząśnie. Czy miał inne wyjście w tej sytuacji?

Nie.

Wsunął pistolet do kieszeni. Przejechał tą trasę, żeby spotkać się z tym facetem i dobić targu. W końcu będzie musiał ucisnąć mu dłoń. Patrząc mężczyźnie w czerwieni w oczy, wyciągnął rękę i ujął jego

dłoń. Potrząsnęli nimi. Był to przyjacielski uścisk, ale JD nie mógł doczekać się jego końca, więc gdy drugi mężczyzna zwolnił uścisk, natychmiast cofnął rękę.

Facet w czerwieni oparł się o samochód i wślizgnął na maskę, sadowiąc się wygodnie, mając słońce nad prawym ramieniem.

- Od dawna chciałeś mnie spotkać – powiedział. – Kiedy byłeś tu ostatnio, nie zostałeś na tyle długo, żebyśmy mogli się poznać.

- Dzisiaj też nie mam czasu na pogawędki. Pomożesz mi? Czy nie?

- Mogę ci pomóc. Ale będziesz musiał mi za to zapłacić.

- Jeśli chodzi ci o moją duszę, jest twoja. Nie potrzebuję jej.

Uśmiech mężczyzny w czerwieni się poszerzył. Był mistrzem negocjacji, zwłaszcza jeśli chodziło o negocjowanie dogodnych warunków dla siebie. Było jasne, że jego propozycja będzie przesrana. Uniósł tajemniczo brew i odezwał się:

- Może cię zaskoczę, JD, ale nie chcę twojej duszy. Masz coś cenniejszego.

Tego nie było w planie. JD spodziewał się, że zaakceptuje jego ofertę, ale mimo wszystko... nie przejechał tyle, by odejść bez zawartej umowy. Nawet jeśli warunki okażą się nierozsądnie wygórowane.

- Słucham – odpowiedział.

Mężczyzna w czerwieni pokręcił głową.

- Najpierw powiedz mi, czego ode mnie chcesz. Potem podam ci cenę.

- Po prostu chcę wrócić do tego, kim byłem kiedyś.

- Tego z zeszłego tygodnia?

- Tak. Chcę znowu być mordercą i sukinsynem. Dasz radę to zrobić? Czy będziesz tutaj siedział i pieprzył jakieś pierdoły?

Mężczyzna w czerwieni zaśmiał się podstępnie, ale szczerze.

- Hahaha! Też chciałbym, żebyś był takim skurwielem. Wtedy byłeś dużo ciekawszy. Teraz jesteś, bez obrazy, trochę nudny. Taki bezpłciowy pod każdym względem.

- Tak działają na człowieka sumienie i dusza. To nie dla mnie.

- Miło mi to słyszeć.

- Więc możesz mnie przemienić?

Facet w czerwieni usiadł, opierając obydwie dłonie na masce samochodu. Założył nogę na nogę. Później zdjął kapelusz i położył go na kolanie. Na głowie miał kręcone czarne włosy.

- Oczywiście że mogę – powiedział. – Widzisz, mamy wspólny interes.

- Jaki?

- Unikający piekła.

- Co?

- Unikający piekła.

- Słyszałem, co powiedziałaś. O co ci chodzi?

- To wampiry. Nie mogę dorwać tych migających się od piekła ciuli. Tak samo jak wilkołaków i przed wszystkim, tej chrzanionej mumii! Wiesz, tego Ramzesa Gajusza. Siedział w Czyścucu przez wieki, dopóki nie zdjąłeś z niego klątwy. Naprawdę myślałem, że wtedy wreszcie będzie mój. I żebyś wiedział, nadal chętnie zobaczę go na moim stole.

- To dobrze.

- No i Jessica. – Mężczyzna w czerwieni ożywił się, mówiąc o Jessice. Musiała go ekscytować pod pewnymi względami. – Nęci mnie od tak dawna, jak sięgam pamięcią. I, rany, rany, prawie mi ją dostarczyłeś. Naprawdę, to że unika mnie od tak dawna to prawdziwy cud.

JD był zaskoczony wywodem gościa, ale słuchał go z przyjemnością.

- Więc pomożesz mi ją zabić? – zapytał.

- Zwrócę ci to, co miałeś, a nawet dołożę coś jeszcze – odpowiedział mężczyzna. – Ale nie mogę pomóc ci jej zabić. To przeznaczenie.

- Przeznaczenie jej nie zabije. A ja owszem.

Facet w czerwieni pokręcił głową.

- Gdybyś miał zamiar ją zabić, już byś to zrobił.

- Co to ma znaczyć?

- Pomyśl o tym, kiedy staniesz z nią twarzą w twarz.
- Dość tych bredni. Czego chcesz ode mnie w zamian?

Zza JD odezwał się Jacko.

- Nie spodoba ci się to – ostrzegł.

Mężczyzna w czerwieni założył kapelusz z powrotem i zsunął się z maski samochodu. Podszedł do JD.

- Przeciwnie – powiedział – będzie to coś, co cię niezwykle ucieszy.

- Więc co to?

Facet położył ciepłą rękę na ramieniu JD.

- Wszystko w swoim czasie- powiedział. – Ale przede wszystkim, zanim cokolwiek ci dam, muszę dostać coś od ciebie. Potraktuj to jak depozyt. Oczywiście niezwracany.

- Dobra.

- Twoja bryka.

JD spojrział na niego podejrzliwie.

- Mój wóz? Jeśli dam ci samochód, jak do cholery wrócę do Santa Mondegi?

- Oj chłopcze, przeniosę cię tam szybciej niż jakiegokolwiek auto!

- Dobra – JD sięgnął do kieszeni i wyjął kluczyki od samochodu. Rzucił je do mężczyzny w czerwieni. – Muszę tylko wyjąć kilka rzeczy z bagażnika.

Mężczyzna w czerwieni złapał kluczyki i wciąż się uśmiechał.

- Nie potrzebujesz niczego z samochodu. Cokolwiek będzie ci potrzebne, znajdziesz to na drodze – powiedział, wskazując na drogowskaz na skrzyżowaniu. Brakujący kierunkowskaz z czterema białymi deskami wskazującymi różne kierunku znajdował się z powrotem na pożądanym miejscu. Na strzałce wskazującej zachód znajdowała się nazwa zapisana czarnymi literami. Było to jedno słowo, CZYŚCIEC.

JD odwrócił się do faceta w czerwieni.

- Co do cholery jest w Czyścucu? – zapytał.

- Swego rodzaju test – powiedział mężczyzna w czerwieni z

typowym podstępny uśmiechem. – Ja pójdę po kontrakt, który podpiszesz, a ty przejdź test.

JD spojrział na pustą autostradę.

- Gdzie jest ten test? – zapytał.

Nie usłyszał odpowiedzi. Usłyszał za to dźwięk otwieranych drzwi samochodowych. Odwrócił się i zobaczył, że facet w czerwieni siedział już za kierownicą jego czarnego V8 Interceptor. Silnik ryknął kilka sekund później. Mężczyzna w czerwieniu uśmiechnął się do niego i przegazował silnik kilka razy, po czym ruszył z głośnym piskiem opon, co wznieciło piach i pył we wszystkich kierunkach. JD patrzył, jak samochód mknął przez ulicę w stronę miejsca, gdzie kiedyś stał Hotel Pasadena.

Odwrócił się w tył i zobaczył Jacko. Bluesman wyjął gitarę z pokrowca. Wokół ramiona wisiała mu czarna bluesowa gitara, gotowa do koncertu. Uderzył jedną strunę i zaczął śpiewać.

- Down to the crossroads...[5]

JD sięgnął pod kurtkę i znowu wyjął pistolet. Wycelował w twarz Jacko.

- Za. Tkaj. Się. Do. Diabła – warknął.

Jacko przestał grać i wskazał na podpisany znak. CZYŚCIEC.

- Idź, aż stwierdzisz, że jesteś gotowy, żeby zacząć od nowa.

## DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

**Z** Księgą śmierci bezpiecznie wetkniętą pod lewą pachę, Sanchez przedzierał się przez śnieg, by dojść do radiowozu zaparkowanego za rogiem. Zajął miejsce dla inwalidów, chociaż były wolne miejsca bliżej biblioteki. Jego zdaniem niepełnosprawni mieli swoje miejsca pod zbyt wieloma lokalami, więc teraz, będąc policjantem i mogąc parkować w dowolnie wybranym miejscu, bez wahania wybrał jedno z miejsc dla inwalidów. Teraz zaczynał tego żałować, bo powietrze było kąsająco zimne. Nie przypominał sobie, żeby w Santa Mondedze kiedykolwiek było tak zimno. I wciąż tyło cholernie ciemno. Jedynym dobrym aspektem było to, że ulice pod pokryciem śniegu, w świetle latarni, wyglądały dość przyjemnie. Nie żeby Sanchez był fanem Bożego Narodzenia. To tylko dawało ludziom wymówkę, żeby zebrać o pieniądze i zaczepiać go na ulicach, prosząc o wsparcie bezdomnych, którzy w świątecznym okresie cierpieli bardziej niż zwykle. Sanchez nie widział powodu takiego stanu rzeczy, ponieważ wydawało mu się, że cały rok dostawali jakieś darmowe rzeczy, a w Święta już szczególnie dużo. Drażniło go, że łachmaniarze dostawali darmową zupę w przytułkach, a on mógł tylko wachać ją z daleka.

Dzisiejsza zupa miała smak kurczaka, jeśli wierzyć przyjemnemu zapachowi unoszącemu się ze styropianowego kubka, z którego pił menel siedzący w rogu ulicy. Był to stary facet w przetartym zielonym płaszczu przeciwdeszczowym i parze rozdartych szarych spodni. Nie miał butów, tylko grube szare skarpety z dziurami, w których widać było jego stopy. Sanchez udał, że go nie widział. Miał nadzieję, że przejdzie spokojnie, nie niepokojony zebraniem o pieniądze. Gdy przechodzi obok, facet podniósł wzrok.

- Ma pan jakieś drobne, funkcjonariuszu? – zapytał. – Na kubek

kawy.

- Niestety nie.

Żebrak wyciągnął rękę i chwycił za nogawkę Sancheza. Pociągnął, a Sanchez niemal stracił równowagę. Miał całkiem mocny chwyt jak na starego gościa. Sanchez próbował odczepić go, podobnie jak psa próbującego wgryźć mu się w łydkę, ale ten pieprzony staruch nie zamierzał łatwo się poddać.

- Słuchaj, śmierdzielu – sapnął Sanchez. – Jeśli mnie nie puścisz, aresztuję cię i nałożę mandat!

Żebrak zignorował groźbę.

- Tylko na kubek kawy. Zamarzam tu na śmierć. Chyba nie chciałby pan, żeby starzec zamarzł na śmierć, prawda?

Sanchez westchnął. Sięgnął do kieszeni spodni, sprawdzając, czy miał pieniądze. Miał dość sporo drobnych, ale w tej konkretnej kieszeni miał też zapalniczkę Zippo i stronę wyrwaną z Księgi śmierci. Tę kartkę należało jakoś zniszczyć, więc Sanchez wpadł na pomysł.

- Mam coś, co cię rozgrzeje – powiedział.

Szare puste oczy żebraka nagle pojaśniały. Puścił spodnie Sancheza, patrząc na niego jak szczeniak czekający na smakołyk. Sanchez ujął Zippo i wyjął z kieszeni. Umieścił ją na wysokości nieumytej, ale podekscytowanej twarzy i otworzył ją. Niewielki płomyk zalsnił w ponurym powietrzu. Żebrak patrzył niecierpliwie, może mając nadzieję, że dostanie zapalniczkę, którą potem opchnie za kilka baksów. Ale Sanchez wyjął kartkę wyrwaną z Księgi śmierci. Rozprostował ją jak najlepiej, wciąż próbując mocno trzymać właściwą książkę pod pachą. Żebrak zmarszczył brwi, zastanawiając się, co on wyprawiał. Gdy kartka była tak płaska, jak tylko się dało, Sanchez podniósł ją i przyłożył dół do płomienia zapalniczki. Strona natychmiast się zajęła i płomień zaczęły unosić się w górę.

- Proszę – powiedział Sanchez, wyciągając płonąca kartkę do żebraka. – To cię ogrzeje.

Żebrak cofnął wyciągniętą dłoń i zawahał się.

- Tylko tyle mam – powiedział Sanchez, kładąc płonący papier na ziemi u stóp żebraka. Ten skrzywił się, ale potem wyciągnął kościste białe ręce do błyskających płomieni, mając nadzieję trochę się ogrzać.

- Dupek – mruknął.

- Dziękuję – powiedział Sanchez, zadowolony, że został nazwany „dupkiem” a nie „grubasem”. Zamknął zapalniczkę, wsunął z powrotem do kieszeni i ruszył w drogę. Skręcił za róg i skierował do auta, ukontentowany, że w tym roku popełnił już dość dużo dobrych uczynków.

Gdy szedł ulicą, nagle w bok jego twarzy uderzyło coś zimnego. Ekspłodowało w jego włosach i całej połówce jego twarzy, chlapnęło wodą w oczy. I stracił czucie w uchu z powodu zimna.

Zatrzymał się, by osuszyć twarz i zorientował się, że ktoś rzucił w niego śnieżką i całkiem nieźle go trafił. Spojrzał w stronę, z której nadleciała śnieżka i po drugiej stronie zobaczył starszą kobietę z laską, ubraną w długi ciemnoniebieski płaszcz. Wyglądała znajomo. A gdy pokazała mu środkowy palec i krzyknęła „Dupek!”, rozpoznał w niej starą babę, która przewróciła się na ulicy, kiedy włączył syrenę w radiowozie, żeby zaimponować Jessice. Głupia stara wiedźma najwyraźniej nie załapała dowcipu. Ale teraz Sanchez nie miał ani czasu ani cierpliwości, żeby się nią zająć, chociaż zamierzał ponownie potraktować ją sygnałem, jeśli tylko nadarzy się okazja.

Impet uderzenia śnieżki mógł zwalić go z nóg, głównie z powodu lodu i śniegu na ziemi. Pamiętając o tym, zaczął wykazywać większą ostrożność w drodze do samochodu: wysoko podnosił nogi i mocno stawiał buciory na ziemi. Kiedy dotarł do radiowozu, położył Księgę śmierci na dachu obok syreny i wyjął z kieszeni klucze. W tym czasie z kieszeni wypadła mu zapalniczka, która wpadła w potężną zaspę tuż przy pojeździe.

- Pierdolę... - mruknął do siebie.

Kucnął, żeby wyjąć zapalniczkę z zasy, jak najbardziej próbując nie klęknąć na śniegu. Na zewnątrz było zimno i bez noszenia mokrego munduru. Zapalniczka wylądowała pod samochodem,



prawie poza zasięgiem ręki. Gdy sięgał, zobaczył na śniegu cień nachylający się nad nim. Nawet w słabym świetle lamp ulicznych widział, że cień był ciemny i potężny. Odchylił się w tył i spojrzał przez ramię. Za nim stał dość przerażająco wyglądający Święty Mikołaj, na którego wpadł przed biblioteką.

- Chcesz czegoś? – zapytał Sanchez, podnosząc się.

Mikołaj otworzył szeroko usta. W górnej szczęce miał duże kły. Facet był pieprzonym wampirem. I do tego całkiem sporym.

Ogromny ohydny Mikołaj syknął na niego, smrodliwy oddech musiał pochodzić gdzieś z głębi żołądka. Sanchez instynktownie się cofnął, czując coś w stylu zepsutego kebaba. Mikołaj sięgnął nad jego lewym ramieniem, wyciągając rękę po książkę na dachu radiowozu.

- Daj mi książkę! – warknął.

- Ani mi się śni! – odkrzyknął Sanchez, odwracając się i łapiąc książkę. Udało mu się położyć na niej rękę, jeszcze zanim zrobił to wampir. Swoimi grubymi zimnymi palcami zsunął książkę z dachu i przycisnął do piersi, rozpychając się przy tym łokciami. Napastnik skoczył mu na plecy i otoczył go ramionami, próbując zacisnąć dłonie na książce.

Sanchez odwrócił się do niego plecami. Gdyby udało mu się zrzucić grubego Mikołaja, mógłby mieć dostatecznie dużo czasu, by wsiąść do samochodu. Niestety, mocne trzymanie Księgi śmierci utrudniało jakiegokolwiek działanie. Ale nie miał zamiaru oddać książki (ani pięćdziesięciu tysięcy dolarów) jakiemuś grubemu, bezkształtnemu i nieumartemu Świętemu Mikołajowi.

Niestety, jeśli chodzi o siłę i umiejętności walki Sanchez nie mógł się równać z brodatym kolosem w czerwonej czapce. Mikołaj chwycił książkę i pociągnął ją jedną ręką. Siłowali się jak dwa psy szarpiące jedną szmatę. Ale gdy Sanchez ciągnął ze wszystkich sił, Mikołaj zaskoczył go pchnięciem. Udało mu się wcisnąć książkę mocno w pierś Sancheza, wytrącając go z rytmu. Poślizgnął się i stracił równowagę na lodzie, zatoczył się w tył. Uparcie nie puszczając książki, udało mu się pociągnąć odrażającego wampira razem ze sobą.

Żaden z nich nie utrzymał książki w mocnym chwycie. Ale z każdą sekundą coraz bardziej widoczne było, że Sanchez nie mógł równać się z przeciwnikiem. Wampir miał żądny krwi wzrok i o ile początkowo był skupiony wyłącznie na zdobyciu książki, nagle dostrzegł mięso na szyi Sancheza. Za zimnie lśniła czerwienią. W oczach wampira musiała wyglądać jak krwisty stek.

Gdy Mikołaj wychylił się w przód, by się wgrzyźć, Sanchez szarpnął mocno Księgą śmierci, mając zamiar użyć jej jako tarczy. Jednym potężnym pociągnięciem udało mu się szarpnąć ją w górę. Uderzył Mikołaja od dołu w szczękę, odrzucając jego głowę od swojej szyi akurat w chwili, gdy chciał zatopić zęby w mięsie.

Żeby wyplątać się z tego zamieszania potrzebna była zdecydowana akcja. Na szczęście Sanchez miał instynkt przetrwania, jakie niejeden mógłby mu pozazdrościć. Jedną ręką puścił książkę i pociągnął Mikołaja za brodę. Tak jak podejrzewał, była ona przyczepiona do twarzy wampira za gumce. Naciągnął ją maksymalnie i puścił. Gumka ostro uderzyła w twarz Mikołaja, zasłaniając jego usta i przede wszystkim kły. Jednak Mikołaja to nie zraziło, przejął inicjatywę i mocniej chwycił książkę, na chwilę zapominając o gryzieniu. W kilka sekund wyszarpnął Sanchezowi książkę z rąk. Usiadł tryumfalnie na bezbronnym barmanie, uśmiechając się maniakalnie. Rzucił tom na chodnik obok siebie i spojrzał w dół na Sancheza, poprawiając brodę,

- Czas umierać, grubasie! – syknął Mikołaj, sięgając pod czerwoną kurtkę. Wyjął stamtąd małą srebrną buteleczkę. – Skosztowałem twojego specjału. Teraz ty spróbuj mojego! – zaśmiał się.

- Nie, dzięki – odpowiedział Sanchez, nerwowo macając wolną ręką po śniegu w okolicach krawężnika.

Gdy Mikołaj odkręcał piersiówkę, Sanchez rozpoczął realizację swojej Operacji Tchorzofretka. Wyczuł pod palcami zimny metal zapalniczki. Wydobył ją ze śniegu i otworzył, po czym zbliżył do brody Mikołaja. Święty tego nie zauważył. Sanchez z radością obserwował, jak gęsta szara broda grubasa zajmuje się ogniem.

- KUUUU- RWA! – krzyknął Mikołaj, gdy płomień dotarł do jego

twarzy. Stoczył się z Sancheza prosto w śnieg na chodniku, upuszczając piersiówkę na ziemię.

Gdy wampir tarzał się po śniegu, próbując ugasić płomienie na brodzie, Sanchez wyczuł swoją okazję. Poderwał się i sięgnął po srebrną piersiówkę. Trochę cieczy się wylało, zielony płyn wyciekł na śnieg. Stwierdzając, że to prawdopodobnie alkohol, a już na pewno substancja łatwopalna, Sanchez wychylił naczynie nad Mikołajem z zamiarem polania płomieni na jego brodzie i podsycenia ognia, nim ugasi go ofiara. Zdażył w samą porę. Mikołaj odwrócił się na plecy dokładnie w chwili, gdy Sanchez lał ciec na jego brodę i dolną część twarzy. Oczy Mikołaja zrobiły się wielkie z przerażenia, gdy trochę napoju dostało się do jego ust. Płomienie na jego brodzie co prawda zniknęły, ale wciąż unosił się z niej czarny dym wywołujący kaszel i kichanie.

Sanchez odłożył piersiówkę i przygotował się do wykonania swojego ulubionego chwytu zapaśniczego, Placka. Podskoczył i rzucił się na Mikołaja jak jego ulubiony zapaśnik, Earthquake, w telewizji. Ładując na leżącej ofierze, ponownie otworzył zapalniczkę. Mikołaj nie opierał się ani nie bronił. Po prostu leżał bez ruchu na ziemi.

Sanchez gratulował sobie skuteczności swojej techniki Placka, ale coś zwróciło jego uwagę. Na ustach powalonego nieprzyjaciela zobaczył zielone zacieki. Przypomniawszy sobie historie o zabójcy dzieci, który paraliżował ofiary zieloną trucizną. Czyżby to ten wampir odpowiadał za śmierć tych bezbronnych dzieci? Cóż, teraz to on był bezbronny. Czas na świętowanie zwycięstwa i jakąś kwestię s tyłu Schwarzeneggera.

- Powinieneś wytrzeć tą zieloną zupkę, wyglądasz jak sparaliżowany – powiedział. Mikołaj nie odpowiedział. Nie mógł. Paralizator zadziałał. Jego oczy powiedziały Sanchezowi wszystko. Bał się tego, co nadejdzie. Choć raz Sanchez miał możliwość wymierzyć sprawiedliwość i zarobić sobie dobry uczynek. Miał niesamowita szansę, by zostać bohaterem i pomścić mnóstwo ofiar tego bezwzględnego zabójcy. Co mogło się nie udać?

Spojrzał na płomień zapalniczki, a później ponownie w oczy wampira.

- Gdzie twoja promienna twarz? – zapytał z uśmiechem (i żalem, że nie było tu nikogo, kto usłyszałby te epickie kwestie). – No, gdzie to „ho ho ho”? – Wampir wydawał się naprawdę przerażony, ale nie zareagował.

Sanchez zamknął zapalniczkę i podniósł piersiówkę. Wylał trochę zielonej łatwopalnej substancji na ubrania Mikołaja, a potem odsunął się od ofiary. Zakręcił butelkę i wsunął ją do kieszeni, stwierdzając, że zastąpi ona jego starą. Ponownie otworzył zapalniczkę. Zabawa z grubasem polegająca na trzymaniu nad nim ognia dawała Sanchezowi poczucie władzy. Wystarczyło upuścić zapalniczkę na brodę wampira, a w kilka sekund sparaliżowany psychol zmieni się w kupkę pyłu. Ale najpierw należało jeszcze coś powiedzieć.

- Nie najfajniej tak leżeć, kiedy ktoś na ciebie patrzy i grozi, że cię zabije, co? – zapytał, kopiąc wampira mocno w żebra.

Sytuacja stawała się naprawdę świetną zabawą. Sanchez kopnął ponownie, tym razem mocniej. Gdy uniósł zapalniczkę nad Mikołaja, gotów by ją upuścić, usłyszał za sobą krzyk. Był to głos małej dziewczynki, pewnie niespełna dziesięcioletniej.

- Hej! Ten facet bije Świętego Mikołaja!

Sanchez spojrzał ponad ramieniem. Po drugiej stronie zobaczył zastęp Słonecznikowych Dziewczyn, tutejszego żeńskiego zastępu harcerskiego z poważnymi problemami behawioralnymi. Wszystkie miały zielone swetry i niebieskie spódnice oraz puchate niebieskie czapki z pomponami, które miały chronić przed zimnem. Niby nie był to przerażający widok, ale było ich ze trzydzieści. Była jeszcze zastępowa, dość potężna kobieta po czterdziestce w twarz żyrafy i fryzurą od miski. Na szczęście stała na końcu grupy. Sanchez mógł martwić się tylko o małą dziewczynkę, która krzyknęła do pozostałych. Stała na czele grupy i pokazywała na niego. I nie wydawała się przestraszona, raczej mocno wkurzona. Schyliła się i wyjęła coś ze skarpety. Wstała. Trzymała składany scyzoryk.

Rozłożyła go i wymierzyła ostrze w Sancheza. Później spojrzała na swój zastęp.

- BRĄĆ GO! – krzyknęła.

W sekundę trzydzieści rozkrzyczanych dziesięciolatek Słonecznikowych Dziewczyn ruszyło w jego stronę. Prowadziła ta z nożem, warcząc jak wściekły bulterier. Zastępowa podążyła za grupą, grożąc Sanchezowi pięściami. Wydawała się poruszona tym, co robił Świętemu Mikołajowi.

- To nie tak, jak myślicie! – krzyknął Sanchez do nacierającej grupy.

Brak reakcji. Żadna z dziewczyn nie była w stanie go usłyszeć wobec hałasu, jaki same robiły. Ostatni raz spojrzął na wampira na ziemi i rzucił na niego zapalniczkę.

ŁUUUU!

Gdy tylko ogień zetknął się z łatwopalną zieloną cieczą na czerwonym stroju Mikołaja, jego całe ciało buchnęło płomieniami. Na ten widok nacierające dziewczynki zamarły. Rozległy się jęki, na widok płonącego Świętego Mikołaja poopadały im szczęki. Ten widok na pewno na zawsze utkwi w ich pamięciach, stanie się traumą na całe życie.

Niestety, gdy minął początkowy szok, powróciła wściekłość. Ich krzyki nabrały nowego poziomu agresji.

Sanchez schylił się i porwał z chodnika Księgę śmierci. Zanim ją podniósł, Mikołaj zamienił się w ognistą kulę wysoką na trzy stopy. Płomienie strzelały w stronę radiowozu, blokując Sanchezowi drogę do jęcia do niego. Nie mając czasu do stracenia, odwrócił się i pobiegł po oblodzonej ulicy, modląc się, by się nie poślizgnąć.

Goniło go trzydzieści rozhisteryzowanych Słonecznikowych Dziewczyn, żądnych krwi.

# TRZYDZIEŚCI

Jd szedł zakurzoną ścieżką w stronę horyzontu. Słońce świeciło oślepiająco na niebieskim niebie, jednak nie czuł jego ciepła. Temperatura, tak jak wiatr, została zupełnie zneutralizowana. Przez długi czas miał wrażenie, że jechał na taśmie montażowej. Sceneria nie zmieniała się, a horyzont wcale się nie przybliżał. Otaczały go tylko pustkowia Diabelskiego Cmentarza. Wszystko wyglądało, jakby zostało wypolerowane do połysku. Jedynym dźwiękiem był stukot jego butów po asfalcie. Pozostałe hałasy ucichły. Nawet jego oddech był cichy.

Wreszcie, po nieokreślenie długim czasie, zauważył coś na drodze przed sobą. Był to budynek kryty strzechą. Gdy tylko go zobaczył, jego życie nagle przyspieszyło. Zanim zrobił dwa kroki, odległe dotychczas góry gwałtownie się zbliżyły, a wątle białe chmury zasnuły niebo. Co więcej, nagle znalazł się przed dużym przydrożnym barem, przed którym stał Harley Davidson. Z zewnątrz lokal wydawał się podobny do tych spotykanych w Santa Monedze. Czy to miejsce było wytworem jego wyobraźni? Wyglądało jak typowy saloon z westernów. Coś pomiędzy Tapiocą a Nightjarem, ale dziesięć razy większy i jeszcze mniej zachęcający do wejście. Ale na pewno był tam, gdzie powinien. Musiał wejść do środka.

Nazwa baru lśniła jasnymi czerwonymi literami na dużym znaku nad wejściem.

## CZYŚCIEC

Po pokrytej żwirem i ziemią ścieżce szedł do tradycyjnych, staromodnych drewnianych drzwiczek w stylu Dzikiego Zachodu. Z każdym krokiem delikatne pomruki ze środka stawały się głośniejsze.

Niebawem pomruk zmienił się w gwar. Ludzie w środku pili i gadali. Podchodząc, zaczynał odczuwać pewną obawę. Nie miał pojęcia, kogo ani co tam spotka, ale lokal wydawał się oblegany i pasujący do Bourbon Kida. Niestety, wciąż czuł się jak JD. Może to się zmieni, kiedy wejdzie do środka? Czuł, że może zaistnieć konieczność zabicia kogoś. Być może już niedługo nadejdzie czas, by sprawdzić stare dobre zabójcze umiejętności.

Dotarł do drzwi saloonu i na chwilę przystanął. Zerknął przez niej i zobaczył duży wiatrak zwisający z sufitu nad barem. Kilka stóp poniżej widział głowy wielu pijących, w większości mężczyzn w różnym wieku, kształcie i rozmiarze. Docisnął obydwie dłonie do drzwi i pchnął je. Wszedł.

Gdy tylko postawił stopę w lokalu, zapanowała grobowa cisza. Zebrani przerwali swoje dotychczasowe czynności i odwrócili się do nowo przybyłego, który wciąż trzymał otwarte drzwi. Zamarli jak posągi, nikt nie poruszał się ani o cal. JD zrobił kolejny krok i opuścił ręce wzdłuż boków. Drzwi saloonu poleciały na niego, pokiwały chwilę w przód i tył, po czym zatrzymały. Wciąż nikt się nie ruszał.

Dokładnie przed nim było wąskie przejście między pijącymi. Prowadziło ono do lady, za którym samotny barman czekał, by nowy klient podszedł i zamówił drinka. JD przeszedł powoli przez tłum, dostrzegając gniewne spojrzenia mężczyzn po jego obu stronach. Wszyscy wiedli za nim wzrokiem, gdy podchodził do baru. Zerknął na kilka twarzy wokół siebie. Znał te twarze.

Twarze ludzi, których zabił.

Były też inne, których nie kojarzył, ale to nie znaczyło, że ich nie zabił. Bourbon Kid zabił wiele osób, nie wszystkie były na tyle charakterystyczne, żeby zapamiętywać.

Gdy dotarł do baru, czuł wlepione w swoje plecy spojrzenia innych. Barman, dość schludnie wyglądający gość z rozwichrzonymi czarnymi włosami zwisającymi po obu stronach twarzy, wycierał ladę szmatką. Na widok JD rzucił tkaninę za półkę za sobą. Tego barmana też znał. I nie był to człowiek, który ucieszyłby się na jego

widok. Był to Berkley, barman z Nightjara z Santa Mondegi. Bourbon Kid strzelił mu w twarz niedługo po tym, jak wypił szklanę najlepszego bourbona. Bardzo dobrze pamiętał ten incydent, ponieważ właśnie wtedy zobaczył ciało swojego starego przeciwnika z pojedynku na siłę rąk, Rodeo Rexa. Rex został ciekawie umieszczony na dużym, wirującym metalowym skrzydle wiatraka zwisającego z sufitu. Wcześniej dostał niezłe baty od Jessiki albo Archibald Somersa, a może od obydwu. Kto wie? Kogo to obchodziło?

Berkley postawił przed JD szklanę do whisky i wyjął spod lady butelkę bourbona. Biorąc pod uwagę, że gdy się ostatnio widzieli, JD zrobił mu ogromną dziurę w głowie, był to chyba gest przebaczenia. Otwór w czaszce zniknął. Barman wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętał go JD. Wciąż miał długie włosy, ciemne i nieumyte, nadal wyglądał jak menel ubrany w strój kelnera. Jego biała koszula wydawała się brudna, ale jej większość ukryta została pod czarną kamizelką.

- Jedną kolejkę – powiedział JD, opierając się o bar i zerkając na ludzi za sobą. Wciąż obserwowali każdy jego ruch. Były ich setki. I nikt nie wydawał się zadowolony, że go widzi. Właściwie nie dziwiło go to.

Berkley otworzył butelkę i nalał do szklanki. Nalał cał z czterocalowej wysokości naczynia i przestał. JD spojrział na napój, gdy barman zaczął zamykać butelkę.

- Będę chciał więcej niż to – zaznaczył.

Berkley przestał zatykać butelkę.

- O ile więcej? – zapytał.

- Naprawdę musisz pytać?

- Nie.

Berkley nappełnił szklanę po brzeg i odsunął się od lady. JD spojrział na napój. To był ważny moment. Jeśli wypije tego bourbona, umowa z Diabłem zostanie zawarta. Nie będzie odwrotu. Znow będzie taki, jak kiedyś. Człowiek bez duszy. Człowiek skłonny zabić wszystkich w tym zawszonym barze. Człowiek, który



prawdopodobnie ich wszystkich już kiedyś zabił. I może będzie musiał zrobić to ponownie, żeby się stąd wydostać.

Podniósł szklankę i przyjrzał się zawartości. Po zewnętrznej stronie szklanki pociekła strużka wilgoci. Potu. Gdy na nią patrzył, usłyszał głos. Dość ponury głos, który powiedział:

- Co robisz w naszym barze, nieznajomy? Czego tu szukasz?

JD odłożył szklankę na bar. Poznał ten głos. Był to Ringo, gruby ciul, którego zabił kilka lat wcześniej w Tapiocie. Pojawił się w tłumie ludzi po lewej, odpychając każdego, kto stał mu na drodze. Wyglądał dokładnie tak, jak te kilka lat temu. Był potężnym, tłustym, nieogolonym i odrażającym typem w brudnych brązowych spodniach i przesiąkniętej potem workowatej, szarej koszuli. Zatrzymał się przy barze po lewej stronie JD i spojrzał na niego.

JD westchnął.

- Nie szukam kłopotów.

Ringo uśmiechnął się niebezpiecznie i warknął:

- Cóż, kłopoty to ja, a mnie udało ci się znaleźć.

Barman jeszcze bardziej oddalił się od lady, zamykając przy okazji butelkę. JD pokręcił głową i odwrócił twarz w stronę Ringo, posyłając mu mordercze spojrzenie.

- Nigdy się nie nauczysz, co?

Ringo położył rękę na ramieniu JD i mocno ścisnął. Drugą dłonią wyjął pistolet z ukrytej kabury. Wymierzył w twarz JD.

- Chodziły plotki, że idzie tu Bourbon Kid. A ty pijesz bourbona, nie? Czyli ty jesteś Bourbon Kidem?

JD wziął głęboki wdech.

- Wiesz, czemu mówią na niego Bourbon Kid?

Odezwał się wysoki, męski głos z tłumu:

- Ja wiem. Mówią, że jeśli Kid wypije burbona, zmienia się w pieprzonego zabijakę, wariata, zaczyna szaleć i zabija wszystkich w zasięgu wzroku. Mówią, że jest niezwyciężony i może go zabić tylko sam Diabeł.

- Racja – odpowiedział JD. – Bourbon Kid zabija wszystkich.

Wystarczy tylko jeden łyk, zaczyna szaleć i zabija wszystkich w barze. Wiem, bo widziałem. Kilka razy.

Ringo opuścił broń i warknął na JD:

- Sprawdźmy. Wypij swojego bourbona.

JD spojrzął na szklankę i pomyślał, czy ją podnieść. Drink wydawał się naprawdę dobry. Spojrzął na Berkleya.

- Barman, to prawdziwy bourbon? – zapytał.

Barkley wydawał się zdumiony.

- Oczywiście. Czemu miałby nie być?

- Tak jakoś. Tylko pytałem.

JD podniósł szklankę i przyłożył do ust. Cały bar patrzył, z napięciem czekając na jego reakcję po wypiciu całej zawartości. Jakby chciał przedłużyć ich cierpienia, nie od razu przełknął zawartość ust. Zamarł na chwilę, zamyślając się. Czy naprawdę chciał znowu przez to przechodzić? Myślał, czy nie przeprosić za to, co za chwilę zrobi. Chwila namysłu minęła szybko i uśmiechnął się do siebie. Później, jakby nie pił niczego od tygodnia, jednym haustem wypił całą zawartość szklanki, po czym głośno odstawił ją na bar.

To naprawdę był prawdziwy bourbon.

# TRZYDZIEŚCI JEDEN

Ucieczka przed wściekłymi skautkami nie była tak łatwa, jak mogłaby się wydawać. Z dość opasłą Księgą śmierci pod pachą, Sanchez musiał zmierzyć się z większym ciężarem niż zwykle. A po walce z wampirem przebranym za Świętego Mikołaja był już dość zmęczony. Tylko adrenalina go napędzała. Dysząc ciężko i biegnąc po śliskim chodniku, zerknął ponad ramieniem, by sprawdzić, czy Słonecznikowe Dziewczyny są tak blisko, jak sugerowały ich krzyki. Nie zdziwił się, że go doganiały. Jedna z nich (ciemnowłosa małolata wyglądająca na kandydatkę do złotego medalu w biegach długodystansowych) była wyraźnie z przodu i szybko się zbliżała. Była na tyle blisko, że Sanchez widział pierwsze ślady wąsów, które chyba hodowała sobie nad górną wargą.

Musiał szybko wymyślić jakiś plan. Jak miał zgubić tą rozwścieczoną gromadę? Na pewno im nie ucieknie. Potrzebował jakiejś drogi ucieczki. Miał nadzieję wypatrzeć taksówkę, najlepiej już jadącą, żeby mógł tylko machnąć i do niej wsiąść, zanim dziewczyny go dopadną. Ulice Santa Mondegi zazwyczaj były pełne taksówek, więc oderwawszy wzrok od dziewczyny z wąsami zaczął przeglądać ulicę w poszukiwaniu choć jednej. Ale ulica była pusta. Ani jednego auta. Najwyraźniej śnieg trzymał wszystkich w domach.

Biegnąc oblodzoną ulicą, podjął nagłą decyzję. Przed nim znajdował się lewoskręt prowadzący do bardziej ruchliwej części miasta. Nie mógł zwolnić na zakręcie, ale spróbował skrócić. Poślizgnął się na lodzie. Stopy zupełnie straciły kontakt z podłożem. Gdy jego głowa poleciała w tył, a nogi do góry, instynktownie rozłożył ramiona i spróbował złagodzić upadek, lądując na rękach. Księga śmierci wypadła mu z dłoni i spadła na lód dokładnie w chwili, gdy jego tyłek wylądował na wyjątkowo zimnej lodowej kałuży. A lód był śliski.

Zanim zdążył się zorientować, jechał chodnikiem, ścigając Księgę śmierci. Jego tłusty zad był ledwie kilka stóp za nią. Przynajmniej teraz poruszał się trochę szybciej niż w czasie biegu. Problemem było jednak to, że nie miał kontroli nad kierunkiem, w którym się zsuwał. Zjechał tyłkiem z krawężnika i wylądował na ulicy. I wreszcie usłyszał nadjeżdżający samochód.

Lód na jezdni nie był tak zły jak na chodniku, więc znacząco zwolnił. Wreszcie zatrzymał się na środku i z przerażeniem patrzył, jak Księga śmierci odbije się od czegoś, wznosi w powietrze i leci w kierunku nadjeżdżającego pojazdu. Rozległ się głośny trzask, gdy maska samochodu uderzyła w książkę, posyłając ją z powrotem w powietrze, a potem na drogę. Sanchez z niedowierzaniem patrzył, jak księga otwiera się i ląduje okładką w górę w stercie śniegu. Kierowca samochodu docisnął hamulce i zahamował z piskami.

Sanchez podniósł się do pozycji siedzącej. Miał ochotę poleżeć tam i zebrać myśli, głównie na temat siniaków, jakie musiał nabić sobie na tyłku, ale wiedział, że pierwsza ze wściekłych dziewczynek zaraz go dopadnie (o ile wolno jej było przechodzić przez ulicę bez dorosłego). Gdy spróbował podnieść się na nogi, zdał sobie sprawę, że tył spodni miał zupełnie przemoczony. Usłyszał otwierające się drzwi. Ktoś do niego krzyknął.

- Sanchez, szybko, wskakuj! – To była Flake. To jej Volkswagen Beetle uderzył w książkę. Teraz stał przed nim z otwartymi drzwiami po stronie pasażera, a Flake pospieszała go, by wsiadł. Nie potrzebował kolejnego zaproszenia. Szybko wskoczył do środka, zamykając za sobą drzwi w chwili, gdy uderzyła w niej największa ze Słonecznikowych Dziewczyń. Nacisnął zabezpieczenie drzwi i pokazał język tej brzydkiej małolacie, a Flake docisnęła pedał gazu i ruszyła.

- Czekaj – krzyknął Sanchez. – Zatrzymaj się przy książce.

Flake jechała, dość często wpadając w poślizg, w stronę książki leżącej z kupce śniegu. Sanchez odblokował drzwi i otworzył je, wychylając się, żeby złapać księgę. Flake zwolniła i zatrzymali się

dokładnie przy książce. Mimo zupełnego braku zdolności kierowniczych (przynajmniej zdaniem Sancheza), Flake spisała się niesamowicie. Pochylił się, złapał książkę i podniósł za grzbiet z ulicy. Rzucił ją na kolana i zatrzasnął drzwi, po czym odwrócił się do Flake.

- Dobra, do dechy! – rozkazał.

Nie musiał powtarzać dwukrotnie. Pomknęła środkiem ulicy w kierunku centrum, zostawiając biegnące skautki daleko w tyle.

- W porządku? – zapytała, nie odrywając wzroku od ulicy. – Co się stało? Czemu te dziewczynki cię goniły?

Sanchez oglądał trzymaną w rękach książkę. Okładka ucierpiała, była potargana i zarysowana w kilku miejscach ale co najgorsze, odkrył, że większość stron była zupełnie przemoknięta.

- Kurde, Flake – jęknął. – Księga zniszczona. Twoja marna jazda może kosztować mnie całą nagrodę. Jessica też się wścieknie.

- Przepraszam, nie chciałam. Wydawało mi się, że miałeś kłopoty. Nie miałam czasu, żeby zachować ostrożność.

- Poradziłbym sobie.

Mocno podmuchał na kilka stron, bez powodzenia próbując je wysuszyć. Flake nie odpowiedziała. Po kilku sekundach przewracania stron książki i chuchania, doszedł do wniosku, że mógł być wobec niej zbyt surowy. Potwierdziło się to, gdy usłyszał jej pociągania nosem. Kątem oka spojrzął na nią. Wydawało się, że zaraz się rozpłacze. Próbowwała to ukryć albo powstrzymać, ale i tak trochę łkała. Sanchez westchnął.

- Co się stało? – zapytał.

- Rick nie żyje. Ktoś go zabił, żeby zdobyć tę książkę.

Sancheza zamurowało. Dzień wcześniej dał Rickowi flaszkę. Co za strata! Kto do diabła miałby zabić, żeby dostać tą książkę w swoje łapy?

- O kurwa – zaklął. – Wiesz, kto go zabił?

Flake pokręciła głową.

- Nie, ale jego sąsiadka, Szalona Annie, słyszała coś zeszłej nocy.

- Annie McFanny?

- Tak. Widziałam ją dziś rano. Była zupełnie spanikowana.
- Czemu, jak, co powiedziała?
- Że słyszała, jak ktoś całą noc torturował Ricka.
- To ma być żart?
- Nie. Powiedziała, że zabójcy chodziło o książkę.
- Księgę śmierci?
- Nie wiem, ale tylko tą książkę miał Rick, więc pomyślałam, że może pójdą do biblioteki, a ty będziesz miał kłopoty.
- Czy Annie widziała zabójcę?
- Nie wiem. Powiedziała, że wydawało jej się, że to Mikołaj i jego pomocnicy.
- Co!? – krzyknął Sanchez. – Święty Mikołaj?
- Tak. No, ona jest szalona. Musimy pamiętać, że połowa z tego, co mówi, to bzdury. Czasami ciężko stwierdzić, która połowa.
- Myślę, że mogła mieć rację.
- Odnośnie czego? Mikołaja?
- Tak.
- Serio?
- Mhm. Jakieś wielki pieprzony wampir przebrany za Mikołaja przed chwilą próbował odebrać mi książkę. Miał ze sobą piersiówkę z zielonym napojem. Takim, który wywołuje paraliż.

Flake sapnęła.

- O Boże, Rick miał zielone wargi, kiedy go znalazłam. Gdzie teraz jest ten Mikołaj?
- Nakarmiłem go jego własnym specyfikiem.
- Tym zielonym?
- Tak. Później podpaliłem mu brodę. Zaczął się palić. Jestem pewny, że już nie żyje.

Flake zwolniła, gdy zbliżyli się do czerwonego światła na skrzyżowaniu. Samochód przejechał po lodzie i przeciął skrzyżowanie, ledwie mijając nastolatka, który przechodził przez jezdnię. Pojazd zatrzymał się ostatecznie po drugiej stronie skrzyżowania, a Flake ponownie dodała gazu.

- Rick byłby szczęśliwy – powiedziała, ocierając łzę z policzka.

- Tak. Ale te małolaty nie były zbyt wdzięczne.

- Och, to dlatego cię gonili?

- Tak. Gówniary małe.

Flake skręciła w prawo.

- Dobrana z nas para gliniarzy, co? – powiedziała.

- Hm?

- Cóż, właśnie znalazłeś zaginioną książkę.

- Racja – przytaknął Sanchez.

- I właśnie zabiłeś Mikołaja, który prawdopodobnie zabijał dzieci.

- Tak. – Musiał sobie pogratulować. Świetnie sobie poradził. – Ale co ty zrobiłeś? – zapytał.

- Uratowałam cię przed skopaniem przez Słonecznikowe Dziewczyny.

- Skręć w lewo.

- Dlaczego? Nie powinniśmy jechać na komisariat? Powinniśmy zdać raport kapitanowi Harkerowi. Na pewno z radością o tym usłyszysz. Poza tym, jesteśmy spóźnieni do pracy.

- Chcę zatrzymać się w Tapioce i spróbować naprawić książkę, którą zniszczyłaś.

- Och, jasne. – Flake zakręciła kierownicą i samochód wjechał w uliczkę, którą wskazał Sanchez. – Będziesz potrzebował przy tym pomocy?

- Nie, dzięki – odpowiedział Sanchez, znów patrząc na książkę. – Już dość ją zepsułaś.

- Mówiłam, że przepraszam.

- Wiem – westchnął. – Podrzucić mnie na miejsce. Jakoś dotrę na komisariat, kiedy naprawię książkę.

- Dobra.

- Tylko nie mów nikomu, że ją znalazłem, dobrze?

Flake zmarszczyła brwi.

- Dlaczego?

- Bo najprawdopodobniej dochrzani się do mnie jakiś wściekły

renifer z zaprzęgu Mikołaja.

- Co?

- Ludzie są skłonni zabijać, żeby dostać tą książkę w swoje ręce.

- Nie dziwię się – odpowiedziała Flake. – To bardzo niebezpieczna książka. Nie waż się wpisywać do niej jakichkolwiek imion!

- Raczej nie dam rady, choćbym chciał. Wszystkie kartki są przemoknięte. W domu położę książkę na kaloryfer. Nie mogę oddać jej Jessice w takim stanie.

Flake wyjątkowo długo nabierała powietrza.

- Jak dobrze znasz Jessicę? – zapytała.

- Dość dobrze – odpowiedział Sanchez. – Opiekowałem się nią, kiedy Bourbon Kid próbował ją zabić. Dwa razy!

- Tak, ale co o niej wiesz?

- A co cię to obchodzi?

- A nie pomyślałeś, że ona może być jedną z tych osób, które będą zabijać, żeby dostać tę książkę? Jakoś nie wzbudziła mojego zaufania, kiedy przyszła na komisariat. Coś mi się w niej nie podoba.

Sanchez nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Jak możesz nie lubić Jessici?

- Jak dla mnie to zwykłą dziwka, tyle.

- Ej, patrz, kogo nazywasz dziwką! Ledwie ją znasz.

- Wybacz, Sanchez. Nie ufam jej. Powinieneś być ostrożny. Wiesz, mieszka w Casa De Ville. To brzmi groźnie, nie?

Sanchez pokręcił głową.

- Nie lubisz jej, bo mieszka w domu o groźnej nazwie? Głupie. – Odwrócił się i przez resztę podróży patrzył przez okno, żeby dać Flake jasno do zrozumienia, jak bardzo go to zezłościło.

Kiedy dojechali do Tapioki, Sanchez wyszedł z samochodu i niechętnie podziękował Flake za podwiezienie. Jego priorytetem było teraz naprawienie Księgi śmierci i dostarczenie jej do Jessici, do groźnie brzmiącego Casa De Ville.

- Brzmi groźnie – zaśmiał się do siebie. Flake była głupia. Casa De Ville na pewno okaże się bardzo przytulnym miejsce, kiedy pojawi



się tam z książką.

# TRZYDZIEŚCI DWA

Podłoga w barze Czyściec była zastłana dymiącymi ciałami ponad setki ludzi. Po kolejnym łyku bourbona, JD zniknął, jego miejsce zajęło jego alter ego, Bourbon Kid. Załatwienie wszystkich w barze było zabawne i łatwe. Wrócił, był gotowy do powrotu do Santa Mondegi i załatwienia na dobre wszystkich nieumarłych. Żadnych wyjątków. Tym razem żaden nie zostanie żywy.

Barman Berkley jako jedyny został na nogach. Nalał Kidowi kolejną szklankę bourbona, napełniając ją aż po brzeg. Kid usiadł z powrotem na stołku i otrzepał się, rozmyślając, jak dobrze być znowu starym sobą. Gdy ciała na podłodze zaczęły się marszczyć i znikać w kłębach dymu, usłyszał, że za jego plecami ktoś otwiera wahadłowe drzwi. Zafurkotały, gdy zamykały się. Później rozległ się odgłos ciężkich buciorów na podłodze, zbliżających się do baru.

Odezwał się głęboki męski głos:

- Barman, dla mnie butelkę Shitting Monkey.

Kid rozpoznał głos. Nie należał do człowieka, który cieszyłby się ze spotkania z nim. Spotkał go tylko raz, a to spotkanie nie przebiegło najlepiej.

Berkley otworzył butelkę Shitting Monkey i położył ją na ladzie. Mężczyzna, który wszedł do baru, usiadł na stołku po lewej stronie Bourbon Kida. Uniósł butelkę i pociągnął z niej duży łyk. Później wydał z siebie usatysfakcjonowane „Ach”, by podkreślić, że smak przypadł mu do gustu. Po kilku sekundach niewygodnej ciszy odezwał się do Kida.

- Wreszcie ponownie się spotykamy.

Kid spojrzał na nowego partnera do picia. Jego najbardziej charakterystyczną cechą była prawa ręka, wykonana ze stali. Tylko jeden człowiek na świecie miał taką dłoń.

Rodeo Rex.

Rex był łowcą nagród, twierdził, że pracował dla Boga. Był niezłym sukinsynem. Miał brązowe włosy do ramion, w większości ukryte pod dużym białym Stetsonem. Rękawy niebieskiej sztruksowej kamizelki odsłaniały potężne bicepsy, na który wytatuowane były słowa typu ŚMIERĆ albo WYBRANY. Miał na sobie też parę bardzo obcisłych niebieskich dżinsów. Niewielu ludzi uznałoby je za ciasne, ale mając uda grubości pni drzew, jak Rex, wszystko musiało być przynajmniej przyległe.

- Dużo lepiej wyglądasz – powiedział Kid, odnosząc się do momentu, gdy ostatnio widział łowcę głów. Poprzednio Rex był ledwie zakrwawionym ciałem obracającym się na wielkim wiatraku w Nigtjarze.

- Dzięki umowie z gościem w czerwonym – odpowiedział Rex. Wypił trochę piwa. – Tak bardzo kochałem swoją robotę łowcy nieumarłych, że kiedy zaproponował mi zatrudnienie u siebie, nie mogłem odmówić.

- Masz dużo roboty?

- Nigdy nie braknie piekielnych sukinsynów, których trzeba się pozbyć. Popieprzeńców przybywa. A teraz w twoim mieści jest niezła rewolucja.

- Żebyś wiedział.

- Więc gość wysłał mnie, żebym cię poprowadził. – Rex wypił kolejny łyk piwa, później uniósł butelkę w kierunku Kida, zachęcając, by stuknął w nią szklanką. – Toast – powiedział – za zabijanie wampirów!

Kid zabrał swoją szklankę i ospale stuknął o butelkę Rexa.

- Za zabicie wszystkiego – odpowiedział. Wlał całą zawartość do gardła i odłożył pustą szklankę z powrotem na bar, gotową do ponownego napełnienia przez Berkleya.

Gdy Berkley napełniał szklankę, Rex obrócił się na stołku i spojrzał na wejście. Przyłożył nie- stalową dłoń do ust, włożył do nich palec wskazujący i kciuk, po czym gwizdnął głośno. Chwilę później w

drzwiach stanęła wysoka ciemna postać, mężczyzna z ogromnym ciemnym afro na głowie. Pchnął drzwi do saloonu i przeszedł przez nie powoli. Jego też Kid rozpoznał. Już się spotkali, kilka razy na chwilę. Był to najstłynniejszy w Santa Mondedze mięśniak do wynajęcia.

Król. Zwany też Elvisem.

Miał na sobie biały garnitur ze złotymi wykończeniami i parę dużych okularów przeciwsłonecznych w złotych oprawkach. W prawej ręce miał duży pokrowiec na gitarę. Podszedł do baru, jakby sunął po scenie w kierunku publiczności złożonych z jego fanek. Kiedy dotarł do lady, położył na niej pokrowiec.

- Witka, starzy – powiedział, otwierając pudło. Sięgnął do środka i wyjął arkusz papieru. Położył go na ladzie przed Kidem. – To twój kontrakt – rzędł. – Przeczytaj i podpisz nad kropkowaną linią.

Bourbon Kid podniósł kartkę. Zawierała szczegóły na temat jego umowy z Diabłem. To, czego wymagał od Diabła, wymieniono na górze, dalej nadchodziły jego obowiązki. Rodeo Rex wyjął długopis. Kid wpisał swoje imię przy kropkowanej linii i oddał długopis Rexowi.

- Dobry wybór – powiedział, odbierając kontrakt i wsuwając go do pozbawionej rękawów kurtki.

- Gdzie moje rzeczy? – zapytał Kid.

Elvis poklepał go po ramieniu.

- Wybierz sobie coś – powiedział.

Obrócił otwarty pokrowiec, by Kid mógł zerknąć do środka. Było w niej pełno broni i amunicji.

- Mamy wszystko, czego możesz potrzebować, i jeszcze więcej – stwierdził.

Rex wskazał mały srebrny pistolecik w szyjce pokrowca.

- Spróbuj czegoś cichszego – zasugerował. – Będą lepsze w twojej sytuacji.

Kid spojrzał na niego.

- Nie potrzebuję twoich rad.

- Właśnie że tak. Może i jesteś niezły, ale jeśli wrócisz do Santa Mondegi i zmierzysz się z tą hordą wampirów i wilkołaków, dostaniesz niezłego kopa w dupę.

- Jakoś wątpię.

- Jeśli położą łapska na Księżce śmierci, sytuacja wymknie ci się spod kontroli. Teraz znajdą twoje prawdziwe imię. Jeśli Gajusz dostanie książkę, odpadniesz z gry, synu.

- Księga śmierci, tak? Gdzie jest teraz? Wiesz?

- Ostatnio była w dziale z biografiami w miejskiej bibliotece, ale ta książka nigdzie nie zagrzewa miejsca na długo. Powinieneś skupić się na jej znalezieniu i zniszczeniu, jeśli będziesz mógł.

- Skupić się? Jakoś nie sądzę.

Wtrącił się Elvis.

- Słuchaj Rexa, brachu. Próbuje ci pomóc w odzyskaniu twojej laski.

- Co o niej wiecie?

- Wiem, że ciągle żyje.

- Na pewno?

- Jasne. Przynajmniej na razie. Ale jeśli wejdiesz przez główne drzwi z całą artylerią, zabiją ją na twoich oczach.

Kid przemyślał słowa Elvisa.

- Nawet nie wiesz, do czego jestem zdolny, jeśli jestem w odpowiednim nastroju.

Rex wstał ze stołka.

- Cóż, to twoja decyzja. Ale jakkolwiek wejdiesz, cicho czy głośno, masz czas tylko do północy. Potem kończy ci się czas. Wtedy musisz spłacić dług gościowi w czerwonym.

Berkley napęłnił szklankę Kida i schował butelkę bourbona za ladę. Kid uniósł napój i spojrzał w swoje obicie w szkle, po czym wypił całą zawartość. Później sięgnął do pokrowca na gitarę po broń.

- Ej, barman – zawołał. – Jaki jest twój ulubiony kolor?

Berkley odwrócił się i mruknął jedno słowo:

- Gównno.

Kid wyjął pistolet z pokrowca, złotego Desert Eagle z czerwonym

laserowym wskaźnikiem. Był ciężki, ale to dobrze. Wymierzył w nieszczęsnego barmana. Czerwona kropka lasera pojawiła się na środku głowy Berkleya.

BUM!

Głowa Berkleya eksplodowała, jego mózg wyleciał przez tył czaszki i plasnął o ścianę za nim. Ciało padło bez czucia na podłogę.

Elvis spojrzał ponad barem na ciało.

- Czemu powiedział gównno? – zapytał ze zdumioną miną. – Gównno to nie kolor, prawda?

Kid go zignorował.

- Mam w dupie cichą broń – powiedział, podziwiając pistolet. – Daj mi amunicję do tego cudeńka.

- Powinien powiedzieć brązowy – stwierdził Elvis, kręcąc głową. – Brąz to kolor. A nie gównno. Gównno to przedmiot. Albo stan rzeczy.

Rex położył małe pudełko z nabojami na barze obok pustej szklanki Kida.

- Dobra, rób jak chcesz – powiedział. – Tylko potem nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Elvis okrążył bar, a Kid przeszukiwał pokrowiec, podnosząc każdą ciekawszą broń. Rex pomagał, dorzucając mu amunicję do każdej z nich. Facet miał głębokie kieszenie pełne różnych rzeczy. Po pięciu minutach Kid miał cały arsenał i naboje ułożone na ladzie. Problem w tym, jak je poniesie? W skórzanej kurtce miał niewiele kieszeni, z gitarowego pokrowca wyjął kilka kabur, ale ukrycie całej broni mogło być trudne.

Pojawił się Elvis z rozwiązaniem problemu. Rzucił Kidowi długi płaszcz z kapturem.

- Do Santa Mondegi zbliża się niezła burza. Może lepiej, żebyś to włożył.

Kid złapał płaszcz i położył na ladzie. Wysunął ręce z rękawów skórzanej kurtki i rzucił ją do Elvisa. Nowy płaszcz idealnie nadawał się do noszenia i chowanie małego arsenału broni. Wsunął ręce do nowego stroju, podziwiając jego krój. Zaczął przypinać do siebie

pistolety i amunicję, wykorzystywał też wszystkie ukryte kieszenie i kabury w płaszczu.

Kiedy skończył, zwrócił się do Rexa.

- Co teraz? – zapytał.

Rez wskazał na drzwi saloonu.

- Wytknij głowę, a wrócisz tam, skąd ruszyłeś. Powodzenia.

Kid skinął Rexowi i Elvisowi.

- Nie trzeba mi powodzenia – powiedział.

Podszedł do drzwi saloonu. Pchnął je i wyszedł, nasuwając na głowę kaptur płaszcza.

# TRZYDZIEŚCI TRZY

Ramzes Gajusz przybył do miejskiej biblioteki w Santa Mondedze w wisielczym nastroju. Nie doczekał się odpowiedzi od Świętego Mikołaja odnośnie odzyskania Księgi śmierci, a teraz grubas od zabijania dzieci nawet nie raczył odebrać telefonu. Wydawało się, że wolał opuścić miasto, niż stawić się przez Pan Umarłych.

Gajusz przeskakiwał dwa schody naraz i przez podwójne drzwi wpadł do recepcji. Za kontuarem siedział nastolatek z niechlujnymi ciemnymi włosami, w białej koszuli wymagającej prasowania.

- Gdzie Ulrika Price? – zapytał Gajusz, pomijając konwenanse.

Chłopak podniósł wzrok.

- Nie przyszła dzisiaj. Zastępuję ją.

Gajusz zdjął okulary przeciwsłoneczne i wsunął je do przedniej kieszeni srebrnej marynarki.

- Jesteś Josh? – zapytał, patrząc na młodego bibliotekarza.

- Uch, tak. Skąd pan wie?

- To ty dałeś Księgę śmierci jakiemuś czytelnikowi tamtego wieczoru, tak?

- Księgę śmierci?

- Tak. Wiesz, o której książce mówię?

Josh skinął głową i przetknął ślinę.

- Ale nikomu jej nie dawałem – powiedział nerwowo. – Po prostu odłożyłem ją na półkę, jak kazała mi pani Price.

Gajusz nachylił się nad biurkiem, naruszając prywatną przestrzeń Josha.

- Więc zaprowadź mnie do niej – warknął.

- Nie mogę – odpowiedział Josh. – Gliniarze zabrali ją dziś rano.

- Co?

- Przyszedł gliniarz i ją zabrał. Powiedział, że policja jej potrzebuje.



- Jaki gliniarz?

- Sanchez Garcia. Kiedyś był barmanem w Tapioco.

- Pieprzony sukinsyn!

- Dzisiaj wszyscy szukają tej książki – powiedział Josh, wzruszając ramionami.

Gajusz zmarszczył brwi.

- Kto jeszcze jej szukał?

- Zaraz po Sanchezie przyszedł po nią gruby Święty Mikołaj. Oblał mnie sikami.

Gajusz powąchał powietrze.

- Czuję.

Josh zarumienił się i pochylił głowę, żeby powąchać koszulkę. Odwrócił nos, gdy odór starego moczu dotarł do jego nozdrzy. Podniósł wzrok na Gajusza.

- Mogę pomóc w czymś jeszcze? – zapytał.

- Właściwie tak – powiedział Gajusz. – Możesz mi pokazać, na której półce położyłeś wtedy tę książkę?

- Tak, oczywiście.

Josh uniósł drewniany blacik kontuaru i wyszedł zza niego.

- Tędy – powiedział, wskazując i prowadząc Gajusza labiryntem korytarzy do działu z biografiami.

Gajusz poszedł za nim, biorąc głębokie wdechy nosem i próbując pohamować wściekłość z powodu faktu, że Księga śmierci wpadła w ręce policji. Josh wiódł go przejściem między wysokimi, pełnymi książek regałami i wskazał półkę na wysokości wzroku.

- Położyłem ją tutaj – powiedział z dumą. – Pod „A”, jak Anonim.

Gajusz wskazał grubą książkę z zieloną oprawą na dolnej półce.

- Mógłbyś mi ją podać, proszę? – zapytał uprzejmie.

Josh wzruszył ramionami.

- Jasne.

Gdy młody bibliotekarz schylił się i sięgnął po książkę, Gajusz złapał go za włosy z tyłu głowy. Podniósł go nad ziemię i jednym ruchem rozpląszczył mu twarz na jednej z drewnianych półek.

Rozległ się nieprzyjemny odgłos łamanego nosa. Chłopak ledwie zdążył krzyknąć z bólu, nim Gajusz jeszcze trzy razy uderzył jego głową o półkę. Z nosa i ust Josha, w których brakowało już kilku zębów, zaczęła płynąć krew. Gajusz cisnął go z powrotem na drewnianą podłogę i pochylił nad nim. Młody bibliotekarz próbował podnieść się na kolana, ale Gajusz szybko i mocno uderzył go w żebra, posyłając z powrotem na deski.

Oczy Josha szybko napełniły się łzami. Zakrwawiona twarz zdradzała przerażenie. Drżały mu ręce i wydawało się, że w każdej chwili może wybuchnąć płaczem. Gajusz pochylił się u przycisnął lewe kolano do piersi ofiary.

- To za oddanie mojej książki policji – powiedział, unosząc wielką prawą dłoń wysoko nad głowę. Josh zamrugał i odwrócił głowę, bojąc się impetu nadchodzącego uderzenia. Zdążył tylko raz jęknąć, nim Gajusz uderzył pięścią w bok jego twarzy, tłukąc kości policzkowe jakby były ze szkła.

Przez niemal minutę Gajusz okładał Josha pięściami. Chłopak nie żył po trzecim czy czwartym ciosie, ale Gajusz zbyt dobrze się bawił, żeby przerywać.

Kiedy adrenalina przestała w nim buzować, Gajusz przestał i spojrzał na zakrwawione pięści. Gdy na nie patrzył i podziwiał ich moc, rany i ból w kłykciach zaniknęły. Oko Księżyca, tkwiące bezpiecznie w jego prawym oczodole, sprawiało, że wszystkie odniesione przez niego rany niemal natychmiast się leczyły, a ból zanikał.

Sięgnął do kieszonki i wysunął z niej okulary przeciwsłoneczne. Później wyjął jeszcze telefon komórkowy i zadzwonił do córki.

Jessica odebrała po jednym sygnale.

- Tak, tato?

- Księga śmierci zniknęła – powiedział Gajusz, łapiąc oddech. – Ten kretyn Sanchez Garcia ją ma.

- Sanchez ją ma?

- To właśnie powiedziałem.

- Więc się nie martw. Ten kretyn zaraz mi ją przyniesie. Pewnie już tutaj jedzie.

- Tak myślisz?

- Nie mam wątpliwości.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Po ten kretyn się we mnie zabujał. Nie martw się, tato, jeśli faktycznie Sanchez ją ma, niedługo ją dostaniemy. Możesz zaczynać swoją akcję. Ani się obejrzysz, a będziemy mieli Księgę.

- Wreszcie jakieś dobre wiadomości – powiedział tryumfalnie Gajusz. – W takim razie przekaż wszystkim, że możemy zaczynać przejmowanie miasta. Każ im iść na ulice i zabijać wszystkich, razem z dziećmi.

- Razem z dziećmi? – Jessica wydawała się zdumiona. – Skąd ta nagła zmiana?

Gajusz wytarł niezajętą rękę o koszulę Josha, próbując pozbyć się choć części krwi chłopaka z kłykci.

- Właśnie wybiłem jakiemuś nastolatkowi mózg z głowy – powiedział, biorąc głęboki wdech. – I muszę przyznać, świetnie się bawiłem. Mam nawet wrażenie, że słyszałem, jak wołał mamusię na pomoc.

Niemal słyszał, jak Jessica uśmiecha się z aprobatą po drugiej stronie linii.

- Przekażę wszystkim – powiedziała. – Większość i tak już tu jedzie. Wracasz?

- Nie, jeszcze nie – odpowiedział Gajusz. – Mam jeszcze spotkanie w muzeum. Muszę zabić jeszcze parę osób.

# TRZYDZIEŚCI CZTERY

- Nic z tego – powiedziała Kacy. – Nie odbiera.

**D**ante siedział na łóżku w ich pokoju w Swampie, miał na sobie swoją kurtkę Cienia, biały podkoszulek i parę niebieskich dżinsów. Z frustracją pocierał czoło. Kacy całe popołudnie próbowała dodzwonić się do Bourbon Kida. Ale niewiarygodny sukinsyn nie odbierał.

- Świetnie. To zostaw mu wiadomość. I wyślij jeszcze SMS. Nie możemy go skreślać, nie wiemy, Czemy nie odbiera.

Kacy podeszła i usiadła obok niego na łóżku. Telefon przyciskała do ucha. Kiedy usłyszała sygnał, zostawiła wiadomość.

- Cześć, mówi Kacy, dziewczyna Dantego. Dzwonię, żebyś wiedział, że dziś w nocy jedziemy z Ważniakiem do muzeum. Nie będzie nas w Casa De Ville. Ważniak mówił, że Ramzes idzie dziś do muzeum polerować swoje oko, albo coś takiego. Pojedziemy tam i próbujemy mu je zabrać, kiedy tylko wyjmie je z głowy. Jeśli chcesz się tam z nami spotkać, oddzwoń. Ważniak jest po naszej stronie, więc jeśli się pojawisz, nie zabijaj go. To tyle, dzięki. Pa.

Dante poklepał ją po plecach.

- Dobra wiadomość – pochwalił. – Ale wyślij mu jeszcze SMS. Na wszelki wypadek.

Kacy podała mu telefon.

- Ty wyśnij – powiedziała. – Muszę się przebrać.

- A co jest nie tak z twoim strojem?

Kacy miała na nosie czary top bez ramiączek i parę sztruksowych szortów.

- Jeśli plan się powiedzie i znowu będziemy ludźmi, zamarznę tym. Może będziemy musieli szybko spieprzać. A że wokół jest śnieg i tak dalej, muszę się dobrze ubrać.

- Ale tak wyglądasz seksownie.
- W pogodzie mówili, że są minus trzy stopnie.
- Spoko.
- Świetnie. To ty idź w tych szortach.

Dante złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Pocałował ją namiętnie w usta.

- Powiedziałem tylko, że wyglądasz seksownie.

Odwzajemniła pocałunek i odsunęła się. Podeszła do rogu sypialni i schyliła się po nowe ubrania z walizki leżącej na podłodze.

- Po prostu wyślij wiadomość – powiedziała.

Dante zaczął pisać SMS na jej telefonie. Zajmie mu o wieki i to nie z powodu trudności z napisaniem nawet najprostszych słów. W ogóle był zerem, jeśli chodzi o telefony. Gdy próbował rozgryźć mechanizm pisania wiadomości na komórce, Kacy zaczęła przeglądać ubrania w walizie, raz na jakiś czas podnosząc coś, by usłyszeć jego opinię. Przytakiwał na wszystko, co pokazywało dużo ciała, a kręcił nosem na to, co można by uznać za „grzeczne”. Niezła zabawa. Wiedziała, że kochał patrzeć, jak się rozbiera, a ona z kolei lubiła pokazywać się mu w nowych ubraniach. To był jeden z powodów, dla których byli tak dobraną parą. Kacy miała nadzieję, że do końca tego dnia taką parą będą. Jeśli coś poszłoby nie tak, a prawdopodobieństwo było wysokie, nie potrafiłaby znieść życia bez niego. Moment, gdy widziała, jak został ugryziony przez wampira w Halloween, wciąż wracał w jej pamięci. Chwila, gdy podtrzymała jego głowę, a krew lała się z rany na szyi, gdzie wgryzła się w niego ta wampirza suka, był najgorszym w jej życiu. Drżała na samą myśl, że coś takiego mogłoby się powtórzyć.

Rozebrała się do różowego stanika i majtek, zwracając tym uwagę Dantego, gdy nagle do pokoju wpadł Ważniak. Wydawał się podenerwowany, dopiero po chwili zauważył półnogą Kacy i uniósł brwi. Gapił się na nią trochę dłużej, niż było to konieczne, aż wreszcie wyjawiał powód swojej niezapowiedzianej wizyty.

- Ważne wieści, dzieciaki – powiedział. – Gajusz wydał rozkaz,

żeby wszyscy wyszli na łowy. Na ulicach już roi się od wampirów. Teraz toczymy wojnę z całym światem. Wszędzie są wampiry, zabijają wszystkich ludzi, którzy nie są zamknięci w domach. Na zewnątrz jest cholerna jatka. Wszyscy idą do Casa De Ville.

Kacy skrzywiła się.

- Tam idzie też Bourbon Kid.

Ważniak przytaknął.

- Dlatego oni tam idą. Gajusz wie, że on tam będzie.

- Czyli to pułapka?

- Jasne. I wydaje mi się, że Gajusz wyniesie się stamtąd do muzeum tylko na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

- Niby jakim cudem? – zapytała Kacy.

Odpowiedział Dante:

- Kid może zabić wszystkich. Pewnie jest do tego zdolny.

- Żeby zabić całą armię wampirów?

- Nie skreślałbym go.

Ważniak uśmiechnął się.

- Jest dobry, fakt, ale Gajusz zabezpieczył wszystkie możliwości. Na Kida będą czekały nie tylko wampiry, ale też armia wilkołaków.

- Skąd wiesz? – zapytała Kacy.

- Mam tam ludzi, zapomniałaś? Mam wtyki. Dlatego wiem, że Gajusz już opuścił Casa de Ville. Teraz jedzie do muzeum. Mamy szansę.

Powietrze przeszył piskliwy krzyk dochodzący z ulicy.

- Co to było? – zapytał Dante.

Ważniak wzruszył ramionami.

- Mówiłem, że wampiry opanowały ulice. I mordują.

Dante poderwał się z łóżka.

- O kurwa. Chodźmy popatrzeć.

Kacy wzięła parę dzinsów i zaczęła je zakładać, co Ważniak obserwował z dziwnym uśmiechem na twarzy. Dante minął go w drodze do holu, by popatrzeć przez okna. Wrócił po chwili, gdy Kacy zakładała czarną bluzę. Na twarzy miał rzadko spotykany wyraz

głębokiego namysłu.

- Ważniak ma rację – powiedział. – Cholera, ma rację. Wszędzie są wampiry. Przed momentem widziałem bandę Słonecznikowych Dziewczyń gonionych po ulicy. Wampiry łapia je jedna po drugiej. Ja pierdołę, okropieństwo!

- Słonecznikowe Dziewczyny? – Kacy nie potrafiła ukryć przerażenia na myśl o grupce małych, przerażonych dziewczynek gonionych przez żądne krwi wampiry. – Musimy coś zrobić!

Pobiegła do holu z basenem i wyjrzała przez jedno z okien na ulicę. Faktycznie, panował tam chaos. Grupka przestraszonych skautek biegła z krzykiem. Wampiry łapały przechodniów, zaciągały ich do sklepów i w ciemne zaułki, żeby pić ich krew. Dziewczynki trzymały się w grupie, ale niedługo zostaną zdziesiątkowane. Kacy poczuła na ten widok mdłości i wróciła szybko do pokoju, żeby zabrać trampki.

Dante znał ten wyraz oczu.

- Chcesz ich powstrzymać?

Przytaknęła.

- Wszyscy powinniśmy. To tylko małe dziewczynki.

Ważniak złapał Dantego za ramię.

- Nic nie możemy dla nich zrobić. Gajusz już wyjechał do muzeum. Musimy iść teraz, albo stracimy okazję.

Kacy spojrzała na Dantego błagalnym wzrokiem.

- Musimy iść i spróbować pomóc tym dzieciom, prawda?

Przytaknął.

- Tak. Chodź, idziemy.

Kacy wsunęła trampki i wybiegła za Dantem do holu z basenem. Ważniak nie wydawał się tak entuzjastyczny. Przeciwnie, wyglądał na załamane. Krzyknął za nimi:

- Nie uratujecie tych bachorów. Jesteście wampirami. Tylko je przestraszycie. I może przy okazji się zabijecie.

Kacy i Dante byli głusi na jego słowa. Przebiegli przez hol z basenem, wypadli na zewnątrz i trzema susami pokonali schody.

# TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

**D**an Harker spędził większość ranka przy biurku, patrząc na ekran komputera i przeglądając najpilniej strzeżone pliki poprzedniego kapitana, Michael a De La Cruz. Właściwie każdy dotyczył albo zabójcy dzieci, albo Bourbon Kida. Morderstwa dzieci nigdy nie zostały rozwiązane. Każde z nich przypisywano na konto Bourbon Kida. Nie było to lenistwo policji, a zwykła korupcja. Zapoczątkowana przez Archibalda Somersa i kontynuowana przez De La Cruza. Ale dlaczego tak chętnie przypisywali każde morderstwo do Bourbon Kida? Dlatego że był łatwym celem? A może był ich wrogiem? Wrogiem nieumarłych?

Po godzinie przeglądania plików o niemal identycznej zawartości, Harker trafił na jeden dotyczący śmierci Archiego Somersa. Ten był interesujący. Tylko tu znajdował się dowód, że to Kid odpowiadał za śmierć ofiary. Zawierał też link do nagrania z kamery przemysłowej. Odtworzył je i przysunął twarz bliżej monitora, żeby lepiej widzieć dość ziarnisty obraz. Nagranie pokazywało Bourbon Kida wchodzącego na komisariat i strzelającego do wszystkich policjantów. Początkowo przeżyła tylko recepcjonistka, Amy Webster. Kamera znajdowała się za Kidem i ukazywała przerażoną pannę Webster wykonującą jego instrukcje. Niestety, brakowało dźwięku, więc Harker mógł jedynie przypuszczać, czego dotyczyła rozmowa. Wyglądało na to, że Kid dyktował Amy, co powiedzieć przez telefon. Wreszcie, kiedy odłożyła słuchawkę na widełki, wydał jeszcze jedno polecenie. Amy zamknęła oczy, a sekundę później strzelił jej w twarz. Może to takie zachowanie spowodowało, że Somers i De La Cruz przypisywali każde nierozwiązane morderstwo Kidowi? W końcu faktycznie był bezwzględnym zabójcą.

Harker minął jakieś dwadzieścia minut filmu, podczas których nic



się nie działo. Zaczął znowu oglądać, gdy na komisariacie pojawił się Archie Somers, gotów do konfrontacji z Kidem. Sytuacja okazała się fascynująca. Harker musiał cofnąć i obejrzeć ją kilkakrotnie, żeby upewnić się, że wzrok go nie mylił. Po minucie gorącej dyskusji między tą dwójką, Somers przemienił się w wampira i poleciał na Bourbon Kida, złapał go i wbił mu kły w szyję. Kid objął Somersa i trzymał mocno, a potem stało się najdziwniejsze. Pomiędzy mężczyznami pojawił się obłok dymu. Padły jeszcze jakieś słowa i Somers się cofnął. Do piersi miał przyklejoną dużą książkę w grubej oprawie. Mały obłok dymu unosił się spod niej. Somers złapał księgę, próbując oderwać ją od piersi. Cholerstwo nie chciało się ruszyć. Lepiło się do niego, chwilę kopilo, aż Somers dosłownie buchnął płomieniem, dziko machając rękami i krzycząc. Chwilę później rozpadł się w stertę pyłu na podłodze. Więc wampira Somersa spotkał straszny koniec, ale o co chodziło z Kidem? Był jakimś pogromcą wampirów? A jeśli tak, dlaczego zabija też niewinnych ludzi, jak Amy Webster?

Gdy Harker próbował znaleźć odpowiedzi na mnożące się pytania, usłyszał pukanie do drzwi biura. Za szklanymi drzwiami, w długim białym płaszczu, stał Bill Clay z wydziału kryminalnego. Harker skinął ręką, by wszedł. Clay pchnął drzwi kilka razy bez skutku, wreszcie kopnął na dole i siłą otworzył. Wszedł i kolejnym kopnięciem zamknął je za sobą, po czym odwrócił się twarzą do kapitana.

- Witam szefie, jak leci?

- Co mogę dla ciebie zrobić, Bill? – zapytał Harker.

- Na dole szaleństwo. Flake nie radzi sobie z wszystkimi telefonami.

- Każ jej kumplowi Sanchezowi jej pomóc.

- Nie sądzisz, że będzie tylko wkurzał ludzi?

- Tak – powiedział Harker ze wzruszeniem ramion. – I wtedy się rozłączą. Idealnie się nadaje.

Clay uśmiechnął się.

- To akurat drobiazg. Sanchez nie przyszedł do pracy. Flake też dopiero teraz przyjechała.

- Leniwe dupki.

- Tak, ale mają usprawiedliwienie.

- Oby było dobre.

- Jest niezłe. Flake mówi, że rano wpadli na twojego zabójcę dzieciaków.

- Co?

- Podobno Sanchez go zabił.

- Możesz powtórzyć?

- Flake twierdzi, że dziś rano w bibliotece Sanchez wdał się w bójkę z wampirem przebranym za Świętego Mikołaja. Podobno Sanchez wlał mu do gardła trochę jego zielonej trucizny, a potem podpalił.

- O kurwa. Gdzie jest teraz Sanchez?

- Jak sądzę po szuję w gównie.

- Co?

- Flake powiedziała, że znalazł Księżę śmierci. Wiesz, tą zaginioną książkę. I teraz jedzie oddać ją właścicielce.

Harker podrapał się po głowie.

- Łał. Myślałem, że Sanchez to idiota. Ale wygląda na to, że zamienił się w Elliota Nessa[6].

- Raczej Franka Dreбина[7].

- Niech będzie. Kto by przypuszczał, że ma taki potencjał?

- Ja na pewno nie.

- Ja też nie. Ale to przynajmniej jakieś dobre wieści.

Clay skrzywił się.

- Ale na tym dobre wieści się kończą.

Harker westchnął.

- O Boże. Co znowu?

- Telefon. Mamy mnóstwo zgłoszeń, że w całym mieście widziano wampiry atakujące ludzi. Lokalna stacja radiowa radzi, żeby ludzie zostawali w domach. Obawiam się, że skończyły się czasy, kiedy wampiry atakowały w nocy, w ciemnych zaułkach. Te ziemne

chmury nad miastem do nie tylko kaprys natury. Wydaje mi się, że to część jakiegoś planu. W tej chwili po mieście panoszą się wampiry. I wszystkie idą do Casa de Ville. Zaczyna się coś wielkiego. To może być początek końca świata.

- Powiedz, że wyolbrzymiasz, żeby dodać sobie dramatyzmu.

- Raczej nie. Twój plan, żeby puścić do mediów informację o zabójcy dzieci, jest brzemenny w skutki. Wyciągnął wszystkie wampiry z cieni.

- Dzięki. Poprawiłeś mi tym humor.

- Wybacz, kapitanie. Myślę, że powinniśmy ewakuować miasto. Wezwać media i powiedzieć wszystkim, żeby stąd spieprzali.

- Serio? Nie sądzisz, że to wywoła masową panikę?

Clay przytaknął, patrząc w okno za Harkerem.

- Popatrz przez okno. Już jest panika.

Harker wstał z krzesła i przez żaluzje spojrział na ulicę poniżej. Na pierwszy rzut oka nic się nie działo. Ale gdy oczy nawykły mu do ciemności na zewnątrz, zobaczył, że Clay miał rację. Po drugiej stronie ulicy młody człowiek pracujący w sklepie z warzywami i owocami był rozrywany na części przez trzy wampiry w czarnych ubraniach. Odwrócił się do Claya.

- Jasna cholera.

Clay skinął głową.

- Chyba wszyscy umrzemy.

- Pieprzyć to – odpowiedział opryskliwie Harker. – Płacą nam, żebyśmy chronili mieszkańców. Musimy stąd wyjść i zmierzyć się z problemem z uniesioną głową.

- Jak niby mamy walczyć z całą armią wampirów? Ledwie starcza nam gliniarzy, żeby ściągnąć kota z drzewa.

- To robota dla strażaków. Leniwych matołów.

- Niech będzie. Ale masz rację, mamy chronić mieszkańców miasta, więc powinniśmy poradzić im, żeby uciekali i się ratowali. Flake przed chwilą odebrała telefon od zastępowej Słonecznikowych Dziewczyn. Powiedziała, że razem z dziewczynkami skrada się

zaułkami, żeby nie znalazły ich wampiry.

- Słonecznikowe Dziewczyny? – Harker oparł głowę na rękach. – O kurwa, pewnie są przerażone.

- Już i tak miały podły dzień. Zastępowa potwierdziła historię Flake o tym, że Sanchez podpalił Mikołaja.

- Popalił Mikołaja na oczach zastępu Słonecznikowych Dziewczyn?

- Tak.

- Debil.

- No trochę. Kiedy Flake radziła zastępowej, żeby poszły do kościoła, połączenie się zerwało. Z tego co wiemy, zobaczyły je wampiry. Dziewczynki są już pewnie martwe.

Harker usiadł z powrotem za biurkiem i zadrżał.

- Mam nadzieję, że im się uda. Jeśli dostaną się do kościoła, prawdopodobnie będą bezpieczne. Będą miały krzyże, wodę święconą i podobne pierdoły, żeby się bronić. Nie sądzę, żeby wampiry postawiły nogę w kościele.

- Nie powinniśmy wysłać kogoś, żeby sprawdził, czy nic im nie jest?

- Może wyślemy Sancheza?

- Tego, który na ich oczach podpalił Mikołaja?

Clay miał rację. Sanchez był chyba ostatnim człowiekiem, którego przerażone dziewczynki chciałyby zobaczyć.

- Kurna. Więc musimy mieć nadzieję, że kościół się nimi zajmie. Ja pojedę do telewizji i powiem, żeby wszyscy pozamykali się w domach, albo wyjechali z miasta.

Clay wydawał się zakłopotany.

- To miasto zwariowało. Jak nie Bourbon Kid, to wampiry. Czemu ktoś miałby chcieć tu mieszkać?

Harker zmarszczył brwi.

- Niskie podatki. Małe bezrobocie. I zazwyczaj ładna pogoda.

- Może. Ale ja nie wiem, czemu wciąż tu jestem.

- Bo kochasz swoją pracę, jesteś dobrym człowiekiem, który czerpie satysfakcję z chronienia ludności miasta.

Clay uśmiechnął się.

- Cytat z Kompendium Policjanta?

- Mówię z serca.

- Ale to nas nie uratuje, prawda?

- Nie. Ale znam coś, co może nas uratować. Popatrz na to. – Wskazał na monitor. Clay przeszedł wokół biurka i spojrzał mu ponad ramieniem.

- Co to jest? – zapytał.

Harker użył myszki, żeby przewinąć nagranie z kamery przemysłowej do pojawienia się Somersa. Mężczyźni w milczeniu patrzyli na ekran, oglądając, jak Kid wysyła Somersa do Pieła zmieniając go w płomień. Kiedy walka się skończyła, Harker zatrzymał nagranie i spojrzał na Claya, ciekaw reakcji.

- To dziwne – stwierdził Clay.

- Tak. Przerażające, co? Tak po prostu wybuchnął.

Clay był zdenerwowany.

- Nie o tym mówiłem.

- Nie? To na co patrzyłeś?

- Bourbon Kid. To nie on zabił Bertrama Cromwella.

Harker spojrzał z bliska na ekran, na mężczyznę w czarnym płaszczu z kapturem naciągniętym na głowę.

- Na pewno? Skąd wiesz?

- Otwórz nagranie z muzeum. To inny gość.

Harker przeglądał bazę danych i wreszcie wyświetlił na monitorze nagranie z zabójstwa Bertrama Cromwella. On i Clay ponownie patrzyli, jak Cromwell był krojony na kawałki. Napastnikiem był zakapturzony mężczyzna, ale psychol krojący profesora maczetą miał zupełnie inną budowę ciała niż ten, który podpalił Archiego Somersa. Zabójca profesora był wysoki i szczupły, a Bourbon Kid z nagrania o Somersie miał szerokie barki i nie był tak wysoki.

- Co z tego wynika? – zapytał Clay.

Harker przetrawił to, co widział. Istniało dwóch różnych zabójców.

- Masz rację – powiedział. – Mamy dwóch Bourbon Kidów.

- Myślisz, że cały czas było ich dwóch? – zapytał Clay.

- Nie wiem. Ale wiem, że jeden z nich zabija wampiry. I jest w tym cholernie dobry. Nie wiem, kim jest ten drugi, który zabił Cromwella. Ale ten od Somersa mógłby być przydatnym sojusznikiem.

- Chcesz prosić Bourbon Kida o pomoc?

- Czemu nie? Być może tylko on będzie w stanie powstrzymać wampiry z miasta. Problem będzie z jego znalezieniem.

Clay nie wydawał się przekonany.

- Zabije cię, zanim zdążysz mu zaproponować współpracę.

- Nie jestem pewien. Spójrz na to tak: Somer był wampirem. Poprzedni Kapitan Policji, De La Cruz, był wampirem, podobnie jak jego podwładni. Bourbon Kid zabił ich wszystkich. Myślę, że on może być bohaterem, którego potrzebuje to miasto.

- On jest zarazą. Potrzebujemy go jak szarańczy.

- Może, ale mówię ci, Bourbon Kid mógłby zabić wszystkie wampiry w mieście, zanim załapałyby, że są martwe.

Clay zmarszczył brwi.

- To nie ma sensu.

- Może nie, ale moim zdaniem brzmi nieźle.

- Twierdzisz, kapitanie, że...

Harker wstał gwałtownie.

- Słuchaj, jeśli uda mi się wystąpić w lokalnej telewizji, może będę mógł go tutaj ściągnąć.

- Żartujesz, prawda?

Harker zdjął swój długi brązowy płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka przy drzwiach i zaczął wsuwać ręce w rękawy.

Clay machnął rękami, żeby zwolnił.

- Kapitanie, jeśli chcesz szukać Bourbon Kida przez wiadomości, staniesz się wrogiem publicznym numer jeden z mieście. To zły ruch polityczny. Zabił krewnych właściwie wszystkich osób w mieście.

Harker podniósł kołnierz płaszcza.

- Kiedy mieszkańcy usłyszą, że Bourbon Kid tak naprawdę cały

czas ich chronił, staną za mną murem.

Clay pokręcił głową.

- Nie tylko ludzi z miasta powinieneś się bać. Masz jeszcze wampiry. Zabiją cię, zanim skończy się emisja twojej wypowiedzi.

Harker otworzył drzwi do biura.

- Więc muszę mieć nadzieję, że Bourbon Kid znajdzie mnie pierwszy.

Gdy Harker wyszedł z gabinetu, Clay krzyknął za nim:

- W takim razie, do zobaczenia w Piekło!

# TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

**P**rzerażony zastęp Słonecznikowych Dziewczyn biegł ośnieżonymi ulicami Santa Mondegi, krzycząc ile sił. Nic dziwnego. Wampiry porywały po jeden z nich i mimo kopniaków i krzyków odciągały w ciemne boczne uliczki. Na początku dnia ich grupa liczyła trzydzieści osób, teraz jakieś piętnaście. Odkąd zobaczyły, jak gruby gliniarz pali Świętego Mikołaja, było już tylko gorzej. Ich zastępowa została porwana jako jedna z pierwszych, gdy bezskutecznie próbowała walczyć w ich obronie.

Gdy pozostałe dziewczynki zbliżały się do kościoła, gdzie miały nadzieję znaleźć schronienie przed nieumartymi, jeden z klaunów – wyjątkowo obrzydliwy, ubrany w strój w czerwone i białe pasy, z czerwoną peruką – rzucił się w powietrze i wylądował na plecach jednej z uciekinierek. Młoda dziewczyna, nie więcej niż dziesięcioletnia, upadła na ziemię pod jego ciężarem. Jej twarz zapadła się w śniegu, przez co nie była w stanie krzyczeć.

Klaun siedział na niej okrakiem, a jego dwaj towarzysze minęli go, goniąc pozostałe Słonecznikowe Dziewczyny. Ignorując ich, odwrócił dziewczynę i spojrzął na jej przerażoną twarz. Długą, kościstą dłonią pogłaskał ją po policzku, czując ciepło płynącej w niej krwi.

- Witaj, ślicznotko – zagruchał. – Masz cudowną skórę. – Zdał opaskę z jej długich blond włosów i odgarnął kilka niesfornych kosmyków z twarzy. – To zaboli tylko minutkę.

Szeroko otworzył usta, odsłaniając długie wampirze kły. Dziewczynka zamknęła oczy i krzyknęła.

**BACH!**

Dante przybył w samą porę. Gdy wampira schylał się, żeby ugryźć szyję dziewczynki, rzucił się na niego z boku z siłą i prędkością ekspresu. Razem z klaunem potoczył się po śniegu. Dante miał po



swojej stronie element zaskoczenia, więc prowadził. Za nim Kacy złapała małą blondyneczkę i podniosła ją z ziemi. Wtedy znikąd pojawił się Ważniak. Minał Dantego, goniąc wampiry, które biegły na skautkami w stronę głównego wejścia do kościoła.

Dante wierzgał, leżąc na powalonym klaunie. Czerwona peruka jego przeciwnika zsunęła się, odsłaniając krótkie brązowe włosy. Niestety, Dante nie rozpatrywał tak dalekich planów odnośnie ocalenia Słonecznikowych Dziewczyn. Jak zwykle zadziałał bez namysłu. Wiedział, że postąpił słusznie: nie wiedział tylko, co robić dalej. Zaskoczył klauna, który miał teraz przerażoną minę, więc Dante uniósł prawą pięść i spuścił ją na twarz klauna. Rozległ się głośny trzask i Dante skrzywił się wobec silnego bólu w kłykciach.

Usłyszał, że Kacy coś krzyczy. Podniósł wzrok i zobaczył, że osłania dziewczynki przed wejściem do kościoła. Za nią Ważniak powalił na ziemię dwa pozostałe klauny i starał się utrzymać je w tej pozycji.

Klaun leżący płasko na plecach poddaniem odezwał się niewyraźnie.

- Auć – jęknął. – Złamałeś mi nos.

Dante spojrzał na swojego więźnia i zobaczył, że czerwony plastikowy nos pękł na pół, odsłaniając bulwę pod spodem. W tej sytuacji istniało tylko jedno wyjście, czyli zadanie ponownego ciosu i złamanie prawdziwego nosa. Ale gdy zamierzał uderzyć drugi raz, klaun wyprowadził od boku prawą dłoń. Trzymał broń. Wymierzył w twarz Danego.

Dante z otwartymi ustami patrzył, jak klaun naciskał spust. Rozległ się delikatne kliknięcie i w oczy Dantego chlusnął strumień ciepłej wody. Typowy pajac z pistoletem na wodę. Nie czekając na drugi postrzał, Dante ponownie uderzył go w twarz, dużo mocniej niż wcześniej. Tym razem rozległ się głośniejszy trzask i prawdziwy nos klauna został złamany. Krew zalała mu twarz, nadając jej zdumiony i mocno sponiewierany wyraz. Stanowczo nie wyglądał jak ktoś, kto stawiały opór. Dante stanął na nogi i pobiegł do Ważniaka i dwóch

pozostałych pajaców.

Jednego z nich Ważniak już pozbawił przytomności. Drugi podnosił się na nogi, zamierzając walczyć. Dante podbiegł i uderzył w niego tak samo, jak zrobił to z pierwszym klaunem. Zwalił go z nóg i przycisnął plecami go ziemi, głową uderzając o lód.

- Szybko – krzyknął Ważniak, łapiąc go za ramię. – Do środka. Idą następni!

Gdy biegli do kościoła, Dante obejrzał się przez ramię. Gang wampirzych klaunów widział, co zaszło, i teraz mknął w kierunku kościoła. Niektórzy mieli maczety, inni tylko pistolety na wodę. Tak czy inaczej, nie było sensu zostawać tutaj i dać się posiekać tym nieśmiesznym popieprzeńcom.

Dante i Ważniak zatrzasnęli ogromne drewniane drzwi wejściowe. W samą porę. Kilka szybszych klaunów uderzyło głowami w drzwi. Ważniak przesunął dużą metalową zasuwę, barykadując ich od środka.

Dante poszukał Kacy. Stała na środku przejścia w połowie kościoła. Z ławek wokół niej wyglądały przerażone twarze piętnastu Słonecznikowych Dziewczyn.

- Ile ich tam jest? – zapytała Kacy.

- Około pięciu – odpowiedział Ważniak, mijając Dantego i idąc do Kacy. – Jeśli zechcą tu wejść, mamy przesrane. Sprawdzę, czy na tyłach nie ma drugiego wejścia.

Ważniak minął Kacy i dziewczynki z prędkością światła. Kiedy doszedł do ołtarza na drugim końcu przejścia, spojrzął w obie strony i zniknął im z oczu gdzieś w zachodnim skrzydle.

Dante widział strach w oczach dziewczynek i spróbował je pocieszyć.

- Nie martwcie się nim – powiedział. – Nic wam nie zrobi.

Mała blondynka, którą Dante ocalił przed czerwonowłosym klaunem oderwała się w imieniu pozostałych. Miała drżący głos.

- Wy też jesteście wampirami? – zapytała.

Dante spojrzął na Kacy.

- Odpowiesz na to, jak pójdę pomóc Ważniakowi szukać wyjść?

- Jasne.

Pospieszył w dół przejścia, mijając Kacy i przestraszone skautki. Usłyszał, jak Kacy próbuje wyjaśniać:

- Nie jesteśmy normalnymi wampirami – mówiła. – Jesteśmy dobrzy. Bronimy małe dziewczynki od prawdziwych wampirów. Flaunów.

Podziwiał jej umiejętności i cierpliwość do dzieci. Dotarł do końca przejścia. Nigdzie nie widział śladu Ważniaka.

Kościół był zimny i ciemny. Jedynym źródłem światła (i przy okazji ciepła) było kilka świec na ścianach. Gdy Dante szukał jakiegoś śladu Ważniaka albo otwartych drzwi, które mogłyby kusić niechcianych gości, usłyszał za sobą przeszywający hałas.

Był to dźwięk tłuczonej szyby. Dziewczynki znów zaczęły krzyczeć. Dante odwrócił się i zobaczył, że pięć klaunów przebiło się przez witraż nad drzwiami głównymi. Odłamki szkła rozbiły się o kamienną podłogę w kościele, pękając na małe kawałki.

Czterech klaunów wylądowało pomiędzy ławkami, w których skryły się rozkrzyczane Słonecznikowe Dziewczyny. Piąty spadł za Kacy i złapał ją. Uniósł ją nad ziemię pociągnął przejściem w stronę wejścia. Czterej pozostali łapali krzyczące dzieci i wyciągali je spod ławek, gdzie próbowały szukać schronienia.

Dante instynktownie chciał biec do Kacy, ale ledwie zrobił krok w jej stronę, trzymający ją klaun, dziwak z zieloną peruką i złowieszczym uśmiechem, wyciągnął maczetę rękawa i przycisnął jej do gardła. Polizał bok twarzy Kacy i powiedział jej do ucha:

- Dlaczego pomagacie tym dzieciakom? – syknął.

- Bo są dziećmi – nerwowo odpowiedziała Kacy.

Dante poczuł ucisk w żołądku. Ostrze maczety było bardzo blisko czyi Kacy. Jedna zła decyzja może doprowadzić do jej śmierci. Czuł się bezsilny. Kacy wydawała się teraz równie przerażona jak dzieci, które tak bardzo chciała chronić chwilę temu. Gdzie do cholery był Ważniak?

Klaun z maczetą przyciśniętą do szyi Kacy wyglądał na przywódcę. Pozostali, nurkujący pod ławki i łapiący dziewczynki, wyraźnie czekali na jego sygnał, by rozpocząć ucztę. Syknął na Dantego.

- Złamaliście kodeks wampirów, pomagając tym dzieciom – krzyknął. – I nie powinniście przyprowadzać ich do kościoła. Przeklęty kościół was nie uratuje!

Dante nie wiedział, co odpowiedzieć. Ale na szczęście nie musiał Z cienia za sobą usłyszał znajomy, ponury głos udzielający odpowiedzi w jego imieniu.

- Was również kościół nie uratuje – powiedział.

Klaun zmarszczył brwi i próbował przeniknąć wzrokiem ciemności za Dantem, by poznać tożsamość właściciela głosu.

- Kim jesteś? – krzyknął.

Dante śledził wzrokiem maczetę przy szyi Kacy. Chwilę później pojawiła się na niej lśniąca czerwona kropka. Zaczęła poruszać się powoli w górę, wzdłuż szyi klauna i jego twarzy. Gdy przesuwiała się po jego szczęce i nosie, klaun ją zauważył. Był to czerwony laserowy wskaźnik. Ruchliwa czerwona kropka wreszcie dotarła pomiędzy oczy klauna, zmuszając go właściwie do zrobienia zeza. I zaczęła się rzeźnia.

**BANG!**

Głowa klauna wybuchła. Pocisk przeleciał mu przez czoło i zupełnie roztrzaskał czaszkę. Wszędzie rozgryzły krew i mózg. Część twarzy Kacy także pokrywała czerwona papka. Schyliła się, zapewne z krzykiem, ale nie było to pewne, ponieważ chyba wszyscy w kościele krzyczeli. Wrzaski niebawem uciszyły cztery kolejne niesamowicie głośne wystrzały następujące w krótkich odstępach czasu. Po każdym z nich eksplodowała kolejna głowa klauna, a Słonecznikowa Dziewczynka lądowała z krzykiem na podłodze, pokryta krwią i mózgiem.

Dante zerknął przez ramię i zobaczył ciemną postać Bourbon Kida

wychodzącego z cienia za ołtarzem. Jego twarz była ukryta pod ciemnym kapturem, jak często przy zabijaniu. W prawej dłoni trzymał dość potężny pistolet. Wsunął go do kabury w długim czarnym płaszczu.

Dante z ulgą wypuścił powietrzne.

- W samą porę. Dzięki, koleś.

Kid przeszedł obok niego.

- Żaden problem – mruknął cicho.

Dante ruszył za nim.

- Gajusza już nie ma w Casa de Ville- powiedział.

- A gdzie?

- Jedzie do muzeum w centrum. Musimy tam być przed nim, jeśli chcemy odzyskać Oko.

Kid zatrzymał się i odwrócił.

- Najpierw muszę zajrzeć w kilka miejsc. Poczekajcie chwilę. Później spotkamy się w muzeum.

- Nie wiem, czy możemy czekać. Gajusz ma tam dać Oko do czyszczenia, czy coś takiego.

Przed nimi Kacy próbowała utworzyć jakąś z harcerek, próbując uspokoić je i zetrzeć z nich krew. Kid spojrzał na nią.

- Twoja dziewczyna jeszcze nie jest gotowa, żeby zostawić dzieciaki. Za jakąś godzinę wampiry znikną z ulic. Potem możecie zostawić bachory i iść do muzeum. Spotkamy się tam, jak załatwię kilka spraw.

- A gdzie się wybierasz, jeśli nie do Casa de Ville? – zapytał Dante.

- Najpierw muszę dla was oczyścić ulice. Potem wstąpić do biblioteki i na komisariat.

- Po co?

- Znaleźć kilka książek i zabić kilka glin.

Kacy podrapała się po głowie.

- Po co zabić gliniarzy?

- Taki zwyczaj.

Nie mówiąc więcej, Kid minął Kacy i przerażone Słonecznikowe

Dziewczyny. Gdy przechodził obok nich, cofnęły się. Klauny były przerażające, ale ten facet był zdecydowanie bardziej niebezpieczny. Podeszedł do drzwi frontowych, odsunął na bok ogromną metalową zasuwę i otworzył lewe skrzydło drzwi. Wyszedł na zewnątrz, ale jeszcze się cofnął.

- Może powinniście zamknąć za mną drzwi – powiedział.

Kacy precyzyjnie się między dziewczynkami i pospieszyła w jego kierunku.

- Zajmę się tym – odparła.

Kid zniknął za drzwiami, na pokrytych śniegiem ulicach. Drzwi zostawił otwarte, żeby Kacy je zamknęła.

W ogólnym zamieszaniu Dante zapomniał o Waźniaki. Ten nagle się pojawił, wyłaniając się z zachodniego skrzydła kościoła. Pomachał do Dantego, podchodząc.

- Zabezpieczyłem drzwi do podziemie – krzyknął. – Powinno być bezpiecznie. – Podeszedł do Dantego i rozejrzał się. Kościół wyglądał zupełnie inaczej, gdy był tu ostatnio. Wokół leżały trupy klaunów, a pozostali pokryci byli krwią. Do tego dochodził drobiazg związany z rozbitym szkłem nad drzwiami. – Co się do diabła, stało? – zapytał.

Dante wzruszył ramionami.

- Klauny wleciały przez okno, zaatakowały Kacy i dzieciaki. Pojawił się Bourbon Kid, zabił je i polazł na ulice.

Waźniak wydawał się zaskoczony.

- Nie było mnie jakąś minutę – powiedział. – Poważnie? Był tu Bourbon Kid?

- Tak. Chyba właśnie wrócił z Diabelskiego cmentarza.

- A co tam robił?

- Nie wiem, ale cokolwiek to było, przynajmniej wrócił do swojego starego charakteru.

Waźniak zmarszczył brwi.

- O czym mówisz?

Nie musiał odpowiadać. Z zewnątrz doskonale słyszalne były krzyki i odgłosy strzałów. Na końcu przejścia Kacy zamykała drzwi.

Ważniak przeszedł do niej, tuż za nim Dante. Kacy zostawiła drzwi lekko uchylone i wyglądała na ulice. Odezwała się jedna z dziewczynek.

- Ten pan w kapturze zabija tam wampiry? – zapytała.

Kacy spojrzała na nią, a potem na Dantego i Ważniaka. Jej twarz, choć wciąż częściowo pokryta krwią, oddawała spore zmartwienie. Zamknęła do końca drzwi i spojrzała na Słonecznikową Dziewczynkę, która zadała pytanie.

- Zostań tutaj, skarbie – powiedziała. – Tak będzie bezpieczniej.

Na zewnątrz wystrzały stawały się częstsze, a potępieńcze wycie ofiar Bourbon Kida bardziej przeraźliwe. Głosy błagały, by zostawił je w spokoju, ale milkły przy akompaniamencie wystrzałów.

Ważniak powtórzył pytanie dziewczynki:

- Zabija wampiry?

Kacy drżała, przesuwając zasuwę z powrotem na drzwi.

- Nie – odpowiedziała, stając przodem do pozostałych. – Zabija wszystkich.

# TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Beth odzyskała przytomność późnym popołudniem. Była w dość małym pokoiku z uzbrojonymi po zęby żołnierzami, którzy przedstawili się jako Tex i Razor. Poznała ich, widziała ich, gdy wstąpiła do Tapioki w Halloween. Wspomnienia, jakim cudem znalazła się w tym pokoju, były pomieszane. I bolała ją głowa, jakby uderzono ją kijem do baseballa.

Nie powiedzieli jej wiele na temat powodu, dla którego była więziona, jedynie że miało to związek z JD czy raczej, jak oni go nazywali, z Bourbon Kidem. Miała być przynętą, która doprowadzi do jego śmierci. Próbowwała im wyjaśnić, że ona i JD już nie byli parą, ale oni byli głusi na jej słowa. Żołnierzy to nie interesowało, nie określili też, co może ją spotkać.

Usiadła na sofie, oglądając wiadomości na dużym plazmowym telewizorze na przeciwległej ścianie. Poniżej telewizora znajdowało się kilka monitorów ochrony. Tex, wyższy z żołnierzy, wiedział przy biurku, przed monitorami, i intensywnie się w ni wpatrywał. Z tyłu głowy i po bokach miał gładko wygolone włosy, a Beth widziała nieprzyjemne czerwone ślady na jego karku. Drugi facet, Razor (na którego twarzy była blizna dwukrotnie dłuższa niż Beth), siedział niewygodnie blisko niej, wspólnie z nią oglądając wiadomości.

Wczesnym wieczorem reporter zwrócił uwagę wszystkich niesamowitą wiadomością.

- Łączymy się z Sally Feldman, której towarzyszy kapitan Dan Harker z policji w Santa Mondedze, by poznać nowe fakty związane z Bourbon Kidem.

Ekran pokazał Dan Harkera siedzącego za stolikiem w studiu wiadomości. Towarzyszyła mu Sally Feldman, blondynka w średnim wieku w schludnym czerwonym stroju. Tuż przed rozpoczęciem



wywiadu, drzwi w rogu pokoju otworzyły się i wszedł Bull, starszy wojskowy.

- Jak leci, ciule? – zapytał.

- Czekaj – powiedział Tex, wskazując na telewizor na ścianie. – Mają jakieś wiadomości o Bourbon Kidzie.

Na ekranie Dan Harker odpowiadał na pytania Sally Feldman.

- W sprawie Bourbon Kida wyszły na jaw nowe dowody – powiedział, patrząc prosto w kamerę z poważnym wyrazem twarzy. – Mamy dowód, że to nie Kid zamordował Bartrama Cromwella dziś rano. Co więcej, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie jest winny większości morderstw, o które go podejrzewamy. Podejrzewam, że ostatnimi czasy Bourbon Kid chronił nasze miasto przed grupą skorumpowanych policyjnych ważniaków oraz ogromną armią czegoś, co można nazwać wampirami.

Bull stał z otwartymi ustami.

- Co do cholery?

Siedzący przed monitorami Tex wybuchnął śmiechem.

- Ta, marzenie ściętej głowy!

Na twarzy Bulla pojawił się krzywy uśmieszek.

- Tego idiotę włożą w kaftan bezpieczeństwa, zanim zaczną się reklamy – powiedział.

Na ekranie Harker kontynuował:

- Dokładnie, to właśnie powiedziałem – mówił. – W tym mieście są wampiry. To nie plotka. To nie żart. A ponieważ ciemność zapanowała nad tym miastem, kreatury wypełzły na ulice. Wampiry wywołują bójki i kradną, o czym raporty docierają do nas z całego miasta. Radzę wszystkim, by zamknęli się w domach aż do odwołania. Ktoś lub coś odpowiada za ciemne chmury, które zebrały się nad naszymi domami. Mam jeszcze jedną prośbę. Do Bourbon Kida. Jeśli to oglądasz, to miasto cię potrzebuje. Proszę, odezwij się do mnie. Jestem po twojej stronie. Jeśli wolisz, przyjdź tylko w sprawie zabijania wampirów. Nie wyślę za tobą policyjnego pościgu. Masz nasze błogosławieństwo, by wszystkie zabić. Proszę, gdziekolwiek

jesteś, wróć i uratuj nasze miasto.

Stacja wróciła do studia wiadomości, gdzie reporter w kamerę szeroko otwartymi oczami i z uniesionymi brwiami.

- Interesujące, prawda? – zauważył.

Beth, jak pozostali, słuchała z niedowierzaniem słów kapitana Harkera. Czyżby Bourbon Kid naprawdę był bohaterem? Pewnie nie, ale zabijał wampiry. Oceniała JD dość pochopnie, w nerwach, po tym jak na jej oczach zabił Silvinho. Teraz wydawało się, że był jedyną nadzieją miasta, by przetrwało falę wampirzych ataków. Głęboko żałowała, że tak bezczelnie zwróciła mu materiał Caspera.

Bull spojrział na nią, jak odczytał jej myśli.

- Nie wierz w te pierdoły – powiedział. – Twój chłopak zabił setki niewinnych ludzi, nie tylko wampirów. Ten kretyn nie ma pojęcia, o czym mówi.

- Pewnie masz rację – powiedziała, kiwając głową. – Ale spójrz na was. Trzymacie mnie w niewoli na zlecenie bandy wampirów, które zabijają mnie, gdy nie będę im potrzebna. To chyba nie czyni was bohaterami, co?

Bull wydawał się zaskoczony niespodziewaną odzywką. Wyraźnie nie przywykł do tego typu bezczelnych odpowiedzi.

- Słuchaj mnie, ty głupia dziwko – sapnął. – Ja i moi ludzie chronimy tobie podobnych od lat. Walczyliśmy w wojnach o pokój, który wy bierzecie za pewnik. Trzymamy głowy ponad piaskiem, kiedy wokół latają kule. Prowadzimy misje za liniami wroga. I po co? Dla kraju pełnego ludzi, którzy tak jak ty nie mają zamiaru nam za to dziękować. Żyjesz tylko dzięki ludziom takim jak my. Dziś rano twój chłopak zabił bohatera wojennego. Silvinho umarł na korytarzu w jakimś zawszonym bloku. To nie jest sposób, w jaki powinien umrzeć żołnierz. Nie po tym, co zrobił dla tego kraju. Więc jeśli oceniasz mnie, oceniasz nas – wskazał Texa i Razora – pamiętaj, że to twój kochaś zabija dla zabawy; nie my, ani nie wampiry. Nieumarli nie zabijają dla zabawy. Zabijają, by przeżyć. Potrzebują krwi, by żyć, tak jak ty i ja potrzebujemy jedzenia i wody. Dają nam popalić, walcząc o

przetrwanie. Ale nie oceniają naszego zachowania. A skoro ty, młoda damo, ty masz zostać złożone w ofierze dla wyższego dobra, jakoś to przeżyję. Jeśli dzięki tobie zabijemy Bourbon Kida, uratujemy życia tysięcy ludzi, którzy umarliby z jego ręki.

- Wampiry zabijają tysiące więcej niż on – odparowała Beth.

- Prawda – przytaknął Bull. – Ale ludzie ginący z rąk wampirów umierają dla pewnej przyczyny. To część łańcucha pokarmowego. Kiedy twój kochany Bouron Kid zabił mi ojca, zrobił to bez powodu. Bez powodu zabił tysiące niewinnych ludzi. To nie jest źródłem chwały. Wampiry zabijają, by przeżyć. A to jest honorowe.

- Honorowe? To sobie wmawiasz, żeby uspokoić sumienie?

Bull zmarszczył brwi.

- Powinnaś uważać, jak się do mnie zwracasz, panienko.

Beth spojrzała w powrotem na ekran telewizora. Za reporterem pojawiło się zdjęcie JD. Przez kilka sekund patrzyła na nie, po czym odpowiedziała Bullowi.

- Nie boję się tego, co mi zrobicie – powiedziała.

Bull uśmiechnął się.

- I nie powinnaś, skarbie. Zabijemy cię szybko, obiecuję – odparł. – Nie ma powodu do obaw.

- Chciałabym powiedzieć to samo o was.

- Co proszę? – głos Bulla stał się bardziej surowy, więc uwaga dotknęła go do żywego. – Od kiedy jesteś taka bezczelna?

- Odkąd zrozumiałam, że mój chłopak to Bourbon Kid.

- To nie powód.

- Serio? A mnie się wydaje, że przeżyję. Mój chłopak zabija wampiry od lat i wciąż żyje. Jest w telewizji. A was w telewizji nie ma. Nikt poza wami nie mówi o tym, jak wielu ludzi zabiliście. Musicie zrozumieć jedną bardzo ważną rzecz.

Nozdrza Bulla zadrgały. Jej słowa wyraźnie go irytowały.

- Co mianowicie? – warknął.

- Wszyscy umrzecie.

Bull patrzył na nią surowo przez chwilę, zaskoczony jej pokazem

pewności siebie, z pewnością mocno zbulwersowany. Kiwnął głową do Razona. Cokolwiek miało to oznaczać, wywołało natychmiastową reakcję. Silnym łukiem wyprowadzonym z prawej pięści, Razon zdzielił Beth w bok głowy, pozbawiając ją przytomności.

# TRZYDZIEŚCI OSIEM

- Flake, świetna robota – powiedział Bill Clay, poklepując ją po ramieniu.

Telefony na komisariacie urywały się, dzwoniли spanikowani mieszkańcy, a Flake starała się uspokoić ich i zaoferować poradę. Zdarzały się dziwne telefony, w tym od dziewczyny o imieniu Caroline, która twierdziła, że wampir pogonił ją do biblioteki, a potem zabił do Bourbon Kid. Flake nie była w stanie oddzielić fałszywych wiadomości od tych prawdziwych, więc była wdzięczna Clayowi, kiedy zszedł na dół i pomógł jej nagrać wiadomość na sekretarkę. Przekierowali przychodzące połączenia na automatyczną sekretarkę.

- Napiłabym się teraz kawy – powiedziała Flake.

- Zasłużyłaś. Na twoim miejscu, poszedłbym do domu.

Flake spojrzała przez drzwi wejściowe komisariatu na ciemne ulice.

- Chyba mogę też tutaj zostać, jeśli nie robi ci to różnicy – stwierdziła.

- Nie winię cię. Na wyższych piętrach mamy kilka wygodnych kanap. Poszukam dla ciebie jakiś koców.

- A ty? Też zostajesz?

Clay pokręcił głową.

- Nie. Mam się później spotkać z kapitanem w muzeum.

- Gdzie jest teraz?

- Przemawia do tłumu w wiadomościach. Więcej pewnie już nie żyje. Sanchez się odezwał?

- Nie, nie pokazał się.

- Niedobrze. Chodź na górę, znajdę ci jakieś koce.

Flake miała inne sprawy, którymi chciała się zająć. Którymi niekoniecznie chciała dzielić się z Clayem.

- Za chwilę przyjdę. Najpierw muszę coś zrobić – powiedziała.

- Jak chcesz. Do zobaczenia za chwilę.

Clay wrócił na górę, jadąc śmierzdzącą windą. Flake kupiła kawę w automacie i usiadła z powrotem przy biurku. Było dziwnie cicho, zapagnęła, żeby Sanchez przyszedł. Obiecał, że wpadnie, zanim pojedzie do Casa de Ville z Księżą śmierci. Miała okropne przeczucie, że naraża się na ogromne niebezpieczeństwo, samotnie jadąc do Casa de Ville. Właściwie bez powodu miał o Jessice bardzo dobre mniemanie. Kobieta przez większość czasu zachowywała się jak dziwka, ale Sanchez i tak jej wybaczał, cokolwiek by zrobiła.

Teraz, mając wreszcie czas dla siebie, Flake otworzyła dolną szufladę biurka i przestawiła kilka przedmiotów. Na dni, pod całym bałaganem, znajdowała się Księża bez tytułu. Wyciągnęła ją i położyła na biurku. Niebawem znalazła stronę, na której zakończyła lekturę poprzedniego dnia. Pociągnęła łyk kawy i zaczęła przeglądać strony, mając nadzieję znaleźć coś na temat wampirów i magicznych książek.

Niebawem znalazła jakieś drobiazgi o Księdze śmierci. Opisywano ją jako dużą czarną książkę w grubej oprawie, dokładnie jak ta, w którą wcześniej uderzyła samochodem. Wspominano też o właścicielu księgi, potężnym człowieku zwanym Ramzesem Gajuszem. Nazwisko brzmiało znajomo, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je słyszała.

Czytała przypadkowe fragmenty książki i analizowała kilka ładnych rysunków przez jakieś pół godziny, aż wreszcie natrafiła na coś, co przyspieszyło jej puls. Był to wizerunek czterech mężczyzn i kobiety. Obraz był stary, ale twarze czterech osób były idealnie wyraźne. A kobieta była rozpoznawalna. Była to Jessica. Pod ilustracją zobaczyła opis. Głosił:

Mroczny Pan Xavier i jego rodzina, podobno zamieszkała w Santa Mondedze, mieście Nowego Świata.

Mroczny Pan Xavier również miał znajomą twarz. Znała go jako

Archibalda Somersa, policjanta z obsesją na punkcie odnalezienia Bourbon Kida. Sąsiednia strona sugerowała, że postacie na zdjęciu parały się mroczną sztuką. Nic dziwnego, skoro jeden z nich tytułował się Mrocznym Panem. Czytają dokładniej, Flake zaczęła rozumieć, dlaczego wszyscy, którzy czytali Księgę bez tytułu, umierali niebawem potem. Książka wymieniała wiele wysoko postawionych wampirów, a jednym z nich była Jessica. Sanchez na pewno nic o tym nie wiedział i jechał do Casa De Ville z Księgą śmierci. Flake musiała go powstrzymać.

Wyjęła telefon komórkowy z kieszeni spodni i wybrała numer Sancheza. Sygnał zabrzmiał dwukrotnie, po czym włączyła się skrzynka i zabrzmiał głos Sancheza.

„Dzień dobry. Dodzwoniłeś się na skrzynkę detektywa Sancheza Garcii z komisariatu policji w Santa Mondedze. Jestem prawdopodobnie zajęty ściganiem przestępców, więc proszę, zostaw wiadomość po sygnale.”

Flake poczekała na pisk i natychmiast zaczęła paplać nieskładną wiadomość.

- Sanchez, tu Flake. Nie jedź do Casa de Ville. Twoja kumpela Jessica to wampir. Tak jest w Księdze bez tytułu. Myślę, że zabije cię, jak tylko dostanie Księgę śmierci. Zadzwoń, gdy to odsłuchasz!

Mają nadzieję, że odsłucha wiadomość, nim będzie za późno i nie weźmie tego za stek bzdur, wsunęła telefon z powrotem do kieszeni i zastanowiła się, co zrobić. Czuła ucisk w żołądku, a w jej głowie pojawiały się różne wersje wydarzeń. Co jeśli Sanchez nie oddzwoni? Albo nie dostanie wiadomości?

Próbując zająć czymś umysł, przejrzała jeszcze kilka stron Księgi bez tytułu. Niewiele pomogło. Myślała tylko o tym, w jakie tarapaty wpadł Sanchez. Musiała wymyślić coś, by mu pomóc. Była pewna, że on zrobiłby dla niej to samo.

Zamknęła Księgę bez tytułu. Gdy trzasnęła, spojrzała na zniszczoną brązową okładkę i przypomniała sobie chwilę, gdy zabiła Ulrikę Price. Oczywiście! Do dyspozycji miała broń zabijającą wampiry.

Księgę bez tytułu.

Wystarczyło, że dostanie się do Casa de Ville i jakoś uderzy Jessicę w głowę, tak jak zrobiła to z Ulriką Price. Przynajmniej wtedy udowodni Sanchezowi, że Jessica była wampirzycą. Ale jak ma dostać się na tyle blisko Jessici, żeby to zrobić?

Zaczęła mruczeć pod nosem.

- No dalej, Flake, myśl! Co zrobiły Sanchez, gdyby to on był tutaj, a ja byłabym w Casa de Ville z wampirami?

Nagle wpadła na pomysł. Ponownie sięgnęła do dolnej szuflady biurka i przejrzała nieład wywołany wcześniejszym wyjmowaniem książki. Było tam coś wysoce przydatnego: puszka czarnej farby w sprayu. Wyjęła ją i potrząsnęła. Charakterystyczny dźwięk sugerował, że w środku było wystarczająco dużo sprayu, by zrealizowała swój plan.

Zamknęła Księgę bez tytułu i zdjęła zatyczkę z puszki. Z lekkim wahaniem psiknęła niewielką ilość na okładkę. Pokryła zaskakująco dobrze i wydawało się, że niebawem zaschnie. Dmuchnęła i dotknęła palcem. Wciąż była wilgotna, ale nie płamiła zbytnio Koniuszek jej palca zrobił się ciemniejszy, ale wydawało się, że farba wsiąkła w książkę jak tatuaż. Uważając przy pokrywaniu rogów, by nie pomalować stron, upodobniła pozbawioną miana książkę w Księgę śmierci, no, przynajmniej z daleka. Dla Sancheza wciąż istniała nadzieja. Jej plan był dziurawy i naiwny, według niektórych pewnie nawet beznadziejny, ale było to jej jedyny plan, więc musiał wystarczyć.

Przez kolejne dwadzieścia minut Flake dopieszczała doskonały kamuflaż książki. Niegdyś brązowa, potargana okładka zmieniła się na jej biurku z książką w kolorze asfaltu, niepodobną do pierwszej wersji. Gdy upewniła się, że na okładce nie widać żadnego brązu, postawiła książkę na biurku przed zakurczonym i starym wiatrakiem. Liczyła, że delikatne powiewy z wiatraka szybko ją wysuszą. Patrząc na wirujący wiatrak, rozważała zagrożenia związane z konfrontacją z Jessicą. Zdecydowanie łatwiej byłoby uniknąć bezpośredniego starcia.



Przejrzała menu w telefonie komórkowym. Nie miała nieodebranych połączeń ani wiadomości. Wzięła głęboki wdech i modliła się o powodzenie, ponownie wybierając numer Sancheza. Tym razem nie było ani jednego sygnału. Od razu włączyło się nagrywanie wiadomości. I do tego było to głos kobiety.

„Wybrany numer został wyłączony lub znajduje się poza zasięgiem. Prosimy spróbować później.”

Flake rozłączyła się, nim wiadomość zdążyła się powtórzyć.

- Casa de Ville, nadchodzę – powiedziała głośno, wsuwając telefon do przedniej kieszeni spodni.

Tak zajęła się planowaniem misji ratunkowej dla Sancheza, że nie zauważyła nowego gościa na komisariacie. Głównym wejściem wszedł mężczyzna. A teraz jego potężny cień leżał na jej biurku. Powoli podniosła wzrok i zobaczyła postać w czarnych ubraniach, z kapturem naciągniętym na głowę i kryjącym większość twarzy. Przełknęła ślinę. Wiedziała, kim był ten mężczyzna. To Bourbon Kid, który czasami wpadał na komisariat i zabijał policjantów oraz, zazwyczaj, recepcjonistę. Dowodem na to były plakietki poprzednich recepcjonistów, Amy Webster i Francisa Bloema, które znalazła w pokoju socjalnym.

- W czym mogę pomóc? – zapytała nerwowo.

Kid odpowiedział mrocznym głosem pochodzącym z piekielnych czeluści.

- Szukam brązowej książki, którą zostawiono w szatni na dole. Wiesz coś o tym? – zapytał.

Flake zdenerwowała się. Chodziło mu o książkę, która leżała mu tuż przed oczami. Tylko że teraz nie była brązowa z czarna. Gdy zastanawiała się nad odpowiedzią, Kid sięgnął pod płaszcz i wyjął pistolet. Wymierzył lufę w jej czoło.

- Jeśli mnie okłamiesz, zginiesz – powiedział. – Więc pilnuj się.

Wiedziała, że zabije ją bez namysłu. Zanim poda mu odpowiedź na pytanie, musi dać mu powód, by jej nie zabił.

Wzięła głęboki wdech.

- Wczoraj rano użyłam jej do zabicia wampira w szatni.

- Gdzie jest teraz?

- Zamierzałam zanieść ją do...

- GDZIE JEST TERAZ??

Flake czuła miękkość w kolanach. Facet nie zamierzał pozwolić jej rozgadać się przed wyjawieniem, gdzie znajdowała się książka. Wskazała na czarną książkę leżącą na biurku.

- Tutaj – mruknęła nerwowo, bojąc się, że po tym stwierdzeniu rozlegnie się huk wystrzału.

Bourbon Kid opuścił pistolet i spojrzał na książkę na blacie. Podniósł ją wolną ręką i otworzył na stole, by przejrzeć strony. Przełożył kilka, po czym zamknął tom i spojrzał na nową czarną okładkę. Lekko przeciągnął palcem wskazującym po świeżo pomalowanej okładce i obejrzał opuszek. Flake czekała na jego kolejny ruch. Przez kilka chwil rozglądał się po biurku. Wiatraczek bzyczał delikatnie, a obok stała puszka z czarnym sprayem. Popatrzawszy na nią, ponownie spojrzał na Flake. Na jego zacienionej twarzy malowało się niezrozumienie.

- Dlaczego pomalowałaś ją na czarno? - zapytał.

- Chciałam spróbować oddać ją zamiast Księgi śmierci. Chciałam zanieść ją do Casa de Ville i zabić wampirzycę Jessicę.

- Dlaczego?

- Żeby uratować mojego przyjaciela Sancheza. On już tam pojechał z prawdziwą Księgą śmierci. Ale nie wie, że Jessica jest wampirzycą.

Twarz Kida nic nie zdradzała.

- Nie martwiłbym się o Sancheza – powiedział. – Pewnie już nie żyje.

- Może jeszcze nie dojechał – odparła Flake z desperacją w głosie.

Kid ponownie uniósł broń i wymierzył w czubek nosa Flake.

- Zamknij oczy – warknął.

- Dlaczego?

- Bo zapiecze.

Flake zrobiła, co kazał. Może żartował?

BUM!

Może nie.

# TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Jessica stała w wejściu do Casa de Ville i patrzyła na dziedziniec. Wszystko było na miejscu. Wampiry i wilkołaki czały się za każdym krzakiem, drzewem i rzeźbą w zasięgu wzroku. Jeśli Bourbon Kid przejdzie przez główną bramę na końcu podjazdu (a sądziła, że była na tyle pyszny, by spróbować), nie minie wiele czasu, a otoczy go armia nieumarłych.

Jedynymi dwoma nieukrytymi wampirami byli Lionel i Nate z klanu Pandy. Stali na straży przy głównym wejściu, by zachować pozory, że Casa funkcjonowało normalnie. Ale za nimi czekała ukryta armia licząca przeszło tysiąc rekrutów.

Wróciła do budynku i zamknęła za sobą podwójne drzwi. Przy kontuarze w holu wejściowym siedziała kobieta z klanu Pandy. Jessica nie przepadała za nią, szczerze mówiąc. Wyglądała głupio, siedząc za biurkiem w jasnoczerwonej bejsbolówce, na twarzy mając dwa duże ciemne koła. Niewiele kobiet wstępowało do klanu Pandy, choćby z trywialnego okropnego makijażu.

Jessica krzyknęła do niej:

- Ej, dziewczyno Pando.

- Tak?

- W razie czego, jestem w gabinecie ojca.

- Oczywiście.

Dziewczyna Panda patrzyła, jak Jessica unosiła się nad klatką schodową po prawej i w ułamku sekundy zniknęła. Ona też nie lubiła Jessiki. Bycie nazywaną „Dziewczyną Pandą” było irytujące już za pierwszym razem, a Jessica powtarzała to tak często, że właściwie wszyscy w Casa de Ville tak ją teraz nazywali.

Jessiki nie było jakąś minutę, gdy na biurku Dziewczyny Pandy zadzwonił telefon. Zamiast podnosić słuchawkę, nachyliła się i

nacisnęła przycisk przełączający na tryb głośnomówiący.

- Recepcja, kto mówi? – zapytała.

- Lionel z bramy. Mam tu gliniarza Sancheza Garcię. Mówi, że chce zobaczyć się z Jessicą.

- Teraz nie przyjmuje gości. Powiedz mu, żeby wrócił jutro.

- Czkeja.

Dziewczyna Panda czekała, a Lionel w tle prowadził z kimś stłumioną rozmowę. Wreszcie wrócił na linię.

- Ten cały Sanchez mówi, że przyniósł jej książkę, którą szukała.

- Księgę śmierci?

- Nie powiedział.

- Jak on wygląda?

- Gruba wersja gościa z telewizyjnego CHiPs, tylko ma samochód, a nie rower.

Dziewczyna Panda westchnęła.

- Dobra, wpuście go. Powiedzcie, żeby zaparkował z tyłu i wszedł głównym wejściem. Zajmę się nim.

- Dobra.

Połączenie przerwano i Dziewczyna Panda wybrała numer do pokoju Ramzesa Gajusza. Połączenie przekserowano na skrzynkę, więc zostawiła wiadomość.

- Jessico, tu Dziewczyna Panda z recepcji. Na podjeździe mamy Sancheza Garcię. Lionel z bramy mówił, że podobno ma dla ciebie jakąś książkę. Zadzwoń, kiedy to odsłuchasz.

Minęło kilka minut i rozległo się pukanie do drzwi. Dziewczyna Panda zerwała się z krzesła i pospieszyła do judasza, chcąc sprawdzić, kto stał na zewnątrz. Zerknęła i zobaczyła puszystego gościa w stroju policji autostradowej. Na prawym ramieniu miał czarną torbę. Otworzyła drzwi.

- Sanchez Garcia? - zapytała.

- Owszem, dziękuję – odpowiedział.

- Ma pan coś dla mnie?

- Nie. Mam coś dla Jessiki.

- Co mianowicie?
- Księgę śmierci – powiedział, podnosząc torbę.
- W takim razie może zostawić ją pan u mnie.

Sanchez pokręcił głową.

- Jestem jej przyjacielem. Z radością mnie zobaczy. No i mówiła, że za zwrot księgi przewiduje pięćdziesiąt tysięcy dolarów nagrody.

Dziewczyna Panda westchnęła.

- Dobrze. Proszę wejść.

- Dziękuję, dobry człowieku – powiedział Sanchez, mijając ją.

Zamknęła za nim drzwi.

- Jestem Dziewczyną Pandą – warknęła.

- Oczywiście. Gdzie znajdę Jessicę?

Dziewczyna Panda wskazała na purpurową sofę w holu, przy drzwiach wiodących do jednej z jadalni.

- Usiądź tutaj – powiedziała. – Przekazałam Jessicę, że jesteś. Wezwie cię, kiedy będzie mogła.

- W porządku.

Sanchez podszedł do sofy, podziwiając obrazy rozwieszane na ścianach holu.

- Ładne obrazki tu macie – zauważył.

Dziewczyna Panda zignorowała do i usiadła przy biurku tyłem do niego. Gdy tylko usiadła, zadzwonił telefon. Sięgnęła i ponownie nacisnęła przycisk trybu głośnomówiącego.

- Halo, recepcja.

- Dziewczyno Pando, tu Jessica. Odebrałam twoją wiadomość. Mówiłaś, że przyszedł Sanchez?

- Tak. Ma dla ciebie Księgę śmierci.

- Ma? – Jessica wydawała się zaskoczona.

- Nie widziałam jej, ale powiedział, że ma ją w torbie.

- Kto by pomyślał? – powiedziała Jessica, parszając śmiechem. – Ten kretyń jeszcze nie wie, że jestem wampirem, a jakimś cudem znalazł Księgę śmierci. Cudownie. Założę się, że nawet nie zauważył tych wszystkich wampirów i wilkołaków na podjeździe, co?

Dziewczyna Panda ściszyła głos, wiedząc, że Sanchez znajdował się w zasięgu słuchu.

- Przejechał obok wszystkich – odpowiedziała.

- Pieprzony frajer.

- Mam go do ciebie wysłać?

Zapanowała chwilowa cisza, gdy Jessica rozważała propozycję. Wreszcie odparła:

- Nie. Zgubi się, lepiej go przyprowadź. Kiedy dostanę Księżę, będzie twój.

- Dobra, widzimy się za minutę, Jessica – powiedziała, kończąc połączenie.

Już wyobrażała sobie, jak zabawnie będzie pić krew z tłuściutkiej szyi Sancheza. Miał dużo mięsa, w które można się wgryźć. Wstała i odwróciła się. Purpurowa sofa była pusta. Sanchez uciekł. Powąchała powietrze. Jest zapach, połączony z wonią grillowanych skrzydełek kurczaka, wciąż unosił się w powietrzu. Znalezienie go nie potrwa długo.

- Sanchez! – krzyknęła. – Och, Sanchez. Wychodź, wychodź, gdziekolwiek jesteś!

# CZTERDZIEŚCI

- Tu jest jak na pieprzony Bieguńie Północnym! – krzyknął Lionel ponad wyciem wiatru.

- Byłeś kiedykolwiek na Bieguńie Północnym? – odkrzyknął Nate.

- Co?

Stanie na straży przy głównej branie Casa de Ville było ciulową robotą, a w czasie śnieżycy, jaka nastąpiła, było w ogóle nie do wytrzymania. Nate nie należał do miłośników śniegu. Mróz znosił dobrze. Będąc wampirem, nie dbał o chłód. Ale wiatr dmuchający mu w uszy i trzy cale śniegu pod butami były – lekko mówiąc – irytujące. I ponad hałasem wiatru było cholernie ciężko usłyszeć jego kumpla Lionela. Niełatwo było go też zobaczyć przez zasłonę śniegu. Jediną atrakcją tego wieczoru było otwarcie bram, by wpuścić Sancheza do Jessici. Poza tym wieczór był nudny do przesady. Mieli za zadanie wypatrywać nadchodzącego Bourbon Kida, o ile okazałby się na tyle głupi, by przyjść i pokazać się przed główną bramą.

- Zapytałem, czy kiedykolwiek byłeś na Bieguńie? – powtórzy Nate, trochę głośniejszym głosem niż przedtem.

Jego kumpel Panda, Lionel, podzielał zupełny brak entuzjazmu wobec wykonywanego zadania. Więc o ile Nate był niezadowolony z ich obecnego położenia, można było spokojnie założyć, że Lionel miał go jeszcze bardziej dość.

Za nimi wszyscy żyjących członkowie nieumarłych klanów kryli się za drzewami, krzakami albo posągami na podjeździe, gotowi otoczyć Bourbon Kid, gdy się pojawi.

- Cóż, nigdy nie byłem na Bieguńie Północnym – odkrzyknął Lionel. Zdjął bejsbolówkę i strzepnął z niej śnieg, po czym założył z powrotem na głowę. – Ale widziałem w kablówce. Jest na niej cholernie dużo śniegu!



Tak jak wszyscy, otrzymali instrukcje, by założyć ciemne ubrania w celu ułatwienia ukrycia w ciemności, ale wobec opadów śniegu taki kamuflaż był raczej marny. Nate sięgnął pod cienki ciemny płaszcz i wyjął z wewnętrznej kieszeni paczkę papierosów.

- Zapalisz? – krzyknął do kolegi.

- Nie. Dzięki.

Nate przetrzepał kieszenie w poszukiwaniu zapalniczki, po czym schował ją pod daszek bejsbolówki, by osłonić przed śniegiem. Była to tania jednorazówka, którą odebrał ofierze kilka dni wcześniej. Próbował cztery razy, zanim udało mu się odpalić do dziadostwo, ogień i tak był marny. Cztery czy pięć razy zaciągnął się papierosem, zanim wreszcie się zapalił. Płomień zapalniczki mrugnął i zupełnie zniknął jakąś sekundę później.

Gdy zaciągnął się papierosem, zobaczył, że Lionel zerkał przez kraty w bramie i patrzył na drogę.

- Widziałeś coś? – krzyknął do niego.

Lionel spojrział na niego i pokręcił głową.

- Tylko śnieg. I więcej śniegu.

Dźwięk kogoś poruszającego się za nimi zdekoncentrował Nate'a na chwilę. Spojrział w tył i usłyszał, że kilka wampirów i wilkołaków wychynęło ze swoich kryjówek i rozmawiało między sobą.

- Przynajmniej stoimy na twardym – krzyknął do Lionela. – Wygląda na to, że reszta siedzi po kolana w wodzie!

Lionel cofnął się od bramy i wzruszył ramionami.

- Wilkołaki pewnie to lubią.

- Ale założę się, że klauny nie.

- Klauny?

- Te ich wielkie buty zapełnią się mułem. I spieprzą skarpetki.

Lionel był zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że klauny noszą skarpetki.

- Część musi. Ja mam dzisiaj nową parę i cieszę się, że stoję na górze, przy bramie. To chyba też najbezpieczniejsze miejsce.

- Skąd wiesz?

- Pomyśl tylko. Jeśli Kid naprawdę się tu pojawi, przechodzenie przez główną bramę byłoby cholernie durne, nie?

- Cóż, zobaczymy go na tej długiej drodze, jeszcze zanim dojdzie do bramy – powiedział Lionel, ponownie zerkając przez bramę na drogę.

- Stawiam pięć baksów, że w ogóle się nie pojawi.

- Nie przyjmuję zakładów. Jasne, że się nie pojawi. Gdybym miał wybór, też nie wychodziłbym na taką pogodę.

Nate mocno ssał papierosa i wydmuchnął sporo dymu w zimne nocne powietrze. Zniknął natychmiast w spadających płatkach. Lionel miał rację. Problem w tym, że większość ludzi zostawała w domu w tak psią pogodę, ale Bourbon Kid nie był większością. Był pieprzonym psycholem nie bojącym się nikogo ani niczego. Kilka płatków śniegu nie zatrzyma go, jeśli będzie chciał przyjść.

- Słyszałeś? – krzyknął do niego Lionel.

- Nie. Co?

- Chyba coś przed chwilą słyszałem.

Nate ponownie zaciągnął się papierosem.

- Nic nie słyszałem. Jak to brzmiało?

- Jakiś szelest w tamtych krzakach. – Lionel wskazał na rząd krzewów biegnący wzdłuż wewnętrznej strony muru po jego prawej stronie. Zrobił krok w ich stronę, plecami zwrócony do Nate'a.

- Ej, czekaj chwilę! – krzyknął Nate. – Zostań. Nie jesteśmy na obozie. Nie możemy odchodzić, żeby sprawdzić, co to za hałas. Masz być w zasięgu mojego wzroku. Tak żeby widziały cię kamery. Nikt ci nie pomoże, jeśli jak ostatni kretyn gdzieś sobie pójdziesz!

Lionel wciąż stał plecami do Nate'a i przekręcił szyję, sprawdzając, czy w krzakach coś jest.

- Cholernie ciężko cokolwiek zobaczyć – marudził. – Nie powinniśmy mieć tu jakiegoś światła?

- Przestań jęczeć. Gdyby ktoś się do nas podkładał, obsługa kamer zaraz włączyłaby te wielkie lampy. Ale jeśli wejdiesz w krzaki, znikniesz z kamer, nie pójde za tobą.

Lionel odwrócił się, by stanąć w nim twarzą w twarz.

- A jeśli muszę się odlać?

- Lej przez bramę! – Jeszcze raz pociągnął papierosa. – Naprawdę nie chce ci się, co?

- Nie. Tylko pytałem.

Nate odchylił głowę i ponownie wypuścił dym w niebo. Tym razem widział, że dym uciekał w górę jak wąż. Opady śniegu zelżały. Wiatr również lekko ustał, ale wciąż delikatnie gwizdał. Ciemne chmury nad nimi zaczynały się przerzedzać, pokazując cienką smugę księżycowego światła. Nate ostatni raz zaciągnął się papierosem i rzucił go w śnieg. Usłyszał syk zdeptywanego papierosa, ponownie uniósł wzrok i z radością zobaczył, że opady zupełnie ustały. Kilka płatków wirowało jeszcze na wietrze, ale po śnieżycy nie było śladu. Wreszcie, Bogu dzięki, pomyślał.

- Patrz, Gajusz wyciąga księżyc dla wilkołaków – krzyknął do Lionela. Jego głos był dużo wyraźniejszy w uspokajającym się wietrze.

Lionel nie odpowiedział. Stał nieruchomo, patrząc przez bramę.

Nate odezwał się jeszcze raz.

- Powiedziałem, że Gajusz pokazuje księżyc wilkołakom.

Wciąż bez odpowiedzi.

Nate widział go tylko z boku i nie był pewny, czy usłyszał go, czy nie.

- Lionel? Słuchasz...

Zanim Nate skończył zdanie, nogi Lionela ugięły się w kolanach. W zwolnionym tempie osunął się na ziemię. Nate'owi przypomniał się moment, gdy Charlton Heston upadł na kolana przed Statuą Wolności na końcu „Planety Małp”. Rozważywszy to porównanie, doznał szoku.

Głowa Lionela opadła w przód. I wciąż opadała. Z łatwością zsunęła się z jego ramion i wylądowała z delikatnym stukiem, twarzą do śniegu. Reszta ciała klęczała prosto. Fontanna rzadkiej czerwonej krwi zaczęła pryskać we wszystkie strony, jakby ktoś zamontował zraszacz ogrodowy w miejscu jego szyi. Śnieg za odciętą głowę był spryskany krwawą czerwienią i ciemna strużka zaczęła mknąć w

stronę Nate'a. Reszta ciała Lionela straciła równowagę, lądując przy głowie. Nate patrzył nieruchomo, z niedowierzaniem, po czym odzyskał zmysły i zareagował.

- O kurwa! – Chwycił krótkofalówkę i przycisnął do ust. Nacisnął przycisk, by złożyć raport, ale zanim zdążył powiedzieć słowo, poczuł ostrze docisnięte do jego jabłka Adama. Starał się nie przełykać śliny zbyt mocno. Ostatnia rzecz, jakiej chciał doświadczyć, to rozcięcie gardła z powodu swojego głupiego zachowania. Czuł ciało przyciśnięte do jego pleców i ciepły oddech mężczyzny przy swoim prawym uchu. W ciemności pojawiła się dłoń i chwyciła krótkofalówkę, wyrrywając ją z jego uścisku. Później usłyszał głos. Grobowy szept.

- Ile wampirów jest na podwórzu? – zapytał.

Nate wziął płytki wdech i delikatnie odpowiedział.

- Setki. – Ostrze mocniej docisnęło się do jego gardła. – Pewnie tysiące – dodał.

- Wilkołaków?

- Tyle samo.

Ostrze docisnięte do gardła odsunęło się. Nate dyskretnie odetchnął z ulgą.

- To co teraz? – zapytał.

Nożownik nie odpowiedział.

Nie wiedząc, czy napastnik wciąż był za nim czy nie, Nate próbował z nim negocjować.

- Nie powiem, że cię wi...

Jego wypowiedź przerwał okropny dźwięk targania. W dolnej części pleców poczuł nieziemski ból, który szybko dociągnął brzucha. Próbował nabrać powietrza, ale udało mu się nabrać tylko troszkę tlenu, jakby był dzieckiem próbującym ugryźć jabłko w misie w wodą. Jego szczeka opadła w przód, mięśnie karku nie były w stanie utrzymać głowy w pionie. Gdy spojrział w dół, zobaczył ostrze ostrego noża sterczące ze swoje brzucha.

Było pokryte krwią.

Jego krwią.

Nogi ugięły się pod nim, jak pod Lionelem. Gdy zaczął spadać twarzą w śnieg, ręka chwyciła go za głowę i powstrzymała opadanie. Krew wznosiła się przez płuca do ust. Jej cienkie strużki pociekła po jego języku i wyciekły przez usta. Widział, jak skapywały na biały śnieg poniżej.

Ostrze w jego brzuchu znowu zaczęło się poruszać. Napastnik ciągnął nóż w górę, przez żołądek ku zębom. Ostrze przecięło serce nieumarłego wampira na pół, otwierając jego pierś. Wydając ostatnie tchnienie, widział własne wnętrzności wypadające na śnieg.

## CZTERDZIEŚCI JEDEN

Po wyjątkowo stresującym i męczącym dniu Elijah Simmonds wreszcie mógł się odprężyć. Muzeum zostało zamknięte na noc, wreszcie miał okazję pochodzić po korytarzach i zdecydować, jakie zmiany wprowadzić. Po pierwsze, stwierdził, było za dużo nudnych obrazów. Potrzebowali więcej aktów. Obecnie było za dużo obrazów ekspresjonistów. Simmonds ich nie znosił. Ich jedyną pozytywną cechą było to, że było warte dużo pieniędzy, więc istniała szansa sprzedaży ich i zdobycia kilkuset tysięcy dolarów albo i więcej.

Właściwie, zdecydował, cały korytarz z obrazami ekspresjonistów mógłby zostać zastąpiony czymś dużo ciekawszym, na przykład małą salką multimedialną z ekranem. Gdyby muzeum wyświetlało filmy o ekspresjonistach zamiast eksponować ich nudne prace, mogłoby zacząć generować większe zyski. Włócząc się korytarzami, zaczynał odczuwać ekscytację na myśl o czekającym go projekcie. Przemiana muzeum w coś bardziej współczesnego zrobi z niego wizjonera. Większość tutejszych nie odwiedzała już muzeum, ponieważ pod kierownictwem zmarłego Bertrama Cromwella stało się cholernie nudne. Odnowa przywróci muzeum do łask.

Idąc przez główny hol na parterze, minął ulubioną wystawę Cromwella, grobowiec egipskiej mumii. Był to spory eksponat, zajmujący ogromną przestrzeń za oszkloną ścianą. Rok wcześniej sarkofag został zniszczony, a mumią ukradziono. Cromwell wydał mnóstwo muzealnych oszczędności na odnowę sarkofagu, nie słuchając lepszych porad Simmondsa. Ale teraz, gdy to on był u steru, miał wizję przemiany go w atrakcję pokroju Domu strachów w plastikowej piramidzie. Można by nawet wstawić małą zjeżdżalnię w mumiami i innymi straszidłami.

Gdy patrzył na grobowiec, noc Simmondsa nabrała

niespodziewanego obrotu. Usłyszał kroki dochodzące z głównej klatki schodowej, po jego prawej. Obejrzał się i zobaczył ochroniarza Jamesa. Szła za nim grupa ludzi. Jeden z nich wyróżniał się. Był potężnym facetem z wygoloną głową. Nosił schludny srebrny garnitur i parę okularów przeciwsłonecznych. Pozostali czterej, po jego bokach – dwóch na stronę – byli ubrani na czarno, a twarze w większości ukryli na czarnymi chustami. Wyglądali jak ninja.

James machnął do Simmondsa.

- Panie Simmonda, przyprowadziłem panu gościa.

Simmonds westchnął w duchu. Wyglądało na to, że dzień jednak się nie skończył. Grupa mężczyzn podeszła do niego, a James przedstawił potężnego gościa w garniturze.

- To jest pan Gajusz – powiedział. Następnie odwrócił się do Gajusza i wskazał Simmondsa. – Oto Elijah Simmonds.

Simmonds wyciągnął dłoń.

- Witam, jestem tutejszym menedżerem – powiedział. Miło było wypowiedzieć to na głos.

Gajusz ujął jego rękę i potrząsnął pewnie.

- Jestem nowym właścicielem – powiedział.

- Słucham?

- Jestem nowym właścicielem tego muzeum. Więc miło pana poznać, panie Simmonds. Jestem wielkim fanem pańskiej działalności.

Simmonds nie potrafił ukryć zaskoczenia.

- Jak to się... Znaczy, umm, będę mógł wciąż być menedżerem?

Gajusz otoczył Simmondsa prawym ramieniem i odprowadził od reszty grupy, podprowadzając do kąta, w którym stało duże pianino z manekinem w stroju Ludwiga van Beethovena na stołku.

- Widział pan grającego Beethovena? – zapytał Gajusz.

- No, nie.

Gajusz uniósł lewą rękę. Wydawało się, że z opuszków jego palców promieniuje delikatny blask. Delikatnie poruszał palcami w różnych kierunkach, jak lalkarz. Wywołało to pewien skutek na drewnianej

kukle siedzącej przy pianinie w fioletowym garniturze i szarej peruce. Beethoven używał. Postać kompozytora zaczęła ruszać się niepewnie i z klekotem. Głowa poderwała się, a palce zaczęły uderzać w klawisze pianina.

- Rozpoznajesz melodię? – zapytał Gajusz.

Simmondsowi wydawała się jakby znajoma, ale nie kojarzył, gdzie ją słyszał.

- Czy to „Thank you for the Music” Abby? – zapytał.

- Nie, to koncert piąty, ignorancki kretynie.

Gajusz mocno ścisnął ramiona Simmondsa, gdy patrzyli na występ pianisty. Około trzydziestu sekund później Simmonds usłyszał za sobą dźwięk tłuczonego szkła. Odwrócił głowę, sprawdzając, skąd dochodził hałas. Zobaczył czterech ninja na zmianę kopiących w szklaną osłonę sarkofagu bosymi stopami. Szkło było grube na kilka cali i niełatwo było je rozbić, ale na oczach Simmondsa, trzymanego w solidnym uścisku ramion Gajusza, czterej ninja powtarzali kopnięcia, aż cztery czy pięć sekund później cała struktura runęła. James stał bezradnie, patrząc na Simmondsa w poszukiwaniu porad, co zrobić.

- Co do diabła? – warknął Simmonds. – Tak nie można.

Gajusz odwrócił go z powrotem, by patrzył na grającą kukłę Beethovena. Nachylił się i szepnął Simmondsowi ucho.

- Czy Bertram Cromwell zginął szybko? – zapytał.

- Co?

- Kiedy zabiłeś Bertrama Cromwella, jak się czułeś?

- O czym ty mówisz?

Gajusz uśmiechnął się, nie ciepło, raczej pobłaźliwie.

- Wiem, że go zabiłeś – powiedział. – Ale nie jestem zły. Tak się złożyło, że wyświadczyłeś mi przysługę. Nigdy nie pozwoliłby mi wrócić tutaj i grzebać w jego cennym sarkofagu, prawda? Ale pan, panie Simmonds, ma coś pomiędzy uszami. Nie przeszkodzi panu, jeśli moi chłopcy spędzą chwilę na przełożeniu wystawy w pana imieniu?



- Um, cóż...

- Myślę że nie. Dziś wieczór mamy tutaj sprawę, jak widzisz. Mumifikuję kilka dzieciaków i skazuję je na piekło na wieczne czasy. Myślę, że znasz Dantego Vittori i Kacy Fellangi?

- Znam – powiedział Simmonds, przywołując w pamięci krótki czas pracy Dantego w muzeum. – Ten dupek Dante rozłupł mi na głowie wazon.

- To dobrze – powiedział Gajusz, mocno uderzając Gajusza przez plecy. – Czyli się zgadzasz?

- Umm, tak myślę.

Gajusz wziął Simmondsa pod ramię i odwrócił w kierunku środka holu. Następnie zaczął odprowadzać go do głównych schodów.

- Czy dostałeś to, czego chciałeś? – zapytał Gajusz.

- Konkretnie?

- Kod do sejfu Bertrama Cromwella. To pewnie jeden z powodów, dla których go zabiłeś. Trzyma tam sporo kasy, co?

- Nie mam pojęcia.

- Elijah, drogi przyjacielu, jeśli chcesz przeżyć i w moim imieniu rządzić muzeum, musisz być wobec mnie szczery. Robota Cromwella nie została ci dana na stałe, prawda? Ale jeśli dostaniesz kasę z sejfu, nie będziesz o to dbał, co?

Simmonds uśmiechnął się. Gajusz odrobił pracę domową.

- Nie można włamać się do tego sejfu – powiedział. – Cromwell zabrał kombinację do grobu.

Gajusz zaśmiał się z głębi duszy.

- Mój drogi Elijah, pokażę ci, do czego jestem zdolny. Gdy moi przyjaciele będą przygotowywać grób, może pójdziesz ze mną na górę, a jak pokażę ci, jak otworzyć sejf?

## CZTERDZIEŚCI DWA

Przez wysokie i wąskie okno w pokoju kontroli na szczycie wschodniej wieży Casa de Ville, Bull gapił się na podjazd poniżej. Opady zaczynały słabnąć, ale wilgoć po zewnętrznej stronie szyby wciąż trochę zniekształcała mu widok. Mimo że w ciemności z dodatkiem zasłony padającego śniegu ciężko było coś zobaczyć, musiał przyznać, że wampiry i wilkołaki wspañiale ukryły się pomiędzy krzewami i drzewami. Te istoty były jak kameleony, gdy stały w mroku. Raz na jakiś czas dostrzegł jakieś poruszenie, ale gdy skupiał wzrok na czymś, co wydawało się nieumartym, ruch natychmiast zamierał, jakby wyczuwali, iż ich obserwował. Ale Bull aż za dobrze wiedział, że Bourbon Kid też z łatwością pojawia się i znika w cieniach. Potrafił wtopić się w otoczenie z łatwością którejkolwiek z nocnych istot.

Beth odzyskała przytomność po zadanym wcześniej przez Razora ciosie w skroń. Teraz nie była tak pewna siebie, nad prawym okiem miała siniaka wielkości jajka. Razor siedział obok niej z lewym ramieniem na oparciu sofy za nią, gotowy do złapania jej choćby za ucho, gdyby chciała ruszyć się bez pozwolenia.

Tex wciąż siedział przed monitorami, wpatrując się w nie intensywnie i szukając śladów jakiegokolwiek intruza na terenie posiadłości. Wszystkie kamery rozmieszczone na obiekcie wysyłały sygnał do pokoju kontroli. Niezauważone wejście do Casa de Ville powinno być niemożliwe.

Przez okno Bull zobaczył srebrny blask na niebieskiej połaci przeciskający się przez chmury. Wreszcie pokazywał się księżyc. To był sygnał. Nadeszła noc. A w Santa Mondedze początek nocy zazwyczaj oznaczał początek rzezi.

Śnieżycą szybko zelżała i niebawem w ogóle ustała. Widok na

podjazd stał się wyraźniejszy i usłyszał głos Texa.

- Mam coś dla ciebie, szefie.

- Co?

- Wiadomość od Jessici. – Bull obejrzał się i zobaczył Texa czytającego maila z jednego z monitorów. – Mówi, że idzie tu Bourbon Kid. Jej źródła mówią, że wrócił z Diabelskiego cmentarza.

- Diabelskiego cmentarza?

- Tak. Słyszałeś o nim?

- W legendach. Podobno to miejsce, gdzie ludzie zawierają umowy z Diabłem. Wiesz, sprzedają dusze za nieśmiertelność i tak dalej.

- Myślisz, że on to zrobił?

Bull wzruszył ramionami.

- Nie robi mi to różnicy. Na dole mamy armię nieumarłych. Coś jeszcze?

- Powinien szef wiedzieć coś jeszcze – powiedział Tex.

- Co?

- Przestało sypać.

- No, widzę.

- Dużo lepiej widać teraz, co się dzieje – ciągnął Tex. – A jak widok z okna?

- Mogłoby być lepiej. Ale widzę główną bramę.

- Nie wchodziły przez główną bramę... prawda?

Bull intensywnie gapił się przez okno na podwórze.

- Jestem pewny, że tak robi.

- Ale to dość głupie – powiedział Tex. – Na pewno jest mądrzejszy.

- Jest bystry – zgodził się Bull. – Ale jest też pewny siebie i lubi się popisywać. Lubi stawać twarzą w twarz z całą armią. Lepiej pilnuj tych monitorów. Ja obserwuję przez okno.

Tex spojrzął na ekran pokazujący główną bramę.

- Gówno się tam dzieje, szefie – powiedział. – Dwie Pandy. Jeden pali papierosa.

- Pali? Nic dziwnego, że to zagrożony wyginięciem gatunek – powiedział Bull.

Tex nie zaśmiał się. Zamiast tego krzyknął.

- O KURWA! Jeden leży!

Bull odwrócił się.

- Co? Gdzie? – warknął.

Tex wskazywał na monitor z główną bramą.

- Jeden Panda leży – powiedział. – Nie, czekaj. – Zbliżył twarz do ekranu, próbując przez kilka sekund ułożyć w całość to, co widział. – Dwie Pandy leżą. Obydwaj strażnicy przy bramie padli.

Bull zerknął przez okno na bramę. Nie widział dokładnie, co się działo.

- Co do diabła im się stało? – zapytał, licząc na jakąś wskazówkę od Texa.

- Leżą. Na dobre.

- Umarli?

- Tak, szefie.

- Czyli przyszedł.

Tex jeszcze bardziej przysunął się do monitorów, żeby lepiej widzieć przebieg zdarzeń.

- Jeden ma odciętą głowę – powiedział. – Drugi jest przecięty na pół.

- Jak przecięty?

- A pół. Od góry do dołu. No, zupełnie na dwie części. Jak krojony chleb.

- Kurwa!

- No. To musiało boleć.

Bull przez okno nie widział niczego z tego, co mówił Tex. Ale ufał Texowi i wiedział, że należało szybko zareagować.

- Dobra, Texa, włącz wewnętrzne lampy. Pokaż mi, na co patrzemy!

Tex natychmiast wykonał rozkaz. Przesunął włącznik na panelu pod monitorami i niebo na zewnątrz nagle rozświetliło się od reflektorów przy podjeździe. Tex w małym paluszku miał kontrolę lamp. Skierował światło na bramę, na monitorze obserwując swoje

poczynania.

Przez okno Bull obserwował wielki snop światła oświetlający teren o średnicy dwudziestu stóp. Szukając zabójcy dwóch strażników, ukazywał cienie kilku wcześniej ukrytych wampirów i wilkołaków.

Bull i Tex nagle równocześnie wykrzyknęli.

- JEST!

Tex zatrzymał reflektor dokładnie na mężczyźnie ubranym na czarno, stojącym na podjeździe. Nosił długi ciemny płaszcz z kapturem naciągniętym na głowę. Gdy Tex znalazł go na monitorze, Bull zobaczył go przez okno.

Zza ich pleców odezwał się Razor.

- Bourbon Kid?

Bull przytaknął.

- Kto inny miałby to być?

- Nie wiem. Myślałem, że jednak nie przyjdzie.

- Pilnuj naszej małej damy – rozkazał Bull. – To dla niej tutaj przyszedł.

W dole na podjeździe Bourbon Kid stał bez ruchu, dokładnie w centrum kręgu światła. Brama i martwe Pandy były niecałe dwadzieścia stóp za nim. Gdy Bull skupił wzrok na martwych strażnikach i czerwonym śniegu wokół nich, zobaczył za nimi jakiś ruch.

- Uruchomił bramę – mruknął do siebie, próbując znaleźć w tym jakiś sens. Uświadomił sobie, że nie widzi żadnego, więc odniósł głos i zaalarmował pozostałych. – Bramy się otwierają! Co on wyprawia?

Tex był zaskoczony.

- Nie rozumiem. Po co otwiera bramę, skoro już jest w środku?

Razor zaoferował:

- Może szuka drogi ucieczki, skoro go namierzyliśmy?

Bull pokręcił głową.

- Nie bez dziewczyny. Nie odejdzie bez niej. W co on pogrywa, do cholery?

- Mam uruchomić syreny? – zapytał Tex.

- Tak. Jak wampiry to usłyszą, rzuca się na niego. – Odwrócił się do Beth. – Zakładam, że twój chłopak ma jeszcze jakieś dziesięć sekund życia. Chcesz popatrzeć?

Beth pokręciła głową.

- Widzę na monitorach, dziękuję – powiedział.

Tez nacisnął przycisk na panelu kontrolnym i głośna syrena zagrziała na podwórzu. Na monitorach Beth widziała hordy wampirów i wilkołaków reagujących na ten dźwięk. Zaczęły wypęłzać ze swoich kryjówek w krzakach i za drzewami. Było ich mnóstwo. Cholernie dużo. Zaczęły otaczać Bourbon Kida.

Bull syknął do Texa.

- Dobra, teraz włącz wszystkie światła.

Tex przesunął kilka przełączników i natychmiast całe podwórze się rozświetliło. Beth bez ruchu patrzył na ekran. Dosłownie tysiące wampirów i wilkołaków zmierzały w kierunku Bourbon Kida, który teraz już nie znajdował się w centrum światła. Wstał nieruchomo przed całą armią nieumarłych.

- Przygotuj się – powiedział Bull. – Zaraz coś zrobi.

- Na przykład? – zapytał Razor.

- Nie wiem, ale bądź gotowy, bo kiedy to zrobi, rozerwą go na strzępy.

Wampiry i wilkołaki były coraz bliżej Bourbon Kida. Musiał je widzieć, ale nie reagował. Wampiry na przedzie zatrzymały się kilka jardów od niego. Cała nieumarta armia zatrzymała się jak jeden mąż, rozciągnięta na całą długość podjazdu, czekając na ruch Kida albo na jakiś sygnał od Bulla.

- Mamy tam jakieś trzy tysiące ludzi – powiedział Bull z krzywym uśmiechem. – To chyba nie będzie sprawiedliwa walka.

Beth patrzyła na ekrany i pozwoliła sobie na półuśmiech.

- Masz rację – powiedziała. – Potrzeba wam więcej niż trzech tysięcy, żeby było sprawiedliwie.

Bull zignorował ją i wciąż patrzył przez okno.

Chociaż Beth nie była zupełnie pewna, co oglądali na ekranie,

usłyszała głośno i wyraźnie krzyk Texa.

- GRANATY!

Na jednym z monitorów obok Bourbon Kida pojawiła się ogromna chmura dymu, zupełnie uniemożliwiając podgląd.

- Kurwa! – warknął Bull. – Bomby dymne!

Beth patrzyła na ekran, chcąc zobaczyć, czym stał się JD. Armia wampirów i wilkołaków zaczęła powoli formować krąg wokół kuli dymu.

- Co on robi? – zapytał Bull. Wydawał się skołowany. – Dlaczego do nich nie strzela albo coś? Na co on, do cholery, czeka?

- Jeszcze nie wiesz? – zapytała Beth pogardliwie.

Bull odwrócił się. Pozostali patrzyli na ekrany. Tex i Razor gapili się na jeden z monitorów po lewej. Pokazywał ogromną kulę dymu, ale nie wyglądało na to, by Kid z niej wychodził.

- Wciąż jest w tym dymie? – zapytał Bull.

- Tak – potwierdził Tex, obserwując ekran.

Beth odchrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę.

- Patrzycie na zły monitor – powiedziała.

Bull spojrział na nią, nie potrafiąc ukryć złości.

- Co? – warknął.

Beth wskazała na ekran daleko po prawej.

- Popatrzcie tam – powiedziała.

Wszyscy trzej spojrzeli na wskazany ekran. Pokazywał obraz na żywo sprzed bram, więc był mało interesujący, skoro Kid wszedł na teren posiadłości.

- Co to jest do cholery? – zapytał Tex w imieniu ich wszystkich. Miał najlepszy widok na ekran ze swojego miejsca przy biurku. Bull pospieszył do jego boku, Razor poderwał się z sofy, by do niego dołączyć. Na ekranie widać było, że coś wielkiego poruszało się za bramami. Właściwie była to ogromna masa ruchu. Zbliżała się od strony lasu po drugiej stronie drogi jak fala przypiływu zbliżająca się do Casa de Ville. Wszyscy patrzyli oszołomieni na ekran.

Gdy fala zaczęła przechodzić, Bull odezwał się w imieniu

wszystkich.

- Słodki Jezu – szepnął. – Niech Bóg ma nas w opiece.



## CZTERDZIEŚCI TRZY

Po ucieczce z recepcji Casa de Ville, Sanchez trafił do ogromnej jadalni. Pokój był niesamowity, dużo ładniejszy niż jego jadalnia. Miejsce to było pewnie świadkiem wielu wspaniałych bankietów przez wiele lat, a może wieków. Na środku pomieszczenia znajdował się długi lakierowany stół z krzesłami o wysokich oparciach po obydwu stronach i po jednym na każdym końcu. Ściany po obydwu stronach udekorowane były półkami z drogimi babi lotami, z którymi warto byłoby wyjść, o ile uda mu się wydostać stąd w jednym kawałku. W chwili obecnej najlepszą cechą tego pokoju (zdaniem Sancheza) było to, że był pusty. Wiadomość, że Jessica była wampirem i na zewnątrz miała całą armię nieumarłych, była ogromnym szokiem. A sposób, w jaki się o nim wypowiadała, sugerował, że w ogóle się nim nie interesowała, chyba że w kontekście małej przekąski. Potrzebował pomocy, pilnie. Wyjął komórkę z kieszeni i wyłączył go. Miał dwa nieodebrane połączenia. Obydwa od Flake. Zostawiła mu wiadomość. Połączył się ze skrzynką i odsłuchał...

Sanchez, tu Flake. Nie jedź do Casa de Ville. Twoja Jessica jest wampirzycą. Tak piszą w Księdze bez tytułu. Myślę, że zabije cię, jak tylko dasz jej Księgę śmierci. Oddzwon, jak odbierzesz!

Kurwa!

Dlaczego jej wcześniej nie słuchał? Flake była bardzo mądra. A on bardzo głupi – jeszcze nigdy nie czuł się tak durnie. Powinien rozważyć jakieś przeprosiny. Na razie Flake była pierwszą osobą, która mogłaby pomóc mu wydostać się z tego bagna. Musiał do niej oddzwonić, i to szybko. Nacisnął przycisk połączenia i przyłożył telefon do ucha. Sygnał wywoławczy trwał jakby wieczność, zanim ktoś odebrał. Głos Flake był głośny i wyraźny.

- Cześć, tu Flake. Nie mogę teraz odebrać telefonu. Proszę zostaw wiadomość po sygnale. Albo po piśnięciu. Nie wiem, czy będzie sygnał czy piśnięcie. Czy to piśnięcie uznajemy za sygnał? No, i tak zostaw wiadomość. Po sygnale.

Dobra, może była trochę głupia. Ale Sanchez i tak zostawił jej wiadomość. Mówił cichym głosem, na wypadek gdyby ktoś podsłuchiwał.

- Cześć Flake, tu Sanchez. Odebrałem twoją wiadomość. Miałaś rację. Przepraszam, że ci nie wierzyłem. Chodzi o to, że utknałem w jadalni w Casa de Ville. Wszędzie są wampiry i wilkołaki. Wciąż mam ze sobą Księżę śmierci, ale nie mogę się stąd wydostać. Spróbuj wysłać tu jakieś gliny. Zaraz będzie tu gorąco. Jeśli odbierzesz moją wiadomość, zadzwoń, albo spróbuj wymyślić, jak mnie stąd wyciągnąć. No – zdał sobie sprawę, że gada bez sensu i nie do końca wie, co próbował powiedzieć, ale musiał się upewnić, że wiadomość będzie zrozumiała. – Jeśli sama tu przyjedziesz, uważaj na wampiry i wilkołaki na podwórzu. Myślę, że interesuje ich Bourbon Kid. On też tu gdzieś jest. Jeśli go zobaczysz, zwiewaj. Jest niebezpieczny i może zabić cię dla zabawy. Mam nadzieję, że odbierzesz moją wiadomość. Tęsknię za tobą. Pa.

Sanchez przemyślał, co powiedział. Nie tylko przeprosił za zwątpienie w Flake, ale też ostrzegł ją przed niebezpieczeństwami na podwórzu, a potem powiedział, że ja nią tęskni. Ta ostatnia rzecz była szczególnie niebezpieczna. Pewnie dlatego, że była to prawda. Brakowało mu Flake, gdy nie było jej w okolicy. Kto wie, co się wydarzy? Cały czas miał obsesję na punkcie Jessici, a Flake była dla niego jak skała. Kurde, ta kobieta uratowała mu tyłek, kiedy próbowała go zabić Ulrika Price, a potem ocaliła go przed Słonecznikowymi Dziewczynami, kiedy go goniły żądne krwi. Co najważniejsze, wiedziała, jak ugotowane kiełbaski lubił najbardziej. Teraz, mając wybór między Jessicą i Flake, bez wahania wybrałby Flake. Oczywiście nie miał pewności, że ona będzie chciała spędzać z nim czas. Ostatnio był dla niej okropny, oskarżył ją o zniszczenie

Księgi śmierci, kiedy uderzyła w nią samochodem. Obiecał sobie, że jeśli Flake ocali go ten ostatni raz, przestanie dawać jej fałszywe jednodolarówki w ramach napiwku w Ole Au Lait.

Wsunął telefon z powrotem do kieszeni na biodrze i rozważył swoje położenie. Musiał znaleźć kryjówkę.

Ale gdzie?

W jadalni nie widział odpowiedniego miejsca, chyba że pod stołem. W dalekim końcu pokoju znajdowały się duże czarne drzwi z lśniąca gałką. Miał nadzieję, że będą prowadziły do jakiegoś wyjścia, a przynajmniej do zamykanej na klucz łazienki. Gdyby znalazł łazienkę, mógłby się w niej zamknąć i poczekać na telefon od Flake.

Pospieszył do dużych czarnych drzwi i przekręcił gałkę. Otworzyły się do środka, zobaczył długi wąski korytarz. Na szczęście pusty. Co jakieś dziesięć jardów po obydwu stronach były drzwi. Sypialnie? Łazienki? Mógł się przekonać tylko w jeden sposób. Podszedł do pierwszych drzwi po prawej i otworzył. Zerknął do środka. Wewnątrz znajdowało się podwójne łóżko z szafką mocną i niewiele więcej, poza szafami i małymi drzwiczkami w kącie. Spojrzał w obydwie strony korytarza, upewniając się, że nikt go nie widział, po czym wślizgnął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Skierował się do drzwiczek w rogu. To musiała być łazienka, prawda? Włożył głowę za drzwi i z zadowoleniem stwierdził, że choć raz miał rację. Była tam długa królewsko-niebieska wanna oraz pasująca muszla i umywalka po lewej. Jasnoniebieska zasłonka od prysznicza wisiała na karniszu przy wannie. Wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi.

Myślał o podsłuchanej rozmowie telefonicznej pomiędzy Dziewczyną Pandą i Jessicą. Jessica wyraźnie dała do zrozumienia, że nie będzie jej potrzebny, gdy dostanie w swoje ręce Księgę. Suka. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Tylko książka utrzymywała go przy życiu. Kiedy tylko ją odda, zostanie pożywką dla nieśmiertelnych.

Chcąc utrzymać się przy życiu, podjął ważną decyzję.

Ukryje Księgę śmierci.

Położył torbę na podłodze i wyjął księgę. Okładka wciąż była

trochę wilgotna, a rogi stron pomarszczone po zderzeniu z samochodem Flake i lądowaniu w śniegu. Ostrożnie położył książkę w wannie. Nie chciał, by ktokolwiek usłyszał, że ją tam umieszcza, a chcąc uczynić znalezienie jej jeszcze trudniejszym, zaciągnął zasłonkę prysznicową, by ukryć tom przed wzrokiem przypadkowej osoby, która wpadłaby się załatwić. Nie był to najlepszy plan, ale lepszy taki niż żaden. Gdyby wpadł na Jessicę, mógłby udawać, że zapomniał jej wziąć i utrzymywać, że musi wrócić do Tapioki i wyjąć z sejfu.

Zajęty składaniem sobie gratulacji z powodu tak błyskotliwego planu, usłyszał, że drzwi do sypialni się otwierały. Najwyraźniej ktoś już go znalazł. Usłyszał kroki zmierzające do drzwi łazienki. Zatrzęsa się gałka. Ktoś z drugiej strony próbował otworzyć drzwi.

Przez drewno usłyszał stłumiony głos.

- Kto tam jest?

Sanchez spanikował.

- Chwileczkę! – krzyknął, by kupić sobie trochę czasu.

Nie było wyglądać jak osoba, która próbowała coś ukryć, więc podszedł do muszli klozetowej i spuścił wodę. Później podniósł z podłogi pustą torbę i przewiesił ją przez ramię. Otworzył drzwi i wyszedł tak spokojnie, jak było to możliwe w obecnej sytuacji.

Po drugiej stronie z surową miną stała Dziewczyna Panda, z głupim makijażem wokół oczu i bejsbolówką.

- Zrobione – powiedział Sanchez. Pomachał ręką przed swoim nosem i dopowiedział: - Na twoim miejscu nie wchodziłbym tam jakiś czas.

Dziewczyna Panda spojrzała na torbę Sancheza, a potem z powrotem na niego.

- Ta torba jest pusta! – warknęła. – Gdzie księga? Co z nią zrobiłeś?

# CZTERDZIEŚCI CZTERY

**B**ull odezwał się w imieniu wszystkich.

- Słodki Jezu – szepnął. – Niech Bóg ma nas w opiece.

Wrócił do okna i spojrzął na podwórze poniżej. Jego oczy potwierdziły to, co widział na monitorach. Przez wielką żelazną bramę na końcu podjazdu wchodziła armia żądnych mięsa zombie. Z lasu naprzeciw Casa de Ville wychodziło ich nieskończenie wiele.

Tex potwierdził to na głos.

- Pieprzone zombie! – powiedział, gapiąc się na ekrany. – Tysiące sukinsynów. Skąd do diabła, oni się wzięli?

- Zgaduję, że z Diabelskiego cmentarza – odpowiedział Bull.

Zombie weszły, a na podwórzu pojawił się nierozwiązywalny impas. Wampiry i wilkołaki były w zdecydowanej mniejszość, a nagłe posiłki przeciwnika zupełnie wszystkich przytłoczyły.

Bull w życiu widział wiele przemocy. Wraz z resztą zespołu brał udział w kilku poważnych konfliktach zbrojnych, ale gdy patrzył na rzeźnię na bole, wiedział, że ogląda coś niepowtarzalnego. Odgłosy, które docierały do wieży kontroli, przypominały o mdłości. Miażdżone kości, rwane mięso, wrzeszczące bestie. To nie było miejsce, w którym chciałby się znaleźć. Chciał tylko dorwać Bourbon Kida, ale od wybuchu bomb dymnych i pojawienia się tysięcy zombie znalezienie mordercy było niemożliwe. Plan zemsty nie przebiegał.

Tex siedział przy monitorach przed sobą, oglądając i komentując wydarzenia. Razor stanął za Brth. Wyciągnął pistolet z kabur na klatce piersiowej i wymierzył w nią, na wypadek gdyby chciała uciec. Z całej trójki to on był najbardziej zdruzgotany. Był człowiekiem słuchającym rozkazów, a gdy nie słyszał żadnych, zaczynał się denerwować.

- Co robimy, szefie? – zapytał.

- Próbuję wypatrzeć Kida w tym tłumie – powiedział Bull, wykręcając szyję, by mieć lepszy widok z okna. – Moment, coś widzę.

- Co? – zapytał Razor. – To on?

- Pieprzony samochód – odpowiedział Bull. – Ktoś jedzie prosto przez środek zombie i wampirów w stronę wejście.

- Kid? – zapytał Razor.

- Nie wiem.

Texa wtrącił się.

- Kid jest już w budynku - powiedział. – Patrz! - Wskazał na monitor w górnym rzędzie. Był to widok z kamery w jednym z zewnętrznych korytarzy.

Bull podszedł, by się przyjrzeć. Rozpoznał postać ze zdjęcia.

- Jakim cudem wszedł do środka?

- Pewnie rozbił okno – powiedział Tex, przesuając kilka przełączników na panelu. Obraz na ekranie zmienił się, gdy inna kamera zaczęła transmitować obraz, przedstawiając Kida od tyłu. Szedł w stronę potężnych czarnych drzwi na końcu korytarza.

- Gdzie jest? – zapytał Bull.

- To korytarz we wschodnim skrzydle – odpowiedział Texa. – Idzie w stronę recepcji.

Bull wyjął pistolet z kabury i dwukrotnie sprawdził, czy był naładowany. Sprawdzał to niecałą godzinę wcześniej i nie używał broni od tamtej pory, ale musiał przypomnieć sobie, ile nabożów miał do dyspozycji. Naboje były na miejscu. Szturchnął Texa w ramię.

- Chodź, idziemy do głównego holu. Tam jest grupa osobistych ochroniarzy Jessici. Wyślemy ich na dół do recepcji, żeby się nim zajęli.

Tex nie wydawał się przekonany.

- Ilu ich tam jest?

- Jakiś dziesięciu, wydaje mi się, że wilkołaki.

- Więc pewnie ich zabije, co?

Bull przytaknął.

- Prawdopodobnie, ale trochę go spowolnią. Zanim dojdzie na to

piętro, my zaczaiemy się w głównym holu i będziemy na niego czekać, uzbrojeni po zęby. Nie będzie wiedział, co go trafiło.

Stojący nad Beth Razoe wciąż wyglądał niepewnie.

- A co ze mną? – zapytał.

Bull wskazał na Beth.

- Zostaniesz tutaj z nią. Cały czas miej jej głowę na celowniku. I patrz, co się dzieje na monitorach. Jeśli zobaczysz, że mnie zabił, zastrzel ją. Zrozumiałeś?

- Oczywiście, szefie.

## CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Kacy starała się uspokoić grupę młodych skautek. Wiedząc, że Bourbon Kid zamordował właściwie wszystkie wampiry panoszące się dotychczas po ulicach, mogła je zapewnić, że w najbliższym czasie żaden wampir nie wleci przez okno. Posadziła wszystkie dziewczynki w ławkach z przodu kościoła i starała się pocieszyć je gadką o tym, że Dobry Pan ocali ich życia. W większości zmyślała, ponieważ nigdy nie była osobą religijną. Kiedy zaczynało brakować jej historyjek do opowiadania, dziewczynki się rozluźniły, a jedna zadała pytanie:

- Dlaczego Bourbon Kid zabija ludzi?

Kacy skrzywiła się. Było to trudne pytania, wymagające taktownego podejścia.

- Cóż – powiedziała. – Bourbon Kid został przysłany przez Boga, żeby nas chronić. Kiedy przyszłyśmy do kościoła i zaczęłyśmy prosić Boga o pomoc, wysłał Bourbon Kida, który zrobił, o co prosiłyśmy, prawda?

- Czyli jest jak Jezus? – zapytała jedna z dziewczynek.

- Tak. Dokładnie jak Jezus – odpowiedziała Kacy.

Oczywiście było to kłamstwo. Ale wyglądało na to, że dzięki niemu dziewczynki poczuły się dużo lepiej. Niektóre wyglądały, jakby jej uwierzyły. Odkąd Kid skończył strzelać do wszystkiego, co ruszało się na ulicach, panowała względna cisza.

Dante pomógł jej wyjaśniając, że nic im się nie stanie, dopóki Bourbon Kid żył. Poczęstował je nawet bajką o tym, jak widział Kid wtykającego pistolet w tyłek wampira stojącego w windzie. Dziewczynki zaśmiały się, uznając zapewne, że żartował.

Ważniej wydawał się bardziej zdystansowany. Dużo czasu spędzał wpatrzony w telefon, regularnie pisząc lub rozmawiając w dalekim kącie kościoła, skąd nikt nie mógł go podsłuchać. Po jeden wyjątkowo



długiej rozmowie, wrócił do Kacy i Dantego. Wydawał się zmartwiony.

- Co jest? – zapytał Dante.

- Gadałem z Łosiem. Powiedział, że Gajusz wyszedł z Casa de Ville jakieś pół godziny temu. Pewnie jest już w muzeum. Musimy już iść, jeśli chcemy go przyłapać z wyjętym okiem. Dziewczynki możemy zostawić tutaj.

Kacy drgnęła na taką propozycję.

- Nie możemy. Zostaną same. To niebezpieczne.

Ważniej zwrócił się do Dantego.

- Musimy coś zrobić. Jeśli naprawdę chcecie znowu być ludźmi, musimy iść teraz.

Dante wypuścił powietrze.

- Ma rację – powiedział, głaskając Kacy po plecach. – Co zamierzasz zrobić, skarbie?

Kacy spojrzała na zmartwione minki Słonecznikowych Dziewczyn. Prawie godzinę je uspokajała. Gdyby oznajmiła, że je zostawia, szybko znowu wybuchłyby płaczem.

- Zostaję tutaj – powiedział. – Wy dwaj możecie iść. Jeśli zabierzecie Gajuszowi Oko, możecie przynieść je tutaj, prawda?

- To niezły pomysł – powiedział Dante. – Tutaj będziesz bezpieczna. Gdyby z Gajuszem coś poszło nie tak, wolałbym, żeby cię tam nie było. Pójdę z Ważniakiem. Dobra, Ważniak?

Ważniak nie wydawał się przekonany.

- Myślę, że powinniśmy iść we trójkę. Będziemy silniejsi.

- Nie zostawię dziewczyn – powiedziała Kacy.

Ważniak wzruszył ramionami.

- To może zabierzesz je z nami?

- Chujowy pomysł – natychmiast powiedział Dante. – To Słonecznikowe Dziewczyny, nie Ewoki[8]!

- Jasne – powiedział Ważniak. – W takim razie idziemy we dwójkę. Ale już.

Kacy wyczuła, że Dante potrzebuje jeszcze jakieś zapewnienia, że

poradzi sobie bez niego. Otoczyła go w pasie rękę i oparła mu głowę na ramieniu.

- Idź i zrób, co musisz – powiedziała. – Nie potrzebujesz mnie. Napiszę do Bourbon Kida i powiem, co robicie. Mam nadzieję, że dotrze do was i wam pomoże.

Dante pocałował ją, a później przeczesał jej długie ciemne włosy ręką.

- Bułka z masłem – powiedział. – Obejdziemy do muzeum i wrócimy, zanim się obejrzysz.

- Oby.

Ważniak przerwał tę intymną chwilę.

- Ruszajmy się – powiedział Ważniak, wskazując drzwi.

Dante pocałował Kacy w czoło i odsunął się.

- Do zobaczenia niedługo, kochanie – powiedział.

Ważniak pobiegł przejściem w kierunku drzwi frontowych, Dante podążył za nim. Kacy patrzyła, jak się oddalali i przez jedną okropną chwilę zastanawiała się, czy ich jeszcze zobaczy. Była spokojna, by Dante się nie martwił, ale w głębi duszy była przerażona perspektywami tego, co może się zdarzyć, gdy staną przed Gajuszem. Miała też wątpliwości co do wiarygodności Ważniaka. Dlaczego był taki tajemniczy w czasie rozmów przez telefon? Czy naprawdę rozmawiał ze swoim kumplem, Łosiem? A jeśli tak, dlaczego musiał robić to poza zasięgiem słuchu innych?

Gdy Dante wybiegał za Ważniakiem na ulicę, krzyknęła do niego:

- Kocham cię.

Dante zatrzymał się i odwrócił.

- Ja ciebie też.

Gdy zamykał za sobą drzwi, Kacy wykrzyknęła jeszcze coś, czego pewnie nie dosłyszał:

- Tym razem postaraj się nie umrzeć!

# CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

**B**ulłowi pociły się dłonie. Bywał już w większych tarapatach i zachowywał zupełny spokój. Ale tym razem było inaczej. Stał w ogromnym holu w Casa de Cille, czekając na efekty planu, na którego realizację czekał ponad połowę swojego życia: okazję do pomszczenia śmierci ojca. Kilka razy był już blisko. Dwa dni temu odciął głowę facetowi, ale okazało się, że razem z podwładnymi dorwali nieodpowiedniego gościa. Tym razem będzie inaczej. Mimo chaosu i rzeźni, które miały miejsce na zewnątrz, miało się wrażenie końca. Niestety, w chwili obecnej wynik był niepewny. Albo zabije Bourbon Kida, albo zginie próbując.

Utkwił wzrok w drzwiach na końcu korytarza. W każdej chwili jego przeznaczenie mogło wpaść przez te drzwi. Z tego powodu cieszył się, że miał ze sobą Texa. Tex był specjalistą od wyobraźni przestrzennej i prawdopodobnie miał w głowie każdą możliwą drogę dojścia do tego miejsca. Począwszy od najbardziej oczywistej, czyli drzwi, a skończywszy na mniej jasnych, jak wentylacja, o ile była tu jakakolwiek. Tex miał swoje powody, by czekać na możliwość zabicia Kida. Chciał pomścić śmierć Silvinho.

Bull ukrył się za białym betonowym filarem po lewej stronie holu. Tex był kilka jardów za nim, ukryty za potężną rzeźbą centaura ustawioną przy schodach wiodących do pokoju kontroli, w którym Razor pilnował Beth.

Bull celował z pistoletu w drzwi. Sekundy ciąły się jak minuty, gdy czekał na przybycie przeciwnika. Oderwał oczy od drzwi tylko na chwilę, by zerknąć na Texa. Tex rozglądał się wokół, jego głowa wciąż była w ruchu. Gdyby cokolwiek lub ktokolwiek próbował się do nich podkraść, natychmiast by zauważył. Oczy dwóch mężczyzn spotkały się na krótką chwilę. Wymienili spojrzenia jak wiele razy w czasie

swojej dotychczasowej służby. Był to wzrok zaufania i wzajemnego szacunku. Bull odwrócił wzrok z powrotem na drzwi, wiedząc, że jego najlepszy człowiek był z nim i pilnował jego pleców.

W jednej okropnej chwili wszystko się zmieniło. Cały hol opanowała zupełna ciemność.

Bull natychmiast przeanalizował sytuację. Albo odcięto zasilanie, albo ktoś w holu wyłączył światło. Zaczął uważnie nasłuchiwać. Niestety, jedyne odgłosy dochodziły z daleka. Wojna nieumarłych na zewnątrz nie ustawała. Ale w holu głównym było inaczej. Nic się nie poruszało. Nic nie hałasowało.

Światła nie było prawie trzydzieści sekund, zanim coś usłyszał. Za sobą usłyszał ciche plaśnięcie, a po nim stłumiony jęk. Odwrócił się, jego buty zatoczyły pełne koło. Widział tylko nieprzeniknioną ciemność. Wciąż orientował się w otoczeniu. Wiedział, jak daleko stał od każdego z filarów, każdego z posągów i każdej ze ścian. Ale czy Tex wciąż z nim był?

- Tex – szepnął głośno. – W porządku?

Tex nie odpowiedział. Bull nie było głupi. Wiedział, co to oznaczało. Tex najprawdopodobniej nie żył. To tłumaczyłoby stłumiony jęk. Bourbon Kid był z nimi w holu. W ciemności.

Śmiertelną ciszę przerwał kolejny hałas. Dochodził z góry, po przeciwnej stronie pomieszczenia. Przypominał tłuczone szkło. Chwilę później rozległy się dwa niemal identyczne hałasy, z różnych miejsc ogromnego holu. Bull nie miał wyjścia. Musiał włączyć światło. Na ścianie za nim był włącznik. Musiał do niego dotrzeć, zanim dorwie go Kid. Opierając się na doświadczeniu, którego nabrał w czasie prac za linią wroga, ruszył cicho w przód w wolną ręką wyciągniętą przed siebie, aż opuszki dotknęły ściany. Pogłaskał gładką ścianę wyłożoną panelami, mając nadzieję znaleźć przełącznik. Drugą rękę wciąż trzymał na pistolecie i mierzył w głąb holu, palce zaciskał na spuście, gotów do strzału na choćby najlżejszy dźwięk.

Gdy tylko jego palce trafiły na włącznik światła, nacisnął go. Pomieszczenie pojaśniało, nagle jasność oślepiła go na ułamek

sekundy. Gdy oczy przyzwyczyły się do jasności, przejrzał pokój, w poszukiwaniu śladów przeciwnika. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, było ciało Texa rozłożone na podłodze za posągiem centaury. Skręcono mu kark. Bullowi wystarczyła milisekunda, by to zrozumieć. Nie miał czasu nad tym myśleć. Jego oczy wciąż przeszukiwały hol, przemieszczając się z prędkością miliona mil na godzinę. Widział posągi, schody, filary i inne rzeczy. Ale nie Bourbon Kida.

Głośno wypuścił powietrze, nagle zdając sobie sprawę, że wyjątkowo długo wstrzymywał oddech. Gdy nabierał powietrza, przed oczami mrugnął mu cień.

Spadł z góry.

I nagle tuż przed nim pojawiła się twarz Bourbon Kida. Zupełnie znikąd, teraz stali ledwie kilka cali od siebie. Nim zdążył zareagować, ręka Bulla trzymając pistolet została wykopem posłana pod ścianę. A nos zmiażdżony, dzięki silnemu ciosowi z główki. Jego czaszka mocno uderzyła w ścianę za plecami, pistolet wypadł z ręki, gdy kłykcie uderzyły w ścianę. Błyskawiczny atak zaskoczył go tak mocno, że nim zdążył zareagować i spróbować kontrataku, Bourbon Kid zdążył otoczyć jego gardło ręką.

Bull instynktownie wymierzył cios w żebra Kida. Ale wtedy zobaczył mały srebrny krzyżyk wymierzony w siebie. Kid miał go w prawej ręce. Powoli uniósł go do twarzy Bulla, zatrzymując tuż przy nosie. Srebrna strzałka celowała w jego lewe nozdrze.

Bull widział wcześniej podobne bronie. Była to specjalnie zaprojektowana półautomatyczna, lekka kusza, która nie robiła hałasu w czasie strzału i dawała się ukryć w luźnym rękawie. Dobra broń w ciemności lub w przypadku prób zachowania ciszy

W twarzy mężczyzny przed sobą rozpoznał zabójcę ojca. Kaptur naciągnięty na głowę ukrywał większość twarzy w cieniu, ale wciąż była bardzo rozpoznawalna. Grobowy głos rozbrzmiał spod kaptura:

- Dlaczego jesteś z wampirami?

Próbując złapać oddech mimo mocnego uchwytu Kida na gardle,

Bull wykrztusił z siebie odpowiedź.

- Jeśli mam do wyboru ciebie i wampiry, zawsze wybiorę wampiry.  
Kid wskazał głową ciało Texa za sobą.

- A twoi ludzie nie żyją. Podoba ci się, jak skręciłem mu kark?  
Bardzo to symboliczne, nie?

Rozluźnił uścisk na szyi Bulla, pozwalając mu nabrać powietrza. Po głębokim wdechu Bull odpowiedział, cały czas patrząc na kuszę wymierzoną w swój nos.

- Jesteś pieprzonym śmieciem, facet. Nic ci nie zrobiłem – powiedział chrapliwie. – To ty zabiłeś mi ojca. To ja powinienem cię tu zabić, a nie ty mnie. Nie zasłużyłem na to.

- Nie pieprz o tym, na co zasłużyłeś – powiedział Kid. – Gadaj, gdzie dziewczyna.

Bull spojrzał na schody na środku holu.

- Jest na górze, w jednym z pokoi. Za chwilę pewnie usłyszysz wystrzał. Kiedy mój człowiek zobaczy na monitorze, że mnie zabiłeś, zabije ją. I nie będzie się zastanawiał. Dziś jeź dwa razy jej przyłożył.

Kid uśmiechnął się krzywo.

- Myślisz, że teraz cię nie zabiję, bo twój kumpel zobaczy to na monitorze – powiedział.

- Tak. Będiesz kretynem, jeśli mnie zabijesz. Zobaczy to i ona umrze. Chcesz zaryzykować?

Kid znowu wzmocnił uścisk na jego szyi.

- Sporo rozbiłem już wszystkie kamery, chyba mogę zaryzykować.

Bull nagle zrozumiał, co oznaczały wcześniejsze odgłosy rozbijanego szkła. Wszystkie trzy kamery przemysłowe zostały unieszkodliwione.

- A jeśli o jakieś zapomniałeś? – zasugerował, w jego głosie pojawiła się nutka desperacji.

- Nigdy nie zapominam.

Kid przyłożył koniec kuszy do lewego nozdrza Bulla. Poluzował zabezpieczenie. Srebrna rzutka wyleciała z zniknęła w nosie Bulla, przeleciała przez tył oka, prosto do mózgu. Ostra końcówka przebiła

się przez czubek czaszki i zatrzymała. Z czubka głowy buchnęła krew, podobna do erupcji wulkanu.

Zanim martwe ciało Bulla spadło na podłogę, sięgnął do włącznika światła i wyłączył je, ponownie pogrążając pomieszczenie w ciemności. Pewny, że morderstwo pozostało niezauważone, zwolnił uścisk na gardle Bulla i pozwolił ciału osunąć się na podłogę.

Wysoko w górze, poza zasięgiem wzroku, scenę z zainteresowaniem oglądała Jessica, Królowa Wampirów. Wszystko szło zgodnie z jej planem. Miała Kida dokładnie tam, gdzie chciała. Teraz wreszcie zemści się za cały ból, którego doświadczyły z jego ręki wampiry, o które się troszczyła. Nadszedł czas, by rozpocząć realizację ostatniej części jej planu: egzekucję Beth na jego oczach.

# CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Dan Harker stał naprzeciwko muzeum od trzydziestu minut, czekając na telefon od Williama Claya. Zostawił mu trzy wiadomości, wiele razy próbował dodzwonić się na komisariat. Ale Flaka nie odbierała na dyżurce. Może jego wizyta w mediach okazała się strzałem w stopę? Może wampiry opanowały komisariat? Kto to wie? Na pewno nie Harker.

Trzydzieści minut rozważania możliwych rozwiązań wystarczyło. Nie pozostało już nic. Musiał wejść do muzeum bez wsparcia i aresztować Elijah Simmondsa, podejrzanego o zamordowanie Bertrama Cromwella. Aresztowanie podejrzanego o morderstwo w pojedynkę nie leżało w zakresie jego obowiązków, i to nie bez przyczyny. Mogło być niebezpieczne. Zwłaszcza jeśli podejrzany był o tak brutalny mord.

Gdy wyszedł z samochodu i przedzierał się przez śnieg w stronę głównego wejścia do muzeum, w zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Trzy razy nacisnął dzwonek przy wejściu i czekał na reakcję. Już miał zamiar się poddać i poszukać innego wejścia, gdy drzwi otworzył mu ochroniarz James, którego poznał w czasie wcześniejszej wizyty.

- Witam – powiedział Harker. – Mogę wejść na chwilę? Chcę porozmawiać chwilę z panem Simmondsem.

- Oczywiście. Proszę.

James cofnął się, by go wpuścić, po czym zamknął za nim drzwi.

- Na zewnątrz jest tak zimno, jak mi się wydaje? – zapytał.

- Tak zimno, jak jeszcze nigdy, odkąd pamiętam.

- Mam zabrać płaszcz?

- Nie, nie trzeba. Powiedz mi tylko, gdzie znajduje pana Simmondsa.

- Jest w swoim biurze. Zaprowadzić?



Harker pokręcił głową.

- Nie będzie takiej potrzeby.

- Dobra. Tyrknę do niego i uprzedzę, że pan idzie.

Harker zrobił krok w stronę korytarza prowadzącego do biura Simmondsa. Zawahał się chwilę i odwrócił do ochroniarza.

- Właściwie mógłbyś go nie uprzedzać? Mam dla niego dobre wieści i wolałbym, żeby była to niespodzianka.

- To na pewno dobre wieści.

- Owszem.

- W takim razie powodzenia, Kapitanie.

Harker ruszył korytarzem do biura Simmondsa. Gdy zniknął z pola widzenia ochroniarza, przyspieszył. Gdyby strażnik postanowił zignorować jego prośbę i zadzwonić do Simmondsa, straci element zaskoczenia. Gdy zbliżał się do dużych czarnych drzwi na końcu korytarza i zobaczył srebrne litery SIMMONDS, wyciągnął pistolet z kabury przy kamizelce.

Zatrzymał się przed drzwiami i zastanowił, czy zapukać, ale tuż przed tym, jak jego kłykcie dotknęły drewna, stwierdził, że lepiej nie. Najmniejszy gram zaskoczenia działał na jego korzyść. Sięgnął do gałki i przekręcił ją szybko. Pchnął drzwi i otworzył je jak najszerzej, przygotowując pistolet do strzału. Dokładnie przed nim, za biurkiem, w ogromnym skórzanym fotelu, siedział Elijah Simmonds liczący pieniądze. Dużo pieniędzy. Na biurku przed nim znajdowała się duża góra gotówki. Paczki pięćdziesięciodolarówek były ustawione na wysokość stopy. Widok Harkera w drzwiach wyraźnie go zaskoczył.

- Kapitan Harker – sapnął. – Czym mogę pomóc?

Harker wymierzył pistolet w Simmondsa i wszedł do biura.

- Muszę prosić, żeby pan wstał i założył ręce za głowę – powiedział.

Simmonds defensywnie podniósł ręce, na jego twarzy pojawiło się zdenerwowanie.

- Nie strzelaj – powiedział. – To nie tak, jak myślisz.

- Wstań – powtórzył Harker, robiąc kolejny krok w stronę biurka.

- Dobra, dobra – powiedział Simmonds. Zaczął powoli podnosić się

z miejsca, dbając, by nie robić gwałtownych ruchów. Harker spojrzął na stery pieniędzy na biurku. Było tu więcej gotówki, niż widział w całym życiu.

- Skąd ta kasa? – zapytał.

Simmonds nie odpowiedział. Harker usłyszał drzwi zamykające się za nim z trzaskiem. Odwrócił się, by sprawdzić, kto lub co je zamknęło. Zza drzwi wyszedł olbrzym w srebrnym garniturze. Miał wygoloną głowę, nosił też okulary przeciwsłoneczne.

- Kapitan Dan Harker – powiedział mężczyzna. – Sprytny detektyw, który w wiadomościach powiedział, że wampiry prawdopodobnie zajmują miasto.

- Dokładnie. A pan to...?

- Ramzes Gajusz, przywódca nieumartej armii, której plany próbowałeś pokrzyżować.

Harker czuł, że palce zaciskają mu się na broni.

- Cóż, panie Gajuszu, muszę pana prosić o padnięcie na kolana. Jest pan aresztowany.

- Nie sędzę.

Gajusz uniósł prawą rękę. Jest dłoń zaczęła świecić na jasnoniebiesko. Źródło energii elektrycznej wydawało się znajdować w środku jego dłoni, a za okularami przeciwsłonecznymi, przy prawy oku, pojawił się podobny niebieski blask. Harker postanowił wykorzystać szansę i nacisnął spust.

BUM!

Wystrzał był ogłuszający w zamkniętym gabinecie Simmondsa. Pocisk przeleciał przez pierś Ramzesa Gajusza. Ale mężczyzna nie upadł. Wciąż stał i uśmiechał się, jego dłoń wciąż świeciła.

BUM!

Harker wymierzył w jego pierś kolejny pocisk. Wciąż żadnej reakcji ze strony Gajusza, może za wyjątkiem jeszcze szerszego uśmiechu.

- Moja kolej – warknął Gajusz.

Oczy Harkera otworzyły się ze strachu, gdy zobaczył, że niebieskie

światła w dłoni Gajusza zbiera się w sferę wielkości kuli do kręgli. Jednym ruchem nadgarstka Gajusz wystrzelił z dłoni niebieskim laserem. Trafił Harkera w pierś, podrywając z nóg i rzucając nim o ścianę za jego plecami. Na ścianie pełno było półek z książkami, a impet uderzenia sprawił, że egzemplarze położone najwyżej zachwiały się i spadły mu na głowę.

Zamroczony i zaskoczony strzałem, Harker próbował odzyskać oddech. Miał wrażenie, że płuca mu się zapadły, a wzrok odmówił mu posłuszeństwa. Mrugał wściekle, mając nadzieję na odzyskanie ostrości widzenia i zobaczenie, co nastąpi. Pistolet wypadł mu z ręki, więc macał prawą ręką po podłodze, mając nadzieję go zlokalizować.

Wzrok powoli mu wracał, gdy nad nim pojawiła się twarz Elijah Simmondsa. Nowy menedżer muzeum miał na twarzy uśmiech. Podniósł broń Harkera i machał mu nią przed twarzą, kusząc. Jeszcze przed chwilę Simmonds wyglądał na przerażonego, ale teraz był dumny i niebezpieczny.

- Tego szukasz? – zapytał z uśmiechem.

Harker otworzył usta, by odpowiedzieć. W jego płuca wpłynęło mnóstwo powietrza. Simmonds wykorzystał okazję i dopadł go w ułamku sekundy. Złapał Harkera za gardło i wsunął mu lufę pistoletu do ust.

- Teraz nie jesteśmy tacy twardzi, co Kapitanie? – zakpił.

Harker patrzył na niego błagalnym wzrokiem, modląc się, by Simmonds nie miał odwagi strzelić. Mimo pistoletu w ustach, udało mu się wykrztusić ledwie słyszalne „Proszę, nie”. Prośba trafiła w próżnię. Simmonds zacisnął spust i rozwalil mu mózg.

# CZTERDZIEŚCI OSIEM

Odkąd Dante i Ważniak wyszli do muzeum, Kacy nie mogła znieść siedzenia z harcerkami. Jej największym problemem były wampirze zmysły, nad którymi z trudem panowała. Każda z dziewczynek wydawała się doskonałą przekąską, głód narastał w niej z każdą sekundą.

Jedna z dziewczynek, drobna z długimi ciemnymi kucykami wystającymi spod niebieskiej czapki z pomponem, poszła poszukać łazienki. Kacy zastała z pozostałymi i próbowała zająć je jakimiś zagadkami. Lucy, przywódczyni Słonecznikowych Dziewczyn, z blond kucykami, udawała postać z jakiegoś filmu. Kacy siedziała między resztą dziewczynek w ławkach z przodu, zachęcając je do odgadywania odpowiedzi. Od pięciu minut utknęły na tytule filmu, z którego znały Butch coś i Sundance Kid. Dziewczynki nie mogły odgadnąć brakującego wyrazu na podstawie przedstawienia Lucy. Kacy miała ochotę krzyknąć „Do cholery, to Cassidy!” ale desperacja dzieci, by samodzielnie poznać odpowiedź, zajmowała je i odrywała myśli od okropieństw, które wcześniej widziały.

Pojawił się kolejny problem. Veronica, dziewczynka która poszła do łazienki, wróciła ze zmartwioną miną. Przeszła z nogi na nogę, co świadczyło, że nie miała okazji skorzystać z toalety.

- Co się stało, kochanie? – zapytała Kacy.

- W łazience jest jakiś pan – odpowiedziała Veronica. – Zamknął się i nie chce wyjść.

- Co? – Kacy wstała i podeszła do niej. Położyła ręce na ramionach dziewczynki i spojrzała jej w oczy. – Mówił, jak się nazywa?

Veronica pokręciła głową.

- Nie.

Dobra, poczekajcie tutaj. Zaraz wrócę.

Kacy odeszła w kierunku, z którego nadeszła Veronica. W tą stronę poszedł przedtem Ważniak, kiedy miał zamknąć drzwi i okna, by nikt nie wszedł do kościoła. Drzwi z napisem „Toalety” znajdowały się po prawej. Podeszła do nich, odwracając się do dziewczyn i posyłając im uspokajający uśmiech. Przykucnęły między ławkami i zerknęły ponad nimi.

Kacy zastukała do drzwi.

- Jest tam ktoś? – zapytała.

Odpowiedział męski głos.

- Kto tam?

- Nazywam się Kacy. Kim jesteś?

- Kapłanem, ojciec Papshmir.

- Dlaczego zamknął się pan w łazience?

- Zamknąłem się, kiedy przyszedli wampiry. Odeszły?

- Tak, nie żyją.

- Na pewno?

- Tak. Teraz jesteśmy tu ja i grupa Słonecznikowych Dziewczyn.

- Ważniak odszedł?

Kacy zmarszczyła brwi.

- Skąd znasz Ważniaka?

- Odszedł?

- Tak, odszedł.

Usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Otworzyły się do wewnątrz i pojawiła się twarz starszego księdza.

- Bogu dzięki – powiedział.

- Ej – Kacy zastawiła mu drogę, by nie odszedł. – Może dasz radę mi pomóc. Mam tu kilka przestraszonych dziewczynek. Mogłyby znaleźć się na jakiś czas pod opieką Boga.

Kapłan patrzył na nią uważnie.

- Jesteś wampirem? – zapytał.

Kacy poczuła, że się rumieni. Była to oczywiście nagana, a skoro był księdzem, mógł mieć na sobie krzyż, więc – jak stwierdziła – lepiej było go nie oszukiwać.

- Tak, ale nikogo nie skrzywdzę. Mój chłopak, Dante, poszedł z Waźniakiem szukać lekarstwa, dzięki któremu znowu będziemy ludźmi.

Papshmir wyszedł i zamknął za sobą drzwi łazienki. Miał na sobie czarną sutannę, jakby zaraz miał odprawić jakieś nabożeństwo. Zmierzył Kacy wzrokiem od stóp do głowy.

- Cóż, wyglądasz niegroźnie – powiedział. – Ale nie uwierzę, że Waźniak chciałby przestać być wampirem.

- Skąd go znasz? – ponownie zapytała Kacy, ciekawa, jak mężczyzna w sutannie może być powiązany z tutejszym wampiryzm półświatkiem.

- Skąd znam Waźniaka? – Papshmir niemal się zaśmiał. – Kurwa, ten ciul – spojrzał w niebo i szybko szeptem dodał „Wybacz, Boże”, po Czu, kontynuował – brał ślub w tym kościele co najmniej sześć razy, i to z moich rąk. To seryjny zabójca panien młodych. I okropny ciul. Wybacz, Boże.

Kacy była zaskoczona wiadomością, że Waźniak tyle razy się zenił (a także tym, że kapłan używał słowa „ciul”).

- Dziś po południa widziałam jego wesele na nagraniu – powiedziała. – Z Emmą. Naprawdę ją kochał.

Papshmir prychnął.

- Widziałas nagranie całej ceremonii ślubnej?

- Nie, tylko jakąś minutkę. Nie zauważyłam, że to ty udzielałeś im ślubu.

- Owszem – powiedział Papshmir. – I jeśli pamiętam, Emma była jego piątą żoną.

- Ale naprawdę ją kochał, prawda? Widziałam to w jego oczach, kiedy oglądał nagranie.

- O tak. Bardzo ją kochał. Tak bardzo, że razem ze swoimi wampirzymi kupłami zabił ją i całą jej rodzinę i przyjaciół na weselu.

- Co?

- Dlatego cały czas się zeni. Przychodzi tu co najmniej raz w roku i grozi śmiercią mi i wszystkim ministrantom, jeśli nie przeprowadzę

ślubu jego i kolejnej nieszczęśnicy.

Kacy przełknęła ślinę. Ważniak ją okłamał. Jeśli jego żona Emma nie żyła, zabita przez niego, nie czułby potrzeby powrotu do człowieczeństwa i wrócenia do niej. Jeśli skłamał w tej kwestii, równie dobrze mógł skłamać w sprawie Gajusza, który miał czyścić Oko w muzeum. Dante prawdopodobnie pchał się w pułapkę.

Złapała Papshmira za rękę.

- Zaopiekujesz się dziewczynkami? Muszę gonić mojego chłopaka. Może być w niebezpieczeństwie.

- Oczywiście – powiedział Papshmir. – Od jakiegoś czasu przysłuchiwałem się ich zgadywankom. Pociągnę to. Zrób, co musisz zrobić.

- Dzięki.

Papshmir odszedł do głównej nawy, gdzie dzieci zerkały ponad ławkami. Kacy wzięła telefon i zaczęła nerwowo pisać wiadomość do Dantego, ostrzegając go o możliwym niebezpieczeństwie i ponaglając, by jak najszybciej zostawił Ważniaka i skontaktował się z nią. Rozważała zadzwonienie do niego, ale stwierdziła, że SMS będzie bardziej dyskretny. Słyszała, jak Papshmir mówił do Słonecznikowych Dziewczyn.

- No dobrze, dziewczynki – zagadnął. – To Butch cholera, Cassidy, do jakiej anieli!

Dziewczynki wydały z siebie chóralne „Oooch”. Papshmir odezwał się ponownie, tym razem ciszej.

- Co to za smród? – zapytał.

Odpowiedziała jedna z dziewczynek.

- Veronica zsikała się w majtki.

- Gdzie?

- W konfesjonale.

- Cholera. Tylko nie to!

Kacy nacisnęła przycisk „Wyślij” i myślała, co zrobić. Konieczne były drastyczne środki. Stwierdziła, że SMS do Bourbon Kida też byłby dobrym pomysłem. Ale z Dantem będącym w śmiertelnym

niebezpieczeństwie i konfesjonalem śmierdzącym sikami, uznała, że najrozsądniej będzie wyjść z kościoła i jak najszybciej udać się do muzeum.



# CZTERDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Normalnie muzeum o piątej byłoby zamknięte. A w świetle morderstw w całym mieście, zamknięcie tej instytucji wydawało się jeszcze bardziej na miejscu. Ale gdy Dante i Ważniak weszli po schodach z przodu budynku, Dante z zaskoczeniem zauważył, że drzwi wejściowe były szeroko otwarte.

- To trochę dziwne, nie sądzisz? – zapytał.

- Ja uznałbym to za łut szczęścia – powiedział chłodno Ważniak.

- Ale pomyślałbym też, że ochrona powinna zamknąć muzeum, prawda? Wiesz, kiedy tutaj pracowałem, drzwi były zamknięte cały czas. Mieli bzika na tym punkcie.

- Ale teraz rządzi tu ktoś inny, nie?

- W sumie tak. Słyszałem, że zabili profesora Cromwella. Naprawdę go lubiłem. Nie zdążyłem go przeprosić za to, że nazwałem go chujem, kiedy się ostatnio widzieliśmy.

- Nazwałeś profesora chujem?

- Tak. Na swoją obronę powiem, że on mnie wcześniej dźgnął.

Ważniak wyglądał na rozbawionego.

- Ja zrobiłbym więcej, niż tylko go wyzywał.

Dante doszedł do drzwi wejściowych i rozejrzał się wokół. Hol recepcyjny był pusty.

- Nie podoba mi się to – powiedział. – Coś tu nie gra.

Ważniak pewnie przeszedł obok niego do holu.

- Nie bądź taki podejrzliwy. To dobry znak – powiedział. – Musimy jeszcze znaleźć Gajusza i tyle. Nie mogło być lepiej.

Dante zmarszczył brwi.

- Nie jestem geniuszem, ale to wydaje mi się cholernie podejrzane. Nie sądzisz, że to wszystko jest trochę dziwne? No, a jeśli Gajusz się nas spodziewa? Może wchodzimy w pułapkę.

Ważniak uśmiechnął się.

- W jednym się nie mylisz?

- Czym?

- Nie jesteś geniuszem.

- Dzięki. Sam nie jesteś Alfredem Einsteinem.

- Albertem.

- Co?

Ważniak pokręcił głową.

- Słuchaj, masz paranoję. Chodź, sprawdzimy na dole, może tam będzie. Pospieszmy się. Możemy stracić okazję.

Ważniak bardzo chciał zejść niżej. Dante zdawał sobie sprawę, że większość ludzi miała go za kretyna. Kacy często ostrzegała go przed włożeniem w kłopoty. A coś mówiło mu, że to pakował się w kłopoty. Dlaczego miałyby ufać Ważniakowi? Kacy przekonała opowieścią o chęci powrotu do człowieczeństwa, ponieważ widziała nagranie z jego ślubu. Dante nie widział. Widział tylko, że Ważniak lubił zabijać ludzi i pić ich krew. I równie dobrze jak ktokolwiek mógłby skopać kilka cyrkowych tyłków. Ale Dante nie widział w nim żadnych znaków skruchy. Wydawał się kochać bycie wampirem. Musiał się upewnić.

- Ważniak.

- Chodź – powiedział Ważniak, ponownie wskazując korytarz na końcu holu.

- Odkąd jesteś taki nieomylny?

- Co?

- Wrabiasz mnie?

Ważniak był zaskoczony.

- Co masz na myśli?

- No, czuję podstęp. Jakoś nie wydaje mi się, żebyś chciał być znowu człowiekiem. Widzę, że prowadzisz mnie prosto do Gajusza. I żeby było jasne, twierdzisz, że przyszedł tutaj wyczyścić Oko, tak?

- Polerować.

Dante zastanowił się chwilę nad tym, co zostało powiedziane. Kacy

była tak przejęta możliwością zdobycia Oka, że on sam się na to nakręcił bez zastanowienia.

- Sam mógłby sobie wypolerować oko. Kurde, to pewnie jak przecieranie szkieł w okularach. Mógłby przelecieć je nawet pieprzoną chusteczką.

Ważniak zmarszczył brwi.

- Nazywasz mnie oszustem?

- Nie. Tylko coś mi tu nie gra. To się nie trzyma kupy.

Ważniak podszedł do niego agresywnie.

- Nazywasz mnie oszustem. Oskarżasz, że cię wrabiam! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem. Sukinsynu!

Dante zareagował na agresję najlepiej, jak potrafił – odpowiadając agresją. Ruszył na Ważniaka, zatrzymali się kilka cali od siebie, mierząc się nawzajem wzrokiem.

- Nazywam cię oszustem – warknął Dante. – Co tu się dzieje, do cholery? Jesteś moim kumplem czy nie? Bo na razie mam wrażenie, że jesteś dziwką Ramzesa Gajusza i chcesz mnie wykorzystać, żeby wkupić się w łaski.

Zapanowała nieprzyjemna cisza, gdy czekał na odpowiedź Ważniaka. Przez kilka sekund dość niespodziewanie się na siebie gapili. Na twarzy Ważniaka wykwitł szeroki uśmiech. Zaśmiał się z głębi serca i uderzył Dantego w ramię.

- Haha, dobre – powiedział. – Prawie mnie zagiąłeś. Przez chwilę myślałem, że mówisz na poważnie. Chodź. Dosyć żartów. Musimy sprać mumię, zanim będzie na późno.

Jeszcze raz uderzył Dantego w ramię i poszedł do korytarza na końcu holu. Dante nie wiedział, jak zareagować. Ważniak najwyraźniej stwierdził, że żartował, kiedy oskarżał go o oszustwo. Ale on nie żartował. Podążył za roześmianym towarzyszem, nie wiedząc, czy nie robił okropnego błędu.

Gdy potarł do korytarza, poczuł wibracje telefonu w kieszeni. Ktoś przysłał mu SMS. Wyjął komórkę z kieszeni i odczytał wiadomość. Przyszła od Kacy. Brzmiała:

WAŻNIAK KŁAMAŁ. ZOSTAW GO. TO PUŁAPKA! ZADZWOŃ!

Odczytał wiadomość dwa razy, żeby upewnić się, że dobrze zrozumiał. Miał rację. Ważniak był oszustem. I do tego kawałem ciula. Zatrzymał się i zobaczył, że Ważniak mknie korytarzem, zwrócony do niego plecami. Miał szansę odwrócić się i uciec, zanim Ważniak się zorientuje. Wsunął telefon z powrotem do kieszeni i odwrócił z powrotem po głównych drzwi muzeum.

Gdy się odwrócił, usłyszał dźwięk zatraskiwanych głównych drzwi. Jego wzrok to potwierdził. Przed teraz zamkniętymi drzwiami stał Ramzes Gajusz w lśniącym, srebrnym garniturze. A jego drogocenny niebieski kamień wciąż tkwił w prawym oczodole.

- Pan Vittori – powiedział, ruszając w przód. – Znów się spotykamy.
- Słucham? – odparł Dante, udając, że nie dosłyszał.

Gajusz wydawał się zirytowany.

- Powiedziałem, panie Vittori, że znów się spotykamy.
- Przykro mi, nie słyszę – powiedział Dante, desperacko szukając drogi ucieczki, a Gajusz coraz bardziej się zbliżał.

- Powiedziałem, że znowu się spotykamy! – Gajusz uniósł głos, niemal krzyczał.

- Co?

Gajusz zatrzymał się w połowie holu, około dziesięciu metrów od Dantego.

- Ujmę to inaczej – powiedział.

Ogromna mumia uniosła prawe ramię. W jego dłoni pojawiło się jasnoniebieskie błyszczące światło. Dante gapił się w nie, nie wiedząc, czym było. Nie widział niczego podobnego. Nagle Gajusz ruszył ręką, a niebieski blask zmienił się w laser. Przeleciał z jego dłoni prosto w Dantego. Uderzył go w pierś. Impet strącił go z nóg i poleciał w tył, aż jego głowa uderzyła w ścianę z nieprzyjemnym trzaskiem. Wszystko pograżyło się w ciemności, a odpływając w nieświadomość i opadając na podłogę, Dante miał nadzieję, że Kacy nie przyjdzie tutaj bez Bourbon Kida.

Ważniak wrócił do holu, gdzie znalazł Gajusza stojącego nad

skulonym, nieprzytomnym Dantem. Pan Nieumarłych wydawał się z siebie zadowolony, co znaczyło, że prawdopodobnie był też zadowolony z Ważniaka.

- Łatwizna, co, szefie? – powiedział Ważniak z uśmiechem.

Gajusz odwzajemnił uśmiech.

- Nie ma nic łatwiejszego niż pokonać bezbronnego, prawda?

- Uch, tak. Co teraz? Potrzebujesz mnie jeszcze?

Gajusz spojrział ponad ramieniem Ważniaka.

- Nie – powiedział oschle. – Nie potrzebujemy się już.

Ważniakowi nie spodobał się ton Gajusza. Odwrócił się i zobaczył, na co patrzył jego szef. Cztery wampiry z Czarnej Plagi podchodziły do niego od tyłu. Zwrócił się z powrotem do Gajusza.

- Myślałem, że mamy umowę – powiedział, bez sukcesu starając się ukryć zmartwienie w głosie.

Gajusz uniósł prawą rękę. Jego dłoń lśniła na niebiesko.

- Nie zawieram umów z ludźmi, którzy oszukują przyjaciół – powiedział.

- O kurwa.

# PIĘCDZIESIĄT

Beth czuła pistolet Razora przyciśnięty do podstawy karku. Przed sobą widziała zarys Jessici. Królowa Wampirów prowadziła ją do ciemnego głównego holu.

Zanim doszli na szczyt schodów, oczy Beth przyzwyczyły się do ciemności. Rozpoznawała kształty niektórych rzeźb i kolumn w położonym niżej holu. Nie widziała ani śladu JD, ale wiedziała, że musiał być blisko. Jakby czytając jej w myślach, Jessica odezwała się:

- Jest na dole. Czuję bourbona z jego oddechu. – Podniosła głos i krzyknęła w ciemność. – Pokaż się! Nie ukryjesz się przede mną w ciemności.

Drzwi w dalekim końcu holu otworzyły się. Beth usłyszała kilka stłumionych głosów, po czym wszystkie światła w holu jednocześnie się zapaliły, oświetlając wszystko. Jej oczy przebiegły po otoczeniu, szukając JD. Widziała jedynie barmana Sancheza popychanego na środek pokoju przez wampirzycę z klanu Pandy. Nosiła czarny strój i czerwoną bejsbolówkę na głowie. Pod lewą pachą niosła dużą, czarną książkę w grubej oprawie.

Jessica odezwała się do niej.

- Masz tam Księgę śmierci?

Dziewczyna Panda przytaknęła.

- Tak. Ten facet ją przyniósł.

Jessica zeszła po schodach i stanęła na marmurowej podłodze. Syknęła na Sancheza.

- Więc znalazłeś moją księgę. To bardzo dobrze, Sanchez.

Sanchez wzruszył ramionami.

- Doprawdy drobiazg. Możesz dać mi nagrodę, i będę już leciał?

- Skąd ten pośpiech? – zapytała Jessica, a jej twarz wykrzywił podstępny uśmiech. – Może zostaniesz chwilę? Mamy przyjęcie. Jest

tu też twój przyjaciel Bourbon Kida. Dosłownie za sekundę powinien się pojawić.

Sanchez nie wydawał się chętny przyjęcia zaproszenia.

- Nie trzeba. Muszę wpaść w kilka miejsc – powiedział, odwracając się w stronę drzwi, przez które wszedł. Dziewczyna Panda nie zamierzała puścić go tak łatwo. Złapała go za rękę i przytrzymała w miejscu. Później mocno go pchnęła, z powrotem na środek holu.

Jessica podeszła do niego, rozglądając się, bez wątpienia czekając na pojawienie się Kida. Razor mocniej docisnął pistolet do pleców Beth, a później pchnął się, co oznaczało, że powinna iść za Jessicą.

Dziewczyna Panda popchnęła Sancheza, tym razem bardziej agresywnie. Skinęła do Jessici.

- Nie zamierzał oddawać ci książki – powiedziała. – Dowiedział się, że jesteś wampirycą i zmienił zdanie. Kiedy go znalazłam, chował się w łazience i próbował ukryć Księgę.

- To w jego stylu – kpiąco powiedziała Jessica. – Później się nim zajmiemy. Na razie myślę, że czas przywołać naszego tajemniczego gościa. – Rozejrzała się po holu, jeszcze raz szukając śladów Bourbon Kida, po czym krzyknęła głośno. – Bardzo dobrze. Razor, zabij dziewczynę.

Beth poczuła kulę w gardle. Pistolet Razora był przyciśnięty do jej pleców i trochę jej ulżyło, że go odsunął. Mimo że był za nią, kątem oka widziała jego poruszającą się rękę. Zamierzał strzelić jej w głowę. Zamknęła oczy i czekała na chwilę prawda. Czy JD zrobi swój ruch i pojawi się, zanim Razor zdąży pociągnąć na spust?

Usłyszała, że Razor odblokowywał broń, gotuje się do strzału.

- CZEKAJ! – odezwał się grobowy głos zza nich.

Beth spojrzała ponad ramieniem. Razor też, odwrócił się z bronią wymierzoną w miejsce, z którego dochodził głos. Z cienia jednego z rzeźby wyszedł Bourbon Kid, w charakterystycznym czarnym długim płaszczu z kapturem naciągniętym na głowę.

Razor wycelował w niego z broni.

Kid uniósł ręce w geście poddania.

- Ej, nie strzelaj – powiedział spokojnie. – Przyszedłem tutaj zawrzeć układ.

Jessica natychmiast pojawiła się obok Beth, jej błyskawiczna prędkość sprawiała, że wydawała się pojawić znikąd. Szybka suka.

- Rzuć broń! – syknęła do Kida.

Kid zignorował ją i wymierzył w Razona.

- Odłóż broń – powiedział.

Razon miał własny plan. Jego trzech najlepsi kumple zginęli z rąk Kida, więc nie zamierzał przepuścić okazji do rewanzu.

- Ani mi się śni – warknął. Bez czekania na zgodę od kogokolwiek, nacisnął na spust broni. Wystrzał był ogłuszający. Beth zatkała uszy i skrzywiła się.

JD uchylił się z drogi lotu pocisku, jeszcze zanim został wystrzelony. Jego odpowiedź na atak była wyważona. Przetoczył się na jedną stronę i skierował prawą rękę w stronę Beth. Z rękawa wypadła mu srebrna rzutka. Zanim miała szansę się poruszyć, rzutka przeleciała obok jej biodra. Minał ją o mniej niż cal i utkwiał w kroczu Razona. Zgiął się w pół i opadł na ziemię, wyjąc w agonii i wyciągając rzutkę.

Beth usłyszała, że stojący na nią Sanchez skwitował wydarzenia jednym zdaniem.

- KUUURDE! Strzelił mu w jaja! – wykrzyknął barman.

Uświadomiwszy sobie, że wyrwała się z uścisku Razona, Beth odwróciła się i chciała uciec. Nie miała pojęcia, gdzie powinna pójść, ale im dalej od Jessici, tym lepiej. Niestety, Jessica spodziewała się takiego manewru. Stała za Beth i złapała ją za włosy, odginając jej głowę tył. Chwilę później Beth poczuła ostre jak brzytwy pazury Królowej Wampirów na swoim gardle.

- To był błąd! – syknęła Jessica do Kida.

Kid wstał i spokojnie powiedział.

- Puść ją. To sprawa między mną a tobą. Jej to nie dotyczy.

- Rzuć tą wyrzutnię, którą masz w rękawie! – zażądała Jessica.

- Jasne.



Kid opuścił ramiona. Z prawego rękawa płaszcza wyrzucił małą srebrną kusz. Zastukała na twardej marmurowej podłodze, odbiła się i poleciała daleko od niego.

- Masz jeszcze jakąś broń? – zapytała Jessica. – Jeśli tak, to masz ostatnią chwilę, żeby ją rzucić.

Kid rozchylił płaszcz. Pod nim miał prostą czarną koszulkę i czarne bojówki.

- Nie mam więcej. Puść ją.

- Zdejmij płaszcz i uklęknij – powiedziała Jessica.

- Puścisz Beth?

- Na kolana.

Kid zdjął płaszcz i rzucił go na podłogę. Ale zamiast paść na kolana, zrobił szybki ruch prawą ręką. Sięgnął za siebie i wyjął pistolet przewieszony przez plecy. Wymierzył w głowę Jessici, czerwony laserowy celownik spoczął na środku jej twarzy. Jessica była jednak szybko jak błyskawica. Gdy Kid miał naciskać spust, podstawiła głowę Beth na linię ognia. Przez kilka sekund Kid próbował wycelować w Jessicę. Za każdym razem przesuwiała jakąś część ciała Beth, by stanęła na linii czerwonego lasera.

Beth usłyszała za sobą warczenie Razora. Na chwilę zdekoncentrowało ono Kida. Oderwał wzrok od Jessici, wymierzył w Razora i wystrzelił.

BUM!

Beth nie widziała, co się stało, ale usłyszała nieprzyjemny odgłos krwi rozpryskiwanej na marmurowej podłodze. A później czerwony laser ponownie wrócił na Jessicę i taniec ponownie się rozpoczął. Kid bezskutecznie próbował czysto wycelować w Królową Wampirów, która dzielnie się broniła.

Po niezliczonych nieudanych próbach zrezygnował. Było jasne, że okazała się zbyt szybka. Strzał był stanowczo zbyt ryzykowny. Przestał celować i opuścił pistolet wzdłuż boku.

- Nie masz zamiaru jej puścić, co? – zapytał.

Jessica uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyś to zobaczył – powiedziała. – Chcę przemienić twoją kochaną Beth w wampirzycę. Będzie moją nową służącą. A ty będziesz mógł być jej pierwszą ofiarą, chyba że będzie wolał ją zabić. Wiesz, jak swoją matkę.

- I jak Archiego Somersa. Szkoda że nie słyszałaś, jak się darł. Żałosne.

Beth poczuła, że chwyt Jessici na jej gardle się umocnił. Pazury na końcach jej palców prawie przebijały jej skórę.

- Zrobię to z przyjemnością – syknęła.

Kid wydawał się nieporuszony.

- Wiedziałem, że do tego dojdzie. Przestań grozić i to zrób. Na co czekasz?

- Cudownie. Jak sobie życzysz!

Jessica szeroko otworzyła usta, odsłaniając długie wampirze kły, żądne krwi. Beth spojrzała na JD, błagając wzrokiem, by ją uratował. I wtedy to do niej dotarło. To nie JD przyszedł ją uratować. To był JD, człowiek który o nikogo nie dbał.

Gdy ta myśl pojawiła się w głowie Beth, kły Jessici przeszły przez skórę w dolnej części jej szyi, głęboko wnikając w ciało.

# PIĘĆDZIESIĄT JEDEN

Flake patrzyła w oczy Bourbon Kida, widziała też, że ponownie unosił broń i mierzył w środek jej twarzy.

- Zamknij oczy – warknął.

- Dlaczego?

- Bo zapiecze.

Zrobiła, jak kazał i zamknęła oczy. Może żartował?

BUM!

Może nie.

Strzelił, jak przewidywała. Ale ona wciąż żyła. Przynajmniej wydawało jej się, że żyła. Gdzieś za sobą, w pobliżu wind w holu recepcyjnym usłyszała ciało padające na ziemię. Kid zabił kogoś, ale nie miała pojęcia kogo. Może następna kulka była przeznaczona dla niej? Skrzywiła się, przygotowując na to, co miało nastąpić.

I czekała.

Czyżby Kid czerpał jakąś chorą przyjemność z patrzenia na czekającą na śmierć ofiarę? Po chwili, która wydawała jej się wiecznością, a w rzeczywistości była zapewne pięcioma sekundami, usłyszała kolejny dźwięk. Stukot. Flake знаła ten dźwięk. Natychmiast go rozpoznała. Stukot potrwał trzy lub cztery sekundy i ustał. Rozległ się syk, do którego dołączyły krople czegoś na jej powiekach i nasadzie nosa. W jakie chore gierki bawił się ten facet? Większa część jej twarzy, od czubka nosa aż poza oczy wydawała się spryskana aerozolem. Ten psychopata Bourbon Kid opryskiwał jej twarz czarną farbą z puszką, którą miała na biurku.

Kiedy pryskanie się skończyło i usłyszała, że odstawił puszkę na blat, wykrztusiła półgębkiem pytanie.

- Co robisz? – zapytała.

- Robię z ciebie wampira – usłyszała w odpowiedzi.

Otworzyła oczy i mrugnęła kilka razy.

- Nie otwieraj oczu – powiedział Kid.

Zacisnęła je ponownie. Farba była mocna i podrażniła jej oczy, gdy je otwarła.

- To jakaś gierka? – zapytała.

- Chciałaś pomóc Sanchezowi, prawda?

- Tak.

- Jeśli chcesz dostać się do Casa de Ville, musisz wyglądać jak wampir. Jest klan, który nazywa się Pandami. Malują część swoich twarzy na czarno. Możesz udawać jedną z nich.

Z wciąż zamkniętymi oczami Flake skrzywiła się.

- Zapewne jest jakiś lepszy sposób, niż pryskanie sobie po buzi farbą? – zauważyła.

- Ujmę to tak – powiedział Kid. – Mogłem cię pomalować albo podbić ci oczy.

- To mi odpowiada.

Flake słyszała, że Kid chwilę się krzątał, po czym poczuła jego uścisk na lewym ramieniu. Zaczął podciągać jej rękaw koszuli. Nie mając stuprocentowej pewności, że nie zamierzał jej zabić, odsunęła rękę.

- Co robisz? – zapytała.

- Wstrzyknę ci serum. Obniży ci temperaturę krwi, żebyś mogła przejść między nieumartymi. Z łatwością uciekniesz z Casa de Ville.

Flake nie należała do fanek zastrzyków.

- Och – westchnęła. – To naprawdę konieczne? Mój lekarz zawsze ma problem ze znalezieniem żyły, żeby zrobić mi zastrzyk, a potem zawsze mam siniaki.

- Otwórz oczy.

Powoli otwarła oczy, mrugając kilka razy, żeby się upewnić, że nie piekły zbyt mocno. Przed oczami miała twarz Kida. W prawej ręce trzymał długą strzykawkę, minę miał poważną.

- To konieczne – powiedział. – Inaczej wampiry zaraz cię wyczują. I zeżrą cię żywcem.

Flake wydeła policzki jak grymaśna nastolatka.

- Ale naprawdę szybko robią mi się siniaki. Nie ma innego sposobu? – jęknęła.

- Jest – odpowiedział Kid. – Zdejmij spodnie, połóż się na biurku, a ja wetknę ci tu w dupę.

Po jego minie Flake wiedziała, że nie żartował. Trochę wyżej podwinęła rękaw na lewej ręce.

- Zaraz pod łokcie powinno być okej – powiedziała.

Gdy Kid ścisnął jej rękę, szukając najlepszego miejsca na zastrzyk z serum, Flake przygotowała się na nieunikniony ból i siniaki związane z wkłuciem igły. Patrząc przez ramię, byle nie widzieć igły wchodzącej jej w skórę, zobaczyła martwego Williama Claya. Leżał rozłożony na podłodze przy windzie, w kałuży własnej krwi. Krew sączyła się z dziury w jego głowie. Clay wszedł w nieodpowiedniej chwili. To on był tym pechowcem, którego postrzelenie słyszała, gdy miała zamknięte oczy. Stwierdziła, że koniec końców czarne oczy i posiniaczone ramię nie były najgorszą rzeczą, którą mógł jej zaserwować Bourbon Kid. Można nawet powiedzieć, że potraktował ją ulgowo.

# PIĘĆDZIESIĄT DWA

Jazda do Casa de Ville nie była do końca wycieczką dla rozrywki. Flake siedziała na fotelu pasażera, dziękując losowi, że wciąż żyła. Bourbon Kid siedział za kierownicą czarnego Forda Mustanga, który zapewne był kradziony. Na głowie wciąż miał ciemny kaptur, kryjący jego twarz w cieniu przez całą podróż, gdy szczegółowo wyjaśniał, dlaczego tam jechali i czego oczekiwał od niej na miejscu. W większości przytakiwała, czasami dodawała „Okej”. Resztę podróży wypełniała niewygodna cisza, w czasie której regularnie sprawdzała w lusterku soje odbicie. Z czarną farbą na twarzy wyglądała naprawdę dziwnie.

Wreszcie Bourbon Kid zjechał na pobocze niedaleko wejścia do ogromnego Casa de Ville. Wyłączył silnik i odwrócił się do Flake.

- W porządku? – zapytał.

- Tak myślę.

Zanim coś dodała, zadzwonił jej telefon.

- Wyłącz go – rozkazał Kid.

Flake przeszukała kieszenie spodni. Wyjęła komórkę i szybko zerknęła na ekran.

- Dzwoni Sanchez – powiedziała.

- Nieważne. Wyłącz to.

- Ale może...

- Wyłącz.

Telefon umilkł, połączenie zostało przekserowana na pocztę głosową. Nie czekając na pozostawienie wiadomości, wyłączyła telefon i wsunęła go z powrotem do kieszeni.

- Dobra – powiedział Kid, stukając w kierownicę. – Klucze są w stacyjce. Kiedy zobaczysz, że brama się otwiera, przepuść zombie, a potem wjedź przez bramę pod główne drzwi.

- A gdzie są te wszystkie zombie?

- Pokażą się, kiedy otworzy się brama. Czeka ją w lesie po drugiej stronie ulicy. Kiedy dojedziesz do budynku, wyjdź z samochodu i pamiętaj, żeby mieć w rękach książkę. Tylko to masz do obrony przed wampirami.

- A jak dostanę się do środka, jak tam dojadę?

- Użyj dzwonka.

- A ty? Gdzie będziesz?

- Tam, gdzie muszę.

- A jeśli się zabijesz? Skąd będę wiedziała, co robić?

Kid wypuścił powietrze.

- Ja, się zabiję? Poważnie? Martw się o siebie. Kiedy będziesz jechać, nie zatrzymuj się. Jeśli wampir, zombie albo coś innego stanie ci na drodze, przejedź sukinsyna!

- Poradzę sobie – powiedziała pewnie Flake. Jej zdolności kierowania były powszechnie znane, nie bała się docisnąć pedału gazu, kiedy tego potrzebowała.

Kid otworzył drzwiczki po swojej stronie i wysiadł.

- Powodzenia – powiedział. – Widzimy się po drugiej stronie.

- Wzajemnie! – krzyknęła Flake. Zanim skończyła mówić, zatrzasnął drzwi, więc mógł jej nie słyszeć.

Zniknął w cieniu, a Flake przeszła na siedzenie kierowcy. Księga bez tytułu została pod nogami przy fotelu pasażera. Pochyliła się i podniosła ją. Kładąc ją obok siebie, rozważała swoje położenie. Zaraz miała wjechać w środek wojny pomiędzy tysiącami wampirów, wilkołaków, zombie i Bóg wie czego jeszcze, uzbrojona w książkę, farbę na twarzy i Forda Mustanga. „Oszalałam” pomyślała. „Ale Sanchez jest gdzieś w środku.”

Tak jak przewidział Kid, ogromna żelazna brama z przodu posiadłości zaczęła się otwierać. Na terenie Casa de Ville rozbłyły światła. Cała okolica się rozjaśniła. Kilka sekund po rozświetleniu, zobaczyła nadchodzące zombie. Zaczęły wypływać spomiędzy drzew po drugiej strony ulicy, gdzie znajdował się gęsty las.

Były ich setki.

Sprawdziła, czy wszystkie drzwi w samochodzie były zamknięte i z niedowierzaniem patrzyła, jak horda groteskowych potworów mija ją i przechodzi przez bramę. Ich przybycie wywołało popłoch na podwórzu, tak jak przewidział Kid. Zza murów rozległy się krzyki i jęki, co oznaczało, że rozpoczęła się walka.

Kiedy wreszcie większość zombie przedostała się przez bramę, uruchomiła silnik samochodu.

- Nic to – szepnęła.

Docisnęła stopę na gazie i przemknęła przez bramę, potrącając kilka zombie stojących jej na drodze. Jeden czy dwa wylądowały na masce i poleciały ponad autem. Gdy przepchnęła się przez bramę i wjechała na podjazd, Flake czuła, że to najważniejsza chwila w jej życiu. Przejeżdżanie po wrogach dla zabawy dla większości ludzi pozostawało tylko w sferze gier komputerowych. Tutaj było tak samo, ale ofiary były prawdziwe, a jej zachowanie było legalne i poprawne pod względem etycznym.

Kiedy dotarła do ogromnego budynku na końcu podjazdu, dała po hamulcach. Wilkołak, który uczepił się dachu samochodu, zeskoczył z niego i umknął w krzaki przy wejściu. Rozległ się głośny trzask, gdy uderzył głową w ścianę za krzakami.

Nie miała czasu na myślenie o tym, co działo się wokół, więc wyłączyła silnik i wyciągnęła kluczyk ze stacyjki. Złapała książkę z siedzenia pasażera i otworzyła drzwi, żeby uciec. W pobliżu wejścia było kilka wampirów, w większości ubranych na czarno. Cofały się przed armią zombie, których większość nie dotarła tak daleko na podjazd. Gdy Flake wysiadła z samochodu, dźwięk toczącej się bitwy był ogłuszający. Okropne wysokie krzyki wampirów, wycie wilków i jęki zombie wypełniły powietrze, urozmaicane czasami płaskim wnętrzości albo odgłosem zębów rozrywających ciało. Przyciskając Księgę bez tytułu mocno do piersi, kopnięciem zamknęła drzwi samochodu i pobiegła schodami do wejścia do budynku. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Nic dziwnego, gdy samo- przetrwanie leżało na



szczyt priorytetów każdego. No i jeszcze wyglądała jak wampir i dostała zastrzyk ( w rękę, gwoli ścisłości) z ochładzającego serum. Potarła na ostatni stopień i nacisnęła dzwonek. Zamiast normalnego dzwonka, wewnątrz budynku rozbrzmiało Saturday Night Whigfield. Raczej mało odpowiedni utwór na dzwonek, ale Flake miała na głowie poważniejsze problemy. Odwróciła się plecami do drzwi, upewniając się, że nikt się do niej nie skradał i czekała, aż ktoś otworzy.

Światła umieszczone ponad nią oświetlały walczące na podwórzu hordy nieumarłych. Krew tryskała we wszystkich kierunkach. Oderwane ręce i nogi fruwały w powietrzu. Było też kilka ofiar jej jazdy. Czyjaś noga wciąż tkwiła na dachu Mustanga. Gdy skrzywiła się na widok masakry przed sobą, usłyszała, że drzwi się otwierają. Odwróciła się, licząc, że ktoś zaprosi ją do środka. W drzwiach stała kobieta podobna do niej. Była to jedna z wampirów Panda. Nosila czerwoną bejsbolówkę i czarny strój. Pchnięciem otworzyła drzwi na oścież i spojrzała na Flake ze zmarszczonymi brwiami.

- Kim do cholery jesteś? – zapytała.

- Jedną z waszych – nerwowo odpowiedziała Flake.

- Zapomnij – odpowiedziała Dziewczyna Panda. – Znam wszystkie Pandy. Nie jesteś jedną z nich. I czemu masz strój gliny?

- Jestem nowa – powiedziała Flake, próbując wejść do środka i mocno ściskając książkę. – I przed chwilą zabiłam glinę, żeby zdobyć mundur.

Dziewczyna Panda pokręciła głową.

- Nie wejdiesz – syknęła.

Flake zamierzała próbować szturmu, ale w ostatniej chwili dostrzegła za Dziewczyną Pandą jakąś postać. To był Bourbon Kid. Pochwycił niespodziewającą się tego wampirzycę. Jedną ręką oplótł ją w pasie, drugą na szyi. Odciągnął j od drzwi i jednym szybkim ruchem przekręcił jej głowę, z głośnym trzaskiem łamiąc szyję.

Flake weszła przez drzwi i zamknęła je za sobą. Gdy zamknęła za sobą dźwięki rzeźni na zewnątrz, słyszała tylko irytujący śpiew Whigfiels. Flake odwróciła się do Bourbon Kida. Zaciągnął ciało

Dziewczyny Pandy do drzwi w dalekim końcu holu. Kopnięciem otworzył drzwi i wszedł przez nie tyłem.

- Tędy- krzyknął do Flake.

Pospieszyła się i przeszła za nim do dużej jadalni. Umieścił ciało Dziewczyny Panda na podłodze, pod stołem i krzesłami. Flake zamknęła za nimi drzwi. Nikt ich nie widział. Przynajmniej taką miała nadzieję.

- Co teraz? – zapytała.

- Zdejmij ubrania – powiedział Kid.

- Co?

- Zdejmij ubrania.

- Postawiłeś sobie za cel, żeby widzieć mój tyłek?

- Zdejmij ubrania – powtórzył. Wskazał na martwą Pandę na podłodze. – Założysz jej ciuchy. Musisz wyglądać jak ona.

- Och, jasne – powiedziała Flake. – Sorki.

- Spotkamy się na górze, jak skończysz. Byle nie za długo.

- Skąd będę wiedziała, gdzie cię szukać?

- Będę zabijał wszystkich na swojej drodze. Możesz iść śladem trupów.

Kid podszedł do drzwi po drugiej stronie pomieszczenia i zniknął za nimi.

Flake położyła Księgę bez tytułu na podłodze i zaczęła zdejmować ubrania z martwej Pandy. Później szybko sama się rozebrała, mając nadzieję, że nie wpadną tutaj żadne uciekające wampiry.

Odzież wampirzycy pasowała niemal idealnie. Wsunęła czerwoną bejsbolówkę i schowała pod nią włosy, jak robiła to wampirzyca. Czy wyglądała przekonująco? Nie była pewna, jak wyglądała, przez co była troszkę podenerwowana. Musiała sprawdzić, jak wyglądała, ale musiała też iść do głównego holu, jak kazał jej Bourbon Ida.

Podniosła Księgę bez tytułu i szybko wyszła z pokoju drzwiami, za którymi zniknął Bourbon Kid. Długi wąski korytarz za nimi miał co najmniej dziesięć drzwi po każdej stronie. Złapała gałkę pierwszych drzwi po prawej. Otworzyły się z łatwością. Miała nadzieję, że w

środku znajdzie lustro, a nie bandę wampirów.

Rozejrzała się wokół drzwi. Była to dość mała sypialnia. W kącie znajdowały się drzwi, najpewniej do łazienki. W sypialni nie było ślady lustra, więc łazienka była jej jedynym ratunkiem, o ile w ogóle wampiry miały w domach lustra. Rzuciła Księgę bez tytułu na łóżko pośrodku łóżka i pospieszyła do drzwi. Chwyciła za klamkę. Drzwi były zamknięte. Ktoś musiał być w środku. Może Sanchez?

Dźwięk spuszczonej wody potwierdził, iż była to łazienka. Flake cofnęła się od drzwi, nie wiedząc, czego się spodziewać. Przypomniała sobie, że wyglądała jak wampir (na to liczyła), więc nie miała się czego bać.

- Kto tam jest? – zapytała niepewnie.

Minęło kilka sekund, zanim drzwi łazienki otworzyły się i nonszalancko stanął w nich Sanchez.

- Zrobione – powiedział. Flake patrzyła na niego z niedowierzaniem. Wydawał się taki zwyczajny. Zanim się odezwała, zaczął machać sobie ręką przed nosem. – Na twoim miejscu nie wchodziłbym tam przez jakiś czas – dodał.

Flake czuła ulgę, że żył, ale zauważyła, że torba, którą miał na ramieniu, była pusta. Już oddał Jessice Księgę śmierci?

- Ta torba jest pusta! – sapnęła. – Gdzie księga? Co z nią zrobiłeś?

Sanchez patrzył na nią uważnie ze zdumieniem wymalowanym na twarzy.

- Flake, to ty?

- Tak.

- Jesteś wampirzycą?

- Nie, matole. Przyszłam cię uratować!

Sanchez zmarszczył brwi.

- O rany. Dzięki. – Wskazał na łazienkę. – Księga śmierci jest tam – powiedział. Zerkając ponad jej ramieniem, zobaczył identyczną książkę na łóżku. – Co to za książka? – zapytał.

Flake złapała go za rękę.

- Musimy pomóc Bourbon Kidowi – powiedziała, drugą ręką

podnosząc Księgę bez tytułu. – Chodź, wytłumaczę ci po drodze.  
Sanchez opierał się.  
- Nie możesz wytłumaczyć tutaj?

## PIĘĆDZIESIĄT TRZY

Sanchez wyszedł na Flake na korytarz. Bardzo chciał wrócić do domu albo chociaż zamknąć się w łazience, ale czuł, że lepiej mu będzie z Flake. Zanim wyszli z łazienki, zwięźle wytłumaczyła mu swój plan, który uknuła razem z Bourbon Kidem, którego określiła jako „całkiem spoko gościa”, chociaż strzelił Williamowi Clayowi w twarz, gdy byli na komisariacie. Sanchez słuchał uważniej, dopóki nie skończyła wyjaśniać mu planu i jego udziału w nim. Analizował chwilę sytuację i na głos wypowiedział swoje myśli.

- Do dupy plan – stwierdził, idąc za nią korytarzem. Przeszła nad ciałem niedawno zabitego klauna i odwróciła się twarzą do niego.

- Masz lepszy? – warknęła.

- Tak. Spieprzajmy stąd!

Flake wróciła ponad klaunem i uderzyła Sancheza w twarz. Całkiem mocno. I niesłusznie, według niego.

- Bądź facetem, Sanchez, do jasnej cholery – warknęła. – Mamy szansę zabić Jessicę. Jest wampirzycą i wydaje mi się, że najgorszą z możliwych. Jeśli możemy pomóc Bourbon Kidowi ją zabić, moim zdaniem głupio byłoby nie spróbować.

- Ale to niebezpieczne, nie sądzisz? – powiedział Sanchez. – To robota dla policji.

- My pracujemy w policji, kretynie!

- Kurde.

Flake wróciła korytarzem.

- Chodź, szybko – krzyknęła. – Albo idziesz ze mną, albo próbuj szczęścia z setką wampirów i zombie na zewnątrz.

Miała rację, a co ważniejsze, Sanchez zauważył, że miała Księgę bez tytułu. A ona zabijała wampiry. Gdzie szła Księga, szedł i on.

Poszedł za nią korytarzem, raz na jakiś czas przechodząc ponad

resztkami zmarłych wampirów albo wilkołaków. Flake zdawała się podążać tropem ciał. Poprowadziła po schodach na wyższe piętro. Było podobne do wcześniejszego, pełne krwi i ciał. Nie najlepsze miejsce. Flake dalej parła na przód, otwierając drzwi, oglądając pokoje i ponownie je zamykając. Wydawało się, że nie do końca wie gdzie iść, i chociaż Sanchez miał ochotę jej to wytknąć, przeczuwał, że znowu by go uderzyła, albo gorzej – spoliczkowała.

Kiedy sprawdziła wszystkie pokoje na drugim piętrze, skierowali się na kolejne schody udekorowane trupami. Sanchez oddychał z trudem. Ciężko mu było poruszać się w takim tempie, a śmierdzące trupy i kurki wszechobecnego kurzu jeszcze to utrudniały. Był to zdecydowanie większy wysiłek od tego, do którego nawykł. Na szczęście kolejne piętro okazało się inne. Zaczniemy od tego, że nie było korytarzy. U szczytu schodów znajdował się mały podest i ogromne, drewniane podwójne drzwi, po bokach których stały potężne posągi nagich mężczyzn.

- To tutaj! – powiedziała Flake, wskazując na drzwi.

- Skąd wiesz? – zapytał Sanchez.

- Nie ma więcej ciał. A to chyba jedyne drzwi na tym piętrze. To musi być koniec ścieżki. Idź za mną i pamiętaj, jesteś moim więźniem.

Sanchez westchnął.

- Nie wiem, jak ma nam się tu udać – jęknął. – Nigdy nie wzięłabyś mnie za zakładnika.

- Słonecznikowa Dziewczynka mogłaby wciąć się za zakładnika. A ja wyglądam jak wampir, że tak przypomnę – powiedziała Flake, kręcąc głową. – Zamknij się i graj swoją rolę!

Ostrożnie nacisnęła klamkę jednego ze skrzydeł i pchnęła. Skrzypaneły, gdy odepchnęła je od siebie. Sanchez zerknął ponad jej ramieniem przez drzwi. Po drugiej stronie znajdował się ogromny hol. Było jednak okropnie ciemno. Ktoś zapomniał włączyć światło.

- Chyba nikogo nie ma – powiedział Sanchez. – Może pójdziemy do domu?

Flake wzięła go za rękę i wciągnęła za sobą do dużego holu. Zamknęła za nimi drzwi, przez co zapanowały jeszcze gęstsze ciemności. Sanchez pomacał po ścianie wokół drzwi, szukając światła. Jego dłoń szybko trafiła na jakieś przełączniki i nacisnął wszystkie naraz. Pokój się rozjaśnił. Kilka żyrandoli zwisających z sufitu tchnęło światło do pomieszczenia. Nagle okazało się, że nie byli sami. Po szerokich stopniach po drugiej stronie schodziła Jessica i potężny żołnierz, w którym Sanchez rozpoznał Razora, jednego z wojskowych, którzy w Halloween odwiedzili Tapiocę. Razor mocno trzymał raczej rozkojarzoną kobietę w niebieskiej sukience. Także ją Sanchez rozpoznał. Psychiczna Beth.

Flake znowu złapała Sancheza za rękę i odciągnęła od przełączników, po czym pchnęła go na środek holu. Naprawdę traktowała go jak więźnia. „To upokarzające” pomyślał. Już miał jej powiedzieć, żeby przestała, kiedy Jessica odezwała się do nich z drugiego końca holu.

- Masz tam Księżę śmierci?

Flake przytaknęła.

- Tak. Ten facet ją przyniósł.

Jessica dotarła do końca schodów i stanęła na marmurowej podłodze. Syknęła do Sancheza:

- Więc znalazłeś moją księgę. To bardzo dobrze, Sanchez.

Wzruszył ramionami.

- Doprawdy drobiazg. Możesz dać mi nagrodę, i będę już leciał?

- Skąd ten pośpiech? – zapytała Jessica, a jej twarz wykrzywił podstępny uśmiech. – Może zostaniesz chwilę? Mamy przyjęcie. Jest tu też twój przyjaciel Bourbon Kida. Dosłownie za sekundę powinien się pojawić.

Stało się jasne, że Jessica była złą wampirze suką. Sanchez nie wiedział, jak mógł tego nie zauważyć wcześniej. Może zaślepiło go zauroczenie. Tak czy inaczej, nie zamierzał się z nią więcej zadawać.

- Nie trzeba. Muszę wpaść w kilka miejsc – powiedział, odwracając się w stronę drzwi. Flake pchnęła go mocno w plecy, posyłając bliżej

środku pomieszczenia.

Jessica szła ku nim środkiem holu, rozglądając się, bez wątpienia czekając na pojawienie się Bourbon Kida. Za nią powoli szli Razor i jego zakładniczka Beth.

Flake jeszcze raz popchnęła Sancheza, trochę mocniej niż było konieczne. Później ponownie odezwała się do Jessici:

- Nie zamierzał oddawać ci książki – powiedziała. – Dowiedział się, że jesteś wampirzycą i zmienił zdanie. Kiedy go znalazłam, chował się w łazience i próbował ukryć Księżę.

- To w jego stylu – kpiąco powiedziała Jessica. – Później się nim zajmiemy. Na razie myślę, że czas przywołać naszego tajemniczego gościa. – Rozejrzała się po holu, jeszcze raz szukając śladów Bourbon Kida, po czym krzyknęła głośno. – Bardzo dobrze. Razor, zabij dziewczynę.

„Co za suka” pomyślał Sanchez.

- CZEKAJ! – To był Bourbon Kid. Sanchez natychmiast rozpoznał grobowy głos. Zobaczył seryjnego mordercę wychodzącego z cienia za szerokimi schodami.

Przez jakieś dwadzieścia sekund Kid wymieniał obelgi z Jessicą i Razorem, próbując przekonać ich, żeby oddali Beth. Sanchez szturchnął Flake w ramię i skinął na Księżę bez tytułu, którą miała pod pachą.

- Teraz? – szepnął.

Flake skrzywiła się.

- Nie wiem. Czekam na jakiś sygnał.

- Jaki?

- Nie wiem. Kid powiedział, że będę wiedziała, kiedy przyjdzie czas. Sanchez szeroko otworzył oczy, gdy zobaczył rozwój akcji.

- KUUURDE! – krzyknął instynktownie. – Strzelił mu w jaja!

Bourbon Kid wystrzelił srebrną rzutkę z miniaturowej wyrzutni i trafił Razora prosto w interes. Ten zgiął się w pół i został zupełnie wyeliminowany z rozgrywki.

W ogólnym zamieszaniu Beth spróbowała uciec. Próba była



bezskuteczna, ponieważ Jessica złapała ją, zanim zdążyła zrobić dwa kroki. Królowa Wampirów owinęła jedną z długich kościstych rąk wokół szyi Beth. Jej paznokcie wydłużyły się i zmieniły w nieprzyjemnie wyglądające, ostre jak brzytwy pazury.

- Myślisz, że to sygnał? – szepnęła Flake.

- Może. Musisz coś szybko zrobić, albo ona zabije Psychiczną Beth.

Przed nimi Jessica i Kid wciąż przerzucali się obelgami. Jessica musiała zyskać przewagę, ponieważ Kid wyrzucił wyrzutnię z rękawa płaszcza. Zastukała na podłodze. Może się poddał?

- Masz jeszcze jakąś broń? – zapytała Jessica. – Jeśli tak, to masz ostatnią chwilę, żeby ją rzucić.

Kid rozchylił płaszcz. Pod nim miał prostą czarną koszulkę i czarne bojówki.

- Nie mam więcej. Puść ją.

- Zdejmij płaszcz i uklęknij – rozkazała Jessica.

- Puścisz Beth?

- Na kolana.

Kid zdjął płaszcz i rzucił go na podłogę. Ale zamiast paść na kolana, zrobił szybki ruch prawą ręką. Sięgnął za siebie i wyjął pistolet przewieszony przez plecy. Wymierzył w głowę Jessici, czerwony laserowy celownik spoczął na środku jej twarzy. Jessica była jednak szybko jak błyskawica. Gdy Kid miał naciskać spust, podstawiała głowę Beth na linię ognia. Przez kilka sekund Kid próbował wycelować w Jessicę. Za każdym razem przesuwiała jakąś część ciała Beth, by stanęła na linii czerwonego lasera.

W trakcie całego zajścia facet ze srebrną rzutką w jajach cicho jęknął. To zdekoncentrowało Kida, który na sekundę spuścił wzrok z Jessici i wycelował w leżącego na podłodze żołnierza.

BUM!

Głowa faceta eksplodowała, gdy pocisk trafił w czoło. Krew i mózg rozprysły na marmurowej podłodze za nim. Zrobił się okropny bałagan. „Zaśmierdnie, jeśli ktoś tego zaraz nie sprzątnie” pomyślał Sanchez, przypominając sobie podobny incydent z Tapioki.

Kid ponownie skupił się na Jessice i jeszcze raz spróbował oddać do niej strzał. Bez sukcesu. Jessica była za szybka. Ale gdy zajmował swoją osobą Jessicę, Flake mogła się do niej niezauważenie zbliżyć, ściskając Księgę bez tytułu. Gdy Flake podeszła tak blisko, że niemal jej dotykała, Kid opuścił broń i jeszcze raz zwrócił się do Jessici:

- Nie masz zamiaru jej puścić, co? – powiedział.

Jessica uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyś to zobaczył – powiedziała. – Chcę przemienić twoją kochaną Beth w wampirzycę. Będzie moją nową służącą. A ty będziesz mógł być jej pierwszą ofiarą, chyba że będzie wolał ją zabić. Wiesz, jak swoją matkę.

- I jak Archiego Somersa. Szkoda że nie słyszałaś, jak się darł. Żalotne.

Jessica mocniej złapała Beth za szyję. Pazury na końcach jej palców prawie przebijały skórę.

- Zrobię to z przyjemnością – syknęła.

Kid wydawał się nieporuszony.

- Wiedziałem, że do tego dojdzie. Przestań grozić i to zrób. Na co czekasz?

Flake przestała się skradać i dosłownie wpadła na Jessicę.

Sanchez patrzył z przerażeniem, jak Jessica, kobieta w której kochał się przez sześć lat, otwierała szeroko usta, odsłaniając długie wampirze kły, żądna krwi. Wbiła je głęboko w szyję Beth dokładnie w chwili, gdy Flake przycisnęła Księgę bez tytułu do jej pleców.

Jessica i Beth krzyknęły z bólu w tym samym czasie. Ciężko było orzec, jak głęboko Jessica zatopiła kły w szyi Beth, ale gdy Flake uderzyła ją książką, Królowa Wampirów cofnęła się. Płomienie buchnęły wokół jej pleców, gdzie Flake przyciskała do niej Księgę. Ogień był cholernie duży. Sanchez czuł gorąco w miejscu, w którym on stał. W kilka sekund Jessica zmieniła się w ogromną płonąca kulę. Od której zajęła się Flake.

Sanchez poczuł lód w żyłach, gdy usłyszał krzyki Flake. Skoczył i złapał ją, obejmując rękami w pasie. Pociągnął ją mocno i udało mu

się odciągnąć ją od płomieni i książki, która przykleiła się do pleców Jessici. Odciągnięcie jej nie było łatwe i siła odśrodkowa sprawiła, że Sanchez spadł na plecy, ciągnąc ją za sobą.

Bourbon Kid odciągnął Beth od płomieni, ale w przeciwieństwie do Sancheza nie stracił gruntu pod nogami. Położył Beth na marmurowej podłodze i ponownie wycelował. Tym razem strzał był celny. Jessica nie miała czym się chronić. Wypuścił kilka strzałów. Nastąpiły tak szybko po sobie, że Sanchez nie było do końca pewny, ile. Ale każdy pocisk zdawał się trafiać prosto w pierś Jessici, która wirowała w agonii w kuli ognia. Ostatni nabój poleciał do jej twarzy. Jej krzyki ustały, a ciało jakby zapadło w sobie. Całe mięso zniknęło z jej ciała w ułamku sekundy. Kid odsunął się od płomieni, a Sanchez z zachwytem patrzył, jak pozostałości Jessici powoli opadały na podłogę, jej kości zmieniały się w pył.

I zniknęła. Tym razem na zawsze.

Ogień, który przedtem ją trawił, tlił się lekko na podłodze, aż całkiem wygasł, pozostawiając tylko kupkę szarego popiołu. Za rzednącym dymem Sanchez widział Bourbon Kida. Kucał nad Beth, która leżała skulona na podłodze u podnóża schodów. Z dużej rany po ukąszeniu na jej szyi ciekła krew.

Flake wyzwoliła się z uścisku Sancheza i wstała, podchodząc do Kida. Sanchez powoli podniósł się na nogi.

- Co z Beth? – zapytała Flake. – Spóźniłam się?

Sanchez nie widział Beth na tyle, by ocenić jej stan. Kid zrobił to za niego.

- Albo umrze, albo zmieni się w wampira – powiedział.

- O Boże – jęknęła Flake. – Możemy coś zrobić?

Kid pochylił się i wziął Beth na ręce. Jedną rękę włożył jej pod kolana, drugą pod ramiona. Jej głowa opadła bezwładnie ponad jego ramieniem. Sanchez widział, że była nieprzytomna lub martwa.

Kid spojrzał na Beth ze zmartwioną miną.

- Musimy zabrać ją do muzeum - powiedział.

- Co jest w muzeum? – zapytała Flake.

- Właściwie nic – odparł Sanchez. – Byłem raz. Obrazy i stare rzeźby. Śmieci.

Kid zignorował Sancheza i skierował się do podwójnych drzwi na końcu holu, niosąc Beth na rękach.

- W muzeum jest Oko Księżycy – powiedział. – Potrzebuję kierowcy, Flake. Jedziesz?

Flake zabrała z podłogi Księgę bez tytułu, strzepując trochę resztek Jessici z okładki.

- Żebyś wiedział – powiedziała, spiesząc za nim.

- Ja też! – krzyknął Sanchez, żeby o nim nie zapomnieli.

Ostatni raz spojrzął na kupkę pyłu, która kiedyś była Jessicą. Jak do tego doszło? Jessica już nie żyła, a on teraz zmierzał do muzeum z Bourbon Kidem.

# PIĘĆDZIESIĄT CZTERY

**D**obiegnięcie do muzeum zajęło Kacy mniej niż dwadzieścia minut. Gdy tam dotarła, była już mocno spanikowana. Dante nie odpisał na jej wiadomość. Gdy biegła przez opustoszałe ulice, próbowała do niego dzwonić, ale jego telefon był wyłączony. W desperacji próbowała jeszcze zatelefonować do Bourbon Kida. On również nie odebrał, zostawiła mu więc wiadomość, dość niejasną, głupią i niezrozumiałą wiadomość, ale miała nadzieję, że uda mu się wyłapać ogólny sens. Musiała ściągnąć go do muzeum tak szybko, jak to tylko możliwe.

Kiedy dotarła do muzeum, rozejrzała się w poszukiwaniu samochodu Kida. Nie widziała go nigdzie, do wejścia nie prowadziła też ścieżka z trupów, co prawdopodobnie świadczyło, że jeszcze się nie zjawił. Była sama.

Nogi miała miękkie ze zdenerwowania, gdy wbiegała po stopniach do wejścia. Podwójne drzwi były otwarte. Zerknęła przez nie do recepcji i zobaczyła, iż była pusta. Przynajmniej z zewnątrz wyglądała na pustą, ale gdy weszła do środka, zobaczyła leżące na plecach ciało w dalekim końcu pomieszczenia. Natychmiast je zidentyfikowała. To był Ważniak.

Rozejrzawszy się w obydwie strony, czy nikt się nie skradał, podeszła do niego. Ktoś nieźle go urządził. Twarz miał zakrwawioną i posiniaczoną, jego uroda zniknęła na zawsze. Oczy miał zamknięte i paskudnie opuchnięte. W jakiś dziwny sposób Kacy liczyła, że to Dante zgotował dowódcy Cieni taki lanie. Ale z drugiej strony wątpiła w to. Intuicja mówiła jej, że bez względu na stan Ważniaka, Dante miał kłopoty. O ile wciąż żył.

Schyliła się i szturchnęła Ważniaka w pierś, sprawdzając, czy był przytomny. Gdy go dotknęła, była pewna, że dostrzegła ruch klatki

piersiowej, chociaż bardzo lekki.

- Ważniak – szepnęła głośno. – Żyjesz?

Nie odpowiedział, więc ponownie szturchnęła go w pierś, tym razem mocniej. Otworzył oczy, ruszył lewą ręką i złapał ją, ściskając lekko. Zaskoczył ją, ale gdy przeminął pierwszy szok, przypomniała sobie, że był prawie trupem i nie byłby w stanie jej zagrozić.

- Co tu się stało? – zapytała. – Gdzie Dante?

Ważniak lekko otworzył usta. Jego zęby pokryte były krwią, w większości jego własną. Dużo więcej krwi utknęło w jego brodzie, wysychając szybko. Spojrzał na nią prawie nieprzytomnym wzrokiem.

- Kacy? – wychrypiał.

- Tak. Gdzie Dante?

Ważniak zakaszał krwią i wypluł ją na brodę.

- Przykro mi – powiedział. – Gajusz go dorwał.

- Gdzie? Gdzie poszli?

- Na dół. - Przełknął trochę krwi, po czym wykrztusił jeszcze kilka ledwie słyszalnych słów. – Pochowają go w grobowcu.

Kacy zaczęła się podnosić, gotowa do marszu na dół, by odnaleźć Dantego, ale Ważniak (ostatkami sił) nie poluzował chwytu na jej ręce i pociągnął ją w dół.

- Czekaj – wychrypiał. – Jest ich zbyt wielu. Będziesz potrzebowała tego. – Wcisnął jej do ręki mały twardy przedmiot. Później puścił ją i pozwolił rękom opaść na boki.

- Co mam z tym zrobić? – zapytała Kacy.

Ważniak przełknął ślinę. Jego czas się kończył. Płytko nabrał powietrza i wykrztusił dwa słowa:

- Użyj tego...

- Do czego?

Wziął kolejny krótki wdech. Wypuścił powietrze i wykaszłał jeszcze kilka słów.

- Użyj do

- Do czego? Do czego mam tego użyć?

- Użyj do... - Nie mógł wypowiedzieć reszty zdania. Jeszcze raz wypuścił powietrze, a potem jego głowa osunęła się na bok. Kacy ścisnęła go za policzki i odwróciła jego twarz przodem do niego.

- Do czego użyć? – zapytała błagalnie. – Do czego to służy?

Ważniak nie odpowiedział.

- Do czego to jest? – powtórzyła. – Ważniak! Ważniak! Do czego tego użyć?

To nic nie dało. Ważniak nie oddychał. Umarł. Nie wiedziała, co lub kto go zabił, ale nie miała czasu ani chęci, by się tym martwić. Podniosła się i pospieszyła do schodów prowadzących na niższe piętro, do grobu egipskiej Mumii.

Gdy zeszła na dół schodami, poczuła wibracje komórki w kieszeni. Wyjęła ją i zerknęła na ekranik.

NOWA WIADOMOŚĆ

Otworzyła. Od Bourbon Kida. Składała się tylko z dwóch słów, ale były to słowa, które Kacy chciała usłyszeć.

Już jadę,

Odetchnęła z ulgą. Uczucie to trwało jednak tylko chwilę. Gdy stanęła u stóp schodów, zobaczyła Ramzesa Gajusza. Stał plecami do niej pośrodku ogromnego holu. Przed nim znajdowały się cztery wampiry z klanu Czarnej Plagi, ubrane od stóp do głów w stroje ninja. Na podłodze pomiędzy nimi był Dante. Był nieprzytomny albo martwy. Ninja uwinęli go w bandażę od stóp do pasa. Zdjęto z niego ubrania, które leżały teraz przy wejściu do grobowca. Ważniak miał rację, chcieli pochować go żywcem, zabandażowanego jak mumię.

Nikt nie zauważył jej przybycia, więc szybko ukryła się za posągiem Napoleona Bonapartego. Szybko musiała zdecydować, co dalej. Czy miała czas, żeby poczekać na Bourbon Kida? Co mogłaby zrobić sama? Rozważała możliwe wyjścia, gdy usłyszała głos Ramzesa Gajusza. Nie rozejrzał się nawet, ale wyczuł jej obecność.

- Panna Fellangi, jak miło, że do nas dołączasz! – krzyknął.

Udawała, że go nie usłyszała, i wciąż kryła się z rzeźbą. Czterej wampirzy ninja rozejrzeli się. Żaden nie zauważył Kacy obserwującej

ich z za posagu.

Gajusz ponownie się odezwał.

- Wyjdź proszę z za Napoleona.

Koniec gry. Kacy wyszła z kryjówki za posagiem. Mogła jedynie próbować zagadywać Gajusza na tyle długo, by Bourbon Kid dojechał i szczęśliwie zakończył tę farsę.

- Dante żyje? – zapytała.

Gajusz odwrócił się powoli i stanął twarzą do niej. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i wsunął do kieszonki na piersi swojej srebrnej marynarki. Kacy dobrze widziała jego prawe oko. Znajdowało się w nim Oko Księżyca. Tyle z gadania o polerowaniu go. Gdy patrzyła w nie, Gajusz uniósł prawe ramię. Jego dłoń świeciła na jasnoniebiesko i celowała w nią. Czuła, że coś złego się do niej zbliżało, więc ponownie schowała się za posag.

Niebieski laser wystrzelił z dłoni Gajusza i trafił w podłogę tam, gdzie stała. Odbił się od ziemi rykoszetem i zniknął na schodach za nią. Na twarzy malowała mu się irytacja. Wymierzył ponownie, celując w rzeźbę Napoleona. Kolejny laserowy pocisk wyleciał mu z ręki i trafił z głowę posagu. Siła impetu strąciła go z betonowego postumentu. Posąg zwałił się na Kacy. Próbowała odsunąć mu się z drogi, ale czapka Napoleona zahaczyła jej głowę, posyłając na podłogę.

Gdy leżała pod Napoleonem, oszołomiona i zdezorientowana, usłyszała słowa Gajusza. Tym razem nie mówił do niej. Zwracał się do czterech towarzyszących mu wampirów.

- Bierzcie ją – rozkazał. – Owińcie ją i wrzucicie do grobowca razem z jej chłopakiem.

- Tak, sir – odpowiedział jeden z wampirów.

Poczuła parę zimnych dłoni podnoszących ją z niemi. Telefon wypadł jej z kieszeni i wylądował na podłodze. Wciąż miała przed oczami gwiazdki, więc nie widziała, gdzie dokładnie. Gdy jeden z ninja ciągnął ją po podłodze, usłyszała słowa innego.

- Gajusz, według telefonu tej suki Bourbon Kid tu jedzie.



# PIĘĆDZIESIĄT PIĘĆ

Sanchez otworzył główne drzwi Casa de Ville i wyrzął na podwórze. Tak jak się bał, wciąż były tam wampiry, zombie i wilkołaki rozszarpujące się nawzajem i przyskające na śnieg krwią oraz wnętrznościami. Co gorsza, dość sporo zgromadził się pomiędzy nim a policyjnym wozem, który Flake zaparkowała u stóp betonowych schodów. Dotarcie do samochodu będzie trudne i niebezpieczne.

Odwrócił się, sprawdzając, gdzie była reszta. Po drugiej stronie holu Flake przytrzymała otwarte drzwi, by Bourbon Kid mógł przenieść przez nie Beth. Miał ją w ramionach, oparł jej głowę na swoim lewym bicepsie, by nie opadła w tył i nie powodowała dyskomfortu. Jej godziny na ziemi były policzone, co do tego Sanchez miał pewność. Była ledwie przytomna i zupełnie obojętna na to, co działo się wokół. Farciara.

Flake puściła drzwi i minęła ich, idąc w jego stronę.

- Jak wygląda sytuacja? – zapytała.

- Nie najgorzej – odpowiedział. – Proszę, potrzynam im drzwi, a ty idź odpalać samochód.

- Dobra – powiedziała Flake. – Niezły pomysł.

Sanchez otworzył przed nią drzwi i przepuścił na podwórze. Od pachą miała Księżę bez tytułu, więc stwierdził, że była całkiem bezpieczna. Gdy biegła w dół schodami, trzymała ją przed sobą na wypadek, gdyby coś ją zaatakowało.

Sanchez odwrócił się i zobaczyła Bourbon Kida podchodzącego z Beth.

- Flake odpala samochód – powiedział. – Jest tuż za drzwiami. Idź przodem. Będę osłaniał tyły.

Kid wyrzął przez drzwi, obserwując rzeźnię na zewnątrz. Później

spojrzał z powrotem na Sancheza.

- Na pewno nie chcesz, żebym ciebie też wyniósł? – zapytał.

Była to kusząca propozycja, ale Sanchez wyczuwał w jego głowie sarkazm.

- Poradzę sobie. No, chodźmy.

Kid wyszedł przez drzwi, uważając, żeby nie uderzyć głową Beth o futrynę. Sanchez wyciągnął latarkę z za paska i poszedł za nim.

Flake już uruchomiła silnik i wycofywała w kierunku schodów, żeby ich przejście od drzwi do samochodu było jak najkrótsze. Włączyła też światła, co zwróciło uwagę stojących w pobliżu nieumarłych stworów. Sanchez szturchnął Bourbon Kida w plecy, żeby się pospieszył, na wypadek gdyby jakiś wampir czy wilkołak zechciał ich zaatakować. Kid szybko zszedł schodami do auta. Większość nieumarłych doskonale wiedziała, z kim miała do czynienia, i wycofywała się przed nim. Sanchez wykorzystał sytuację i mógł pójść za Kidem, zatrzymując się tylko po to, by rąbnąć beznogie zombie w głowę swoją latarką.

Do samochodu dotarli nietknięci. Sanchez okrążył Kida, żeby otworzyć drzwi i zanurkować do środka, zanim wampiry się rozmyślą. Pociągnął drzwi, stracił równowagę na oblodzonym podjeździe i spadł na tyłek. Kis wykorzystał to i ostrożnie położył Beth na tylnym siedzeniu samochodu. Wszedł za nią i zamknął za sobą drzwi.

Sanchez podniósł się na nogi i zobaczył ogromnego wilkołaka toczącego się przez podjazd w jego kierunku. Była to potężna, owłosiona bestia w kształcie ogromnego wilczarza. Prawdopodobnie był czystej krwi, zrodzony jako wilkołak w pełni księżyca. Najgorszy z najgorszych. Miał ogromne kły i żądny krwi wzrok, który skupiał się na nim. Nie było sensu czekać, żeby ten drań podszedł bliżej. Ale gdy Sanchez człapał do samochodu, bestia skoczyła w powietrze, kierując się w jego stronę z szeroko otwartą paszczą, gotowa na poczęstowanie się częścią jego twarzy.

Na szczęście Flake widziała zbliżającego się wilkołaka. Nachyliła się

nad fotelem pasażera i otworzyła drzwi po jego stronie. Uderzyły wilka w twarz, która wydała nieprzyjemny chrzęst. To posłało bestię w tył, skomlącą rozpaczliwie.

Sanchez nie potrzebował drugiego zaproszenia i zanurkował na fotel pasażera, zamykając za sobą drzwi. Spojrzał na Flake.

- Zabieraj nas stąd! – krzyknął.

Flake nie trzeba było powtarzać. Docisnęła stopę na pedale gazu i samochód ruszył podjazdem. Wampiry, zombie i wilkołaki odbijały się od maski samochodu, gdy jechali oblodzoną ścieżką w kierunku głównej bramy.

- Chcesz trafić wszystkie? – zapytał Sanchez, gdy twarz Pandy uderzyła w szybę dokładnie przed nim.

- Ciężko ich omijać – powiedziała Flake, walcząc z kierownicą.

Sanchez spojrzał przez ramię na tylną kanapę. Bourbon Kid ułożył sobie Beth na kolanach. Odgarniał włosy z jej twarzy i owijał jej szyję białą szmatką, by powstrzymać wypływ krwi z rany, którą zrobiła Jessica.

- Jak to wygląda? – zapytał Sanchez.

- Niedobrze. Musimy być w muzeum za kilka minut, jeśli chcemy mieć jakieś szanse na jej uratowanie.

- Jest już jedenasta trzydzieści! – krzyknęła Flake.

- Więc mam tylko pół godziny – powiedział Kid. – Gazu, Flake.

- Jasne.

Sanchez obrócił się na siedzeniu i patrzył, jak Flake przejeżdża przez bramę i skręca w lewo.

- Jezu, Flake, Stevie Wonder jeździ lepiej od ciebie! – wrzasnął.

- I gra na pianinie lepiej od ciebie, więc się zamknij – usłyszał odpowiedź.

Sanchez zignorował przytyk. Czuł ulgę, widząc, że na miejskich ulicach nie było nieumarłych potworów. Nie do końca podobał mu się styl jazdy Flake, gdy w przeszłości miał okazję z nią jeździć. Miała zwyczaj uderzania w coś co trzydzieści sekund, bez względu na to, czy był to wampir, wilkołak, zombie czy zwykła księżka. Kiedy

Sanchez uderzył coś w stylu bałwana, było to zaplanowane. Kiedy to Flake siedziała za kółkiem, musiał przyjąć pozycję obronną, mocno przyciskając ręce do deski rozdzielczej i życząc sobie szczęścia. Jakimś cudem Flake nie uderzyła w nic przez całą drogę do muzeum, mimo że ulice były śliskie, a ona jechała szybko.

Po dziesięciu minutach szalonej jazdy przez miasto, zaparkowała tuż przed głównym wejściem do muzeum.

- Jesteśmy – krzyknęła do Kida.

On już otwierał drzwi i wysiadał. Zatrzasnął drzwi za sobą i stanął na chodniku. Zamiast od razu popędzić do muzeum, zastukał w szybę Sancheza. Ten uchylił ją o kilka cali.

- Co? – zapytał.

Kid nachylił się tak blisko wolnej przestrzeni u góry okna, jak tylko się dało.

- Flake, zajmij się Beth. Wrócę jak najszybciej.

- Oczywiście – powiedziała Flake. – Powodzenia!

Kid pognął schodami do muzeum. Sanchez zasunął okno i spojrzał przez ramię na tylną kanapę. Beth leżała bez czucia, głowa spoczywała na siedzeniu. Ledwie oddychała. Mogła umrzeć lub zamienić się w wampira w każdej chwili.

- Lepiej zostańmy z przodu – zasugerował.

Flake skarciła go.

- Ona umiera, na Boga. Usiądę z tyłu, żeby mieć pewność, że nic jej nie będzie.

- Jak chcesz – powiedział Sanchez. Sięgnął w dół i podniósł Księgę bez tytułu, którą Flake rzuciła mu pod nogi, gdy wsiadła do samochodu. – Ja przygotuję sobie to, jakby się przemieniła i musielibyśmy ją zabić.

Flake właśnie otworzyła drzwi po stronie kierowcy, żeby wysiąść. Zawahała się i spojrzała na Księgę bez tytułu w rękach Sancheza.

- O kurwa! – powiedziała z szeroko otwartymi oczami. – Kid wszedł do muzeum bez księgi! Weź ją i biegnij za nim!

- Co?

- Ja obiecałam, że zostanę z Beth. Lepiej biegnij za Kidem i daj mu Księżę. Nie odzyska Oka Księżycyca bez niej!

Sanchez spojrział przez okno. Drzwi do muzeum były otwarte. Kid już w nich zniknął. Jeśli Sanchez chciałby dogonić go, zanim dotrze do Ramzesa Gajusza, musiałby się pospieszyć. Wetknął Księżę bez tytułu pod pachę i otworzył drzwiczki. Gdy wyszedł, Flake zrobiła to samo po drugiej stronie pojazdu. Otworzyła tylne drzwi, żeby wejść i zająć się Beth. Zanim wsiadła, zawahała się. Nachyliła się i złapała Sancheza za rękę. Przyciągnęła go do siebie.

- Co znowu? – zapytał.

- Chciałabym podziękować za to, że mnie przedtem ocaliłeś.

- Och. Jasne. – Zarumienił się, gdy przypomniał sobie chwilę, gdy wyciągnął ją z ognia. – No wiesz – mruknął – jesteś moim szoferem.

Flake dźgnęła go żartobliwie w brzuch.

- Potrzebują cię tam – powiedziała, wskazując na muzeum. – Idź, jeszcze raz zostań bohaterem. Powodzenia.

# PIĘĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Kacy nie odzyskała jeszcze pełni świadomości. Czuła mdłości i zamroczone po uderzeniu w głowę betonowym kapeluszem Napoleona. Wzrok też ją chwilowo zawodził. Ale słyszała głosy. Były to głosy wampirów ninja, którzy zaciągnęli ją do grobowca, gdzie Dante leżał na podłodze w znacznie gorszym stanie niż ona.

- Ej! Zostawcie nam trochę bandaży. Musimy załatwić jeszcze dziewczynę.

- Rozbierzcie ją. Zabandażujemy ją.

- Dlaczego wy?

- Bo my mamy bandaże, matole.

Wtrącił się trzeci głos.

- Pomogę ci ją rozebrać.

- Dobra. Trzymaj ją, a ja zdejmę jej spodnie.

- Okej, ale pospiesz się. Chyba odzyskuje przytomność.

Słyszając, że za chwilę zdejmą z niej spodnie, Kacy faktycznie starała się oczyścić umysł i wrócić do zmysłów. Czuła parę rąk wsuwających się jej pod pachy i podnoszących ją z podłogi. Kolejna postać nachyliła się przed nią i zaczęła rozpinąć dżinsy. Szybko uwinął się z robotą. Jej dżinsy z łatwością zsunęły się poniżej kolan.

- O kurwa, jakie nogi.

Kacy zamrugła kilka razy i powoli zaczęła odzyskiwać wzrok, choć wciąż trochę rozmyty. Dżinsy zostały zsunięte do kostek. Nachylony przed nią ninja gorączkowo zdejmował z niej trampki.

Gdy wracał jej wzrok, facet, który trzymał ją z tyłu, chwycił dół jej bluzy. Podniósł ją do jej głowy, gdzie się zaklinowała i poszorowała jej twarz, ponownie oślepiając. Dwa wampiry kręciły nią w różne strony, zupełnie nie przejmując się tym, jak ona się czuła. Nawet gdyby nie była pozbawiona przytomności, raczej nie przejmowałiby się tym.

Poczuła, że trampki zostały zdjęte i usłyszała, że rzucono je w bok. Chwilę później za dzinsy mocno szarpnięto i zupełnie zsunęły się z jej nóg. Czuła dotyk zimnych, kościstych dłoni wampira, posuwających się w górę jej nóg w kierunku jej bielizny (pary różowych majtek z czarnym haftowanym napisem WSTĘP WOLNY, które kupił jej Dante). Za nią drugi ninja wciąż siłował się ze zdjęciem swetra przez głowę.

Gdy poczuła zimne palce wampira wsuwają się za jej majtki, usłyszała głośny trzask. Uścisk palców wampira na jej bieliźnie zależał, później jego ręce zniknęły, zostawiając bieliznę na miejscu, lekko przemieszczoną.

Gość za nią przestał ciągnąć za bluzę.

- Co do cholery? – powiedział zaskoczony.

BUM!

Kacy poczuła powiew, gdy pocisk minął jej głowę. Facet za nią natychmiast zwolnił uścisk i spadła w tył, mocno uderzając głową w podłogę. Leżała na plecach, czując się jeszcze bardziej zamroczone niż przedtem i zastanawiając się, co się stało. Po krótkiej chwili krzywienia się z bólu po kolejnym uderzeniu w głowę, przyszła do siebie i uprzytomniła swoje położenie. Złapała sweter i zaczęła go na siebie naciągać, przykrywając chociaż część swoich wdzięków.

Huk wystrzału wciąż dzwonił jej w uszach. Siłując się ze swetrem, usłyszała dwa kolejne strzały, po których nastąpiły dźwięki dwóch kolejnych ciał opadających na podłogę. Chwilę ciszy przerwał potężny głos Ramzesa Gajusza.

- Pokaż się, ty tchórzliwy sukinsynu! – wrzasnął.

Kacy wreszcie udało się włożyć głowę do otworu w swetrze. Wzięła głęboki wdech i rozejrzała się. Wzrok wciąż miała rozmyty, ale przynajmniej miała ogólne pojęcie o swoim otoczeniu. Dante leżał na podłodze kilka jardów od niej. Spodziewała się gdzieś zobaczyć Bourbon Kida. Na pewno tu był, widziała ślady jego działalności. Widziała parę wampirów leżących na podłodze przy Dantem. Obydwaj mieli w głowach śmiertelny rany postrzałowe, które

zawdzięczali Bourbon Kidowi. Dwa inne leżały na ziemi niedaleko jej. Jeden miał skręcony kark, a drugi tylko połowę głowy.

Gdy Kacy kontynuowała rozglądanie się po masakrze wokół, oślepiło ją nagłe jasnoniebieskie światło. Zobaczyła jego źródło. Gajusz strzelał niebieskim laserem z obydwu dłoni, mierząc na oślepe we wszystkie strony. Ale gdzie był Bourbon Kid? Wokół było mnóstwo rzeźby i eksponatów, za którymi mógł się ukryć, a Gajusz najwyraźniej nie był w stanie go zlokalizować.

Jakby laserowe strzały i naboje nie były wystarczające, jeden z nietrafionych ataków Gajusza stworzył kolejny problem. Czerwone zasłony zajęły się ogniem i zapłonęły. Nie tylko utknęła w jednym pomieszczeniu ze wściekłą mumią, seryjnym mordercą, nieprzytomnym chłopakiem i nie wiedziała, gdzie są jej spodnie, ale musiała się jeszcze pogodzić z tym, że wybuchł tu pożar!

Podniosła się na kolana i rozejrzała po pokoju. Dżinsy i trampki rzucono na podłogę niedaleko starego pianina z siedzącym za nim manekinem Ludwiga Beethovena. Głęboko nabrała powietrza i ostrożnie zaczęła czołgać się w jego kierunku, opierając się na dłoniach i kolanach.

Za sobą słyszała przekleństwa Ramzesa Gajusza i strzały lasera we wszystkich kierunkach. Co jakiś czas odpowiadał wystrzał z pistoletu. Gajusz i Kid mierzyli do siebie, ale podczas gdy Lord Nieumarłych był zupełnie niekryty, Kid ukrywał się gdzieś w cieniach ekspozycji.

Kacy naciągnęła się i złapała dżinsy koniuszkiem palca. W tym momencie niebieski laserowy pocisk uderzył w podłogę nieopodal i odbił się, przelatując kilka cali przed jej nosem. Czasu nie miała za dużo. Dżinsy miała prawie w całości odwrócone na lewą stronę, bo wampir zdejmował je z niej w pośpiechu. Gdy podniosła je z podłogi, coś wypadła z jednej z przednich kieszeni. Był to mały przedmiot, który dał jej Ważniak. Przywołała w myślach chwilę, gdy wsunął go jej w rękę.

- Użyj go... - powiedział.



# PIĘĆDZIESIĄT SIEDEM

Sanchez niespiesznie schodził schodami do holu. Pod sobą słyszał wystrzały i trzaski różnych pękających przedmiotów. To był niewątpliwy znak, że Bourbon Kid mierzył się z Ramzesem Gajuszem, i to bez Księgi bez tytułu. Sanchez miał nadzieję, że nie przybył na późno.

U stóp schodów zobaczył to, co towarzyszyło hałasom. Zastony zajęły się ogniem, płomienie się rozprzestrzeniały. Na podłodze leżały martwe ciała, co go właściwie nie zaskoczyło. Dalej, przy rozbitej szklanej gablocie zobaczył nieprzytomnego Dantego, owiniętego od stóp do ramion w bandażu. Widok całkiem atrakcyjnej brunetki lekko po dwudziestce, czołgającej się po podłodze na kolanach, ubranej tylko w czarny sweterek i parę różowych majtek z napisem WSTĘP WOLNY dość mocno go zdziwił. W normalnej sytuacji, Sanchez dokładnie przeliterowałby ten napis, ale nie było na to czasu. Potężna łysogłowa postać Ramzesa Gajusza stała na środku holu, zwrócona plecami do Sancheza. Z dłoni wypuszczał niebieskie błyskawice, ciskając nimi właściwie we wszystko. Odbijały się od podłogi i ścian, uderzając w rzeźby i gabloty. Wszystko, w co trafiły, pękało na pół lub stawało w płomieniach. Destrukcyjny facet.

Kątem oka Sanchez dostrzegł Bourbon Kida. Krył się w cieniach za czarną zastoną, która przesłaniała rzeźbę grubego golasa. W dłoni miał potężny pistolet. Zobaczył Sancheza i skinął na niego. Później zniknął w cieniach. Po jego zniknięciu rozległ się głośny wystrzał z pistoletu, który przerwał ogień Gajusza. Ogromna mumia strzeliła laserem w zastonę, za którą wcześniej krył się Kid.

Sanchez nie miał pojęcia, co miało znaczyć skinienie Kida, ale przypuszczał, że był to jakiś znak. Zapewne miał zrobić coś ważnego. Coś odważnego. Kid odwrócił uwagę Gajusza od schodów, żeby

Sanchez mógł wejść niezauważony. To była jego wielka chwila. Sanchez stał ledwie dwadzieścia minut od niego. Czas zostać bohaterem, tak jak sugerowała Flake.

Podszedł za Gajusza tak szybko, jak mógł, odrywając wzrok od pleców mumii tylko na moment, żeby zerknął na tyłek dziewczyny w różowych majtkach, na wypadek gdyby potem nie miał okazji.

Kiedy stał niecały jard za Gajuszem, uniósł Księgę bez tytułu nad głowę i uderzył nią w potylicę mumii. Niestety, gdy ją opuszczał, Pan Nieumarłych niespodziewanie się odwrócił. Nie było czasu, by Sanchez zatrzymał swój atak, ani by Gajusz się uchylił. Książka uderzył go prosto w twarz, trafiając z mocą w nasadę nosa.

Sanchez wrócił pamięcią do chwili, gdy Flake uderzyła Jessicę. Niemal natychmiast załatwiła Królową Wampirów. O Ramzesie Gajuszu nie można było tego powiedzieć. Przez chwilę, która wydawała się niesamowicie długa, Sanchez stał bez ruchu, dociskając książkę do twarzy mumii. Ale Gajusz nie stanął w płomieniach. Po prostu podniósł ręce i złapał książkę. Potem pchnął ją na twarz Sancheza. Impet był niesamowity. Sanchez poleciał na podłogę za sobą. Stopy odbiły się wyżej niż głowa i zwinął się dziwnie, a gdy wreszcie się zatrzymał, miał głowę niemal wetkniętą między własne pośladki. Gdy usiadł, zobaczył Gajusza rzucającego w niego Księgą bez tytułu. Magiczna książki nie zraniła Gajusza. Mumia nie interesowała się nią. Nonszalancko cisnął nią w głowę Sancheza. Sanchez uchylił się i w obronnym geście uniósł dłonie, gotów na brutalny atak lśniących na niebiesko dłoni Gajusza.

Ale za napastnikiem zobaczył promyk nadziei. Bourbon Kid wyszedł z cieni i mierzył z broni w głowę Sancheza. Czarny laserowy wskaźnik wskazywał dokładnie miejsce, gdzie znajdowało się Oko Księżyca. Gdy Gajusz przygotowywał się do trafienia laserowym pociskiem w Sancheza, Kid wystrzelił.

**BUM!**

To był cholernie dobry strzał. Sanchez patrzył z podziwem. Widział wszystko tak dokładnie, jakby ogrywane było w zwolnionym tempie.

Z tyłu głowy Gajusza trysnęło kilka kropli krwi, gdy pocisk przebił czaszkę. Później rozległo się metaliczne stuknięcie, gdy nabój uderzył w Oko Księżyca, a następnie, jak we śnie, niebieski kamień wyleciał z jego oczodołu, rozpryskując wokół krew.

Radość Sancheza na ten widok była krótka.

Ramzes Gajusz miał tak szybkie odruchy, jak laserowe pociski, którymi strzelał z dłoni. Lewa ręka ruszyła do akcji. Złapała niebieski kamień, gdy wyleciał mu przed głowę. Klejnot nie przeleciał nawet pół jarda, a on już go odzyskał.

Gajusz spojrział na kamień pozostałym okiem. Przez chwilę Sanchez pomyślał, że widział jego uśmiech. Chwile minęła za szybko i Gajusz odwrócił się twarzą do Bourbon Kida. Z tyłu głowy Gajusza, Sanchez zobaczył dziurę, którą zrobił nabój. Otwór zamknął się, gdy na niego patrzył, znikając szybko dzięki leczniczym mocom Oka Księżyca.

O kurwa, pomyślał Sanchez. ten facet jest niepokonany.

Gajusz warknął do Kida.

- Miałeś okazję. Teraz moja kolej!

Uniósł prawą rękę i strzelił niebieskim laserem w zakapturzoną postać z długim ciemnym płaszczu. Uderzył Kida w pierś i uniósł ponad ziemię. Przeleciał w powietrzu dwadzieścia stóp i uderzył w gablotę z egipskim sarkofagiem.

Jasna cholera!

Sanchez był pod wrażeniem mocy Ramzesa Gajusza. Ten gość był uosobieniem chodzącej armii złożonej z Iron Manna, generała Z i Niezwycięzonego Hulka.

Na szczęście Gajusz zupełnie zapomniał o Sanchezie i zrobił kilka ogromnych kroków w stronę Bourbon Kida, gotów go wykończyć.

Gdyby Gajuszowi udało się zabić Kida, niebawem zająłby się Sanchezem i pónagą dziewczyną. Jedno z nich umarłoby jako kolejne. Sanchez przynajmniej miał na sobie spodnie, więc raczej nie zwróciłby na siebie uwagi jako pierwszy.

Wszystkie szanse na przeżycie spoczywały w Bourbon Kidzie i jego

odnowionych umiejętnościach walki. Sanchez musiał wymyślić sposób na zdekcentrowanie Gajusza, zanim zabije Bourbon Kida. Musiał kupić Kidowi trochę czasu, ponieważ na razie zakapturzony morderca wydawał się zamroczony, leżąc na podłodze czy sarkofagu.

Sanchez zobaczył, że dziewczyna podniosła coś z podłogi obok dzinsów. Był to mały ciemny przedmiot, który miała zamiar rzucić. Rzucenie tym w Gajusza było raczej durnym pomysłem, ale w chwili obecnej było to chyba ich jedyne wyjście. Flake powiedziała Sanchezowi, żeby był bohaterem; problem w tym, że nie było jej tutaj, żeby doradzić, jak się nim stać. Nie mając lepszego pomysłu, Sanchez postanowił przyłączyć się do koncepcji z rzucaniem. Sięgnął do kieszonki na piersi i wyjął piersiówkę. Jeśli trochę ją odkręci, mógłby przynajmniej pokryć Gajusza sikami. To może by go trochę zdekcentrowało, a może sam poraziłby się prądem?

Gdy dziewczyna celowała, Sanchez wreszcie zobaczył jej twarz. Rozpoznał Kacy, dziewczynę Dantego i była pokojówką w jednym z tutejszych hotelu. Stwierdził, że rozsądnie będzie dać jej rzucić jako pierwszej. Dzięki temu zobaczy reakcję Gajusza. Miał nadzieję, że jej cel był równie wspaniały jak tyłek. Gdy zamachnęła się do rzutu, Sanchez w duszy życzył jej szczęścia. Wycofała ramię, a potem z całej siły wyrzuciła przedmiot z ręki.

Sanchez widział wcześniej rzucające czymś kobiety, ale nigdy nie był pod ich wrażeniem. A zdolności Kacy były bliskie zera. Zupełnie minęła Gajusza. Właściwie rzuciła mały przedmiot w głowę Bourbon Kida. To nic nie da, pomyślał Sanchez.

Bourbon Kid podnosił się na kolana, gdy przedmiot do niego leciał. Zareagował szybko i złapał go prawą ręką. Był to mały trójkąt, rozmiaru karty do gry. Może Kid rzuci nim w Gajusza celniej i mocniej niż Kacy – o ile będzie miał czas.

Gajusz zatrzymał się kilka jardów od Kida i znowu uniósł prawe ramię. Jego dłoń zaśniła na jasny niebieski. Oto chwila prawdy. Jednym władczyim pokazem władzy, machnął ręką w kierunku Kida, posyłając jasnoniebieski laserowy pocisk w powalonego przeciwnika.

To co stało się później, działo się szybko. Gdy laserowy strzał wystrzelił z dłoni Gajusza i poszybował w kierunku głowy Bourbon Kida, Kid uniósł mały przedmiot, który rzuciła mu Kacy.

I obrócił go w dłoni. Jedna strona była czarna, a druga połyskiwa. Było to małe lustro.

Niebieski laser odbił się od lustra i jasnoniebieski pocisk odbił się. Oślepiający niebieski blask wypełnił pokój i laserowy pocisk wystrzelił w twarz Ramzesa Gajusza.

Uderzenie go zaskoczyło a brutalna moc jego własnych wściekłych błyskawic poderwała go nad ziemię. Oko Księżyca wypadło mu z ręki i uderzył o podłogę, a on poleciał w powietrze. Sanchez z otwartymi oczami patrzył na zbliżającą się do niego dupę Gajusza. Na szczęście Mroczny Pan wylądował nieco przed nim. Gładko wypolerowana podłoga sprawiła, że ślizgnął się na plecach, aż zatrzymał z głową przy kolanie Sancheza.

Gajusz był wyraźnie zamroczony. Sanchez widział, że wściekle mrugał jednym pozostałym okiem. Był zdezorientowany, ale to pewnie nie potrwa długo. Po kilku sekundach przesrał mrugać i skupił wzrok na Sanchezie.

O oo, pomyślał Sanchez. Zaraz zaliczy powrót.

Nie było wyjścia. Jedyłą bronią Sancheza była piersiówka. Otworzył ją i przytrzymał nad twarzą Gajusza. Wylał całą zawartość, próbując skierować chociaż część do pustego oczodołu Gajusza.

Ale gdy siki się skończyły, Sanchez ze zdziwieniem zobaczył coś zielonego. Tego się nie spodziewał. Jego siki były ciemnożółte, czasami lekko brązowe, czasami bardziej mętne, ale nie zielone.

Nagle przypomniał sobie, jak zabrał flaszkę Mikołaja, po ich wcześniejszym spotkaniu. Była to ta zielona ciecz, która paraliżowała ludzi. Oblał nią jak największą część twarzy Gajusza, część wlał do oczodołu, część do ust. Opadła po języku do gardła. Patrząc mu w oko, można było stwierdzić, że napój źle na niego podziałał.

Sanchez patrzył, jak twarz Gajusza się rozluźnia, tak jak twarz Mikołaja. Rozpoznał strach w oczach ofiary. Gajusz zakasłał raz, gdy

ciecz popłynęła w głąb gardła. Ale była to ostatnia czynność, którą wykonało jego ciało. Bardzo szybko wszelki ruch zamarł. A bez Oko Księżyca w oczodole czy w dłoni, nie mógł liczyć na szybkie uzdrowienie. Zdając sobie sprawę, że Gajusz był teraz bezsilny, Sanchez czerpał niesamowitą przyjemność z trzymania głowy Mrocznego Pana tylko jedną ręką i czekania na pomoc.

Przy zniszczonej gablocie z sarkofagiem Bourbon Kid podniósł się na nogi i zatoczył do Sancheza i Gajusza. Był w kiepskim stanie. Laserowy strzał Gajusza musiał go sporo kosztować. Zatrzymał się, by podnieść Oko Księżyca z podłogi, odwrócił się i rzucił ponad kilkoma małymi płomykami do Kacy. Złapała i wykrzyknęła krótkie podziękowanie. Później poczołgała się do Dantego.

Kid zacząłpał do Sancheza i Gajusza. Niemal spadł na pierś Gajusza. Sanchez odsunął się, robiąc mu miejsca na wszystkie okropności, które zamierzał czynić. Kid sięgnął, złapał Mrocznego Pana za twarz i mocno ścisnął policzki.

- Widziałem, co zrobiłeś temu chłopakowi w bibliotece – warknął.

- Co zrobił? – zapytał Sanchez.

- Zmiażdżył ją. Zabawił się kosztem dzieciaka.

Sanchez z niesmakiem pokręcił głową.

- A wiesz, co mówią? – zapytał.

- Nie. Co mówią?

- Wszystko fajnie, dopóki ktoś nie straci oka.

Kid przytaknął.

- Racja. – Przestał ścisnąć twarz Gajusza i spojrzał na Sancheza. Z ust ciekła mu krew. – Co było w tej butelce? – zapytał.

- Coś w stylu ajerkoniaku, jak sądzę.

- Paskudztwo.

Wracając do unieruchomionego i przerażonego Ramzesa Gajusza, Kid zacisnął prawą pięść i uniósł go nad jego głowę. Spojrzał Gajuszowi w oko, żeby upewnić się, że miał na sobie je wzrok. Wziął głęboki wdech.

- To za chłopaka z biblioteki.

# PIĘĆDZIESIĄT OSIEM

Dante poczuł dotyk dłoni Kacy na swoim policzku. Otworzył oczy. Nie było rzeczy lepszej niż obudzenie się i zobaczenia twarzy Kacy patrzącej na niego.

- W porządku? – zapytała.

Spróbował ruszyć ręką, ale zobaczył, że zostały ciasno przywiązane do jego boków. Nie mógł ruszać się od ramion w dół. Leżał na plecach na twardej podłodze. Przekręcił głowę i spojrzał na resztę ciała. Był owinięty w bandażę od stóp do barków.

- Co ty mi zrobiłaś? – zapytał, marszcząc brwi.

- To nie ja, głupku.

- To czemu wyglądam jak wielki robal?

Kacy była zaskoczona.

- Widziałeś kiedyś takiego robaka?

- W animowanym pornolu.

- Później o tym pomówimy.

Gdy wrócimy mu wszystkie zmysły, zobaczył coś kątem oka.

- Ta pieprzona podłoga się pali! Widziałeś? Pieprzona podłoga się pali!

- Wiem.

- CO do diabła?

Kacy wydawała się zbyt spokojna, biorąc pod uwagę że w odległości rzutu kamieniem buchały wysokie na trzy stopy płomienie.

- Pozwól, że ci pomogę – powiedziała, podnosząc mu ramiona z podłogi i sadzając go.

Rozejrzał się. Za Kacy, po prawej stronie ognia, zobaczył Bourbon Kida i Sancheza. Nachylali się na ciałem Ramzesa Gajusza. Kid był zajęty rozcinaniem Gajusza nożem z kościaną rączką. Wokół leżały też inne ciała.

- Dobra, ani cholery nie pamiętam. Co się tym razem stało? – spojrzał z bliska na Kacy. – I czemu nie masz spodni?

- Potargały się. Zanim coś powiesz, musisz wiedzieć, że twoje ubrania leżą na podłodze za tobą.

- Wszystkie moje ubrania?

- Tak.

Dante ściszył głos.

- Pieprzyliśmy się tutaj?

- Nie. Wampiry cię rozebrały. Chcieli cię przerobić w mumię.

- Chcieli mnie... co?

- Zmumifikować. Wiesz, co to? Po to są bandaże. Nie ruszaj się, a ja cię rozwiążę.

Złapała białe bandaże wokół jego ramion i zaczęła je rozplątywać. Był całkiem mocno związany. Gdy ruszyła do pracy, on desperacko próbował przypomnieć sobie, jakim cudem znalazł się w takiej zenującej sytuacji. Bez względu na to, jak mocno się starał, nic się nie pojawiało.

- Ruszaj się! – warknął na widok zbliżającego się do nich ognia.

- To się nie ruszaj.

- Nie ruszam się.

- Dobra, to się zamknij.

Gdy Kacy uwolniła mu rękę, sam zaczął rozrywać resztę bandażu. Rozplątał je do kolan, kiedy podszedł do nich Sanchez. Barman-gliniarz złapał Kacy za rękę.

- Ciągłe masz Oko Księżyca?

- Umm, tak. – Zabrała coś z podłogi obok Dantego. Podniosła to i pokazała Sanchezowi. – Proszę. Potrzebujesz go?

Sanchez przytaknął.

- W aucie przed muzeum mamy umierającą dziewczynę.

Kacy rzuciła mu kamień.

- Nie wachaj – ostrzegła. – Dante na nim siedział.

Sanchez zerknął na nagie ciało Dantego i skrzywił się.

- Czemu miałbym wachać? – zapytał.



- Nie wiem. Wydajesz się...
- A tak, spodnie ci się palą.
- Kurwa!

Miał rację. Leżące przy pianinie Beethovena dzinsy zajęły się ogniem. Płomienie czołgały się też do jej trampek. Zaczynało się robić cholernie gorąco. Zostawiła Dantego i pobiegła, żeby zabrać buty, dopóki nie podzieliły losu dzinsów.

Sanchez wybiegł z Okiem Księżyca, kierując się do schodów w odległym końcu holu i unikając kilku języków ognia, które – jak się wydawało – specjalnie się na niego zasadziły.

Dante uwolnił stopy z ostatnich bandaży i złapał ubrania. Udało mu się założyć dzinsy i buty, a gdy sięgał po czarny T- shirt, zauważył Bourbon Kida. Seryjny morderca ciągnął ciało Ramzesa Gajusza przez podłogę w kierunku sarkofagu. Rzucił niegdyś dumną mumię na podłogę u stóp Dantego. Samozwańczy Pan Nieumarłych miał teraz dwa puste oczodoły, a w miejscu, gdzie był nos, ziała ogromna dziura. Kid rozebrał go. Nagie ciało nie było najpiękniejsze. Pokryte było krwią i wieloma dość głębokimi ranami, zapewne spowodowanymi nożem, który miał przy sobie. Gdy Dante zakładał przez głowę koszulkę, powitał Kida z kciukami uniesionymi w górę.

- Hej, dzięki, że wróciłeś.
  - Podziękuj swojej dziewczynie. Dużo przeszła.
  - Tak, jest świetna. – Dante nachylił się do Kacy i złapał ją za tył głowy, ciągnąc w swoją stronę. Nie musiał ciągnąć mocno. Nachyliła się i ich usta zetknęły się na kilka sekund, po czym Dante się cofnął.
  - Kocham cię, Kace – powiedział.
  - Też cię kocham. A teraz spieprzajmy stąd.
- Bourbon Kid złapał za rękę Dantego.
- Hej, potrzebuję pomocy w owijaniu tego sukinsyna w bandaże.
  - Po co?
  - Musimy wrzucić go do tego zasranego sarkofagu.
  - To nie umarł jeszcze? – zapytał Dante.
  - Facet nie żył przez setki lat. Musi wrócić do sarkofagu, żeby na

pewno nie wrócił.

- A gdyby spłonął?

- Zrobisz, co mówię?

- A mamy na to czas? – zapytała Kacy.

Dante cmoknął ją w policzek.

- To może idź? – zaproponował. – Za minutkę spotkamy się na zewnątrz.

- Żartujesz?

- Nie. Idź. Dam sobie radę.

Kacy pokręciła głową.

- Nie dasz. Ostatnio, kiedy zostawiłam cię samego, dałeś się zamienić w wampira a potem w mumię. Jeśli jeszcze raz cię zostawię, zamienisz się w zombie albo w wilkołaka!

Bourbon Kid złapał bandażę leżące u stóp Dantego.

- Jeśli się nie ruszycie, zaraz zostanie z nas tylko pył. Kończcie to pieprzenie i pomóżcie mi owijać sukinkota.

Kacy złapała stopy Gajusza i uniosła je ponad podłogę, żeby Dante i Kid mogli zacząć owijać bandażę wokół jego nóg.

Zanim owinęli każdy cal Gajusza w bandażę, płomienie w holu zbliżyły się do schodów. Tlen w pomieszczeniu zaczynał się rozrzedzać, a dym unosił się pod sufit.

Podciągnęli ciało Gajusza do otwartego sarkofagu na wystawie. Z tego właśnie grobu uciekł rok wcześniej. Czas odesłać go z powrotem. Kid postawił z mumifikowane ciało Gajusza w pionie i we trójkę wepchnęli go do otwartego sarkofagu.

- Pasuje idealnie – skomentował Dante. – Można by pomyśleć, że na niego robiony.

- Tak było – powiedziała Kacy.

- Serio?

- Później ci to wyjaśnię.

Głośny trzask za nimi przypomniał im, że czas nie był ich sojusznikiem. Nóżki pianina Beethovena poddały się i zniknęły, połknięte przez ogień. Pozostałe ekspozycje w holu szybko

zajmowały się ogniem i niszczyły.

- Skończyliśmy? – krzyknął Dante ponad hukiem.

Kid przytaknął.

- Spieprzajcie. Ja z nim skończę.

Kacy złapała za ramię Dantego i skierowała się ku schodom na końcu holu. Ogień rozprzestrzenił się na tyle szybko, że niedługo ich jedyna szansa ucieczki byłaby zamknięta. Dante ruszył za nią, ale jeszcze raz obejrzał się na Kida.

- Szybciej, chłopie, nie ma czasu!

Kid zabezpieczał sarkofag, zamykając go znów na całą wieczność albo dopóki ogień go nie dosięgnie, cokolwiek stanie się pierwsze. Spojrzał na Dantego i machnął na niego.

- Muszę zabić jeszcze jedną osobę – odkrzyknął.

- Co? Kogo?

- Elijah Simmondsa. Gdzieś tu jest.

- Zwariowałeś? Dawno się wyniosł. Nie mamy na to czasu.

Spłoniesz tutaj!

Kid jeszcze raz zerknął na Grobowiec Mumii, sprawdzając, czy był zamknięty. Odwrócił się do Dantego i zaciągnął kaptur, zakrywając głowę.

- Zawsze jest czas na jeszcze jedną śmierć.

# PIĘĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ

**D**la Elijah Simmondsa był to całkiem przyjemny dzień. Po zabiciu tutejszego kapitana policji, spędził dwadzieścia minut na pakowaniu gotówki z sejfu Cromwella do dwóch walizek. Gdy usiadł wygodnie za starym biurkiem Cromwella, wypił dużą brandy i przemyślał swoją sytuację. Mógł zostać menedżerem muzeum, czego zawsze chciał, albo uciec z miasta z całą kasą. Życie było cudowne.

Wypił już dwie duże szklanki brandy, czekając na telefon od ochroniarza Jamesa, który miał go poinformować o zakończeniu mumifikowania Dantego i Kacy w holu piętro niżej. Była prawie północ, gdy telefon na jego biurku zadzwonił. Pozwolił mu odezwać się trzy razy, po czym zwyczajnie odebrał.

- Halo.

- Witam szefie, mówi James.

- Zrobione?

- Nie. Wszystko się tutaj spieprzyło.

Simmonds westchnął głęboko.

- O kurwa. Co się stało?

- Gajusz i jego wampiry przepadli. Bourbon Kid wszystkich załatwił. A hol płonie.

Simmonds gwałtownie usiadł prosto na czarnym skórzanym krześle.

- Co?

- Nie żyją. Widziałem na monitorach, które mam przed oczami. Wynosmy się stąd, szefie. Ogień się rozprzestrzenia. I straciłem z oczu Bourbon Kida.

- Kurwa. Dzwon na straż. A później złaż tam!

- Zwariowałeś? Wynoszę się stąd! Widzimy się później. Powodzenia.

James wydawał się spanikowany. Niezbyt zaskakujące. Przy poprzednim spotkaniu z Bourbon Kidem złamano mu nos. Najpewniej chciał być od niego jak najdalej.

- James, nie rozłączaj się! – wrzasnął Simmonda. – Mamy tutaj dla ciebie sto baniek w gotówce. Zejdź tutaj. Nie wychodź beze mnie. Uciekniemy razem. Tak będzie bezpieczniej. James? Jimmy? Jesteś tam? Jim?

Połączenie zostało zerwane. Miał nadzieję, że James go słyszał. Sto tysięcy było chyba wystarczające, by zszedł po niego do biura?

Simmonda spojrział na martwe ciało kapitana Dana Harkera leżące na podłodze po jego lewej stronie, pod ścianą z regałami na książki. Miał jaja, strzelił Harkerowi w głowę. Na ścianach wciąż były tego dowodu. Czy mógłby zabić ponownie, gdyby musiał? Otworzył górną szufladę biurka i sięgnął do niej. Pistolet, którym zabił Harkera, wciąż tu leżał. Wyciągnął go z szuflady i sprawdził magazynek. Wciąż były z nim naboje.

Założył pistolet za pasek spodni od garnituru i podniósł z podłogi dwie walizki pełne gotówki. Były ciężkie. Położył je na biurku przed sobą. Miał problem. Gdyby wziął obydwie walizki, nie miałby wolnej ręki, w której mógłby nieść broń. Jego umysł galopował, próbując wymyślić najlepsze wyjście. Rozsądnie byłoby zostawić jedną walizkę i wyjść z bronią w gotowości.

Gdy zastanawiał się na tym, usłyszał pukanie do drzwi. Wyciągnął pistolet i wymierzył w drzwi. Ręce mu się trzęsły.

- James? – krzyknął. – To ty?

Po drugiej stronie drzwi usłyszał głos Jamesa.

- Tak. Naprawdę masz tam dla mnie sto tysięcy?

- Tak. Cholera, tak. Właż!

Simmonds wciąż mierzył z pistoletu w drzwi i patrzył na obracającą się gałkę. Zamek kliknął i drzwi powoli otworzyły się do wewnątrz. W progu stał James. Wydawał się zdenerwowany.

- Tutaj – powiedział Simmonda, wskazując na jedną z walizek położonych na blacie. – Weź jedną.

James spojrział na walizki. Wydawało się, że zaraz się rozpłacze. Nerwy albo napięcie źle się na nim odbiły. Simmonds odłożył pistolet na biurku i złapał walizkę. Rzucił ją do Jamesa. Wylądowała u stóp ochroniarza.

- Chodź, Jim. Nie mamy dużo czasu!

James przełknął ślinę i spojrział na walizkę u stóp. Później powoli pochylił się w przód. Początkowo wydawało się, że schylał się do walizki. Po chwili okazało się, że nie miał zamiaru jej podnosić.

Nie mógł.

Opadł na kolana, lądując z delikatnym stuknięciem na walizce z pieniędzmi. Z jego ust wypłynęła krew, chwilę popatrzył na Simmondsa. Później górna część jego ciała odchyliła się w przód, a twarz uderzyła w podłogę. Ze środka jego pleców sterczał ogromny nóż z kościaną rączką. Simmonds przyglądał się jej przez chwilę, czując paraliżujący strach.

Powoli spojrział z powrotem do góry. W progu, tuż za Jamesem, stała ciemna zacieniona postać Bourbon Kida. Simmondsowi opadła szczęka.

- Ej, to nic osobistego – powiedział nerwowo.

Kid nie odpowiedział. Wszedł do pokoju i schylił się, żeby wyjąć nóż z pleców Jamesa. Chyba nie zauważył pistoletu leżącego na biurku Simmondsa.

Menedżer muzeum nie potrzebował zachęty. Gdy intruz był zajęty wyciąganiem noża z pleców Jamesa, sięgnął po broń.

# SZEŚCZDZIESIĄT

Ściskając Oko Księżyca w lewej dłoni, Sanchez przebiegł przez główne drzwi muzeum na pokryte śniegiem schody. Ciemne chmury ponad nim przeredzały się i promienie niebieskiego światła księżyca zaczynały się przedzierać. Śmierć Ramzesa Gajusza będzie miała wiele skutków, z pierwszym będzie szybka zmiana pogody.

Flake stała przy tylnych drzwiczkach radiowozu, gdzie zostawił ją Sanchez. Po drugiej stronie tylnej kanapy sterczały stopy Beth. Flake krzyknęła do niego.

- Sanchez, szybciej!

Spojrzał na śliskie stopnie i stwierdził, że łatwiej będzie rzucić niebieski kamień do Flake, a nie ryzykować poślizgnięcie na lodzie.

- Łap! – krzyknął do niej.

Rzucił Oko do Flak. Trochę za mocno, ale zareagowała jak dobry pies myśliwski i sięgnęła wyżej, łapiąc w powietrzu. Lata, które spędziła w Ole Au Lait na łapaniu napiwków, opłaciły się. Zanurkowała z powrotem do samochodu i zaczęła zastanawiać się, jak użyć Oka, by wyleczyć ranę w szyi Beth.

Sanchez odczekał jeszcze chwilę na szczycie schodów, pochylił się i spróbował złapać oddech. Docierało do niego, jak bardzo zmęczył się tym bieganiem.

Flake krzyknęła do niego.

- Sanchez, pomóż mi. Nie wiem, co mam zrobić!

- Idę.

Pokonał kilka ostatnich stopni i dotarł do samochodu. Słabość go opanowała. Żeby nie upaść, oparł się o tyłek Flake, który wygodnie wystawał z tylnej części samochodu.

Zerknął jej ponad ramieniem, sprawdzając, co się działo. Była pochylona nad ciałem Beth, ocierając czoło kobiety jedną ręką, a

drugą przyciskając lśniący niebieski kamień do jej piersi.

- No, Beth – szepnęła. – Wytrzymaj.

Z tego co widział Sanchez, niewiele się działo. Oczy Beth pozostawały zamknięte, ciężko było stwierdzić, czy oddychała.

- Spróbuj włożyć jej go do ręki – zasugerował.

- Tak to działa?

- Tak myślę.

Flake złapała prawą rękę Beth i wcisnęła jej niebieski kamień do garści. Początkowo nic się nie działo, ale po kilku sekundach kamień zaczął od wewnątrz lśnić na jasnoniebiesko. Blask wzmacniał się z każdą chwilą, aż wreszcie kolory wróciły jej na twarz. Otworzyła oczy, uśmiechnęła się do Flake, a następnie zobaczyła Sancheza i do niego też się uśmiechnęła.

- Gdzie jestem? – zapytała.

- Na tylnym siedzeniu samochodu- powiedział Sanchez.

- Radiowozu – dodała Flake, strząsając dłoń Sancheza z pupy. – Jesteś bezpieczna.

Beth płytko nabrała powietrza. Na jej twarzy malowało się zmartwienie.

- Porwano mnie – powiedziała. – Chcieli mnie zabić. Tylko tyle pamiętam.

- W porządku- powiedziała Flake, gładząc ją po twarzy. – Oni już nie żyją. – Odwróciła się do Sancheza. – Prawda, Sanchez?

Przytaknął.

- O tak. Święta prawda.

- Widzisz – powiedziała Flake, odwracając się do Beth. – Nikt cię już nie skrzywdzi.

Uspokajające słowa Flake przyniosły oczekiwany efekt, ponieważ panika na twarzy Beth trochę zelżała.

Sanchez rozważał swój udział w całej sprawie. Spisał się całkiem dobrze.

- Wiedziałem, że będzie dobrze – powiedział beztrósco. – Kiedyś zapisałem imiona tych złych w Księdze śmierci. Chyba kiedy



napiszesz czyjeś imię w tej książce, niedługo później przechodzi on do historii. Powinienem dostać za to medal.

Beth chyba nie słyszała jego słów, co do zirytowało. Mocno złapała rękę Flake.

- A JD? Przyszedł po mnie? Nie pamiętam.

- Kto to JD? – zapytała Flake.

- Bourbon Kid.

Flake uśmiechnęła się.

- O tak. Przyszedł w wielkim stylu. Dzięki niemu wiele osób nie żyje.

W kąciaku lewego oka Beth pojawiła się łza.

- Zabił jeszcze więcej osób? – częściowo zapytała, częściowo stwierdziła.

- Strzelił jednemu facetowi w małego – powiedział Sanchez.

Flake pogłaskała Beth.

- Zasłużyli na to – dodała. – Zrobił to dla ciebie.

- Wiem – powiedziała, ocierając łzę z oka. – Ale wiesz...

- Ciężko to zaakceptować? – zasugerowała Flake.

- Nie, to nie tak. Głupio mi tak mówić. Pomyślicie, że jesteś wariatką.

- Wszyscy w tym mieście to wariaci – powiedziała Flake.

Beth wreszcie się uśmiechnęła.

- Po prostu kocham go, kiedy zabija ludzi – powiedziała.

Flake uśmiechnęła się.

- Zabój naprawdę mnóstwo osób, więc on też musi bardzo cię lubić.

Ziemia pod nimi nagle się zatrzęsała, a w powietrzu rozległ się ogłuszający hałas. Wydawało się, iż w muzeum wybuchła bomba. Po łoskocie rozległ się odgłos pękającego szkła. Z budynku wypadło gorące powietrze. Sanchez odwrócił się na pięcie. Przez okna na parterze buchał dym.

- Jasna cholera! Ogień szybko się rozprzestrzenił – powiedział, unosząc ręce i zasłaniając oczy.

Flake zrobiła krok w stronę wejścia.

- O Boże. Ktoś jeszcze był w środku? – zapytała.

Zanim Sanchez udzielił odpowiedzi, Sante i Kacy wypadli z głównego wejścia i zbiegli po schodach na ulicę. Wydawali się oszołomieni. Ich twarze pokryte były czarną sadzą. A Kacy wciąż nie miała na sobie spodni.

Sanchez szturchnął Flake.

- Wyglądają gorzej od ciebie.

- Co?

- No wiesz, ty masz część buzi pomalowanej, oni mają dużo gorzej  
Flake westchnęła.

- A ty ciągle jesteś singlem? – mruknęła.

Zanim Sanchez udzielił odpowiedzi, Kacy krzyknęła.

- Kurwa! Plecy mi się palą!

Tył jej sweterka zajął się ogniem i płomienie zbliżyły się niebezpiecznie do jej włosów. Dante zareagował szybko i pociągnął ją na ziemię. Wrzucił ją w śnieg, by ugasić płomienie. Flake podbiegła, by pomóc mu zagasić małe ogienki, które wciąż migotały pod pachami.

Kacy krzyknęła.

- Zdejmijcie to ze mnie! Pali się!

Sanchez pospieszył pomóc Flake i Dantemu zdjąć sweterek z Kacy. Na szczęście, zanim tam doszedł, udało im się rozerwać wdzianko i odrzucić je na bok. Wciąż unosił się z niego czarny dym. Kacy leżała teraz na śniegu w samej bieliznie.

- W porządku? – zapytał Dante. – Masz gdzieś oparzenia?

Flake podniosła Kacy do pozycji siedzącej i strzepnęła śnieg z jej pleców. Kacy zaczęła masować sobie ramiona.

- Chyba w porządku – powiedziało. – Dobrze, że nie czuję zimna.

Dante pocałował ją w czoło.

- Jesteś gorąca jak zawsze.

Kiedy doszli do wniosku, że Kacy bezpiecznie uciekła z płomieni, wstała i otrzepała się. Dante otoczył ją ramieniem i pchnął mocno, strzepując śnieg zebrany na jej piersiach. Sanchez zauważył, że jej

bielizna w śniegu mocno zmokła i zrobiła się stanowczo prześwitująca. Z grzeczności postanowił o tym nie wspominać.

Flake spojrzała na drzwi.

- A gdzie Bourbon Kid? – zapytała.

Dante wzruszył ramionami.

- Poszedł do menedżera muzeum. Musiał wyrównać z nim jakieś rachunki, jak sądzę.

Beth wytknęła głowę przez okno w radiowozie.

- Poszedł do Elijah Simmondsa?

Dante przytaknął.

- Tak. Załatwi go, nie martw się.

- A co z pożarem?

Kolejna głośna eksplozja z wewnątrz wszystko zagłuszyła. Niektóre szyby na wyższych piętrach popękały i posypały na ulice niedaleko od miejsca, w którym stali.

Dante złapał Kacy za rękę i pociągnął na drogę, z daleka od spadających odłamków.

- Patrz – powiedział, wskazując na niebo. – Przez chmury przebija się niebieski księżyc.

Kacy podniosła wzrok.

- To znaczy, że możemy znów być ludźmi? – zapytała.

Dante przytaknął.

- Tak. Musimy to zrobić teraz. Gdzie Oko?

Flake wskazała na samochód.

- Powinna go mieć Beth.

- O to chodzi? – zapytała Bath, wyciągając przed siebie niebieski kamień.

- Tak – powiedział Dante. – Możesz mi go rzucić?

Beth rzuciła mu kamień. Złapał go wolną ręką i złożył pocałunek na czole Kacy.

- Gotowa, kochana?

- Oczywiście. Co musimy zrobić?

- Stanąć w świetle księżyca i to trzymać. Rozświetli nas tak, że

zobaczą to w odległości kilku mil. A po chwili znowu będziesz człowiekiem. Tak mi się wydaje.

Kacy delikatnie szturchnęła go w żebra.

- Z możemy zrobić to w bardziej intymnym miejsce? Ja jestem prawie naga. Nie wiem, czy chcę, żeby wszyscy mnie widzieli.

Początkowo odległy, ale z każdą sekundą głośniejszy dźwięk wozu strażackiego podjął decyzję za nim.

- Zmywamy się – zarządził Dante. – Spotkamy się gdzieś później?

Flake spojrzała na Sancheza.

- Może wpadniemy na drinka do Tapioki? Obmyślimy historię, którą przedstawimy kapitanowi.

Sanchez wzruszył ramionami.

- Może być. Chociaż ja zazwyczaj zmyślam na bieżąco, kiedy gliny mnie o coś wpytuja.

- I uchodzi ci to na sucho? – zapytała Flake.

- Jestem znanym dupolejca. Pewnie się tego spodziewają.

- Więc ustalone – powiedział Dante, przerywając ich małoistotną rozmowę. – Pójdziemy tak, jak doprowadzimy się do normalności?

- Jasne – powiedział Sanchez. – Widzimy się za jakąś godzinę.

Dante i Kacy przeszli przez ulicę, w dół alei i zniknęli im z oczu, zanim wóz strażacki się pojawił. Gdy strażacy zaczęli przygotowywać się do walki z ogień, Sanchez zasugerował Flake:

- Naprawdę powinniśmy stąd jechać. Powinniśmy zabrać Beth do szpitala po tym wszystkim, co przeszła.

Beth odezwała się z siedzenia w samochodzie.

- Możemy poczekać na JD? Już nic mi nie jest.

Flake podeszła do Beth i pochyliła się, by lepiej ją widzieć.

- Widziałaś się w lustrze? – zapytała.

- Nie – natychmiast odpowiedziała Beth. – Źle wyglądam.

Flake uśmiechnęła się.

- Blizna na twojej twarzy zniknęła.

Beh przełknęła ślinę.

- Naprawdę?

- Popatrz w lusterko wsteczne. Wyglądasz pięknie.

Sanchez zerknął nad ramieniem Flake by sprawdzić, czy nie kłamała. Blizna Beth faktycznie zniknęła dzięki uzdrawiającym mocom Oka Księżyca.

- Ma rację – potwierdził słowa Flake. – Wyglądasz cudnie. Szkoda tylko, że masz krew na koszulce. Trochę psuje to widok.

Beth spojrzała w swoje odbicie w lusterku wstecznym Przebiegła palcami po policzku, gdzie kiedyś była blizna.

- Nie wierzę – szepnęła. – Po tych wszystkich latach... zniknęła.

Była tak zadowolona ze swojego wizerunku, że ledwie usłyszała odgłos wystrzału dobiegający z muzeum.

# SZEŚCZDZIESIĄT JEDEN

**A**gent specjalny Richard Williams widział wiele w czasie dwudziestu lat służby w FBI, ale raport, który przeczytał na temat wydarzeń z Santa Mondegi, przekraczał wszelkie granice. Jego były kolega, detektyw Miles Jensen, dostał przydział do tej dziury w zeszłym roku i zniknął bez śladu, plotki głosiły, że na skutek działania sił nadprzyrodzonych. Williams był otwarty na wszystkie koncepcje, ale gdy siedział w oszklonym pokoju kapitana z dwoma policjantami, którzy składali raport z masakry z tego miasteczka, był przekonany, że ktoś żartował sobie jego kosztem.

- To kpina? – zapytał.

Siedzący przed nim policjanci wyglądali jak wraki. Pierwszy, Sanchez Garcia, dumnie nosił strój autostradowej drogówki, okulary przeciwsłoneczne i czapkę. Druga, oficer Flake Munroe, poważnie podchodziła do pracy policjantki, ale wyglądała zbyt niewinnie. Odpowiedziała trzeźwo na pytanie Williamsa.

- Dokładnie tak było – powiedziała.

Williams zmusił się do uśmiechu.

- Dobra – powiedział, opierając się na krześle. – Podsumuję więc, żebym miał pewność, że was zrozumiałem. Według was miasto zostało opanowane przez mumię, która zwołała sobie armię wampirów i wilkołaków, które miały pomóc mu zapanować nad światem.

- Dokładnie – powiedział Sanchez.

- Mhm. A te wampiry i wilkołaki są odpowiedzialne za wszystkie morderstwa w mieście.

- Większość – sprostowała Flake. – Wiele osób zostało zabitych przez Świętego Mikołaja.

Williams wziął głęboki wdech i poluzował krawat.

- Oczywiście. Mikołaj był odpowiedzialny za zabójstwa dzieci. No i jeszcze Bourbon Kid, który według was uratował miasto przed nieumartwymi.

- Miał w tym swój udział – powiedział Sanchez. – Ale była to praca zespołowa.

- Praca zespołowa, aha. – Williams przestał majstrować przy krawacie i przebiegł palcami po rzadziejących siwych włosach. Katorga. – A które z was podpaliło muzeum?

- Mumia – powiedział Sanchez. – Laserowymi strzałami z rąk.

Laserowymi strzałami, oczywiście. – Williams patrzył srogo na Sancheza. Durny gliniarz w głupim stroju drogówki miał kamienną twarz w czasie całego przesłuchania. – Ciekawi mnie także ten fragment raportu, w którym jest mowa o podpaleniu Świętego Mikołaja na ulicy, na oczach grupy Słonecznikowych Dziewczyn.

- Racja.

- Dobra robota. Na pewno nie ty podpaliłeś muzeum?

- Na pewno, dziękuję.

Williams próbował zgromić Sancheza wzrokiem, ale nie widział niczego przez ciemne szkła.

- Interesujące – mruknął. – Casa de Ville również spłonęło. Nikt nie przeżył. Tamtej nocy byliście również tam, zanim pojechaliście do muzeum, prawda?

- Prawda.

- Ogień was ściga, panie Garcia.

- Niestety. Ale lepiej ogień niż muchy.

Williams oparł się pokusie złapania Sancheza ponad stołem. Chciał pozbyć się tych idiotów ze swojego biura i sił policyjnych jak najszybciej. Chwilę się uspokajał, po czym kontynuował:

- Utrzymujecie też, że książka zwana Księgą śmierci, którą ukradliście z biblioteki, powoduje śmierć każdego, kogo imię zostanie w niej zapisane.

- Tak.

- Ta książka również spłonęła, podobnie jak jeszcze jedna, przykro

mi – przerwał dla lepszego efektu – kolejna magiczna księga, która według was zabija wampiry.

Flake wtrąciła się.

- Za tę magię mogę zaręczyć. Użyłam jej, żeby zabić Królową Wampirów. I bibliotekarkę.

- Doprawdy? – głos Williamsa ociekał sarkazmem. Był przekonany, że ściemniali, ale obydwójce zachowywali kamienne twarze. – A wszystkie dowody, które mogłyby potwierdzić wasze zeznania, spłonęły w muzeum i Casa de Ville. Bardzo wygodne, prawda?

- Przeciwnie – powiedziała Flake. – Myślę, że to niewygodne. Wyraźnie nie wierzy pan w to, co powiedzieliśmy. Dowody byłyby bardzo pomocne. Prawda, Sanchez?

- Tak.

Williams nachylił się i zamknął raport leżący na biurku przed nim.

- Dobra – powiedział. – Powiem wprost. Dumnie utrzymujecie, że za pomocą dwóch książek pokonaliście armię wampirów.

- I wilkołaków – dopowiedział Sanchez.

- I wilkołaków – powtórzył Williams zmęczonym głosem.

- Tak właściwie – kontynuował Sanchez – uderzyłem jeszcze zombie w głowę.

Williams zignorował ostatnią uwagę Sancheza i ciągnął:

- Więc ile imion zapisaliście w Księdze śmierci, Sanchez?

- Tylko imię mumii i Królowej Wampirów – z dumą odpowiedział Sanchez.

- Tylko tych złych, tak? A Elijah Simmonds? Jego imię zapisałeś w księdze?

- Kogo?

- Pomocnika menedżera muzeum. Jego szczątki znaleźliśmy razem z ochroniarzem, Jamesem Beamem, w ogniu. Patolog stwierdził, że Simmonds strzelił sobie w głowę z Desert Eagle'a, a Beam został zadźgany. Jednak nie ma co do tego pewności, ponieważ niewiele z nich zostało. Żadne z was nie wspomniało o tym w raporcie. Czy Simmonds i Beam też byli wampirami?



Sanchez uniósł brew.

- Jim Beam nie żyje?

- Tak. Wiecie coś o tym?

- Nie.

Flake żartobliwie trąciła Sancheza.

- Jim Beam – powiedziała ze śmiechem. – Miałam mi powiedzieć, ta butelka Jacka Danielsa, którą dałeś Rickowi, była pełna Jim Beama. Wypiłam trochę wczoraj w nocy.

Sanchez wzruszył ramionami.

- Nie miałem więcej Jacka Danielsa, więc wziąłem pustą butelkę i nalałem Jim Beama. Stwierdziłem, że Rick nie poczuje różnicy.

Williams uderzył dłonią w blat.

- Hej, nie przeszkadzam wam? Próbuję ustalić, co się wydarzyło.

- To proste – powiedział Sanchez. – Wszyscy umarli. Koniec.

- Jesteście kretynami – sapnął Williams. – Nie wiem, jakim cudem pozwolili wam nosić mundur.

- Skończyliśmy?

- Jeszcze nie – powiedział Williams. – Chcę wyjaśnić jeszcze jedną kwestię z raportu. Co stało się z Bourbon Kidem? W raporcie napisaliście, że był w muzeum, gdy wybuchł pożar.

- To prawda – powiedział Sanchez.

- Nie mamy jego ciała. Wszystkie ciała, które wyciągnęliśmy, zostały zidentyfikowane. Tylko o nim niczego nie wiemy.

Sanchez i Flake wzruszyli ramionami.

- Proszę was – nalegał Williams. – Co się z nim stało?

Sanchez uniósł nie dbale dłoń.

- Może wciąż jest w muzeum.

Williams zmarszczył brwi.

- Co?

- Czytałem o kocie, który sześć miesięcy żył w spalonym domu. Podobno przeżył, jedząc pył.

Williams miał już dość. Chciał jak najszybciej odejść z Santa Mondegi. Jego priorytetem było dyskretne rozwiązanie sprawy i

zatrudnienie nowych funkcjonariuszy policji. Ci dwaj idioci byli ostatnimi śladami po starym porządku. Zmusił się do szerokiego uśmiechu.

- Dobra, skończyliśmy – powiedział. – Odmaszerować. Wasza służba w policji się zakończyła.

Flake wydawała się zaskoczona.

- Ale ja nie mam innej pracy.

- To nie mój problem. Byliście tylko tymczasowymi pracownikami. Wysłałem tutaj trzydziestu doświadczonych funkcjonariuszy. Teraz oni zajmą się pilnowaniem porządku. Wychodząc, zostawcie odznaki w recepcji. Miasto jest wam wdzięczne i tak dalej.

- Ale to nie w porządku! – sprzeciwiła się Flake. – Potrzebuję tej pracy. Zamknęli Ole Au Lait. Tylko to mi zostało.

Williams wzruszył ramionami.

- To przykre. Ale życie nie gra fair, kotku. – Podniósł raport i pomachał jej przed nosem. – Jednak wydaje mi się, że minęliście się z powołaniem. Patrząc na wasz raport, powiedziałbym, że powinniście pisać horoskopy. To prosta robota. Wymyślacie pierdoły i wierzycie, że ludzie to kupią.

Flake uśmiechnęła się nieszczerze.

- Dzięki za taką mądrość. – Wstała, żeby wyjść, ale wymierzyła Williamsowi jeszcze jeden cios. – Nie powinieneś żartować z horoskopów. Czytałam swój dzisiaj rano. Pisali, że będę uprawiać seks w przełożonym. Ale skoro właśnie mnie zwolniłeś, to raczej się nie stanie. Coś ci uciekło.

- Jakoś przeżyje.

Sanchez poruszył się na krześle.

- Mógłbym zatrudnić nowego menedżera w Tapiocce.

Flake spojrzała na niego z góry.

- Poważnie.

- Tak. Skoro Ole Au Lait się zamknęło, na rynku śniadaniowym powstała luka.

Jej twarz się rozjaśniła.

- Z przyjemnością się podejmę!
- Świetnie. Masz tę posadę. Zawsze miło wiedzieć cię o poranku.

Williams wyglądał na wściekłego.

- Przepraszam, ale moglibyście wynieść się z mojego biura?

Właśnie was wylałem, pamiętacie?

Sanchez wstał.

- Możemy zatrzymać mundury?

- Jasne. Wynocha.

Flake zatrzasnęła za nimi drzwi. Williams odetchnął z ulgą. Poranek spędzony z parą męczących matołów go wykończył. Zamknął tekturową teczkę z raportem i odsunął górną szufladę biurka. Wsunął do niej raport i wyjął egzemplarz lokalnej gazety, The Santa Mondega Universal Times. Przejrzał kilka pierwszych stron, szukając artykułów o ostatniej masakrze. Kiedy dotarł do strony z horoskopami, uśmiechnął się do siebie. Zazwyczaj nie czytywał horoskopów, ale po niedawnej rozmowie z Flake postanowił zrobić wyjątek i dla odmiany przeczytać. Astrolog przepowiadający przyszłość tytułował się „Wielkim Wróżem Sallym”. „Będzie śmiesznie”, pomyślał.

Znalazł Ryby. Przepowiednia głosiła:

Uran da ci siłę do podejmowania ważnych decyzji. Jeśli chcesz rozwinąć swoją karierę, wykorzystaj szansę i prześpij się z szefem. To może być początek czegoś wyjątkowego.

Williamsowi opadła szczęka. Flake nie kłamała, mówiąc o horoskopie sugerującym jej seks z przełożonym. Przez chwilę wyobrażał sobie pieprzenie jej na biurku w biurze. Była całkiem zgrabna i pewnie wygimnastykowana. Po kilku sekundach takich myśli pokręcił głową i zaśmiał się do siebie. Flake wydawała się głupia, ale nawet ona nie byłaby na tyle głupia, żeby traktować horoskop tak dosłownie.

# SZEŚĆDZIESIĄT DWA

Rae'a Diner przeżywało oblężenie po raz pierwszy od dawna, a wszyscy klienci wydawali się w dobrym nastroju. Wszyscy życzyli sobie miłego dnia, podczas gdy kiedyś nikt nie odzywał się do osoby, której nie znał. W Santa Mondedze nastały inne czasy. Słońce świeciło na zewnątrz, a dni, kiedy nieumarli czaili się w ciemnych zaułkach, należały już do przeszłości.

Kacy wybrała jedną frytkę z talerzyka i ugryzła końcówkę. Dante siedział naprzeciwko niej przy stole przy oknie, ubrany w jedną z rzucających się w oczy hawajskich koszul. Jedną ręką wpychał sobie po trzy, cztery frytki naraz do ust. W drugiej trzymał cheeseburgera, którego raz na jakiś czas podgryzał. Jeśli chodziło o fast foody, Dante był niekwestionowanym mistrzem. Jadł burgera i frytki, a do tego popijał dużą kolę przez słomkę.

- Smakuje ci? – zapytała Kacy.

Dante mruknął potwierdzająco i przytaknął. Nie zauważył, że ona ledwie tknęła swoją porcję. Mimo że burger i frytki były dużo bardziej odżywcze niż jej poprzednia dieta złożona z krwi, jej apetyt nie wrócił do normy, odkąd na powrót stała się człowiekiem. Wciąż martwiła się tym, o co Dante przestał się troszczyć już dawno. Na przykład co zrobić z Okiem Księżyca. Skończyła jeść frytkę i zaczęła bawić się niebieskim kamieniem, który wisiał na jej szyi na srebrnym łańcuszku. Był widoczny dla każdego, spoczywał tuż nad przerwą między piersiami, doskonale widoczną w nisko wyciętym białym podkoszulku.

- Chyba już go nie chcę – powiedziała.

Dante wzruszył ramionami.

- To daj mi. Ja zjem.

- Nie mówię o jedzeniu. Chodzi mi o Oko Księżyca.

Dante przestał wpychać jedzenie do ust i spojrzał na nią. Na twarzy miał niespotykany wyraz zmartwienia.

- Co? – powiedział, pokazując w ustach częściowo przeżutego burgera.

- Myślę, że powinniśmy się go pozbyć.

- Ale jest wart fortunę.

- Wiem, ale przynosi pecha. Widziałeś, ilu ludzi umarło z jego powodu.

Dante złączył ręce i podniósł ze stolika serwetkę leżącą obok talerza z jedzeniem. Wytarł trochę tłuszczu z palców.

- Ten kamień pomoże ci zachować zdrowie. Nikt cię nie zrani, dopóki go będziesz miała. Czemu chcesz się go pozbyć? – powiedział. Pociągnął kolejny łyk coli i kontynuował. – Żadne z nas nie musiałyby się bać poważnych chorób.

- Może nie – zgodziła się Kacy. – Ale zawsze będziemy musieli uważać, ponieważ ludzie będą się o niego zabijać. Powiedziała nam to Tajemnicza Dama, pamiętasz?

Dante zamyślił się na chwilę.

- Ta stara baba, której odpadła głowa?

- Nie odpadła. Ktoś ją odciął.

- Żadna różnica. Była szurnięta jak stary ser.

- Ale miała rację. Z powodu tego kamienia zabito wielu ludzi.

Dante podniósł Dytkę, ale nie wetknął jej sobie do buzi.

- Myślałem, że Bourbon Kid po niego przyjdzie.

- To już ponad tydzień. Gdyby się po niego wybierał, już by przyszedł.

- Też tak myślę. To co chcesz zrobić?

Kacy spojrzała przez okno na ulicę. Jadłodajnia, w której siedzieli, znajdowała się na promenadzie na wybrzeżu. Skinęła na morze.

- Myślałam, że moglibyśmy rzucić go do morza – powiedziała skromnie, mając nadzieję, że Dante nie wpadnie w złość.

Przez chwilę patrzył na nią, mrugając, jakby chciał mieć pewność, że nie żartowała. Wreszcie wytarł trochę keczupu z kącika ust.

Spojrzał na czerwony sos na palcu i zlizął do.

- Jeśli go wyrzucimy, a ty kiedyś zachorujesz, będziemy musieli tu wrócić i szukać go za dnie morza/

Kacy pokręciła głową.

- Nie. Magiczne leczenie nie jest zgodne z siłami natury. Chcę, żebyśmy się razem zestarzel i przyjmowali wszystko, co ześle nam los.

Dante uśmiechnął się. Był to chłopięcy uśmiech. Taki, który posyłał jej, gdy chciał, by zrobiła coś wbrew sobie.

- Zestarzeć się razem, co? – powiedział.

- Tak.

Dante przywołał kelnerkę.

- Proszę rachunek! – odwrócił się do Kacy. – Zabierzmy kamień i wypieprzmy go. Nie chcę nic więcej, niż się z tobą zestarzeć. Chodźmy stąd i wypieprzmy go.

- Na pewno?

- Tak.

Zapłaciwszy za jedzenie, wyszli z knajpy i ruszyli promenadą w kierunku brzegu. Słońce znów świeciło na niebie, a śnieg dawno zniknął. Dante cały czas obejmował Kacy ramieniem, czasami ściskając ją mocniej bez konkretnej przyczyny. Cudownie było znów być ludźmi, bez groźby ponownej przemiany. Na promenadzie było wiele innych zakochanych par i rodzin, wszyscy wyglądali na szczęśliwych i beztroskich.

- Wiesz co – z wahaniem powiedziała Kacy. – Nigdy nie planowaliśmy daty ślubu, prawda?

Dante zatrzymał się.

- Jakiego ślubu? – zapytał.

- Oświadczyłeś mi się, zanim to wszystko się zaczęło, pamiętasz?

Dante podrapał się po głowie. Wyglądał na zagubionego.

- Serio?

- Tak. Kiedy poszliśmy do wróżki.

- Co? To gdzie masz pierścionek zaręczynowy>

- Nie mam.

Dante wsunął dłoń do jednej z kieszeni dzinsów i wyjął coś. Wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Na pewno? – zapytał.

Oczy Kacy pojaśniały. Między palcem wskazującym i kciukiem trzymał mały pierścionek. Była to wąska złota obrączka z małym różowym diamentem w kształcie serca na środku.

- O Boże – szepnęła Kacy, z trudem znajdując słowa, by opisać to czuła.

Nachylił się i ujął jej lewą rękę. Przyciągnął ją do siebie i wsunął pierścionek na jej palec.

- Padłbym na kolana – powiedział – ale szczerze mówiąc, nie chce mi się.

Kacy nie słuchała go. Patrzyła na pierścionek na palcu. Był piękny, dokładnie taki, jaki sama by wybrała. I doskonale pasował. Czując rozpierającą radość, zarzuciła mu ręce na szyję i gorąco pocałowała w usta. On z kolei położył ręce na jej tyłku i ścisnął mocno. Po kilku sekundach odsunęła się i ponownie popatrzyła na pierścionek.

- Skąd wiedziałeś, że mi się spodoba? – zapytała, nie potrafiąc ukryć zaskoczenia w głosie.

Dante wzruszył ramionami.

- Jest różowy, złoty i drogi. Nawet na się domyśliłem.

- Uwielbiam go – powiedziała, nie mogąc oderwać wzroku.

- Mojej dziewczynie należy się wszystko, co najlepsze.

Szli dalej promenadą, aż dotarli na koniec starego drewnianego mola wychodzącego w morze. Gdy szli po zmurszałych deskach mola, Kacy przestała gapić się na pierścionek zaręczynowy i podniosła wzrok. Na końcu mola, wpatrzone w horyzont, stała postać, którą rozpoznała. Była to Beth. Miała na sobie parę czarnych podartych dzinsów i niebieską bluzę z kapturem, dłonie wcisnęła do kieszeni.

- Ciekawe, co tu robi? – powiedział Dante.

- Myślę, że to dobre miejsce, by uciec od wszystkiego i zebrać myśli – zasugerowała Kacy.

- I niezłe miejsce, żeby paść ofiarą kradzieży.

Kacy wbiła mu łokieć w żebra, przypominając, by mówił ciszej.

- Nie bądź taki – powiedziała.

Beth musiała ich usłyszeć, ponieważ odwróciła się, gdy podchodzili.

Kacy widziała, że płakała. Kiedy się zbliżali, oparła oczy rękawem.

- Cześć, Beth – powiedziała Kacy z miłym uśmiechem.

Beth odwzajemniła uśmiech.

- Cześć, co tu robicie?

Kacy podniosła rękę i pokazała pierścionek zaręczynowy.

- Dante właśnie mi go dał!

Oczy Beth pojaśniały.

- Rany, piękny – powiedziała i przybliżyła się, by przyjrzeć bliżej.

- Dzięki.

Gdy obydwie oglądały pierścionek, Dante się wtrącił.

- Beth, wciąż mamy Oko Księżyca. Ale go nie potrzebujemy.

Chcesz je?

Beth oderwała wzrok od nowego pierścionka Kacy i pokręciła głową.

- On przynosi tylko kłopoty – powiedziała.

Kacy rozpięła srebrny łańcuszek i podała go Beth, Oko Księżyca spoczęło bezpiecznie w jej dłoni.

- Zamierzaliśmy wyrzucić je do morza z końca mola.

- Mogę ja? – zapytała Beth.

- Jest twoje.

Beth odebrała niebieski kamień od Kacy.

- Potrzebujesz łańcuszka? – zapytała.

- Nie – odpowiedziała Kacy. – Jest bezwartościowy. Wrzuć całość do morza, jeśli chcesz.

- Na pewno?

- Tak. Idź na całość. Rzuć tak daleko, jak dasz radę.

Beth długo patrzyła na łańcuszek w dłoni. Oko Księżyca było pięknym kamieniem, ale było też przyczyną wielu, wielu śmierci w Santa Mondedze. Niebezpiecznie było je zatrzymywać. Ponownie



spojrzała na Kacy, znów bliska płaczu.

- Wiesz, ostatnim razem, kiedy rzucałam naszyjnik z tego mola, JD do mnie wrócił.

Kacy zbliżyła się do Beth i delikatnie pogłaskała ją po ramieniu.

- Więc musisz to zrobić. Może to znak, który znowu go sprowadzi.

Dwie kobiety obejmowały się chwilę. Po tym, jak obejmowała ją Beth, Kacy czuła, że mogłyby być dobrymi przyjaciółkami. Wreszcie Beth odsunęła się i odeszła na skraj mola. Kacy patrzyła, jak ostatni raz zerka na trzymane w dłoni Oko Księżyca, po czym jednym mocnym rzutem, posłała je w morze. Uderzyło w powierzchnię wody i delikatnie plusnęło. Zniknęło pod falami.

Beth nie odwróciła się natychmiast. Wciąż patrzyła w morze, na horyzont, jakby miała nadzieję, że to przyniesie jej odpowiedzi.

Dante podszedł do Kacy od tyłu i oplótł ją rękami w pasie.

- Jak końcówka Top Gun, co? – powiedział. – Wiesz, kiedy Maverick rzuca przewieszki Goose'a do morza?

Kacy oparła głowę na jego ramieniu.

- Skarbie, to nie jest podobne do Top Guna.

- Ja myślę, że jest.

Sprzeczali się na ten temat jeszcze chwilę, a Beth patrzyła w morze. Wreszcie we trójkę odeszli z wybrzeża i skierowali do Tapioki na okolicznościowego drinka.

# SZEŚĆDZIESIĄT TRZY

Sześć miesięcy później

Sanchez nie lubił, gdy obcy przychodzili do jego baru. Na jego nieszczęście, Flake uwielbiała ich i regularnie organizowała imprezy przyciągające nowych klientów do Tapioki. Sanchez czerwieniał z gniewu, ale musiał niechętnie przyznać, że Flake zmieniała to miejsce i dzięki jej staraniom zyski wzrastały.

Po raz pierwszy w Tapiocie odbyło się wesele. Dante i Kacy wzięli ślub w Kościele Świętej Urszuli. Sanchez polubił Dantego i Kacy, więc z szacunku (i ze względu na obietnicę złożoną Flake) schował wszystkie butelki z sikami i dla odmiany serwował tylko prawdziwe drinki.

Flake była na zapleczu z jedną z nowych pracownic, Psychiczną Beth. One dwie były druhami na weselu. Wciąż miały na sobie różowe sukienki, które wybrała dla nich Kacy, ale zamiast bawić się z innymi, były zajęte przygotowywaniem szwedzkiego stołu dla gości.

W ogóle Beth okazała się dużo mniej „psychiczna”, niż Sanchez dotychczas uważał. Pracowała ciężko i świetnie dogadywała się z Flake, więc przestał zwracać się do niej per „Psychiczna”, kiedy Flake była w pobliżu. W przeciwnym razie obrywał w ucho. Było mu też trochę szkoda Beth. Bourbon Kid zniknął i było niemal oczywiste, że czuła się samotna i chciała się dowiedzieć, co się z nim stało.

Dante wiedział na krześle przy barze. Miał na sobie schludny czarny smoking i pił butelkę piwa Shitting Monkey. Gawędził z Sanchezem, ilekroć barman miał wolną chwilę. Sanchez nigdy nie widział go tak porządnego. Ale Sanchez też rzadko bywał ubrany równie odświętnie. On też miał na sobie garnitur, jasnożółty, znaleziony na tutejszym pchlim targu.

Dante właściwie nie odrywał wzroku od Kacy. Sanchez znał to spojrzenie, ponieważ przez kilka ostatnich miesięcy podobnie patrzył na Flake.

- Wygląda pięknie w sukni ślubnej – zauważył Sanchez.

- Tak – przytaknął Dante. – I patrz jaka jest szczęśliwa, otwarta na innych.

Kacy stała przy stoliku w kącie. Miała na sobie połyskliwą białą suknię ślubną i rozmawiała z kilkoma innymi osobami. W dłoni trzymała dużą lampkę czerwonego wina.

- Z kim ona rozmawia? – zapytał Sanchez.

- Nie mam pojęcia – odpowiedział Dante. – To cwana sztuka. Będzie gadała z każdym, kiedy ma na to ochotę. Mam wrażenie, że tych ludzi nawet na ślubie nie było.

- A ten facet? – zapytał Sanchez, wskazując na obcego, który właśnie wszedł do Tapioki i zmierzał do baru.

Dante przeciągle popatrzył na nowo przybyłego.

- Mam nadzieję, że to żaden dawno zaginiony wujaszek czy coś – powiedział. – Popatrz, jak wygląda.

Nawet jak na realia Santa Mondegi, gość wyglądał dziwnie. Był trochę po czterdziestce i szedł trochę chwiejnie. Był nieogolony i niechlujnie ubrany. Miał na sobie brudny szary płaszcz, wymagający wizyty w pralni chemicznej, oraz czarne spodnie związane kawałkiem sznurka.

Obcy zajął miejsce przy barze na krześle obok Dantego.

- Barman, możliwe ciemnego rumu? – zapytał.

Sanchez natychmiast zdenerwował się, że wszystkie butelki z sikami zostawił na zapleczu. Niechętnie podniósł czystą szklankę i nalał miarę prawdziwego rumu. Położył ją na ladzie.

- Trzy baksy.

Mężczyzna sięgnął pod płaszcz i wyjął banknot pięciodolarowy. Gdy podał go Sanchezowi, zadał kolejne pytanie.

- Wiesz, gdzie mogę znaleźć Beth Lansbury?

Cichy szept przemknął po barze i zanim Sanchez udzielił

odpowiedzi, Beth oraz Flake wyszły z kuchni, sprawdzając, kto zadał pytanie.

- A kto chce wiedzieć? – zapytał Sanchez.

- Ja – odpowiedział mężczyzna. – Dlatego pytam.

Sanchez nie należał do osób, które dbają o dobro innych, ale wiedział, że wrogowie Bourbon Kida mogliby szukać Beth, więc zachował zimną krew.

- Czego od niej chcesz?

- Wiesz, gdzie jest?

- To zależy, jakie są twoje intencje.

- Mam coś dla niej.

- Możesz dać mnie. Przekażę.

W pomieszczeniu było cicho. Ogromny ciężki wiatrak wiszący z sufitu, wirując leniwie, był jedynym źródłem hałasu.

Mężczyzna powąchał szklanekę rumu, po czym upił trochę.

- Ty jesteś Sanchez, prawda? – powiedział, odstawiając szklanekę na bar.

- Być może.

- Tak, powiedziano mi, że jesteś strasznym chujem.

Dante nachylił się i szturchnął mężczyznę w ramię.

- Hej, panie. Patrz, kogo wyzywasz od chujów.

Sanchez machnął na Dantego.

- Spokojnie, słyszałem gorsze wyzwiska.

Obcy westchnął.

- Wyjaśnię, dlaczego tu jestem.

Sanchez wyjął biały ręcznik spod baru i zaczął wycierać blat, udając niezainteresowanego.

- Proszę bardzo – powiedział. – Teraz opowie nam bajkę.

Nieznajomy rozejrzał się, a widząc, że słuchają go wszyscy w barze, podniósł głos, by być dobrze słyszany.

- Przybywam z małego społeczeństwa na Południu. Z miejsca zwanego Lakeland. Ktoś o nim słyszał?

Nikt nie odpowiedział.

- Nieważne, od lat mieliśmy tam problem z grupą motocyklistów. Ale byli kimś jeszcze. Nie Aniołami z Piekła. Nie, byli gorsi. Przychodzili tylko nocami. Rano znajdowaliśmy zmarłych wieśniaków na ulicach, no, przynajmniej to co z nich zostało. Motocykliści robili moim rodakom rzeczy niewyobrażalne. Kanibalistyczne. Nie widzieliście niczego takiego. Odkąd pamiętam, żyliśmy w strachu. Czasami zostawiali nas na kilka miesięcy, po czym nagle wracali. Włamywali się do domów i wyciągali dzieci z łóżek. Byliśmy bezsilni, nie mogliśmy się bronić, a ten kto się im sprzeciwił, był rytualnie torturowany i zabijany. Niektórych zjadali żywcem na ulicach.

Sanchez chrząknął.

- Wiesz, że mamy tutaj wesele?

- Tak, przepraszam – powiedział, przepraszająco unosząc rękę. Spojrzał na Kacy. – Ładna sukienka – powiedział.

- Dzięki – odpowiedziała Kacy z uśmiechem. – Specjalnie dla mnie zrobił ją Franck Summers.

- Miło – powiedział mężczyzna. Spojrzał na Dantego i zapytał: - Jest pijana?

- Tak.

- No, nieważne – podniósł głos. – Jakiś miesiąc temu do miasta przybył facet. Wyglądał okropnie, jak niekochane dziecko. I on, cóż, zmienił wszystko.

Beth stała za Flake przez całą opowieść mężczyzny. Zrobiła krok w przód.

- Jak wyglądał?

- Ciężko powiedzieć. Nigdy nie pokazywał wiele twarzy. Większość czasu chował się pod ciemnym kapturem. Ale miał grobowy głos.

- Jak się nazywał.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nigdy nie podał nam imienia. Znaliśmy go jako faceta, który pił bourbona. Przynajmniej dopóki nie wyszedł na ulicę i nie zmierzył się ze wszystkimi motocyklistami. Nikt w wiosce tego nie zapomni.

Drzę na samą myśl o tym, co zrobił. Myśleliśmy, że motocykliści byli żądni krwi i bezlitośni. Ale ten facet był gorszy niż oni wszyscy wzięci do kupy. Od tego dnia nazywamy go tym, który ocalił wioskę. Teraz życie w Lakeland znów jest piękne. Kurde, ludzie mogą nawet chodzić ulicami po zmroku. – Podniósł szklanę rumu i wypił trochę, po czym dopowiedział: – Chociaż tego nie robia.

Beth wysunęła się do przodu i odsunęła Sancheza, by pomówić z obcym.

- Ja jestem Beth Lansbury – wyznała.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- Bardzo miło mi cię poznać, Beth – powiedział.

- Mężczyzna, o którym mówisz, to JD. Wiesz, gdzie jest teraz?

Nieznajomy pociągnął kolejny łyk rumu i odstawił szklanę z powrotem na bar.

- Mogę prosić jeszcze jednego? – zapytał Sancheza.

- Znowu rum?

- Mhm. Ale podwójnego.

Sanchez złapał szklanę rumu zza baru i szybko nalał mężczyźnie drinka, by usłyszeć końcówkę rozmowy. Facet przyjął drinka, nie kłopotząc się zapłatą. Odwrócił się do Beth.

- Powiedział, że zawarł pakt z Diabłem. To nie miało sensu, ale powiedział, że musi jeździć po świecie i uwalniać od nieumarłych miejsca pokroju Lakeland. Całkiem niezła fucha.

- Mówił, czy będzie wracał tutaj w najbliższym czasie? – zapytała Beth z desperacją w głosie.

- Nie w najbliższym czasie. Powiedział, że nie spocznie, póki ostatni nieumarty sukinsyn nie skończy w Piekło, gdzie jego miejsce. Wydaje mi się, że to dożywotnia robota.

Beth wydawała się zawiedziona.

- I prosił cię, żebyś przyszedł tutaj i mi to powiedział?

Mężczyzna sięgnął pod kurtkę i wyjął mały kawałek materiału.

- Nie, kazał ci to dać. Powiedział, że będziesz wiedziała, co to znaczy.

Beth odebrała tkaninę i rozwinęła ją. Palce jej drżały. Sanchez zerknął ponad jej ramieniem, by się przyjrzeć. Był to brązowy materiał z czerwonym sercem wyszytym na środku. Wewnątrz serca, niebieską nicią, wyhaftowano inicjały JD. Beth odwróciła się, przyciskając to do piersi. W kącikach oczu zbierały jej się łzy.

Sanchez rozumiał, co czuła i zaoferował kojące słowa:

- Trochę to niejasne, nie sądzisz?